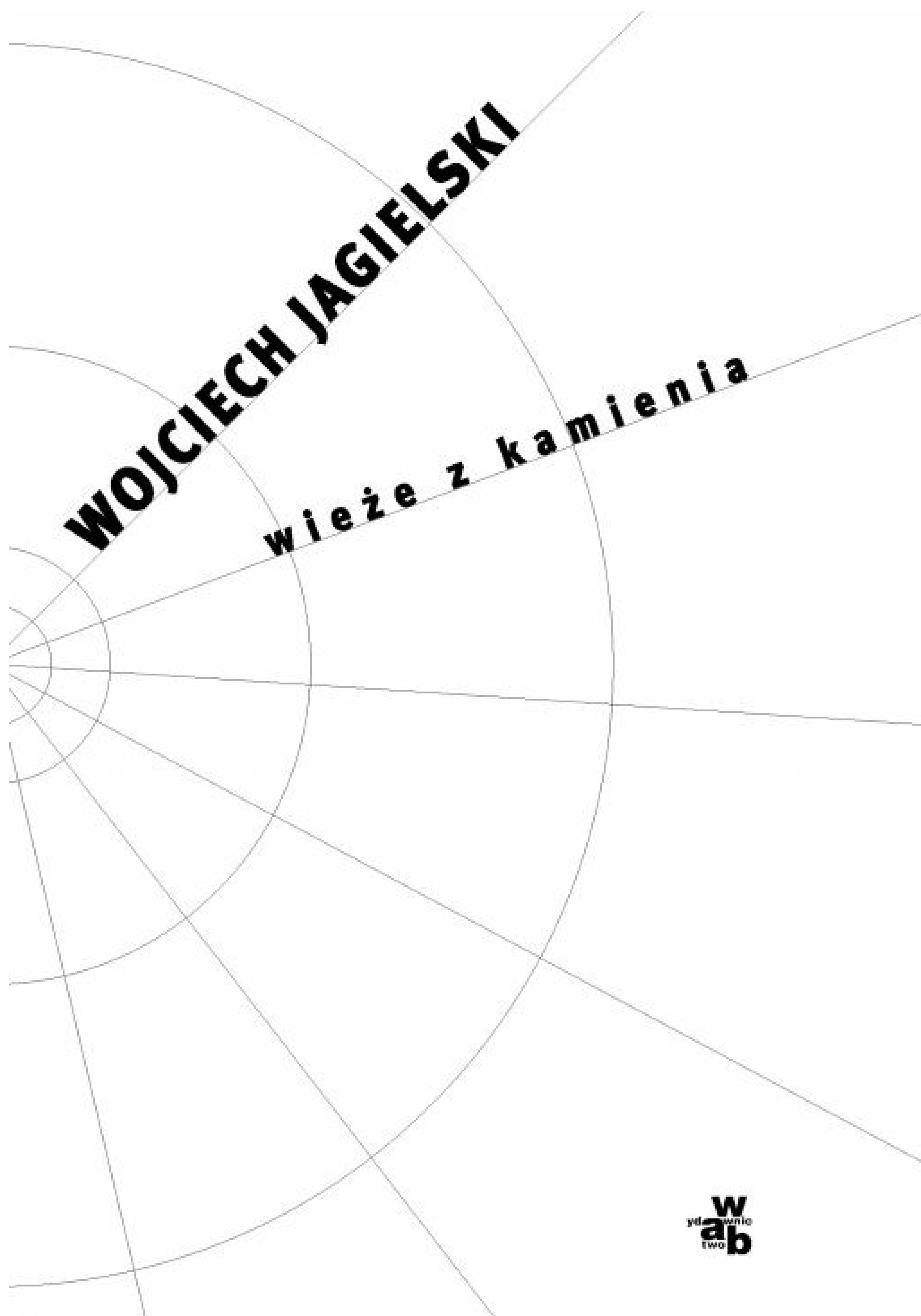
WOJCIECH JAGIELSKI

wieże z kamienia

terra incognita

wab



Konwersja do formatu EPUB: Virtualo Sp. z o.o.
virtualo.eu

VIRTUALO
Digital platform of tomorrow

Spis treści

Dedykacja

Michałowi




Terek
MORZE
KASPIJSKIE
DAGESTAN
jurt
Machaczkała
Wiedeno
Karamachi
Botlich

Lato



Zimna, gęsta mgła leżata jeszcze nisko nad zieloną kotliną, a blade

słońce dopiero podnosiło się powoli nad górami, budząc do życia wioskę Szodroda, ukrytą między zboczami Kaukazu.

Kobiety kończyły dojenie krów. Rozczochrane dzieciaki biegały po uliczkach i wymyślały sobie zabawy na nowy dzień. Zwyczajną senność poranka przerwało nagłe pojawienie się pasterzy, którzy zdyszani zbiegli z górskiej łąki i przekrzykując się nawzajem, opowiadali o partyzantach maszerujących przez przełęcz w kierunku wioski.

Popędzając juczne osły, szli z karabinami i skrzynkami wypełnionymi amunicją. Nie kryli się, jakby wcale nie obawiali się spotkania z żołnierzami patrolującymi granicę. W południe byli już w wiosce. Nikt ich nie zatrzymywał, weszli bez jednego wystrzału. Na wieść o nadciągającym oddziale miejscowi policjanci, którzy całą noc mocnym winem świętowali urodziny kolegi, wrzucili karabiny do bagażników i samochody z piskiem opon odjechały w stronę najbliższego miasteczka.

Poza starcami mężczyzn w wiosce prawie nie było. Jak zawsze o tej porze roku – a był to sam środek upalnego lata – wędrowali do Rosji, by na budowach czy przy żniwach zarobić na przeżycie w górach kolejnej zimnej i chudej jesieni, kolejnej mroźnej zimy.

Partyzanci byli przyjaźni. Zebrali ludzi na rynku i oznajmili, że przybyli z gór, by ich wyzwolić. Dowódca mówił o niesprawiedliwości, złodziejstwie urzędników, a także o Wszechmogącym, który wynagrodzi wieśniakom krzywdy i upokorzenia.

– W imię Wszechmogącego ogłaszam wioskę wolną i niezależną od stolicy, co zapomniała o Bogu!

Brodaty komendant obiecał też, że partyzanci nie zrobią ludziom nic złego. Zakazał nawet swoim żołnierzom zrywać jabłka w wiejskich sadach.

– Przystańcie do nas i żyjcie według nakazów Najwyższego - wzywał mieszkańców Szodrody. – Możecie jednak odejść, jeśli boicie się śmigłowców, które pojawią się tu niechybnie, jak tylko rozniesie się o nas wieść. Albo jeśli nie jesteście jeszcze gotowi, by żyć tak, jak przykazał Pan.

Wyglądał na rozczarowanego, gdy godzinę później posępni mieszkańcy wyruszyli w drogę, porzucając wioskę, nad którą powiewała samotna

zielona flaga, zawieszona przez partyzantów na minarecie meczetu.

Tego dnia brodaci partyzanci wkroczyli też do innych wiosek rozrzuconych po zielonych wąwozach Kaukazu rozpłatanego tu granicą, która oddzielała spokojny Dagestan od buntowniczej Czeczenii. Pojawili się w Rachacie, Tando, Aszino, Ansalcie, Agwali, Gałatłach, Szauri, Andi i jeszcze w tuzinie aułów w powiatach botliskim i cumadińskim po dagestańskiej stronie granicy.

Mieszkańcy wiosek rozpoznali w brodaczach Czeczenów. Wyróżniali się nie tylko mową, ale i niespotykanym w tych stronach zachowaniem. Czeczeni zawsze wynosili się nad innych, lecz ich pycha stała się wprost nie do zniesienia, odkąd latem dziewięćdziesiątego szóstego, po prawie dwuletniej wojnie, powstrzymali i zmusili do odwrotu wielokrotnie liczniejszą i silniejszą rosyjską armię. Nie udało się to żadnemu z kaukaskich ludów. Od dawna żaden nawet nie próbował zadrzeć z Rosją. Od czasu zaś zwycięstwa nad Rosjanami Czeczeni nie tylko wywyższali się nad innych jak nigdy dotąd, ale uzurpowali sobie prawo do pouczania sąsiadów i wtrącania się w ich sprawy.

Nazywali pogardliwie Dagestan Krajem Niewiary, Dar al-Kufr, choć sami wiarę Proroka przyjęli ponad tysiąc lat po dagestańskich góralach. Wcześniej żyli przez stulecia oddając pokłony świętym górom i zagajnikom, a nawet Bogu chrześcijan, podczas gdy ulemowie i szejkowie z Dagestanu pod względem pobożności i wiedzy walczyli z powodzeniem o pierwszeństwo ze świętymi mężami z Kairu, Bagdadu czy Stambułu. Także z Dagestanu wywodzili się sławni kaukascy imamowie z Szamilem na czele, którzy walczyli nie tylko o wolność, ale także o państwo Boże. Z Dagestanu pochodzi też aż trzy czwarte kaukaskich pielgrzymów, co roku wyruszających w *hadżdż,* pielgrzymkę do Mekki, ojczyzny Proroka. Czeczeni zaś, którzy nie dość, że przyjęli wiarę późno i w dodatku od samozwańczego proroka, szejka Mansura, z gorliwością neofitów przywłaszczyli sobie nazwę Kraju Wiary, Dar al-Islam.

Odkąd nie dali się Rosjanom, już tylko siebie stawiali innym za wzór, podburzali bliższych i dalszych sąsiadów do wspólnego buntu przeciw Rosji. Wystarczyło, że usłyszeli, iż ktoś w Kabardzie, Czerkiesji, Bałkarii

czy Karaczaju przebąknął o niepodległości, a już słali posłańców, by nawiązać stosunki, udzielić poparcia, przekonać do pomysłu utworzenia jednego państwa kaukaskich górali.

Dagestańskim góralom tłumaczyli natomiast wyniośle, że Dagestan i Czeczenia to właściwie jedno. Tak Dagestańczycy, jak i Czeczeni powinni więc co prędzej wygnać ze swojego kraju rosyjskich żołnierzy, urzędników i celników, by zacząć wreszcie żyć swobodnie, oddychać pełną piersią.

Mieszkańcy zajętej przez brodatych partyzantów Szodrody istotnie uważali Czeczenów za swoich. Granice dzieliły ich wioski, pastwiska i wodopoje tylko na mapie. Mieszkali przez miedzę, po jednej stronie dagestański Botlich, po drugiej czeczeńskie Wiedeno. Kiedy z blaszanego głośnika przymocowanego drutem na wieżyczce meczetu w Szodrodzie wioskowy muezin ochryple wzywał do modlitwy, jego głos docierał także do czeczenskich aułów po drugiej stronie doliny.

Znali się, odwiedzali, handlowali na bazarach, zapraszali na wesela i pogrzeby, zdarzało się – choć rzadko – że wydawali swoje córki za synów sąsiadów. Kiedy Czeczeni walczyli w górach z Rosjanami, ich żonom i dzieciom dali schronienie dagestanscy górale. Karmili, strzegli, nie licząc dni gościny ani nie pytając o zapłatę. Wielu mieszkańców Dagestanu, głównie miejscowych Czeczenów, zaciągnęło się też do partyzantów, by pomagać im w wojnie z Rosjanami.

Nie oczekiwali wdzięczności. Udzielenie gościny jest na Kaukazie obowiązkiem tak samo świętym jak konieczność troski o dobre imię czy krwawej, przekazywanej z pokolenia na pokolenie zemsty, jedynego sposobu wyrównania krzywd lub zmycia hańby.

Nie spodziewali się jednak, że nie dziękując nawet za gościnę, Czeczeni zaczną się szarogęsić w dagestańskich wioskach, że wtargną do ich domów z karabinami w garści.

– Czego tu szukacie? – spytali starcy z dagestańskich wiosek, próbując powstrzymać schodzących z gór partyzantów. – Nic tu po was.

– Cała ziemia należy do Najwyższego – odburknął brodaty komendant, odsuwając siwobrodych starców stających mu na drodze. – Jesteśmy sługami Wszechmogącego i możemy chodzić, dokąd chcemy, nie pytając

nikogo o zgodę.

Wśród partyzantów było także wielu Dagestańczyków.

Widać obecność miejscowych chłopaków w oddziałach partyzanckich na tyle ośmielała ich czeczeńskich komendantów, że zachowywali się tak, jakby najeżdżając zbrojnie dagestańskich wieśniaków, wyrządzali im przysługę. Nie spodziewali się wcale wrogości czy choćby pretensji. Sprawiali wrażenie pewnych siebie, swojej sprawy i zwycięstwa. Do Dagestańczyków, którzy z nimi przybyli zza gór, odnosili się jak zwierzchnicy do podwładnych, nie zaś jak goście wobec gotowych im nieba przychylić gospodarzy.

Mieszkańcy Szodrody, Tando i Ansalty zorientowali się szybko, że brodacze, w których rozpoznawali swoich rodaków i sąsiadów, to ci sami buntownicy, co pół roku wcześniej musieli uciekać z Dagestanu przed gniewem miejscowych władz. Stołeczni urzędnicy z Machaczkały okrzyknęli ich groźnymi przestępcami i obwieścili, że wyznawana przez nich religia jest wywrotowa i zła. Buntownicy, którzy istotnie głosili potrzebę obalenia skorumpowanego i bezbożnego – jak mówili – rządu, znaleźli ratunek w sąsiedniej Czeczenii, dokąd uciekło ich prawie tysiąc.

Osiedli w miasteczku Urus-Martan, znanym na całym Kaukazie jako niepokorna twierdza muzułmańskich fanatyków i marzycieli, samozwańców i banitów. Nie uznawali niczyjej władzy i śnili o nowym kalifacie, który jednym jawił się jako prawdziwie sprawiedliwe państwo, innym zaś jako oaza anarchii. Do Urus-Martanu zjeżdżali wszelkiej maści kaukascy rebelianci, a nawet wędrujący po świecie arabscy wojownicy, w poszukiwaniu męczeńskiej śmierci na świętej wojnie, przepustki do raju.

Urus-Martan cieszył się też na całym Kaukazie złą sławą głównego targu niewolników porywanych dla okupu przez zbrojne bandy, których hersztowie również tutaj mieli swoje siedziby i wojenne bazy. Urus-Martan wymykał się spod wszelkiej kontroli – także nieuznawanego tu prezydenta Czeczenii – i nikt na dobrą sprawę nie wiedział, co się tam naprawdę działo.

Na wieść, że buntownicy schronili się w czeczeńskim Urus-Martanie, dagestańskie władze kazały wzmocnić posterunki na granicy

z Czeczenią. Zapamiętano dobrze, że ucieczkę z Dagestanu banici porównywali do ucieczki Mahometa z Mekki i zapowiadali, że powrócą równie triumfalnie jak Prorok.

I oto wracali, wierząc, że znajdą posłuch i poklask przynajmniej wśród mieszkańców nędznych przygranicznych wiosek, dawno zapomnianych przez urzędników z odległej Machaczkały, zajętych bez reszty pomnażaniem własnych majątków. Powstańcy liczyli, że przy pomocy doświadczonych czeczeńskich wojowników uda im się przepędzić rosyjskich żołnierzy pilnujących granicy i na wyzwolonych ziemiach ogłosić niepodległą górską republikę prawowiernych. Ta zaś, z czasem, miała połączyć się z Czeczenią, a także z innymi powstającymi w Dagestanie oazami wolności i prawa Bożego, stając się zarodkiem kaukaskiego kalifatu.

Trzeciego dnia czeczeńscy i dagestańscy przywódcy rebelii zebrali się w zdobytej bez walki wiosce Ansalta. Po krótkiej naradzie wybrali powstańcze kierownictwo. Weszli do niego przedstawiciele pół setki zagubionych w górskich wąwozach wsi, które bez rewolucji i zbrojnych buntów rządziły się u siebie według praw Koranu. Z niektórych wiosek przysłanych ze stolicy policjantów i urzędników wypędzono. Z innych sami uciekli przed nędzą i beznadzieją, podobnie jak nauczyciele, lekarze, agronomowie.

Wielu spośród przywódców powstania – mułłów, dziennikarzy i poetów – miało za sobą długoletnie pobyty w więzieniach i koloniach karnych na dalekiej Syberii. Więzienie i wygnanie były karami za daremną – zdawało się – walkę o wolność podbitego przez Rosjan Kaukazu i o zakazany przez nich islam. Na czele powstańczej rady stanął mułła Bagautdin Mohammedow z Kizlaru, który niezwłocznie ogłosił się szejkiem. Jego wezyrem został Siradżuddin Ramazanow, Awar z Gunibu. Powstańcy proklamowali powstanie niepodległej górskiej republiki muzułmańskiej i wydali świętą wojnę Rosji. Wybrali też emira, by poprowadził ich do zwycięstwa. Został nim, bez jednego głosu sprzeciwu czy choćby wahania, czeczeński komendant, który dowodził powstańczym zajazdem z Czeczenii na dagestańskie pogranicze, a podczas wojny z Rosjanami okrył się tak wielką sławą, że za bohatera

uważano go nie tylko w Czeczenii, ale na całym Kaukazie. Nazywał się Szamil Basajew.

Nazajutrz nadleciały rosyjskie samoloty i zrzuciły na Ansaltę bomby. Na Kaukazie wybuchła nowa wojna, po której miała nadejść jeszcze większa i jeszcze straszniejsza od wszystkich dotychczasowych.

Śmigłowce ciężko, z jękiem wzbiły się nad ziemię. Szarozielone, z czerwonymi gwiazdami na pancerzach kadłuba, mocowały się z rześkim, przezroczystym powietrzem poranka jak pływak, który rozpaczliwie broni się przed zatonięciem.

Z położonego na wysokim wzgórzu miasteczka Botlich widać je było z daleka, gdy leciały wąwozem, gdzie płynęła rzeczka, z nosami spuszczonymi nisko nad ziemią, jakby przeglądały się w strumieniu albo próbowały wypatrzyć coś między głazami. Dopiero u podnóża góry, gdzie wąwóz zakręcał, by ominąć wysokie wzniesienie z przyklejonym do jego zbocza miasteczkiem, śmigłowce podrywały się znad rzeki. Gwałtownie, jakby dopiero w ostatniej chwili dostrzegały skałę, o którą mogły się roztrzaskać.

Stękając głośno z wysiłku, podnosiły się wyżej i wyżej, powoli wydostawały się z przepaści, zrównywały z botliskim rynkiem i w końcu zawisały nieruchomo nad miasteczkiem. Tam równały szereg, jakby się naradzały, by po chwili drapieżnie zaatakować górę tworzącą przeciwległą ścianę wąwozu. Miejscowi wieśniacy przezywali górę Oślim Uchem. Na jej zboczach, a także na sąsiedniej Łysej Górze i w położonej między nimi wiosce Tando ukrywali się przybyli z Czeczenii partyzanci, którzy chcieli wywołać w spokojnym Botlichu zbrojne powstanie.

Pierwszego dnia podeszli aż do rogatek i celnymi strzałami z granatników zniszczyli kilka rosyjskich śmigłowców na lądowisku wykutym w skałach pod miastem. Nie udało się im jednak poderwać miejscowych Awarów do walki. Co więcej, tutejsi górale nie tylko nie dali posłuchu przybyszom, ale zwrócili się przeciw nim. Wieśniacy z aułu Godoberdi, uzbrojeni w stare, myśliwskie flinty na wilki i niedźwiedzie, pierwsi nie wpuścili partyzantów do swojej wsi, a potem odpierali ataki, spuszczając na nacierających skalne lawiny. Napotkawszy

niespodziewany opór, partyzanci okopali się w górskich kryjówkach, pochowali się w pieczarach i lasach porastających zbocza. Podzieleni na kilkuosobowe grupy, bronili już tylko zajętych gór, przełęczy i aułów. Czekali na posiłki i rozkazy z Czeczenii.

Za dnia, gdy rosyjskie samoloty i śmigłowce zrzucały na nich bomby i rakiety, partyzanci kryli się w bezpiecznych jaskiniach. Wyłazili z nich, kiedy po nalotach zapadała głucha cisza, a Rosjanie posyłali w góry piechotę. Z wierzchołków nagich skał partyzanci strzelali do wspinających się z mozołem żołnierzy jak na wiejskiej strzelnicy.

Po odparciu kilku krwawych szturmów Rosjanie zrezygnowali. Odtąd z rzadka było słychać karabinowe strzały, partyzanci witali nimi nadlatujące śmigłowce. Jeszcze rzadsze były bitwy na górskich zboczach. Wojnę przeciw partyzantom prowadziły ciężkie, opancerzone śmigłowce, które przez cały dzień, od rześkiego świtu do ciepłego późnego zmierzchu, nękały partyzanckie kryjówki i burzyły zajęte przez nich wsie. Systematycznie, dzień po dniu, dom po domu.

Góry wokół Botlichu rozbrzmiewały dalekimi, głuchymi eksplozjami. Białe słupy dymów, podnoszące się z szarawych skał i zielonych lasów, znaczyły miejsca, gdzie trafiały rakiety i bomby. Kiedy naloty się nasilały, siwe dymy jak mgła zasnuwały zbocza i wierzchołki gór. Bombardowania przerywano tylko w porze obiadu, w południe, gdy upał najbardziej dawał się we znaki.

W miasteczku było cicho jak makiem zasiał. Wydawało się, że mieszkańcy wstrzymali oddech i z natężeniem wsłuchują się w odległe eksplozje, by wywróżyć z nich przyszłość.

Na kamiennym rynku, przycupnąwszy na małej ławeczce, siedzieli wąsaci starcy w futrzanych czapach. Przyglądali się temu wojennemu widowisku w górach bez słowa, niemal bez ruchu. Od rana do wieczora tkwili na rynku niczym rzadkie i równie stare jak oni drzewa, których cień dawał schronienie przed słońcem. Przypominali weteranów zaproszonych za zasługi na darmowe przedstawienie. Przyprowadzeni z honorami na widownię i pozostawieni sami sobie, w milczeniu oglądali powtarzany w kółko spektakl, którego treści ani przesłania nie pojmowali.

Wrażenie było tym silniejsze, że całe miasteczko przypominało wykuty w stromej skale amfiteatr. Widownią były otaczające Botlich górskie ściany, w ich szczeliny i uskoki wciskały się rzędami kamienne domostwa. Szukając oparcia i równowagi, tłoczyły się, rozpychały, piętrzyły jedne na drugich. Dachy domów położonych niżej na zboczu służyły za podwórza obejść zbudowanych wyżej, a sąsiednie chałupy wspierały się na wspólnych kamiennych murach. W tym zapamiętałym przepychaniu i walce o przestrzeń nie zostawiono niemal miejsca na wąziutkie, kręte uliczki, wiodące z domów w górnych rzędach na rynek i przycupnięty przy nim niewielki meczet. Było to miejsce centralne, najważniejsze, święte, zastrzeżone dla starców, którzy całymi dniami przypatrywali się, jak samoloty i śmigłowce przecinają ciemnogranatowe, pogodne niebo, przeganiając z niego jastrzębie i orły.

Dzieciaki spędzały dnie na dachach i wierzchołkach drzew, skąd roztaczał się najlepszy widok na zawłaszczone przez samoloty i śmigłowce niebo, panoramę gór i toczącą się w oddali wojnę. Najbardziej oblężone były dachy i drzewa na skraju miasteczka, tuż nad przepaścią, z której wzbijały się śmigłowce. Stojąc nad urwiskiem, można było z bliska popatrzeć w twarz pilotom, gdy podnosili maszyny na wysokość skalnej półki Botlichu. Każdy wynurzający się z górskiej czeluści śmigłowiec był witany piskami zachwyconej dzieciarni.

Kobiety oglądały wojnę z obejść domostw, a raczej, zapracowane przy studniach i kuchniach, rzucały jej przelotne, zatroskane spojrzenia. Prostowały się z trudem nad baliami i dymiącymi garami, przysłaniały oczy od słońca i patrzyły w niebo.

Od poranka do zmierzchu zwiastowanego przez muezina, który z wioskowego meczetu zawodzącym głosem wzywał wiernych na wieczorną modlitwę, całe miasteczko, a wraz z nim także my, przyjezdni dziennikarze, trwało w bezruchu, przyglądając się śmigłowcom i wsłuchując w głuche, dalekie eksplozje.

Nic innego nie było do roboty.

Nic się nie działo.

Z naszego amfiteatru nie było bowiem widać sceny, na której rozgrywało się przedstawienie. Zasłaniała ją wielka zielona góra.

Słyszeliśmy odgłosy walki, widzieliśmy słupy dymu unoszące się nad górskim szczytem i niknące za nim śmigłowce i samoloty.

Wleciały trzy, trzy wyleciały, huk, dym, przerwa. I znów. Dwa wleciały, a po nich jeszcze dwa. Huk, dym, warkot silników powracających maszyn.

Siedzieliśmy niby widzowie przed kurtyną, którą ktoś zapomniał podnieść, mimo że przedstawienie już się rozpoczęło. Aktorzy wchodzili i schodzili ze sceny, a my nie wiedzieliśmy, co się na niej dzieje. Docierały do nas dźwięki dramatu rozgrywającego się za zasłoną, ale jego treści i przebiegu mogliśmy się tylko domyślać.

Nie sposób też było ruszyć się dokądkolwiek. Wojsko zdążyło już pozamykać drogi wiodące przez góry do Wiedeno, do Czeczenii. Żołnierze z posterunków otaczających Botlich nie przepuszczali nawet do aułu Godoberdi – w jego pobliżu ponoć toczyły się walki. Mieli nas tam zabrać Awarowie, z którymi lecieliśmy z Moskwy do Machaczkały pustym samolotem. Awarowie mieszkali w Godoberdi, a na lato wyjeżdżali do Rosji, gdzie najmowali się na budowach jako sezonowi robotnicy. Rzucili robotę, usłyszawszy przez radio wiadomości o partyzantach z Czeczenii, którzy zapędzili się za ich miedzę. Awarowie wracali do aułu, by walczyć z intruzami. W drodze kłócili się między sobą. Jeden z nich uważał, że karabiny powinni kupić na bazarze w Machaczkale, dwaj przekonywali, że nie ma co tracić pieniędzy, bo broń z pewnością będą rozdawać w wiosce lokalne władze.

Z Awarami rozstaliśmy się jednak już w Botlichu. Żołnierze przepuszczali do wsi tylko tych, którzy w niej mieszkali i mogli to poświadczyć jakimś dokumentem. Pozostałych podróżnych zawracano do miasteczka, a zdarzało się, że nawet odsyłano aż do Machaczkały. Pojawili się agenci tajnej policji. Stali na posterunkach przy drogach, przesiadywali w gospodach uczęszczanych przez tubylców i przez nas, przybyszów. Snuli się pozornie bez celu krętymi zaułkami, wystawali w cieniu drzew na placu przed meczetem. Nasłuchiwali, mieli baczenie, kręcili się, zakazywali wszystkiego i wszędzie, żądali, by pokazać legitymacje, przepustki, zezwolenia, na których nigdy nie było dosyć pieczęci okrągłych, trójkątnych, kwadratowych.

Przyjechaliśmy nie w porę i nie tam, gdzie trzeba.

Jak zwykle.

Z reguły przyjeżdżałem za późno i przeważnie nie z tej strony, co należy.

Wyłączając szczęśliwe zrządzenia losu i zdarzenia przewidywalne, wyruszałem zazwyczaj w podróż dopiero na wieść, że coś ważnego już się stało. Zostawałem w tyle od razu na starcie, próbując potem rozpaczliwie gonić utracony czas. Rzadko udaje się być świadkiem czegoś od samego początku i aż do końca, jeszcze rzadziej – obejrzeć wszystko po jednej i po drugiej stronie barykady, mieć pełny obraz, polegać tylko na własnych obserwacjach i wrażeniach. Stanąć tuż-tuż przy magicznej, niewidzialnej linii – nie przekraczając jej jednak – która wyznacza granicę między widownią a sceną, widzieć z bliska twarze bohaterów dramatu, każdy ich grymas, słyszeć nie tylko ich krzyki, ale także szepty, dostrzec każdy gest. Być tak blisko sceny, by się poczuć, choć przez chwilę, jej równoprawnym gospodarzem, lecz wystarczająco daleko, by się bezpiecznie wycofać. Nie dać się jej porwać, pochłonąć, nie pozwolić, by bezwstydna ciekawość koszmaru przemieniła widza i krytyka w bohatera pozbawionego prawa powrotu na widownię.

Decyzja o wyjeździe do Botlichu była błędem popełnionym świadomie i niemal przez wszystkich dziennikarzy. Na cóż można było liczyć, przybywając trzeciego czy czwartego dnia do oblężonej miejscowości, w kraju rządzonym przez wszechwładnych biurokratów i bezdusznych, brutalnych agentów tajnej policji? Partyzanci nie szturmowali miasteczka, lecz zatrzymali się na jego rogatkach. Nie dało się więc opisać dramatu mieszkańców oblężonej twierdzy ani triumfu jej zdobywców. Jedynym, za to najważniejszym argumentem przemawiającym za Botlichem był fakt, że właśnie tu toczyła się wojna i że można tu było w miarę łatwo i szybko dotrzeć.

Wiedziałem, że należało jechać do Czeczenii. Do Groznego, Nowych i Starych Atagów, a stamtąd zawrócić na wschód, w góry, do Nożaj-jurtu i Wiedeno, znaleźć przewodników, którzy by przez przełęcz Charami doprowadzili mnie do obozu partyzantów. Z nimi zaś można było dostać się na widoczną z Botlichu, lecz niedostępną górę Ośle Ucho, gdzie

toczyła się właściwa wojna, i przekonać się tam, jak wygląda naprawdę, poczuć na sobie, czym jest.

Tak właśnie zrobił Rusłan, fotograf i operator kamery filmowej. Doścignął partyzantów w górach i stał się kronikarzem ich zajazdu na Dagestan. Siedząc po drugiej stronie góry, tuż obok, na starym telewizyjnym ekranie widziałem, jak uśmiechnięty i pewny siebie Basajew rozdziela między partyzantów ciężkie, dojrzałe arbuzy. Jak ubrany w polową kurtkę z arabskimi napisami na pagonach naradza się, studiując mapy ze swoimi komendantami, wreszcie – jak jego kanonierzy strzelają z armatek do prawie niewidocznych na niebie śmigłowców, jak wiwatują:,, *Allah akbar* – Bóg jest wielki!"

Rusłan, choć pracował dla zagranicznych redakcji, był jednak Czeczenem. A do Czeczenii nie jeździło się wtedy, ot, tak sobie. Po wojnie z Rosją, zakończonej nierozstrzygającym niczego rozejmem, kraj ten przeistoczył się w nowe Dzikie Pola, wymykające się spod wszelkiej kontroli i żyjące bez żadnych praw. Była to kraina, w której zbrojne bandy, dla zarobku lub na zlecenia patronów z Kaukazu i Rosji, polowały na ludzi i porywały ich dla okupu. Cudzoziemcy, a więc dziennikarze, bo nikt inny z zagranicy tu nie zaglądał, byli towarem szczególnie poszukiwanym. Można było za nich nie tylko wytargować najwyższą cenę, ale ich porwania najskuteczniej kompromitowały tych czeczeńskich polityków, którzy utrzymywali, że Czeczenia może istnieć jako państwo niepodległe, bezpieczne i przewidywalne.

Wybuch powstania pod Botlichem sprawił, że podróż do Czeczenii stawała się jeszcze większą pokusą, a tym samym większym ryzykiem. Można się było spodziewać, że oczekując najazdu cudzoziemców, handlarze żywym towarem wzmogli czujność i pozastawiali nowe pułapki. Aby ich uniknąć, należało wynająć zaufaną własną straż przyboczną i płacić jej za ochronę przynajmniej tak sowicie, by nie uznała za opłacalne odsprzedania swego gościa i dobroczyńcy w jasyr.

Podróż do Botlichu przez Czeczenię nie tylko wydłużała czas wędrówki, ale pomnażała niepomiernie koszty i ryzyko. Decydując się przejechać na drugą stronę barykady, z widowni łatwo można było trafić prosto na scenę. A tego należało za wszelką cenę uniknąć. Pragnąłem

być blisko, owszem, ale nie w samym środku. Dlatego pojechałem do Botlichu, by z kamiennego rynku słuchać dalekich eksplozji zza gór i zadowalać się widokiem siwego dymu wybuchów, snującego się po zielonych zboczach i nagich, skalistych turniach.

Podsłuchiwać i podglądać wojnę.

Pewnego dnia, w południe, natknąłem się w miasteczku na niewielki oddział rosyjskich żołnierzy. Muskularni, brązowi od słońca, wiatru i kurzu, w ciemnych okularach, snuli się znudzeni po wąskich zaułkach, gasząc pragnienie sprzedawanym po kryjomu ciepłym piwem. Byli wśród nich Dima i Sierioża, Sybiracy, których poprzedniego wieczora poznałem na rynku przed meczetem.

O czerwonym zachodzie zajechali na plac wielką ciężarówką, aby kupić dla oddziału baraninę na szaszłyki, świeże warzywa i owoce. Czekali przy samochodzie na straganiarza, który uwijał się wśród bazarowych kramów, zbierając po przekupniach pieniądze, by wydać resztę z rzadko tu w górach oglądanego banknotu o wielkim nominale. Kurząc papierosy, żołnierze stali oparci o stalową, rozpaloną kabinę samochodu, nonszalancko, w rozchełstanych mundurach, wystawiając spocone twarze na chłodne podmuchy wiatru. Do tubylców odnosili się pobłażliwie, z wyższością, ale bez wrogości czy pogardy.

Jeszcze zanim sprzedawca zdążył wrócić z uzbieraną po kramach resztą, Sybiracy wygadali się, że nazajutrz o świcie ich oddział ma szturmować Ośle Ucho i położoną nieco dalej niższą górę, nazywaną przez żołnierzy Łodzią Podwodną.

– Kto tam idzie, już nie wraca – opowiadał Dima, patrząc gdzieś przed siebie i, dla lepszego efektu, zaciągając się głęboko papierosem.

Tymczasem Siergiej wcisnął straganiarzowi garść pomiętych banknotów i kazał mu przynieść wódkę. Nerwowo rozglądając się na boki, sprzedawca zniknął między kramami. Na ławeczce przed meczetem wciąż siedzieli starcy w futrzanych czapach. To przez nich alkohol jest na Kaukazie czymś wstydliwym, zakazanym. Nie sprzedaje się go w sklepach, nikt o zdrowych zmysłach nie ośmieli się pić publicznie, a już z całą pewnością nie na oczach starców. Upić się – oznacza społeczną degradację, hańbę, z której nie sposób się podnieść.

Ale nawet to nie uratowało gór przed pijaństwem. Wódkę pije się tu ukradkiem, pokątnie, za to często na umór. Przywlekli ją słowiańscy osadnicy, którzy rozpijali tubylców równie chętnie, jak biali przybysze z Europy rozpijali północnoamerykańskich Indian. Potem od wódki uzależnili się młodzi górale, schodzący z gór na step i nadmorskie wybrzeże w poszukiwaniu wykształcenia i zarobku. Wielu z nich, ludzi przywykłych do nieograniczonych przestrzeni, przesiedlono siłą z aułów do miast, pozamykano w klatkach betonowych blokowisk. Pili z tęsknoty i żalu, z rozpaczy, że Boga nie ma, i ze strachu przed Bogiem. W wysokie góry wódka dotarła wraz z elektrycznością, telewizją i asfaltowymi drogami, którymi przewiercono Kaukaz, odbierając mu niedostępność – od wieków jego jedyny system odpornościowy. Z niezdobytej twierdzy Kaukaz stawał się zwyczajnym przechodnim podwórzem, które od innych różniło się jeszcze tylko tradycją i wiarą.

Sklepikarz, oglądając się za siebie, wrócił z wielką lnianą torbą jabłek. Na jej dnie schował cztery butelki żółtej, mocnej wódki. Ukryty za samochodem Siergiej odkorkował pierwszą, wyciągnął z kieszeni mandarynkę, której cząstki miały uszlachetnić smak alkoholu.

Poprzedniego dnia Sybiracy wrócili ze szturmu na zajętą przez Czeczenów osadę Tando. Nocny atak się nie powiódł. Nie dotarli nawet do wsi. Dwa wozy pancerne stanęły w płomieniach, trafione z granatników. Nie tylko musieli się wycofać, ale stracili znów ośmiu żołnierzy, a ze dwudziestu zostało rannych.

– Trudno z nimi wojować. Nauczyli się bić – opowiadał Dima, wykrzywiając ze wstrętem twarz. Gęsta słodycz mandarynki sprawiała, że pita po pół szklanki ciepła wódka była jeszcze trudniejsza do przełknięcia. – A nasi, przez pomyłkę, ostrzelali wczoraj dagestanską policję. Wzięli ich za partyzantów i czterech naszych czarnuchów mamy mniej.

Czarnuchami nazywali Sybiracy tubylców. Bez różnicy, czy byli to Gruzini, czy Azerowie, czy może mieszkańcy Azji Środkowej. Czarnuchami byli wszyscy, kogo nie dawało się zaliczyć do Słowian.

Dima i Siergiej należeli do zaciężnych żołnierzy, od siedmiu lat walczących dla zarobku w wojnach, które wybuchały na ziemiach byłego

rosyjskiego imperium. Bili się w Tadżykistanie, w Abchazji, Czeczenii, a teraz przyjechali bić się w Dagestanie. Na razie pozostawali właściwie bez zajęcia, bo za takie nie uznawali patrolowania ulic Botlichu ani legitymowania ludzi. Szturm na Tando był pierwszą operacją, do której posłano takich jak oni, zaprawionych w walce i traktujących ją technicznie, jako sposób zarabiania pieniędzy. Poza nimi dowództwo przysłało w góry na wojnę z partyzantami przerażonych żółtodziobów, rekrutów dopiero co wziętych z poboru. Oficerowie trzymali ich w odwodzie, chroniąc przed walkami i posyłając najwyżej do przeczesywania zbombardowanych wcześniej przez lotnictwo górskich zboczy i zburzonych aułów.

Nazajutrz o świcie oddział Dimy i Siergieja miał właśnie wejść do takiej zbombardowanej przez samoloty wioski i sprawdzić, czy nie ma w niej partyzantów. Była już późna noc, gdy mocno podpici, gramoląc się do samochodu, obiecywali, że zabiorą mnie na akcję, bylebym czekał na nich przed świtem na rynku przy meczecie.

Opowiadając o swoich przygodach, licznych zwycięstwach, okrucieństwie, odwadze i sile, o życiu pośród przemocy, liczyli na podziw, a przynajmniej na współczucie. Co chwilę wtrącali, że gdyby wpadli w ręce partyzantów, czekałaby ich straszna śmierć. W Czeczenii żołnierzy kontraktowych, a także pilotów nie brano do niewoli. Najpierw poddawano ich najokrutniej-szym torturom, po czym zabijano. Najczęściej przez poderżnięcie gardła.

Odniosłem wrażenie, że Dima i Siergiej bali się nie strachu czy bólu ani nawet nie śmierci, lecz samotności i odrzucenia, które ich spotykały na każdym kroku. Dla nikogo nie byli bohaterami. W krajach, dokąd przyjeżdżali na wojny, uważano ich za najeźdźców, za barbarzyńców żywiących się cudzym nieszczęściem. Nawet kupując arbuzy na bazarze, musieli uważać, by któryś z tubylców nie wbił im w plecy noża. W domu też nie mogli liczyć na zrozumienie czy podziw. Uważano ich za niepotrafiących się przystosować dziwaków. Bano się ich, bo byli groźni, szczególnie w pijackim gniewie, ale nikt ich nie kochał ani za nimi nie tęsknił, nikt o nich nie myślał. Nikt nie dostrzegał ich nieobecności, nie chciał słuchać ich opowieści. Choć nie mogli się z tym pogodzić, bez nich

życie w rodzinnych stronach toczyło się najzupełniej zwyczajnie.

Zjawiłem się w umówionym miejscu przed brzaskiem, nikt jednak po mnie nie wyszedł. Dopiero w południe natknąłem się na Sybiraków, gdy znudzeni odpoczywali w cieniu drzew. Dowódca, niski, żylasty major z ogoloną czaszką, słuchał tranzystorowego radia i nie był skory do rozmowy. Z Moskwy napływały wieści, że choć sytuacja w rejonie kaukaskiego Botlichu pozostawała nadzwyczaj trudna, rosyjskie wojska całkowicie ją kontrolowały, wzorowo realizując plany taktyczne i zadając partyzantom ogromne straty. Lotnictwo odcinało drogi odwrotu buntownikom, wśród których dochodziło do paniki. Według komunikatów Kremla wojna na czeczeńsko-dagestańskim pograniczu została właściwie zakończona, a partyzanci rozbici w puch.

– Wszystko to pięknie – mruknął dowódca ni to do mnie, ni to do siebie – tylko dlaczego w takim razie nasi lotnicy wciąż bombardują dziś Ośle Ucho, na którym, według komunikatów, już dawno siedzimy? I co mam pisać w listach matkom zabitych żołnierzy? Dziś rano znowu straciłem trzech. Odeślą ich do domu sztywnych, w cynkowych skrzynkach. Co mam napisać? Dlaczego zginęli, skoro wojny już nie ma?

Wśród skrytych w cieniu żołnierzy nie mogłem odnaleźć wzrokiem Dimy ani Siergieja. A to był przecież ich oddział, ten, który o brzasku miał szukać partyzantów w ruinach zbombardowanej wsi. Właśnie na nich miałem czekać przed meczetem. Dimy i Siergieja nie było wśród żołnierzy.

– To z tobą pili wczoraj wódkę! Wrócili tak schlani, że nic nie było w stanie postawić ich na nogi. Zamiast na akcję poszli do aresztu – major uśmiechnął się po raz pierwszy, błyskając złotymi zębami. – Powinni ci jeszcze raz postawić. Gdyby się wczoraj nie popili, może to ich odsyłałbym do domu w trumnach i pisał matkom, jakimi byli bohaterami.

Nazir hadżi Baszirchanow przypominał jednego z tych niedźwiedzi, od których roiło się w okolicznych górach. Jego wiek trudno było określić. Równie dobrze mógł mieć lat trzydzieści pięć co pięćdziesiąt. Krępy, o szerokich ramionach, wielkich, sękatych dłoniach, poruszał się niezdarnie. Mimo upału wkładał znoszony, ciemny garnitur z grubej

wełny i przydeptane, szare od kurzu buty. Całymi dniami przesiadywał na podwórzu gospody położonej na skraju miasteczka, tuż nad przepaścią. Był sołtysem pobliskiego Tando i przez lornetkę, pożyczoną od kuzyna policjanta, przyglądał się powolnej śmierci swojej wsi, burzonej metodycznie przez rosyjskie lotnictwo.

Z podwórza gospody okolice Tando było widać najlepiej. Samą wieś przesłaniał jednak porośnięty lasem pagórek. Ale Nazir hadżi nie musiał wcale wszystkiego widzieć, by wszystko wiedzieć. Urodził się tu, tu wyrósł, znał każdy kamień. Wystarczyło, że popatrzył, gdzie spadają bomby i skąd się podnosi do nieba dym, a wiedział doskonale, czyja chałupa, czyje obejście zostało właśnie zniszczone.

- Wygląda na to, że ani jedno nie jest już całe. Jeszcze parę dni, a nie zostanie kamień na kamieniu – odzywał się z rzadka, trąc pięścią kwadratową szczękę. – Ludzie mówią, że w wiosce już dawno nie ma partyzantów, ale Rosjanie boją się zasadzki i bombardują dalej, dla pewności. Jeśli sami nie mają odwagi wejść i sprawdzić, to chociaż ludziom daliby wrócić. Mówią, że gdzie indziej, jak już Ruscy wchodzili do wsi, to szli od chałupy do chałupy i wrzucali granaty do tych, co ocalały. Ot tak, wiązkę przez okno albo do piwnicy, nawet nie sprawdzając, czy ktoś tam jest, czy nie. Teraz walczą, a gdzie byli wcześniej? Dlaczego pozwolili, żeby partyzanci przeszli granicę, napadli na wieś? Wtedy trzeba było się bić, ludzi ratować. Co im chałupy zawiniły? Eh… diabli wzięli już Tando.

Nazir hadżi nigdy by się głośno do tego nie przyznał, ale najbardziej martwił go los jego własnego psa, którego nie zdążył spuścić z łańcucha, uciekając w pośpiechu przed partyzantami. Przypomniał sobie o nim za wsią, kiedy usłyszał ujadanie, ale już nie chciał wracać. Uspokajał sam siebie, że partyzanci to przecież nie jakieś bestie, tylko zwyczajni ludzie, jak on sam, że mają ważniejsze sprawy na głowie niż robić krzywdę zwierzętom. Nawet jeśli pies nie dostanie jeść dzień czy dwa, to jeszcze nie zdechnie z głodu, a jak tylko wszystko choć trochę się uspokoi, Nazir hadżi wróci do wioski, żeby się rozejrzeć, zobaczyć co i jak. Nawet nie pomyślał o samolotach.

– A co się stało z naszymi krowami, owcami i kozami? Nie wszystkie

zdążyliśmy zabrać ze sobą z pastwisk i obór. Co z nimi? Dobrze, jeśli rozbiegły się po górach, przynajmniej przeżyły. Ale te, cośmy zostawili pozamykane, poginęły pewnie pod bombami i w ogniu – Nazirowi hadżiemu najbardziej dokuczała ta niemoc. Chciałby gdzieś lecieć, coś robić. Choćby po to, żeby w kółko nie myśleć o gospodarstwie, psie przywiązanym do budy, zamkniętych w oborze krowach. – W październiku zaczną się chłody. Ludzie powoli już się szykują do zimy. Gdzie się teraz podzieją? Domy zniszczone, zmarnowane stada, owoce i warzywa zgniją niezebrane. Jak będziemy żyć?

Sołtys był przerażony, bo wraz ze wsią dogasało jego dotychczasowe życie. Czuł to, widział, ale nie potrafił niczemu zaradzić. Co pocznie bez domu? Co powie ludziom, którzy go wybrali, by nimi rządził, by był ich przewodnikiem? Że wszystko stracili, że wszystko, co było, już się nie liczy, że dawne życie nie wróci i lepiej nawet nie sięgać w przeszłość pamięcią, by nie oszaleć z bólu i nie popaść w obłęd?

Co czeka jego ziemię, której nie będzie mógł uprawiać, nie mając domu? Co stanie się z cmentarzem, gdzie są pochowani jego ojciec, dziadowie? Kogoś, kto nie ma domu, rodowej wieży z kamienia, uważano na Kaukazie za najnędzniejsze ze stworzeń. Nie może uważać się za mężczyznę ktoś, kto nie potrafi zapewnić rodzinie przynajmniej dachu nad głową. A tym, którzy nie mają swoich cmentarzy, którzy nie wiedzą, gdzie są pochowani ich przodkowie, odmawia się w górach nawet godności.

Bez domu, ziemi, cmentarza będzie nikim. Straci swoje miejsce na ziemi, a więc nawet nie będzie mógł się uważać za wolnego człowieka. Nie pozostanie mu już nic, co mógłby cenić, co mogłoby być sensem i celem życia. Stanie się uchodźcą, włóczęgą, pomiatanym przez wszystkich nędzarzem, żebrzącym o łaskę, całującym buty.

Z nieszczęściem, jakie spadło na niego i na całą wieś, przychodziło pogodzić się tym trudniej, że było ono tak wielką niesprawiedliwością. Przecież w niczym nie zawinili, by doznać aż tak wielkiej krzywdy. W ich wiosce nigdy nie było żadnych buntowników, nie zgodziłby się na to. A potem partyzantom też nie pomagali. Za co więc to wszystko?

Czasami Nazir hadżi tłumaczył sobie, że życie, choć okrutne, na takie

niesprawiedliwości przecież nie pozwoli. Że ktoś im pomoże, że nie zostawi ot tak, na pastwę losu. Może przyjdzie z pomocą rosyjskie wojsko, które teraz, na oczach sołtysa, równało jego wioskę z ziemią, dom po domu, zagroda po zagrodzie. Słyszał w radiu, że w Moskwie obiecywali pomoc, mówili, że nikt nie pójdzie na poniewierkę. Co prawda już wcześniej rozmaitym nieszczęśnikom obiecywali to samo i nigdy nie dotrzymali słowa. Pieniądze na pomoc i odbudowę zawsze rozkradali urzędnicy. Ale może choć tym razem będzie inaczej?

Wieczorem Nazir hadżi modlił się w meczecie. Prosił Najwyższego o ratunek, o siłę, i o to, żeby jemu, sołtysowi, dane było zrozumieć, dlaczego jego wieś znalazła się ni z tego, ni z owego na pierwszej linii frontu. I o co chodziło brodatemu komendantowi zza gór, gdy tłumaczył wieśniakom, że nie modlą się i nie żyją, jak trzeba. W czym Bóg, o tym samym imieniu, którego dopiero obiecał im przynieść, miał być lepszy od tego, do którego sołtys i jego sąsiedzi modlili się od wieków?

W ogóle dziwne rzeczy im prawił i dziwnie się zachowywał partyzancki komendant, Szamil Basajew. Znali go tyle lat, żyli po sąsiedzku, jeśli nie w przyjaźni, to w zgodzie. Jeździli do siebie w gości, na wesela i na pogrzeby. A teraz wydał im się jakiś odmieniony. Cóż, nie dziwota! Przyszedł wszak nieproszony, z karabinem, niosąc wojnę.

– Mieliśmy go za brata. Kiedyś, gdy w Czeczenii trwała wojna, nie przeganialiśmy nawet partyzantów, jeśli schodzili z gór na naszą stronę wylizać się z ran, odetchnąć, pożywić. Nasza policja odwracała oczy, kiedy Czeczeni przemycali przez Botlich bron i amunicję, zwozili z gór rannych na leczenie. Wiele ryzykowaliśmy, ale uznaliśmy, że tak trzeba. Po wojnie nasi starcy zaprosili Szamila i jego brata, Szirwaniego. Podarowali im futrzane szuby na znak braterstwa – jako człowiek młody Nazir hadżi, choć sołtys, w tamtej naradzie z Szamilem i Szirwanim nie uczestniczył. Szamila spotkał raz czy dwa, zamienił słowo. Lepiej znał młodszego brata, Szirwaniego, który, w przeciwieństwie do Szamila, nigdy się nie wynosił nad innych. – Szamil okazał się zdrajcą. Za naszą dobroć odpłacił taką zniewagą. Był naszym bratem, a został wrogiem, i takim już pozostanie na zawsze. Czeczeni zapłacą nam za to, co zrobił.

Codziennie przybywali do Botlichu kolejni młodzi Awarowie, wracali

śpiesznie z Rosji, gdzie latem zatrudniali się na budowach i przy żniwach. Zjeżdżali się do domu na wieść o wojnie w swoich stronach. Chcieli walczyć. Byli rozżaleni i wściekli, gdy odmówiono im wydania broni i oznajmiono, że wojnę z Czeczenami mają zostawić rosyjskim wojskom, przerzucanym teraz na Kaukaz z Petersburga, Rostowa, Nowosybirska, Krasnojarska.,,To Dargijczycy, to wszystko przez nich" – zżymali się w bezsilnym gniewie Awarowie z pogranicza.

Choć byli najludniejszym z czterdziestu górskich narodów zamieszkujących Dagestan, w stolicy kraju, Machaczkale, rządzili Dargijczycy, a ci najwyraźniej bali się rozdać bron Awarom, bo dziś Awarowie biliby się z Czeczenami, ale kto wie, przeciw komu skierowaliby lufy jutro. Może by ramię w ramię z czeczeńskimi dżygitami wystąpili znów przeciw Rosji? Wciąż przecież wspólnie walczyli z Rosjanami, bez przerwy wzniecali powstania. Na ich czele stali co prawda awarscy imamowie, ale sami Awarowie nigdy nie walczyli nazbyt żarliwie, jeśli obok nie było Czeczenów. Skąd można było mieć pewność, że tym razem nie staną pod sztandarami Basajewa, który przecież ogłosił się emirem całego Kaukazu?

Kto wie, czy właśnie nie o to szło przebiegłemu Basajewowi. Hardym Czeczenom nie udało się podburzyć przeciw Rosji żadnego z sąsiadów. Nie tylko dalsi bracia, Czerkiesi, ale ci najbliżsi, Ingusze, dagestańscy Awarowie, Dargijczycy, Lakowie, Kumycy i Lezgini, nie zamierzali umierać za wolność Czeczenii. Nie myśleli się narażać, nie chcieli nic ryzykować, nawet jeśli stawką w grze miałaby być ich własna wolność. Nie śnili o bohaterstwie, nie chcieli ani walczyć, ani ginąć. Czeczeni zaś, mimo całej pychy i zacietrzewienia, musieli rozumieć, że w pojedynkę nie dadzą rady rosyjskiemu wojsku, które nigdy nie przestało myśleć o nowej wojnie i nowym zwycięstwie, czym pomściłoby starą klęskę i hańbę.

Czeczeni nie potrafili przekonać kaukaskich górali do wojny, ale wciąż mogli ich do niej zmusić. Wystarczyło rzucić iskrę. Napaść, wyrżnąć w pień i puścić z dymem rosyjski posterunek w dagestańskiej Awarii lub Lacji, sprowokować Rosjan do odwetu, przypomnieć Lezginom o dawnych pretensjach do ziemi Tabasaranów czy Cuchurów, napuścić

stepowych Nogajów przeciw Kumykom, nastawić Awarów przeciw Dargijczykom. Zmusić, by zaczęli do siebie strzelać, a wtedy, nim ktokolwiek się spostrzeże, sprzymierzą się i wystąpią przeciw Rosji.

Basajew nie był pierwszym Czeczenem, który najechał ziemie Dagestanu. Podczas wojny z Rosją zajazdu na dagestańską stanicę Kizlar dokonał inny komendant, Salman Radujew. Na rozkaz ówczesnego przywódcy czeczeńskich powstańców, generała Dżochara Dudajewa, spróbował przenieść ogień wojny do Dagestanu. Przede wszystkim jednak pozazdrościł sławy Basajewowi, który rok wcześniej, przypuszczając brawurowy atak i biorąc w jasyr całe stutysięczne miasto Budionnowsk już w samej Rosji, wymusił na rosyjskim rządzie zgodę na rozmowy o przerwaniu wojny.

Powrót Basajewa i jego dżygitów z Budionnowska do Wiedeno był bowiem marszem triumfalnym. W miasteczkach, stanicach i aułach witały go i wiwatowały na jego cześć tłumy górali. Z młodego, mało znanego partyzanckiego komendanta stał się sławny na cały Kaukaz. Śpiewano o nim pieśni, podziwiano. Rozochocony Szamil zaszył się w górach, skąd zapowiadał kolejne spektakularne operacje. Straszył, że zaatakuje Rostów, innym razem, że samą Moskwę, że zdobędzie Kreml i jako zakładników weźmie jego gospodarzy, że będzie wysadzał rosyjskie elektrownie atomowe i okręty podwodne.

Te buńczuczne przechwałki już wtedy okropnie irytowały Asłana Maschadowa, szefa sztabu partyzanckiej armii, który w imieniu czeczeńskich powstańców prowadził z Rosjanami rozmowy o pokoju. Dumny Maschadow klął w żywy kamień, bo za Szamila musiał świecić oczami przed rosyjskimi generałami. Był bezsilny. Choć formalnie pozostawał zwierzchnikiem Basajewa, nic tak naprawdę nie mógł mu zrobić. Co gorsza, potrzebował go jak powietrza. W Czeczenii nie było drugiego takiego komendanta. Nie było też partyzanckiego oddziału, który by potrafił się bić tak jak dżygici Szamila.

Po wojnie gwiazda Basajewa przygasła. Czeczeni wybrali sobie na prezydenta nie jego, dżygita, lecz służbistę Maschadowa. Młody Szamil długo się miotał. To szedł na służbę do Maschadowa, to występował przeciw niemu, przyłączał się do jego wrogów. Nie brakowało takich,

którzy powiadali, że gdyby nie zajazd na Botlich, Basajew rozmieniłby zupełnie swoją sławę i popadł w zapomnienie, że wywołał nową wojnę z prywaty.

W tamte upalne sierpniowe wieczory roku dziewięćdziesiątego dziewiątego cały Kaukaz aż huczał od najrozmaitszych, najbardziej nieprawdopodobnych plotek. Mówiło się nawet, że zraniony w swoich ambicjach Basajew dał się zwieść, podejść Rosjanom (krążyły też plotki, że działał z nimi w zmowie), którzy, gotowi do nowej wojny, potrzebowali tylko pretekstu, by ją wywołać. A historia Rosji, jak żadna inna, pełna jest tajnych agentów, szpiclów i prowokatorów przenikających szeregi spiskowców i powstańców, prowadzących ich do najszlachetniejszych buntów i najwznioślejszych rewolucji.

Już wiosną podejrzanie zaczęły się mnożyć napady na rosyjskie posterunki rozmieszczone na czeczeńskich granicach. Coraz częściej tajemnicze samoloty bez znaków rozpoznawczych zrzucały bomby na pograniczne góry, coraz częściej dochodziło do zbrojnych potyczek i porwań ludzi dla okupu. O całe zło oskarżano Czeczenów. Porywano zaś ludzi na całym Kaukazie, po czym jasyr wieziono do Czeczenii, która będąc poza rosyjską kontrolą, stanowiła doskonały skład i targ niewolników. Nikt jednak nie pytał, w jaki sposób porywacze mijali posterunki policji na drogach do Czeczenii. Syna wicepremiera Dagestanu porwano w Moskwie i, schowanego pod workami kartofli, przewieziono ciężarówką na Kaukaz. Porywacze musieli minąć po drodze tysiąc posterunków, a żaden z policjantów nie zdziwił się, dlaczego kierowca kupował w Moskwie kartofle i wiózł towar na południe, skoro w Stawropolu można je kupić taniej.

Zanim Basajew najechał na dagestanski Botlich, emisariusze z Dagestanu (wielu z nich później zabito w Czeczenii, ale nie sposób ustalić, czy za to, że wywiedli Basajewa w pole) zapewniali go, że są gotowi do powstania, że tylko czekają na sygnał, że chcą, by stanął na ich czele. Sentymentalny i żądny nieśmiertelnej sławy watażka nie był w stanie oprzeć się pokusie, tym bardziej że Dagestanczycy zagrali mu na ambicji i dumie. Kiedy się wahał, zaczęli czynić wyrzuty, że kiedy jest potrzebny, odmawia pomocy, tchórzy.,,Co z ciebie za emir – mówili – jeśli

nie masz odwagi przyjść nam z pomocą?"

Rosjanie zaś – jeśli istotnie uciekli się do prowokacji, by znaleźć pretekst do wojny – bardzo chcieli, by najazdem na Dagestan pokierował właśnie Basajew, uosabiający jak nikt w Rosji dzikie okrucieństwo i fanatyzm. Nikt inny na jego miejscu nie wydałby się Rosjanom specjalnie groźny. Nie na tyle przynajmniej, by zgodzili się na nową wojnę w Czeczenii. A latem dziewięćdziesiątego dziewiątego w Rosji przyzwolenie na nową wojnę czuło się w powietrzu coraz wyraźniej.

Premierem rosyjskiego rządu został młody i niepozorny, nikomu wcześniej nieznany Władimir Putin, wychowanek i szef tajnej policji, który natychmiast zapowiedział ostro, że zrobi porządek na Kaukazie. Starzejący się, wciąż chory i wiecznie niedysponowany z powodu skłonności do kieliszka prezydent Jelcyn od dawna potrzebował dziedzica, który by jemu samemu gwarantował spokojną starość, a jego bliskim – spokój i majątki. Sprawdził już dwóch kandydatów, na próbę obsadzając ich na stanowisku premiera. Żaden nie wydał mu się odpowiedni. A ten najnowszy, Putin, zdecydowany na wszystko, zaczynał mu się podobać.

Jego energia, stanowczość, surowość, nawet zimne okrucienstwo, którego dopatrywano się w spojrzeniu, nie przerażało Rosjan, ale jakby dodawało sił i wiary w siebie. Zahipnotyzowani rozpadem swojego imperium, przez długie lata tkwili w letargu i poczuciu winy, godząc się na wszystko. To, co inni nazywali wolnością, im kojarzyło się wyłącznie z degradacją i upokorzeniem.

Putin dawał nadzieję na odmianę. Coraz częściej i coraz głośniej zaczęto szeptać, że młody czekista może okazać się znakomitym kandydatem na dziedzica kremlowskiego tronu, zaniedbywanego ostatnimi czasy przez starego prezydenta. Jeśli Putin i jego ludzie potrzebowali kaukaskiej zwycięskiej wojny jako katapulty, która by ich wystrzeliła do władzy, to Basajew wyświadczył im przysługę.

Przypomniał światu o sobie, i to jeszcze jak, ale jego plany, by wywołać na całym Kaukazie powstanie przeciw Rosji i stanąć na jego czele, straszliwie zawiodły. Nie porwał za sobą górali. Przeciwnie,

okrzyknięto go najeźdźcą, zdrajcą, samozwańcem i odszczepieńcem. Nikt na Kaukazie nie uznał go za wybawcę, za emira świętej wojny. Tym razem nikt nie podziwiał jego brawury, nikt nawet nie nazwał bohaterem.

Zasłyszane w radiu wieści o tym, co działo się w Rosji i tuż przez miedzę, w Czeczenii, a nawet za widoczną z Botlichu górą Ośle Ucho, przynosił nam sołtys Baszirchanow do gospody nad przepaścią. Przesiadywaliśmy całymi dniami, pogryzając słonecznikowe pestki i słodkie, opływające lepkim sokiem arbuzy.

Sołtys donosił, że w odwecie za zajazd Basajewa na Botlich rosyjskie lotnictwo zaczęło zrzucać bomby na przygraniczne czeczeńskie auły, a pociskami rakietowymi zaatakowało lotnisko w Groznym. Zniszczyło od dawna unieruchomiony z powodu braku części zamiennych odrzutowiec, którym podróżował za granicę Maschadow, oraz niewielki, wykorzystywany normalnie do opryskiwania pól uprawnych i sadów samolocik, jedyną latającą maszynę, jaką dysponowała czeczeńska republika.

Swoją pychą, niezręcznością i brakiem rozwagi dzielny Szamil przyprawił o fatalny ból głowy Asłana Maschadowa, któremu kiedyś jako szefowi sztabu powstańczego wojska, a teraz czeczeńskiemu prezydentowi niechętnie podlegał. Rosjanie ogłosili, że Maschadow, będąc prezydentem zbuntowanej republiki, ponosi odpowiedzialność za postępki wszystkich poddanych. Jego, który przez całe swoje krótkie panowanie robił wszystko, by nie dopuścić do walk, oskarżano teraz o podżeganie do wojny, o jej wywołanie.

Maschadow ogłosił stan wyjątkowy i powszechną mobilizację na wypadek rosyjskiego najazdu. Wezwał powstańczą armię Basajewa do powrotu z Dagestanu. „Sprowadzicie na nasz kraj nieszczęście” – ostrzegał. Zagranicznym korespondentom, którzy przyjechali do Czeczenii, tłumaczył, że o niczym nie miał pojęcia, że nie mógł powstrzymać Szamila. „Wszyscy wiedzą, że rosyjscy ochotnicy walczyli po stronie Serbów podczas wojen bałkańskich – przekonywał – ale czy komukolwiek przyszło do głowy, by z tego powodu oskarżać o zbrojną agresję państwo rosyjskie?”

Zaczął też zabiegać o audiencję czy choćby rozmowę z Putinem. Ale jego telefony pozostawały bez odpowiedzi. Sekretarze kremlowskich gospodarzy tłumaczyli swoich przełożonych brakiem czasu, obiecywali oddzwonić. Powracały wspomnienia sprzed ostatniej wojny, kiedy to rosyjski prezydent nie spotkał się z czeczeńskim prezydentem Dudajewem, wymawiając się operacją przegrody nosowej.

W końcu Kreml ogłosił swoje warunki: Maschadow ma potępić i wyprzeć się Basajewa i jego partyzantów, pojmać go i wydać Rosji, a samemu udać się w pokutną podróż do Dagestanu i przeprosić tamtejsze władze za najazd jego poddanych na Botlich.

Maschadow, który niemal całe dorosłe życie przesłużył w rosyjskim wojsku, uważał, że Rosję zna na wylot. Był przekonany, że Rosjanie tylko czekają, aż Czeczeni pokłócą się i wezmą za łby. Wówczas, opowiadając się po którejś ze stron, a najlepiej spełniając życzenia zaniepokojonej wspólnoty międzynarodowej, Kreml posłałby na Kaukaz wojsko i stłumił bunt Czeczenów bez konieczności wysłuchiwania połajanek i pouczeń. Cierpliwie znosił więc zniewagi, oskarżenia o bezsilność i brak zdecydowania, byle nie dopuścić w Czeczenii do kłótni i bratobójczej wojny. Potępił – jak tego chcieli Rosjanie – Basajewa, ale aresztować go ani nie miał siły, ani nawet zamiaru.

Nie doszło też do jego rozmów z przywódcami Dagestanu, którzy za podpowiedzią Rosjan na miejsce spotkania wyznaczyli przygraniczne miasteczko Chasaw-jurt, to samo, gdzie w dziewięćdziesiątym szóstym podpisali z Czeczenami rozejm pieczętujący poprzednią, przegraną wojnę. Gdy Maschadow zmierzał na spotkanie, na granicy drogę zagrodzili mu wzburzeni awarscy wojownicy, którzy wygrażając karabinami, wyzwali go od tchórzy i zdrajców i nie przepuścili do miasta.

Milczącą ustępliwość Maschadowa odebrano na Kaukazie jako przyznanie się do tego, że choć był prezydentem i generałem, nad niczym nie panował ani niczym nie rządził, nikt go nie słuchał ani nie liczył się z jego zdaniem.

Dni wlokły się nieznośnie. Rześkie poranki podrywały jeszcze do działania, napawały otuchą i nadzieją, które ulatniały się gdzieś,

wyparowywały już w upalne, duszne południa. Wieczory, też gorące, nie dawały wytchnienia ani obietnicy końca monotonii.

Do stołu, przy którym gawędziliśmy z sołtysem Nazirem hadżim, dosiadali się wieśniacy z okolicznych wiosek, tak jak on uciekający przed partyzantami. Zazwyczaj niedużo się odzywali, bo słabo mówili po rosyjsku. Wielu z nich ledwie pamiętało tę mowę, której nauczyli się dopiero podczas służby w rosyjskim wojsku, a z czasem zapomnieli. W domu nie rozmawiali po rosyjsku, górskie łańcuchy okazywały się nieprzekraczalną przeszkodą dla telewizyjnych fal, gazety nigdy tu nie dochodziły, zresztą nawet gdyby, to kto by tam miał ciekawość je czytać? Wciąż jednak rozumieli, co się do nich mówi, a przynajmniej wychwytywali sens pytań i rozmowy, ale nie potrafili już odszukać w pamięci właściwych słów i zwrotów.

Siedząc ściśnięci jeden obok drugiego, palili papierosy i popijali gorzką herbatę z płytkich, niewielkich talerzyków, do których przelewali napój z obtłuczonych czarek. W porze obiadu karczmarz stawiał na stołach cynowe misy z gotowaną, żylastą baraniną, oddzielnie zaś ryż, warzywa i podpłomyki.

Po jakimś czasie zacząłem rozpoznawać ich twarze. Nawet nie potrafiąc się porozumieć, pozdrawialiśmy się uprzejmie, kiwaliśmy głowami na do widzenia. Kłanialiśmy się sobie, spotykając się na rynku przed meczetem.

Któregoś popołudnia, po obiedzie, pożegnawszy się ze wszystkimi, zmierzałem do wyjścia, gdy przed drzwiami zaczepiło mnie trzech mężczyzn. Byłem przekonany, że widywałem ich już wcześniej w gospodzie i że, onieśmieleni obecnością innych, chcieli o coś zagadnąć na osobności. Zdawała się świadczyć o tym kurtuazja i życzliwość, z jaką nieznajomi wzięli mnie pod łokcie i wyprowadzili z gospody.

Skręciliśmy w ustronny zaułek, gdzie jeden z nich zastąpił mi drogę, machnął przed oczami wyciągniętą z kieszeni, pomiętą legitymacją i powiedział, że są agentami tajnej policji i że mnie aresztują. Wciąż mili i uprzejmi, wyjaśnili, że na mojej przepustce brakuje jakiejś niezwykle ważnej okrągłej pieczęci, bez której nie wolno przebywać w strefie przygranicznej. I że jeśli jeszcze tego samego dnia wyjadę z Botlichu do

Machaczkały, nie będą musieli trzymać mnie w areszcie do przyjazdu przełożonych ze stolicy.

Powiedzieli też, że Basajew wraz z partyzantami wycofał się do Czeczenii, że wszystko skończone, a więc mój dalszy pobyt w Botlichu i tak nie miałby żadnego sensu. Uznałem to wtedy za szczerą, choć nieporadną próbę pocieszenia mnie. Nawet bez tego nie potrafiłem jednak odnaleźć w sobie złości czy choćby rozczarowania, że zostałem zmuszony do wyjazdu i w dodatku zwolniony z konieczności dokonywania nowych wyborów i ponoszenia ich konsekwencji.

Zjeżdżając wieczorem nierówną drogą z gór Kaukazu na morski brzeg, dowiedziałem się z radia, że Basajew rzeczywiście wydał swoim ludziom rozkaz odwrotu. Mimo to Rosjanie nadal bombardowali góry i bezludne wioski pod Botlichem.,,No tak, ogłosili, że jesteśmy przez nich otoczeni i że nie pozwolą, by nawet mysz się prześliznęła między ich posterunkami. Potrzebują więc czasu, by wymyślić jakieś wytłumaczenie, dlaczego udało się nam bez przeszkód wrócić do siebie, a oni nawet tego nie zauważyli – kpił w rosyjskim radiu sekretarz Basajewa podczas konferencji prasowej w Groznym. – Gdyby uwierzyć w ich komunikaty i podliczyć zabitych według nich partyzantów, okazałoby się, że każdy z nas powinien zginąć przynajmniej kilka razy".

Basajew zaś oznajmił w czeczeńskiej stolicy, że wojenna wyprawa na Dagestan była jedynie początkiem świętej wojny, która – choćby miała trwać ćwierć wieku – doprowadzi do wyzwolenia spod rosyjskiego, słowiańskiego i chrześcijańskiego jarzma wszystkich muzułmanów żyjących na ziemiach od Wołgi po Don. Dał się też ponieść temperamentowi i zapowiedział, że nie spocznie, póki nie zaprowadzi rządów Allaha w samej Jerozolimie. „Nieważne, ile potrwa wojna, i nieważne, z jak licznymi rosyjskimi wojskami przyjdzie nam walczyć – głosił Szamil. – Wiem tylko, że wielu z nich zginie, wielu weźmiemy do niewoli. Przelejemy morze krwi".

Na Kremlu urzędnicy z ministerstwa propagandy zakazali rosyjskim dziennikarzom dalszych rozmów z Basajewem i ostrzegli redakcje, że za każdy następny wywiad z Szamilem poniosą karę przewidzianą przez kodeks karny dla tych, co albo sami są terrorystami i wywrotowcami,

albo im sprzyjają.

Kierowca, który wiózł mnie do Machaczkały, twierdził, że od kuzyna z dagestanskiej policji wie, że odwrót z Botlichu był tylko wybiegiem Basajewa i że Czeczeni wkrótce zaatakują znowu. Widząc niechęć botliskich Awarów, Szamil wycofał partyzantów do Czeczenii, by wypoczęli, uzupełnili szeregi i uderzyli ponownie. Korzystając z tego, że Rosjanie przerzucili wojsko w okolice Botlichu, partyzanci mogli z łatwością przejść górskimi przełęczami w inny region Dagestanu, by zaatakować w miejscu, gdzie nie ma rosyjskich wojsk. Najpewniej w przygranicznej Lacji, nazywanej przez Czeczenów Auchem, w której stanowili jedną trzecią ludności, a którą uważali za swoje ziemie.

Na wieczorny popas zatrzymaliśmy się w aule Giumry, przeciętym na pół wykutą w skałach, wąską drogą wiodącą z ośnieżonych zboczy ku wilgotnym nadkaspijskim nizinom. Auł Giumry był kolebką kaukaskich imamów i emirów, którzy półtora wieku temu wzniecali w górach zbrojne, zdawałoby się – beznadziejne powstania przeciw rodzimym możnowładcom oraz zachłannej, rozpierającej się Rosji, zdecydowanej przesunąć swoje granice aż na Kaukaz.

W miejscu, gdzie droga się rozszerzała, zakręcając ostro nad przepaścią, uwagę wędrowców przyciągał olbrzymi szary głaz z wyrytym napisem:,,Nie będzie bohaterem ten, kto myśli o konsekwencjach".

Z przydrożnej herbaciarni przyglądaliśmy się, jak w górę wąską drogą pięły się długie karawany wojskowych ciężarówek, czołgów, wozów pancernych, armat, kuchni polowych. Kierowca powiedział, że na lotnisku w Machaczkale jeden za drugim lądują ciężkie samoloty transportowe z nowymi oddziałami żołnierzy i bronią. Klął na czym świat stoi, bo wojskowe kolumny zawłaszczyły sobie drogę i nie przepuszczając innych podróżnych, pozbawiły go źródła zarobku.

– Po co to ściągać tyle wojska? Przecież Basajew z dżygitami uciekł w góry i teraz szukaj wiatru w polu – wydziwiał. – Nawet ślepy widzi, że wojna się skończyła, ale Rosjanie jakby się uparli, żeby tego nie widzieć. Zachowują się tak, jakby to był dopiero początek.

Machaczkała pachniała suszoną rybą. Miasto, zepchnięte na brzeg

Morza Kaspijskiego, zdawało się dusić od wilgoci i żaru, otępiających, odbierających siły i wszelką ochotę do działania. Sama myśl o podjęciu jakiegokolwiek wysiłku, jakichkolwiek starań męczyła jak najcięższa praca. Upał, nieruchomy i ciężki, nie słabł nawet nocami. Nie ustępował po zachodzie palącego, białego słońca, które morską wodę zalewającą zaśmiecony brzeg przemieniało w lepką parę.

Morze chciwie pożerało pastwiska, pola uprawne, obejścia domów, przecinało drogi, tory kolejowe, porywało mosty. Rybacy i pasterze, od Machaczkały po Astrachań, z rozpaczą patrzyli, jak ich nadmorskie przystanie nikną pod wodą albo przeradzają się w wysepki dryfujące z każdym rokiem coraz dalej od lądu, a zalewane słoną wodą zielone pastwiska zamieniają się w moczary i pustynie, białe jak żałobny całun.

Po zmierzchu hotel, który zarekomendowano mi jako jedyny przyzwoity w mieście, dyszał, łapał powietrze otwartymi na oścież oknami i drzwiami. Pragnienie ulgi, jaką przynosił najlżejszy choćby podmuch, okazywało się bez porównania silniejsze niż potrzeba intymności.

Nie trzeba było wychodzić z pokoju, żeby usłyszeć, o czym rozmawiają i co zamierzają robić następnego dnia Andriej i Kola, dziennikarze z moskiewskiej telewizji. Jak zwykle siedzieli w rozpiętych koszulach przy stoliku i ćmiąc papierosy, niezniszczalni, snuli plany na przyszłość.

Edi z niemieckiego radia odliczał już tylko dni do wyjazdu do Moskwy. Prawie nie wychodził z pokoju, nawet nie wstawał z łóżka. Leżąc, krzyczał ze środka, żeby przyciszyć stary telewizor w korytarzu, to znowu żeby przerwać głośne śpiewy biesiadników, którzy, udręczeni bezsennymi nocami, szukali wytchnienia w ciepłej, odbierającej zmysły wódce.

Jura, najstarszy z nas, łysy jak kolano i zwykle elegancki, chodził po pokoju rozebrany do naga, a wieczory zawsze spędzał w towarzystwie kilku przejrzałych, piersiastych dziwek. Dziewczyny przygotowywały wystawne kolacje z mięsiw, ryb, owoców, warzyw i grzybów, które Jura, ze znawstwem człowieka bywałego, skrupulatnie wybierał na miejscowych bazarach. Po ucztach, zawsze obficie zakrapianych wódką,

pijany Jura i jego dziewczyny nieśpiesznie oddawali się rozpuście na kanapie ustawionej w przeciągu naprzeciw szeroko otwartych drzwi. Zastygali we śnie w najdziwaczniejszych miejscach, pozach i porach, budzili się, przytomnieli, wracali do stołu wiecznie zastawionego dziesiątkami półmisków, talerzyków, szklanek, kieliszków i butelek, aby, znów odurzeni, szukać ukojenia i zapomnienia w miłosnych uściskach na kanapie.

Błądząc bez celu hotelowym korytarzem wśród pootwieranych na oścież drzwi, ulegało się czasami złudzeniu, jakie miewa się w złych snach, gdy samemu pozostając niewidzialnym, można bezkarnie i bez wstydu podglądać innych i nie zwracać na siebie ich uwagi.

Czekaliśmy w hotelu na rozwój wydarzeń. Miasto huczało od plotek. Wieści o nowych tajemniczych porwaniach jeńców w jasyr i jeszcze bardziej zagadkowych zamachach bombowych ścigały się jak jaskółki. Mówiło się też, że po zajeździe Basajewa i jego wojowników na Botlich rosyjskie wojsko nie będzie miało innego wyjścia, jak zrobić porządek ze wszystkimi pozostałymi buntownikami na Kaukazie. To zaś oznaczało nie tylko nową wyprawę wojenną na Czeczenię – w którą mało kto wierzył – ale przede wszystkim ekspedycję karną do odległej od Machaczkały o pół dnia drogi doliny Kadaru. Poprzedniego roku zaprzyjaźnieni z Basajewem brodaci rewolucjoniści ogłosili tam swoje wioski niepodległym kalifatem.

Ich bunt w spokojnym Dagestanie nieomal wywołał wojnę domową. W powszechnej zawierusze zielone sztandary muzułmańskiej rewolucji zatknięto nawet na ponurym gmaszysku, siedzibie dagestańskiego rządu. Zamachem stanu dowodził Nadir Szach Chaciłajew, dawny mistrz boksu i karate, a także poeta, który odkrył, że jego sława i siła mogą stać się wehikułem zdolnym do wyniesienia go na szczyty władzy. Za pieniądze z przemytu ryb i kawioru kupił sobie posadę przywódcy sposobiącej się do wyborów partii Rafah; według zamysłów jej twórcy, ambitnego, lecz rozrzutnego Abdula Wahida Nijazowa, miała się ona stać organizacją i polityczną reprezentacją wszystkich dwudziestu milionów mieszkających w Rosji muzułmanów. Za jednym zamachem dawny bokser i poeta został posłem do rosyjskiej Dumy oraz duchowym

przywódcą muzułmańskich zapaleńców na Kaukazie.

Nie wiadomo, co nasunęło mu myśl, by porwać się na władzę w Dagestanie. Nagła popularność, a może przysługująca z poselskiego urzędu nietykalność? Grunt, że wraz ze starszym bratem, tak jak on byłym mistrzem boksu, poprowadził swoich zwolenników na budynki rządowe, tonące w głębokim cieniu potężnych, rozłożystych sosen. Zdobyli je bez wysiłku i zatknęli zieloną chorągiew na dachu. Ustąpili dopiero na prośby wysłanników z Moskwy, którzy błagając o rozsądek, straszyli jednocześnie posłaniem wojsk przeciw buntownikom.

Nadir Szach ustąpił, a w czasie, gdy ustalał warunki ugody, rządowi policjanci, korzystając ze sposobności, plądrowali gabinety ministrów i ogołacali je z komputerów, drogich telewizorów i telefonów, cennych dywanów.

Rok po nieudanym przewrocie rosyjscy żołnierze, konając w czterdziestostopniowym upale, wciąż pilnowali ocienionego sosnami placu w Machaczkale przed innymi śmiałkami lub szaleńcami. Nadir Szach, oszukany przez władze, które złamały ugodę, i ścigany listami gończymi przez Rosjan, ukrywał się ponoć w zbuntowanej dolinie Kadaru, skąd, w razie zagrożenia, przekradał się lasami do Czeczenii.

Uparłem się, żeby jechać do doliny. Liczyłem, że podróż choć trochę zmyje smak rozczarowania po wyprawie do Botlichu. Przez trzy dni szukałem przez znajomych łącznika, który by mnie zawiózł do doliny Kadaru. Przez kolejne trzy, w mękach bezczynności, czekałem, aż Chamzat, wysłannik z doliny, przyjedzie w umówione miejsce na dworzec autobusowy.

Zostawił mi numer telefonu, ale błagał, żebym nie dzwonił bez potrzeby, a jeśli już, to żebym uważał na to, co mówię. W hotelu jedyny działający telefon znajdował się w recepcji, w sieni na parterze, gdzie wyłożone ciemnymi marmurowymi płytami podłogi i kolumny wzmagały każdy szelest, każdy szept. Nie trzeba było nawet się starać, by słyszeć każde wypowiadane słowo. Stary recepcjonista, nazywany przez hotelową obsługę szwajcarem, podsłuchiwał więc telefoniczne rozmowy, specjalnie się z tym nie kryjąc. Może tak mu kazano, a może po prostu – z nudów.

Zanim Chamzat pojawił się z wiadomością, że buntownicy z doliny Kadaru zgodzili się mnie wpuścić i rozmawiać, czas schodził mi na codziennych wyprawach na dworzec i bezmyślnym trwaniu w hotelowym pokoju, które próbowałem przerywać porządkowaniem notatek i kreśleniem szkiców przyszłych korespondencji.

*

Wolność oślepiła kaukaskich górali. Podobnie jak wszystkie podbite ludy potężnego i – zdawałoby się – wiecznego rosyjskiego imperium, które u schyłku dwudziestego stulecia nagle upadło pod własnym ciężarem.
Wolność przyszła niespodziewanie i może dlatego bardziej onieśmielała, raczej przeszywała strachem, zamiast radować. Niewielu w nią wierzyło, tylko nieliczni się jej domagali. Prawdę powiedziawszy, mało komu doskwierał jej brak, mało kto potrafił ją sobie wyobrazić. Dzikie zwierzęta urodzone w niewoli nie tęsknią za lasem i bezkresem stepów. Nie znając innego świata, biorą ten, ograniczony ścianami klatek, za środowisko naturalne. Nauczone doświadczeniem, czekają pór karmienia i przesypiają resztę życia, pogodzone z losem, bo nieświadome innego. Wolność spadła na kaukaskich górali jak grom z jasnego nieba. Nie spodziewali się jej, nie byli na nią gotowi. Czysta ironia losu! Przez dwieście lat walczyli, by nie dać sobie wolności odebrać, a potem, żeby ją odzyskać, przelali morze krwi, zanim uznali wyższość i przyjęli poddaństwo Rosji. Teraz zaś otrzymali wolność w niemiłym podarunku. Zaiste, niezwykły sposób zdobywania niepodległości. Zakomunikowano im, że są wolni. Dowiedzieli się o tym z telewizorów w grudniową noc dziewięćdziesiątego pierwszego roku. Lektor w wiadomościach telewizyjnych obwieścił, iż tego właśnie dnia wielkie imperium zostało rozwiązane, unieważnione przez prezydentów Rosji, Ukrainy i Białorusi, którzy spotkali się po kryjomu w Puszczy Białowieskiej. Wieść o wolności wywołała zamiast radości grozę, a nawet uczucie upokorzenia. Słowianie znów pokazali góralom z Kaukazu ich miejsce, znów ich zlekceważyli, oszukali. Zlikwidowali imperium z taką samą niesłychaną, ostentacyjną pychą, z jaką je wcześniej budowali, podbijając kraj po kraju, a pod koniec istnienia

usiłowali doskonalić. Tylko sami i tylko z myślą o sobie. Nie raczyli nawet zapytać o zdanie tych, których uczynili swoimi poddanymi i którym kazali się do siebie upodabniać.

Widząc bowiem beznadziejność oporu wobec słowiańskich najeźdźców, kaukascy górale, z praktycyzmem właściwym tylko ludom zagrożonym zagładą, przybierali barwy ochronne. Nie mogąc się przeciwstawić, postanowili się przystosować. Z czasem zapadali na chorobę wszystkich zniewolonych ludów. Poczuli się gorsi od swoich pogromców i zapragnęli naśladować ich we wszystkim. Wyrzekli się i zaparli własnej wiary. W komunistycznym imperium, w którym wiarę w istnienie Boga uznawano za naganny zabobon, wstydliwy przeżytek, religia została sprowadzona do egzotycznego obrządku, niemodnego i zupełnie nieprzystającego do epoki komputerów, lotów w kosmos, industrializacji, globalizacji. Nikt, kto rości sobie pretensje do miana człowieka światowego i nowoczesnego, nie pozwoliłby na to, by go ujrzano, jak bije pokłony w meczecie. Ludzie młodzi, wychowywani w komunistycznych szkołach i uniwersytetach, postrzegali religię, a zwłaszcza islam, jako symbol zacofania i upadku.

Kaukaskie stolice, niegdyś ośrodki myśli i sztuki, karawanseraje kupieckich karawan i cele pielgrzymek, stawały się zaściankiem, peryferium. Stare meczety i medresy zamykano, burzono albo zamieniano w domy kultury, hale sportowe czy sklepy spożywcze. Te nieliczne, które ocalały, zachowano jako folklorystyczny skansen na użytek niewielu zagranicznych turystów.

Wstydliwe i zasługujące jedynie na zapomnienie wydały im się nie tylko religia, ale również tradycja i dawne obyczaje wyznaczające ich przeszłość, a nawet rodzima mowa, coraz chętniej zastępowana językiem rosyjskim. Pozbawieni także własnej historii, której nie uczono w szkołach i o której nie pozwalano pisać uczonych ksiąg, mieszkańcy Kaukazu stawali się wzorowymi *homines sovietici* – ich stworzenie było podstawowym celem komunistycznej utopii. Pozbawieni własnego Boga, historii, pamięci, nieznający swoich korzeni, wstydzący się ojczystej mowy i samych siebie, zostali podbici po dwakroć lub trzykroć.

Choć jednak ochoczo zstępowali ze swoich gór, na rosyjskich

równinach też nie czuli się dobrze. Nie stali się Słowianami. Ale nie byli już dawnymi, wiernymi tradycjom góralami. Ani dobrymi muzułmanami.

– Kim więc jesteśmy? – zastanawiali się po cichu zagubieni górale.

Wolność, która spłynęła na nich, gdy żyli w takim właśnie niespokojnym stanie ducha, z rozdartymi sercami i głowami pełnymi wątpliwości, oznaczała zagładę wszystkiego, co składało się na ich dotychczasowe życie. Z dnia na dzień przepadło wszystko. Wszystkie jasne autorytety, wyraźne kierunkowskazy, wszystkie bez wyjątku punkty odniesienia. Poczucie bezpieczeństwa i przewidywalności zostały zastąpione całkowitą bezsilnością wobec kogoś potężniejszego i niepewnością jutra. Wychowani od tylu pokoleń w ubezwłasnowolnieniu, oduczeni wszelkiej samodzielności, pozbawieni inicjatywy, teraz nagle musieli na każdym kroku wykazywać się przedsiębiorczością, dokonywać wolnych wyborów i ponosić ich skutki. Niespodziewana wolność okazała się dla wielu wyzwaniem zbyt trudnym. Nie mieli już Boga, bo kazano im się go wyprzeć. Poddali się temu ze wstydem. W zamian zalecono im wiarę w państwo, mocarstwo niezwyciężone i najpotężniejsze. I oto imperium, w którego wielkość i wieczność mieli wierzyć zamiast w Boga, jak gliniany kolos waliło się na ich oczach w gruzy. Wracać zaś do starego Boga było jakoś wstyd. Teraz wszystko to, czym kazano im pogardzać, znowu miało się dla nich stać powodem do dumy. Zalecono im też, by jako ludzie wolni wrócili do starej mowy i pisma, których już nie znali, a zapomnieli o tych, których ostatnio używali. W rezultacie wielu z nich poczuło się obcymi we własnym kraju. Nie potrafili porozumieć się z sąsiadami, zapytać w ojczystej mowie o drogę. Nie umieli odczytać nazw ulic, gdyż wykaligrafowano je pismem, którego nie znali, choć stanowiło o ich pochodzeniu i określało tożsamość. Historii ojczystych krajów też nie znali, a ten, który przywykli uważać za swoją ojczyznę, po prostu zniknął. Mieli odtąd żyć w państwach, które nigdy wcześniej w takiej formie nie istniały, a ich granice, sztucznie wykreślone na mapach przez moskiewskich strategów, już w dniu narodzin groziły widmem nieuchronnych, sąsiedzkich wojen o ziemię, wodopoje, pastwiska, złoża cennych minerałów. Miedze, wytyczone bez liczenia się z odwiecznymi

tradycjami i porządkami, podzieliły i skłóciły dawniej zgodnych sąsiadów, rozdzieliły krewnych, a z zaprzysięgłych wrogów uczyniły współobywateli. Graniczne linie przegrodziły szlaki pasterzom przepędzającym od wieków swoje stada. Teraz, chcąc dotrzeć na pastwisko na południowym zboczu góry czy choćby na targ do wioski po sąsiedzku, tuż obok, górale musieli przekraczać granice państwowe, wędrować do oficjalnych granicznych przejść, wypełniać druki, odpowiadać na pytania, uiszczać opłaty.

W pobliżu Botlichu nie ustanowiono żadnego przejścia granicznego z sąsiednią Gruzją. Żeby więc odwiedzić krewnych z Lagodechi, położonego tuż-tuż, po gruzińskiej stronie, botliscy Awarowie musieli się tłuc wyboistymi górskimi drogami najpierw do Derbentu, stamtąd do Azerbejdżanu i dalej, do Gruzji. Podróż, która dotąd zajmowała im konno najwyżej pół dnia, teraz zabierała trzy doby i wymagała przekroczenia dwóch granic państwowych. Pokonując trudy i przeszkody, docierali w końcu do wioski, w której niedawno jeszcze czuli się jak u siebie. Teraz traktowani byli jak obcy. I tak też się czuli.

Prawdę powiedziawszy, nie czuli się też najpewniej w swoich stolicach, rządzonych w epoce wolności przez tych samych ludzi, co panowali w czasach niewoli. Kiedyś tytułowali się oni bejami, emirami, chanami, szamchałami, naibami. Potem, podbici przez Rosjan, bez zmrużenia oka nazwali się sekretarzami i towarzyszami, a dworski ceremoniał zastąpili komunistyczną frazeologią, wasalną formułką, należną feudalnemu władcy. Teraz zaś, również bez najmniejszych skrupułów, kazali nazywać się prezydentami, premierami i deputowanymi, komunistyczną frazeologię zamieniając bez wahania na demokratyczną. Nowi starzy władcy jasno dawali też do zrozumienia, że od nowych starych poddanych oczekują, iż dalej po staremu będą cierpliwie znosić dokuczliwości swoistej schizofrenii, że jak zdawali się nie dostrzegać dawnych przemian, tak za dobrą monetę przyjmą także ich najnowszą reinkarnację.

Niepodległość nie oznaczała wolności ani odmiany losu, lecz jedynie zastąpienie obcego, rosyjskiego hegemona tyranami rodzimymi. Im zaś wolność kojarzyła się z możliwością sprawowania władzy niczym już

nieograniczonej i nieponoszenia za nic żadnej odpowiedzialności. Komitety partyjne, które niewiele różniły się od dawnych dworów emirów i chanów, teraz stawały się parlamentami i pałacami prezydentów. Ich gospodarze powtarzali zaś za Kiplingiem, że „Wschód jest Wschodem, a Zachód Zachodem i nigdy się ze sobą nie spotkają". Te opacznie rozumiane słowa wszystkim zwolennikom stosowania podwójnych kryteriów służyły za koronny i niemal zawsze skuteczny argument.

Pewnego razu w uzbeckiej stolicy, Taszkencie, spotkałem Jadgara Obida, poetę, który poświęcił swoją sztukę na ołtarzu polityki. Nie wyglądał na poetę. Ani na rewolucjonistę. Krępy i muskularny, przypominał raczej zapaśnika, co wiele lat temu zakończył zawodniczą karierę. W jego monologu wciąż pojawiał się motyw lęku i beznadziejnie uciekającego czasu.

– Nie zdążymy – powtarzał. – Jeśli imperium rozpadnie się już jutro, wolność, którą zostaniemy obdarowani, oznaczać będzie jedynie wolność dla tyranów. Jeśli nie zdążymy stać się ludźmi wolnymi u schyłku epoki niewoli, pozostaniemy niewolnikami na początku epoki wolności.

Przestał pisać wiersze, by oddać czas, talent i energię świętemu dziełu przebudowy Uzbekistanu z podbitej, upokorzonej i zacofanej prowincji w nowoczesne, wolne państwo obywatelskie. Przekonywał – co wtedy brzmiało paradoksalnie i nieco anachronicznie – że dla dobra Uzbeków, a także Tadżyków, Kazachów, Turkmenów, Azerów, Ormian, Gruzinów i górali z Kaukazu imperium powinno podjąć wzorem innych, jak choćby brytyjskiego czy francuskiego, próbę samoudoskonalenia się, unowocześnić się choć trochę przed upadkiem, co by przygotowało podbite ludy do wolności.

– Jeśli się tak nie stanie, zostaniemy wydani na łaskę naszych okrutnych chanów – przepowiadał wiosną dziewięćdziesiątego pierwszego w Taszkiencie. W uzbeckiej stolicy podano właśnie wyniki plebiscytu, z których wynikało, że w ogromnej większości podbite narody i kraje opowiadają się za unowocześnieniem imperium. Poetę najwyraźniej to cieszyło, choć i tak był przekonany, iż wcześniej czy później imperium legnie w gruzach.

– Ta zwłoka to dla nas szansa. To da nam czas – zacierał ręce.

Wyśmiewał debaty europejskich mędrców, którzy z zafrasowanymi twarzami zastanawiali się, czy wyzwolone muzułmańskie kolonie z imperium rosyjskiego pójdą w przyszłości drogą turecką, a więc laicyzacji państwa, wolnego rynku, kopiowania europejskich wzorów, czy może irańską, oznaczającą bunt wobec wszystkiego co zachodnie i podporządkowanie się religii.

– Nie musimy i nie będziemy się na nikim wzorować – mówił poeta. – To my jesteśmy kolebką światowych cywilizacji. Pójdziemy własną drogą.

Rok później spotkałem go w stolicy niepodległego już Tadżykistanu. Spał na ławce w parku. Wokół trwała rewolucja. Oszołomieni wolnością wieśniacy z Pamiru i Karateginy, sławiąc Allaha, obalali bezbożny rząd, odziedziczony w spadku po imperium. Uzbecki poeta przybył do Duszanbe już nie po to, by służyć dobrą radą sąsiadom. Uciekł z Taszkentu przed tajną policją imperialnego namiestnika, Islama Karimowa, który korzystając z niespodziewanej wolności, ogłosił się prezydentem (poeta nazywał go chanem) niepodległego Uzbekistanu i rozesłał listy gończe za wszystkimi niepokornymi.

Potem przeczytałem w jednej z moskiewskich gazet, że pragnąc uniknąć więzienia, Jadgar Obid wyjechał z Taszken-tu do Azerbejdżanu, a potem do Europy. W końcu przepadł bez śladu.

Podczas moich podróży po Kaukazie i Azji Środkowej rozpytywałem się często o poetę z Taszkentu. Bez szczególnej wiary, że istotnie czegoś się dowiem. Wspomnienie o poecie wydawało mi się zawsze zgrabnym pretekstem, dobrą okazją, żeby rozmową z przyjaciółmi lub przygodnymi znajomymi pokierować tak, by jej przedmiotem stało się niepokojące przekonanie Uzbeka, iż wolność zdobyta przedwcześnie stanie się nieuchronnie nową niewolą. Kiedyś zagadnąłem o to w Ałma Acie Murata Ałłezowa, szlachetnie urodzonego mędrca i charyzmatycznego dysydenta, syna i politycznego spadkobiercę Muchtara Ałłezowa, kazachskiego wieszcza narodowego.

– Beneficjentami wolności stali się nie ci, którzy o nią walczyli czy przynajmniej jej pragnęli, ale ci, którzy korzystali na niewoli. Nasza

walka o wolność została zmarnowana i skradziona – smutno pokiwał głową Kazach. – Skradziona, bo zawłaszczona zaraz po zwycięstwie przez tych, którzy nigdy wolności się nie domagali, a nawet się jej bali. Zmarnowana, bo biorąc wolność w posiadanie, ludzie, co jej nie chcieli ani nie rozumieli, zdeprawowali ją, unurzali w błocie, sprowadzili do żarłocznej, bezwstydnej walki o posady i bogactwo. W pewnym więc sensie ta wolność umocniła jeszcze naszą niewolę. Rozmywając bowiem jasne i oczywiste dotąd podziały, granice i definicje, sprawiła, że coraz trudniej będzie też odnaleźć istotę jej samej, trudniej rozpoznać ją i nazwać, trudniej zdobyć.

Na Kaukazie mało kto płakał po pogrzebie komunistycznej utopii. Wolność i władzę przejęły natychmiast starszyzny miejscowych klanów, które nie musiały już teraz aż tak drobiazgowo rozliczać się przed Moskwą, zawłaszczyły więc dla siebie cały kraj.

W Dagestanie, zamieszkanym przez czterdzieści narodów, gdzie każda dolina jest niemal odrębnym, niezależnym państewkiem, od wieków rządziły najpotężniejsze i najludniejsze rody. Stulecia wspólnego życia wymusiły na nich kompromisy gwarantujące prawa i przywileje wszystkim. Jeden z narodów zajmował się wydobyciem – a raczej przemytem – ropy, inny rybołówstwem (to znaczy kłusownictwem), jeszcze inny rolnictwem, handlem, pasterstwem czy wyrobem win.

Według narodowościowego kryterium skonstruowana też była misterna piramida władzy, w której każdy z ludów miał swych przedstawicieli w liczbie odpowiadającej jego wielkości, bogactwu, wpływom, tradycji. Nic tu nie działo się spontanicznie. Wszystko zaś, włącznie z wewnętrznym pokojem i równowagą, było wynikiem skomplikowanych umów między klanami.

Nawet nagła wolność zdawała się, przynajmniej na początku, nie zagrażać starym porządkom. Przeciwnie, uległa im i służyła. W zderzeniu z nimi okazała się nie tylko słabsza, ale wynaturzyła się poczwarnie, niemal nie do rozpoznania. Radosna swoboda przerodziła się w nieograniczone żadną sankcją prawo pięści, służące silnym, odmawiające zaś wszystkiego słabym i bezradnym. Prawa każdego z osobna, które miały być teraz ważniejsze od obowiązków wobec

wspólnoty, zwolniły ją z powinności opieki wobec wszystkich jej członków. Wolność na Kaukazie stała się bezlitosną walką o byt, równość – prawem silniejszego, a braterstwo – należnym silniejszemu przywilejem przewodzenia wspólnocie oraz nakazem wasalnego lenna ze strony słabszych. Nowoczesność, demokracja i wolny rynek, które wichry przemian przywiały w kaukaskie wąwozy, spowodowały jednak, że starszyzny rodowe – sprawujące od wieków rządy dusz, ale skompromitowane mocno kolaboracją, ugodowością i niezdecydowaniem – musiały ustąpić miejsca ludziom wyróżniającym się już nie tylko szlachetnym urodzeniem, ale i przedsiębiorczym, śmiałym, pozbawionym skrupułów i litości. W nowych, niepojętych czasach oni odnaleźli się najszybciej i najlepiej sobie radzili. Najprędzej też pojęli, że na wolnym rynku towarem może być wszystko, że wszystko ma cenę, włącznie z wolnością, którą – już nawet zdobytą – też można było przehandlować. Cały Kaukaz stał się więc monstrualnym bazarem, gdzie handlowano praktycznie wszystkim. Zrujnowana przez wojnę Czeczenia zaopatrywała w rabowaną z azerbejdżanskich rurociągów ropę naftową nie tylko Kaukaz, ale nawet Kraj Krasnodarski i Kraj Stawropolski w samej Rosji. Z Osetii Północnej pochodziła prawie połowa wódki produkowanej w całej Rosji. Na bazarze we Władykaukazie za dolara można było kupić trzy litry wódki. Przemycano kaspijski kawior, narkotyki, bron.

Towarem byli też ludzie, których porywano dla okupu. I choć za handel żywym towarem winiono głównie Czeczenów, tak naprawdę zajmowali się tym wszyscy. Czeczeni może najmniej, choć ich kraj, odkąd wymówił posłuszeństwo Rosji, najlepiej nadawał się na bezpieczną przechowalnię jasyru. Moskiewskie gazety były pełne artykułów o rosyjskich dowódcach z granicznych stanic, którzy za odpowiedni haracz wysyłali na patrole swoich żołnierzy tylko po to, by zostali uprowadzeni i sprzedani jako niewolnicy. Nawet jak na kaukaskie warunki w Dagestanie wszystko odbywało się szybciej, gwałtowniej, drapieżniej, bezwzględniej, bezczelniej. Pod względem zabójstw i zamachów bombowych wymierzonych w politycznych wrogów Dagestan bił na głowę nie tylko całą Rosję, ale śmiało mógł się równać

z Izraelem czy dawną Irlandią Północną. Wyróżniał się też tym, że nigdy nie udało się złapać, osądzić i ukarać żadnego zabójcy lub zamachowca. Burmistrz stolicy, Machaczkały, a zarazem jeden z najbogatszych ludzi kraju, jest żywym dowodem na to, ile razy można z zamachów ujść z życiem. Co najmniej czternastokrotnie, i za każdym razem bez skutku, próbowali go zabić przewodniczący rady miejskiej, pułkownik policji, najęci i cieszący się złą sławą czeczeńscy zabójcy z Gudermesu, a nawet miejscowy mistrz boksu. Przemoc stała się metodą stosowaną w polityce tak często i tak zwyczajnie, jak do niedawna intrygi, podchody czy kumoterstwo. Trudno byłoby znaleźć w Dagestanie poważnego polityka, na którego nie próbowano by przynajmniej raz dokonać zamachu. Zrozumiałe więc, że w trosce o własne bezpieczeństwo, a także z konieczności udziału w swoistym wyścigu zbrojeń każdy szanujący się dagestański polityk otaczał się strażą przyboczną, powoływał pod broń całe prywatne armie, rekrutowane zazwyczaj spośród ziomków i kuzynów, najlepszych, bo najpewniejszych.

Z werbunkiem żołnierzy nie było zresztą nigdy najmniejszego kłopotu. Powszechna bieda i całkowite w wielu wiejskich regionach bezrobocie spowodowały, że na Kaukazie pojawiły się tysiące młodych ludzi, dla których wojaczka stała się jedynym zajęciem i przyszłością. Nie mieli wykształcenia, domów ani nawet nadziei na pracę. Nie godząc się jednak na tak podłą egzystencję, albo sami tworzyli zbrojne grupy zarabiające na życie kontrabandą, albo zaciągali się do prywatnych armii. Jako żołnierze mieli zapewnione nie tylko źródło utrzymania, ale także zajęcie cieszące się na Kaukazie tradycyjnym szacunkiem.

Na dowódców tych zaciężnych wojsk werbowano ludzi obytych z przemocą – głównie przestępców, dla których zbrodnia była jedynym celem i sensem życia, silnorękich byłych mistrzów boksu, zapasów lub podnoszenia ciężarów, dawnych policjantów i żołnierzy, którym znudziło się jałowe życie stróżów porządku, jak również zwyczajnych, obijających się po mieście bez celu i pomysłu osiłków o byczych karkach.

Zejście się świata władzy i świata zbrodni było dla ich przedstawicieli olśnieniem. Ministrowie i posłowie nauczyli się stosować i cenić

przemoc jako prosty i skuteczny instrument sprawowania władzy. Nie przerażała już ich, nie budziła odrazy. Odkryli też, że władza wykorzystana w przestępczych celach stwarza nieograniczone wręcz możliwości. Nie tylko niewspółmiernie pomnaża zyski, ale nie ściąga potępienia, jakie dosięgało zwyczajnych przestępców. Zbrodnia popełniona w majestacie prawa w mniemaniu jej sprawców przestawała nosić znamiona zbrodni. Dla złoczyńców wiedza o dobrodziejstwach wynikających z mezaliansu zbrodni i władzy nie była oczywiście żadnym odkryciem. Olśnieniem było natomiast dostrzeżenie niepowtarzalnej być może okazji, jaką dla osiągnięcia tego wymarzonego celu stworzyły im demokracja i wolny rynek.

Czyniąc ich obywatelami, demokracja obdarowała prawem, by nie tylko wybierać na urzędy, ale przede wszystkim, by samemu być wybieranym. Dzięki zaś wolnemu rynkowi, który na Kaukazie do kategorii towaru sprowadził wszystkie strony ludzkiego życia, wyboru dobijano jak targu, po uprzednim uzgodnieniu ceny.

Ministrowie i posłowie zaczęli oddawać się zbrodni, a przestępcy wkroczyli na polityczne salony. Nadawali swoim szajkom nazwy partii politycznych, pełne wzniosłych przymiotników, pretendowali do urzędów, wygrywali ustawiane przetargi na prywatyzowane fabryki oraz wybory na posłów do dagestanskiego parlamentu czy nawet do rosyjskiej Dumy. Był czas, że prawie połowa posłów i ministerialnych urzędników z Machaczkały miała za sobą więzienną przeszłość.

Przestępcy stanowili więc prawo. Do więzienia za malwersacje trafił szef resortu sprawiedliwości. Kiedy umierał minister, jego stanowisko przejmował brat, szwagier albo syn, urzędnicy rozkradali państwowe pieniądze, bankierzy napadali na własne banki, a policjanci rabowali na drogach. Bogaci stawali się jeszcze bogatsi, a biedniejszych czekała tylko większa niedola.

Cały świat wokół nich zdawał się pozostawać w stanie upadku, zagłady i chaosu, jedynie najwięksi marzyciele i szaleńcy potrafili dopatrzyć się w nim zwiastunów tworzenia, powstawania. Rozczarowani i przerażeni wolnością, która na Kaukazie przybrała tak paskudne oblicze, tamtejsi górale zaczęli się coraz poważniej obawiać, że ich miejsce na ziemi

kurczy się, znika.

Pamiętali jeszcze stare porzekadło mówiące, że każdy człowiek ma swoją górę. Bardzo chcieli w to wierzyć, ale nie potrafili już odnaleźć drogi do swoich zapomnianych gór. – Kim jesteśmy? – powtarzali.

Wątpliwości rozproszyli ostatecznie Słowianie. Obwołany wielkim reformatorem Michaił Gorbaczow, ostatni władca imperium, poza jego słowiańską częścią nigdy nie znalazł wielu zwolenników. Potrzebę postępowych reform głosił tylko w Moskwie i w Rosji, ale pozostawał głuchy i nieczuły na prośby rosyjskich kolonii na Kaukazie i w Azji. Wolność, którą obiecywał, miała więc być zarezerwowana tylko dla Rosjan, Słowian, białych. Pod tym względem Gorbaczow niczym się nie różnił od swoich poprzedników. Pochłonięty całkowicie ambitnymi planami reformy imperium, wsłuchany w oklaski Europy i Ameryki, nie miał czasu i cierpliwości dla Kaukazu i Azji. Denerwowała go ich ospałość, nieufność do nowinek, niewolnicze przywiązanie do przeszłości. Potrzebował szybkich rozwiązań, szybkich wyników. Nie zamierzał grzebać się w labiryntach, zawiłościach. Z typową dla rewolucjonistów arogancką pewnością wierzył, że postępowymi dekretami rozwiąże azjatyckie problemy. Popełniał błąd za błędem, nietakt za nietaktem, przyśpieszając tym samym swój nieuchronny upadek. Jego pogromca, prowincjonalny dygnitarz Borys Jelcyn, obiecywał wszystkim wolność i w końcu rozwiązał imperium tylko po to, by samemu zająć miejsce Gorbaczowa na Kremlu. Walcząc o władzę, podburzał wasali Gorbaczowa:,,Powiadam wam, bierzcie tyle wolności, ile tylko dacie radę udźwignąć!" Kiedy jednak łatwowierni Czeczeni spróbowali posmakować swobody, Jelcyn, będąc już gospodarzem Kremla, wysłał przeciw nim wojsko.

Rosja, dla której upadek jej imperium kojarzył się nie z radosną czy choćby niechcianą wolnością, ale upokarzającą degradacją, zazdrośnie i mściwie siała wojnę wśród niedawnych poddanych. Wolność rodziła się przy akompaniamencie karabinowych salw i wybuchów bomb. Wojną odpłacała Rosja własnym poddanym za ich niewierność i krnąbrność.

Od chaosu i pożogi uratowały się tylko najbliższe Europie prowincje imperium: słowiańskie Ukraina i Białoruś, państwa bałtyckie. Podsycane

przez Rosję wojny domowe spustoszyły i rozbiły na nieuznające się nawzajem dzielnice Kaukaz i środkową Azję, a wspierani przez Kreml spiskowcy poobalali tamtejszych prezydentów.

– Nie jesteście i nigdy nie będziecie nam równi – mówili Rosjanie. – Ale też nigdy nie pozwolimy, byście odeszli wolni.

Wojna, którą Rosja wydała Czeczenom przez zemstę za to, że mimo wszystko postanowili dochodzić wolności za wszelką cenę, wyleczyła kaukaskich górali z kompleksu niższości wobec Słowian. A wiara w Allaha, której wstydzili się przez tyle lat, zaczęła nagle być dla nich opoką. Przestali bezradnie przestępować z nogi na nogę, zadręczać się pytaniami, kim są.

– Jesteśmy muzułmanami – dumnie odpowiadali teraz Słowianom. – To znaczy, jesteśmy inni niż wy.

Ale młodzi, których ojcowie, zgodnie z nową modą nastałą w czasach wolności, posyłali na naukę i na pielgrzymki do Arabii, wracali teraz do domów i wyśmiewali nie tylko dorosłych, lecz nawet uczonych muzułmańskich duchownych.

– Modlicie się nie tak, jak trzeba, grzeszycie na każdym kroku. Nasze święta, stroje i tańce są występkiem przeciw Świętej Księdze. Nie żyjemy po bożemu – wytykali na każdym kroku starszym. – Nie jesteście muzułmanami, ale poganami.

Islam, przyniesiony na Kaukaz przez arabskich wędrowców, istotnie obrósł przez wieki miejscowymi obyczajami i tradycją, dawnymi wierzeniami, herezją. Nie mogąc przez całe lata pielgrzymować do Mekki, kaukascy pątnicy odwiedzali święte góry, wodospady, groby pobożnych mężów. Nie widzieli w tym nic złego. Nie zabraniali im tego także szejkowie, duchowi przewodnicy, których górale ślepo słuchali od pokoleń.

Słuchali, choć nie do końca pojmowali nauki szejków. Nie wszystkie. Nie zawsze. Zbyt wiele było w nich mistycyzmu, tajemniczych słów przypominających zaklęcia, zbyt wiele niejednoznaczności, swobody interpretacji, która pozostawiając wolny wybór, wymuszała wysiłek i nie gwarantowała słuszności decyzji.

– Szukajcie w sobie Pana, odnajdujcie w duszy drogę prawdy – mówili

teraz szejkowie zagubionym w czasach wolności góralom, którzy nie bardzo wiedzieli, co począć z tą radą, ale dopytywać się było im zwyczajnie wstyd. Szejkowie zaś prawili jeszcze, że liczy się nie najskrupulatniejsze sprawowanie obrzędów, lecz samo dążenie do Najwyższego i doskonałości, wewnętrzna harmonia i czystość.

Młodzi, którzy wracali z nauk w Arabii, mówili co innego.

– Nie wiecie, jak żyć? To proste – wzruszali ramionami.

– Czytajcie Świętą Księgę, tam wszystko jest zapisane. Naśladujcie w każdym szczególe Proroka Mahometa. Postępujcie jak on, ubierajcie się nawet jak on. A wtedy prawda zwycięży.

Odpowiedź na wszelkie wątpliwości, pytania i obawy miała się więc sprowadzać do kilku prostych i oczywistych wskazań, jak żyć i jak się modlić. Ta niezwykła rzeczowość nowej nauki, skrupulatnie regulującej najdrobniejsze szczegóły codzienności, a przez to zwalniającej od męki dokonywania wyboru, wydała się niezwykle atrakcyjna dla zbłąkanych muzułmanów z Kaukazu. Nie było w niej miejsca na dysputy teologów, mistyczną głębię, swobodne interpretacje. Spragnieni jasnego celu w życiu coraz chętniej przysłuchiwali się przybyszom. Prostota ich nauki i gotowe recepty na natychmiastową poprawę losu sprawiły, że zagubieni kaukascy górale coraz częściej przyjmowali ją za własną, nie myśląc nawet, że była to wiara mudżahedinów, pobożnych wojowników wędrujących po świecie w poszukiwaniu okazji do świętej wojny i pełnego chwały zwycięstwa lub męczeńskiej śmierci.

Na Kaukaz zwabiło ich zbrojne powstanie, które wywołali przeciw Rosji Czeczeni. Ściągali weterani niemal wszystkich bitew świętej wojny – afgańskiej, kaszmirskiej, bałkańskiej, tadżyckiej, arabskich. Przybywali nieliczni, bo mało kto jeszcze wiedział o maleńkiej, zagubionej w górach republice. Hasła świętej wojny, *dżihadu,* okazały się narkotykiem dla zdesperowanych, upokorzonych i pozbawionych nadziei górali. Dla rosnącej z dnia na dzień armii przymierających głodem nędzarzy. Przede wszystkim zaś dla ludzi młodych, dla których były nie tylko duchową ucieczką przed beznadziejną wegetacją, ale dawały cel w życiu. W dodatku cel rewolucyjny. Nie uczyły bowiem umiaru ani cierpliwości. Przeciwnie, wzywały do czynu, do wojny, do

obalenia złych i niesprawiedliwych porządków. *Dżihad* nie aspirował jednak do władzy w państwach, ponieważ same państwa uważał za grzeszne, sprzeczne z nauką Proroka, głoszącą jedynie wspólnotę wiernych. Zalecał potrzebę pracy od podstaw i tworzenia rządzących się Bożymi prawami wspólnot na szczeblu wiosek, dzielnic i sąsiedztw. *Dżihad* obiecywał nie tylko zbawienie po śmierci, ale przynosił także korzyści w życiu doczesnym. Na rozlicznych wojnach oddziały przybyszów z Arabii miały najlepszą broń, co zapewniało bezpieczeństwo. Biły się mężnie, a to gwarantowało sławę bohaterów. W tych formacjach płacono najwyższy żołd, zapewniający dostatek. Na wsparcie i zapomogi zawsze mogli liczyć wierni, którzy przychodzili się modlić do meczetów zbudowanych przez Arabów. Za swoje pieniądze przybysze wznosili nie tylko świątynie, ale także medresy i drukarnie, wydawali książki i gazety, wysyłali młodzież na naukę do znanych z pobożności akademii w Arabii Saudyjskiej, Egipcie, Jemenie i Pakistanie. Sami zaś coraz liczniej osiedlali się na Kaukazie, gdzie prowadzili modły w kierowanych przez siebie meczetach i uczyli w szkołach tworzonych przy świątyniach. A w czasie wakacji zabierali uczniów na obozy sportowe w porośnięte lasami góry i szkolili ich w posługiwaniu się wszelkiego rodzaju orężem. Najlepsi absolwenci letnich akademii rozjeżdżali się potem po okolicy, by na którejś z wojen przejść sprawdzian, wypróbować w praktyce nabyte umiejętności. Dla starych, odwiecznych, niezmiennych porządków okazali się większym zagrożeniem i trudniejszym problemem niż demokracja. W przeciwieństwie choćby do szejków upatrujących ocalenia w wierności tradycjom niczego nie chcieli doskonalić ani ratować przed katastrofą. W zagładzie starego świata nie widzieli nic złego. Uczyli, że najpierw trzeba wszystko zburzyć, by zacząć budować od nowa wspólnotę wiernych, w której wszyscy byliby równi wobec Najwyższego.

Ten egalitaryzm był na Kaukazie szansą dla ludzi z nizin społecznych, którzy nie wywodzili się ze znacznych rodów, nie mieli więc nic do powiedzenia w polityce ani w gospodarce. W Czeczenii rewolucja była szansą dla Szamila Basajewa, podczas gdy Asłan Maschadow stał

twardo po stronie tradycji.

Rzucając wyzwanie odwiecznym, świętym obowiązkom wierności tradycji i posłuszeństwa rodom, muzułmańscy rewolucjoniści na Kaukazie zagrozili nie tylko wszystkiemu, co stanowiło o jego tożsamości, ale także międzynarodowemu porządkowi. Nie uznawali więzów krwi, różnic narodowościowych. Nie uznawali państw ani ich rządów, granic, sojuszów, jakichkolwiek autorytetów – poza słowem Proroka. Gdyby udało się im przerobić na własną modłę Kaukaz i przekonać tradycyjnie skłócone kaukaskie ludy, że są w istotcie jedną wspólnotą wiernych, górale nie daliby się dłużej podburzać przeciw sobie. A wtedy nie byłoby takiej siły, która by zdołała ich podbić czy utrzymać w zniewoleniu.

Świadomi śmiertelnej groźby kaukascy możnowładcy i szejkowie, jak również przysyłani z Moskwy emisariusze najpierw próbowali się z rewolucjonistami układać. Ci jednak okazali się głusi i nieczuli na roztaczane przed nimi miraże bogactwa, przywilejów i władzy, a argumentom uczonych teologów przeciwstawiali cytaty z Koranu. Władze sięgnęły więc po przemoc i represje.

Większość kaukaskich rewolucjonistów zbiegła do zbuntowanej Czeczenii, która z gorliwością neofity, szukając własnej drogi, najodważniej eksperymentowała z życiem według praw Bożych. Inni postąpili jak ich przodkowie, zagrożeni którymś z niezliczonych najazdów. Zaszyli się w górskich aułach, by w obronnych wieżach z kamienia czekać na nadejście wroga.

W powietrzu wyczuwało się dziwny niepokój, jakby przeczucie nadciągającego nieuchronnie końca. Z położonej w dole wioski nie dobiegały żadne dźwięki. Nie słychać było ujadania psów ani krzyków dzieci.

Niespokojni byli brodaci mężczyźni, którzy z karabinami pilnowali dróg biegnących do wsi, zatrzymywali samochody, legitymowali przyjezdnych. Rozmowy się nie kleiły, zamierały w pół zdania. Mężczyźni milkli, wpatrując się to w dolinę, to w otaczające ją górskie zbocza, gdzie kobiety wygrzebywały z ziemi kartofle i wrzucały do wielkich, wiklinowych koszy.

Dolina Kadaru, położona w sercu Dagestanu, w połowie drogi między górami Kaukazu a brzegiem Morza Kaspijskiego, od lat słynęła z ziemniaków. Kiedyś przynosiły one medale tutejszemu kołchozowi, noszącemu dumne imię Leninowskiego Komsomołu. Ziemia żyzna, niemal jak nad Kubaniem, rodziła też co roku dorodną kapustę i marchew, a przygniatane ciężarem owoców drzewa w tutejszych sadach gięły się nisko, jakby w dziękczynnych pokłonach.

Potem, gdy kołchoz został rozwiązany, tutejsi mężczyźni pokupowali wielkie ciężarówki i dalej wozili worki z ziemniakami na bazary do Rostowa, Krasnodaru, Stawropola i Astrachania, a nawet za Ural. Najwięksi śmiałkowie, dysponujący najlepszymi maszynami, zapuszczali się aż do Finlandii. Wozili na sprzedaż nie tylko ziemniaki i kapustę, które tak dobrze udawały się w dolinie, ale także pomidory i jabłka skupowane w Gruzji i Azerbejdżanie od rolników. Wieśniacy nie chcieli sami jeździć na targ do Rosji w obawie przed tamtejszymi przekupnymi policjantami i sławnymi z okrucieństwa Kozakami.

W dolinie Kadaru ciężarówki mieli niemal wszyscy. Wielkie jak smoki samochody stały w co drugim obejściu, będąc oznaką statusu, bezpieczeństwa i zamożności. Bo ludziom w dolinie żyło się bogato i dobrze. Ulice były tu czyste, podwórza uprzątnięte, a pochowane za wielkimi murami i ciężkimi, żelaznymi bramami obejścia przypominały pałace. Wokół sadów i ogrodów nie stawiano nawet płotów, bo po wsiach nie było biednych. Nie było też złodziei. Kiedy w którejś ze wsi wyprawiano wesele, zdarzało się, że z całej doliny potrafiło się na nie zjechać tysiąc gości i biesiadników. Wielkie ciężarówki, czekające posłusznie na kierowców, ryglowały na czas zaślubin całą okolicę.

I to właśnie kierowcy wracający z pobliskiego Bujnacka przywieźli do doliny niepokojące wieści o karawanach czołgów i samochodów ciężarowych z żołnierzami, pnących się na zachód, w wysokie góry Kaukazu, gdzie muzułmańscy wojownicy do spółki z czeczeńskimi partyzantami wywołali zbrojne powstanie.

Brodacze z doliny Kadaru znali doskonale tamtych buntowników. Spotykali się nieraz w Czeczenii, gdzie jako ochotnicy wspólnie z czeczeńskimi powstańcami walczyli przeciw Rosji. Widywali się też

w dolinie, dokąd Czeczeni przybywali w gości, a także – by uczyć dagestańskich muzułmanów wiary w Allaha i wojskowego rzemiosła. Stali się nie tylko towarzyszami broni, ale i braćmi. Wieśniacy z doliny oddali nawet piętnastoletnią Madinę za żonę niejakiemu Chattabowi, arabskiemu komendantowi, który przed laty przybył na Kaukaz z Afganistanu, gdzie walczył już w świętej wojnie przeciw niewiernym Rosjanom. W Czeczenii zasłynął z odwagi i wymyślnych sposobów urządzania zasadzek na rosyjskie konwoje. Dowodził oddziałem podobnych sobie arabskich ochotników, muzułmańskich błędnych rycerzy, pojawiających się wszędzie tam, gdzie wyznawcy Allaha toczyli wojnę z niewiernymi.

Czeczeni, którzy jak do wszystkich obcych, także do Chattaba odnosili się z początku nieufnie, w końcu uznali go za swego. Szamil Basajew obwołał go nawet druhem i bratem. Obaj dowodzili zajazdem na dagestański Botlich, oddzielony od doliny Kadaru zaledwie stukilometrowym pasmem porośniętych gęstymi lasami gór. Do wyprawy wojennej namówił ich wywodzący się z doliny Kadaru poeta, uczony i zarazem świątobliwy mułła Bagautdin, który od dawna przepowiadał nastanie na Kaukazie sprawiedliwego kalifatu pobożnych wyznawców Proroka. Władze z Machaczkały uznały go za wywrotowca i wypędziły z kraju. Bagautdin schronił się w Czeczenii, u Basajewa.

I oto napływające z górskiego Botlichu wieści mówiły, że powstanie upada. Chattabowi, Basajewowi ani nawet Bagautdinowi nie udało się porwać za sobą nieufnych awarskich chłopów z nadgranicznych aułów, a rosyjskie śmigłowce przygwoździły partyzantów w górskich pieczarach.

Mężczyźni z doliny Kadaru obawiali się teraz, że po stłumieniu rebelii w górach Rosjanie przypomną sobie i o nich. Od lat byli cierniem dla wiernych Rosji dagestanskich władz. Nie tylko bowiem nie uznawali oficjalnych rządów, zbuntowali się przeciw nim i wymówili posłuszeństwo. Mijał już rok od dnia, gdy przekonani przez Bagautdina ogłosili swoje wioski niepodległą republiką muzułmańską, rządzącą się nie kodeksami stanowionych przez ludzi praw, ale Świętą Księgą, Koranem. Udzielali też w dolinie gościny podobnym sobie buntownikom.

Głównie z Kaukazu, gdzie jako jedyni otwarcie przyjaźnili się z wrogimi Rosji czeczeńskimi komendantami. Odwiedzali ich jednak coraz częściej i coraz liczniej także przybysze z Arabii, którzy u siebie w domu spotykali się z niezrozumieniem i odrzuceniem.

Brodacze z doliny wiedzieli więc, że prędzej czy później przyjdzie im walczyć. Ba, wierzyli nawet, że konfrontacja z reżimem, który uważali za grzeszny, jest konieczna i potrzebna, by na całym Kaukazie zapanowało Królestwo Boże, Dom Wiary. Byli gotowi na męczeńską śmierć, bo miała im ona otworzyć bramy do raju. Powtarzali to w myślach i w rozmowach. Ale teraz, gdy godzina próby wydawała się bliska, stracili tę pewność, dotąd towarzyszącą im na każdym kroku. Nie wiedzieli, czy to na pewno już? Czy to jest ta chwila? Nie chcieli jej przegapić, lecz bali się też pochopnych decyzji i pośpiechu.

Stali więc na posterunkach i z górskich szczytów wypatrywali oczywistego znaku. Przywódcy wioskowej rewolucji – Chalid, generał Dżarullah, Szamil, Said. Używali tylko imion. Wcale nie z potrzeby konspiracji. Uznali, że nazwiska wymuszają na ludziach rodową solidarność, odciągając ich od Najwyższego, że są sprzeczne z naukami Proroka, gdyż on też używał jedynie imienia Mahomet. W górach Kaukazu, który swoją tożsamość oparł na przywiązaniu do rodowych i szczepowych nazw oraz do odwiecznej tradycji, pielęgnującej i nakazującej pamięć o przodkach do dziewiątego pokolenia, brodatych rewolucjonistów uznano za heretyków i śmiertelnych wrogów, porywających się na największe świętości.

Nikt nie wiedział, skąd nagle się wzięli w aułach i miasteczkach. Nie było ich w czasach, gdy istniało jeszcze komunistyczne imperium Związku Radzieckiego, nieuznające żadnego Boga. Nikt przynajmniej nie podejrzewał ich istnienia.

– Nie spadliśmy z nieba. Żyliśmy tu zawsze – wzruszał ramionami barczysty Dżarullah, który zamiast nazwiska Mohammedow, pamiątki z poprzedniego wcielenia, dodawał teraz do swego imienia dumne tytuły generała oraz hadżiego, tego, co odbył pielgrzymkę do Mekki. – Wiary uczyli nas nasi dziadowie, którzy nie wyrzekli się jej nawet w latach najgorszych prześladowan, gdy za samą modlitwę można było stracić

wolność. Nigdy nie ufaliśmy wyznaczanym urzędnikom ani duchownym. Podejrzewaliśmy, że to zdrajcy, że nie przynoszą nam prawdy, ale nas okłamują. W końcu, z woli Najwyższego, te złe czasy się skończyły, staliśmy się wolni. Przepędziliśmy ze świątyń sprzedajnych mułłów, którzy zamiast być naszymi przewodnikami, okazywali się szpiclami tajnej policji. Przypomnieliśmy ludziom ich prawdziwą wiarę. Ale potrzebowaliśmy aż siedmiu lat, by zaprowadzić Boże porządki, i to zaledwie w dolinie Kadaru. Ludziom, którzy tak długo żyli pod rządami kłamstwa, trudno rozróżnić, co jest prawdą, a co fałszem, co dobre, a co złe, komu wierzyć i jak rozpoznać fałszywych proroków. Ktoś, kto wiele dni spędził zamknięty w ciemnej piwnicy, wyprowadzony nagle na światło długo stoi w miejscu, zanim przezwycięży lęk przed jasnością i do niej przywyknie.

W dolinie Kadaru rewolucja zaczęła się od tego, że starzy mułłowie zabronili wpuszczać brodaczy do swoich meczetów. Brodaci zaczęli więc modlić się oddzielnie, a w końcu postanowili wznieść własną świątynię.

– Władze nie dawały zgody na budowę. Policja pilnowała od świtu do zmierzchu – wspominał z dumą generał Dżarullah, przysiadłszy nad przydrożnym, zakurzonym rowem. Zabrał mnie na inspekcję posterunków na wzgórzach wokół doliny, a teraz, gdy wszystkiego już dopatrzył, czekaliśmy pod krzywym płotem na samochód, który Dżarullah wezwał przez radiostację. – Nie było czasu, zbudowaliśmy więc meczet z drewna. Dopiero potem mieliśmy obmurować go kamieniami. Kiedy wstał świt, świątynia była gotowa. Żeby nie dać jej rozebrać, ludzie modlili się w środku dzień i noc.

Do drewnianej świątyni przychodziło coraz więcej i więcej wiernych. Nie tylko wznosili tu modły i czerpali nadzieję, ale zawsze mogli też liczyć na darmowy worek mąki lub cukru, a nawet na finansową zapomogę, możliwą dzięki pieniądzom przywożonym potajemnie przez emisariuszy z Bliskiego Wschodu. Takich jak choćby Muhammed Ali z Jordanii, który najpierw uczył w przymeczetowej szkole w Kyzył-jurcie, a gdy władze zamknęły szkołę, za poradą świątobliwego Bagautdina przyjechał żyć i uczyć do doliny Kadaru.

Nieunikniony konflikt między starym i nowym wybuchł poprzedniego lata. Poszło o ostentacyjną pogardę, z jaką brodacze odnosili się do miejscowych władz. Powtarzali w koło, że poza władzą i prawami Najwyższego nie uznają żadnych innych. Nie chcieli być posłuszni nawet duchownym, bo – jak twierdzili – pobożnemu człowiekowi w kontakcie z Najwyższym nie jest potrzebny żaden pośrednik. Już to podważało autorytet wioskowych urzędników. A brodacze w dodatku dotrzymywali słowa.

Chłopom z sąsiedztwa nakazali żyć według swoich zasad. Tak – powiadali – będzie po bożemu.

Sklepikarzom zakazali sprzedawać wódkę, sąsiadów przyłapanych na pijaństwie rozciągali w biały dzień na środku drogi i karali chłostą. Kobietom zabronili wychodzić z domu z odsłoniętymi twarzami. Tłumaczyli ludziom, że grzeszą, wydając majątki na wystawne wesela i pogrzeby. Za występek uważali też tańce, śpiewy i głośną muzykę orkiestr zamawianych na wesela.

– Czy w Koranie jest napisane, że aby wydać za mąż córkę, trzeba stracić wszystkie oszczędności i już do końca życia pozostać nędzarzem? – pytali. – Albo, że mój nagrobek musi być obowiązkowo wyższy niż grób ojca sąsiada?

Łatwo było rozpoznać tych ludzi. Ich kobiety zasłaniały twarze czarnymi chustami, każdy zaś przystający do nich mężczyzna natychmiast zapuszczał brodę, której nie wolno było nawet przystrzygać. Golił za to wąsy, będące na Kaukazie dumą i symbolem męskości. Chodził w spodniach wpychanych w cholewy butów. Twierdził, że czyni tak, by upodobnić się do Proroka i jego towarzyszy. Brodacze nie palili tytoniu, nie pili wódki ani wina. Nie oddawali dzieci do wioskowych szkół, lecz posyłali do swoich meczetów, gdzie mułłowie uczyli je pisać i czytać, a także posługiwać się arabską mową, zaprawiali też w gimnastyce, by je wzmocnić i przygotować do walki w obronie wiary.

Powiedzieli chłopom, żeby przestali obsiewać pola makiem, jak im to nakazali przyjezdni z miasteczka. Gdy wieść o tym rozniosła się w wiosce, a z Bujnacka kilkoma samochodami zjechali do doliny

uzbrojeni mężczyźni, brodacze wyszli im na spotkanie i zapowiedzieli, że następnym razem pojmają ich i wydadzą policji.

Donieśli na policję za trzecim razem. Kiedy jednak okazało się, że policjanci, zamiast aresztować zbirów z Bujnacka, witają się z nimi serdecznie, brodacze przepędzili ze wsi jednych i drugich. Odtąd sami pilnowali porządku, a z meczetu ogłosili, że przyłapany na kradzieży złodziej będzie miał odjętą dłoń. I prawdę powiedziawszy, w ich wioskach natychmiast zrobiło się bezpiecznie.

Choć stanowili w dolinie zdecydowaną mniejszość, ludzie ich słuchali. Nie wszystko się chłopom podobało. Sarkali, że brodacze nie pozwalają im żyć po swojemu. Nie zgadzali się z nimi, ale mimo to ustępowali przed ich kategorycznością i fanatyzmem. Bali się też, bo brodacze bez wahania sięgali po przemoc, a ludzi, którzy nie zgadzali się żyć według ich praw, bez najmniejszych skrupułów przepędzali z sąsiedztwa, ze wsi, z doliny. W wiosce Karamachi wyrzucili z głównego meczetu mułłę, ponieważ okazał się szpiclem tajnej policji.

Władze, zaniepokojone nie na żarty, postanowiły działać. Na początek zaczęły podburzać ludzi przeciw brodaczom. W gazetach i w radiu, na naradach i podczas zwyczajnych rozmów, a nawet podczas kazań w meczetach wytykano ich wszystkie zbrodnie i występki. Nie przestrzegali tradycji, a nie odwiedzając cmentarzy, hańbili pamięć przodków, podważali władzę i powagę starców oraz starszyzny. Mułła Zajnutdin z Kadaru ogłosił, że brodaty rewolucjonista jest gorszy niż stu niewiernych i że gdy się go zabije, od razu idzie się do nieba. Nawet sam mufti Dagestanu, Said Mohammed Abubakar, przekonywał w kazaniach, że każdy muzułmanin, który zabije brodacza rewolucjonistę, ma zagwarantowane miejsce w raju.

Zaczęły się rewizje, aresztowania. Policja nachodziła meczety brodaczy, szukała tam rzekomych magazynów broni i ukrywających się posłańców z Arabii. Na drogach policjanci zatrzymywali wielkie ciężarówki, których numery rejestracyjne wskazywały, że pochodzą z doliny Kadaru. Podejrzanie długa broda kierowcy wystarczała zazwyczaj, by wtrącić go do więzienia.,,Zgól brodę, to cię puścimy – mówili policjanci. – A jak nie, pójdziesz siedzieć". Wyruszającym w drogę

mężom kobiety zaszywały kieszenie spodni i kurtek, by po aresztowaniu policjanci nie mogli podrzucić im narkotyków lub karabinowych pocisków, co by pozwoliło oskarżyć ich o kontrabandę, a nawet terroryzm.

Brodacze nie dali się jednak zastraszyć, podjęli walkę. Od kul nieznanych zamachowców zaczęli ginąć mułłowie i sołtysi. Bomba podłożona w samochodzie przed głównym meczetemw Machaczkale rozerwała na strzępy muftiego Saida Mohammeda Abubakara, okrzykniętego przez brodaczy zdrajcą i sprzedawczykiem. O jego zamordowanie oskarżono między innymi Dżarullaha, mojego przewodnika i opiekuna w dolinie Kadaru. Nieodstępujący mnie na krok Szamil, jednoosobowa straż przyboczna generała, musiał kiedyś uciekać ze wsi za zabójstwo sołtysa Karamachi, zatłuczonego kijami na drodze.

– Jak pierwszy raz bandyci z Bujnacka przyjechali do nas zbierać od chłopów haracz, wyszliśmy im naprzeciw tylko ze starymi myśliwskimi strzelbami – Dżarullah opowiadał nieśpiesznie, podczas gdy siedzący obok niego w kucki Szamil rysował w milczeniu patykiem po ziemi. – Ludzie szybko jednak zrozumieli, że jeśli chcą żyć w spokoju, muszą mieć bron. W Machaczkale sprzedaliśmy parę ciężarówek i za te pieniądze kupiliśmy od rosyjskich żołnierzy karabiny. Chwała Najwyższemu, że są tak pazerni.

W końcu brodacze, przepędziwszy z doliny sołtysów, ich urzędników i policjantów, ogłosili wioski państwem Bożym, w którym jedynym prawem miał być odtąd Koran.

– Było nas mniej, ale mieliśmy karabiny i umieliśmy walczyć. Wielu z nas biło się już wcześniej w Czeczenii, a niektórzy nawet w Afganistanie i Tadżykistanie – opowiadał Dżarullah. – Wygraliśmy łatwo.

Rozwścieczony rząd z Machaczkały kazał tysiącowi policjantów otoczyć dolinę i albo wziąć ją szturmem, albo zamorzyć głodem. Brodacze, dowodzeni już przez obwołanego generałem Dżarullaha (mułłę Muchtara Atajewa z Karamachi ogłoszono emirem całej doliny Kadaru, a tę z kolei – niepodległą wspólnotą wiernych), nie wpuścili ich jednak do doliny. Nie pozwolili im nawet wspiąć się na otaczające kotlinę

góry, z których można by ostrzeliwać z dział położone w dole wsie.

Wieści o buncie brodaczy dotarły aż na Kreml, skąd do doliny Kadaru wysłano ministra policji, który przyjechał do Karamachi i spotkał się z samozwańczym emirem Muchtarem. Minister przywiózł w podarunku lekarstwa dla chłopów. Muchtar podjął go obiadem w swoim domu, nakarmił, napoił, ofiarował futrzaną burkę. Rosjanin obiecał, że jeśli brodacze oddadzą karabiny i wpuszczą z powrotem do wsi policję, będą mogli żyć, jak im się podoba, nikt ich nie będzie nękał. Brodacze zgodzili się, choć ani myśleli oddawać bron czy też otwierać we wsi posterunek policji.

– Sympatyczni ci fanatycy – powiedział zadowolony rosyjski minister, licząc, że za udaną kaukaską misję spotka go w Moskwie awans. Istotnie, wkrótce został premierem i sam stanął na czele rządu.

Przez dwanaście miesięcy panował spokój. Brodacze w dolinie rządzili się według własnych praw. Przestali płacić podatki, ale nie domagali się pieniędzy ze stolicy. Zamiast sołtysa urzędowała wielka rada, *szura,* składająca się z mułłów i uzbrojonych wojowników, mudżahedinów.

Zniknęła stara policja i sędziowie. Przestępców ścigały teraz patrole mudżahedinów, a kary wymierzali duchowni z meczetów. Przerażeni widmem okrutnych kar – odrąbanie dłoni za kradzież, śmierć z ręki krewnego ofiary za zabójstwo, ukamienowanie za gwałt – złoczyńcy czym prędzej wynieśli się z doliny.

– Odkąd przegnaliśmy policjantów, skończyły się kłopoty – wspominał odziany w cętkowany mundur Dżarullah. – Zniknęła korupcja, kumoterstwo, pijaństwo. Do dziś nie popełniono tu żadnego przestępstwa. Ludzie nie boją się już wychodzić po zmroku na ulice. W ogóle nie muszą zamykać domów.

Wielka rada nakazała wywiesić zielone flagi przy drogach prowadzących do doliny. Przy wjeździe do wsi Karamachi ściągnięto tablicę „Kołchoz imienia Leninowskiego Komsomołu”, a na jej miejsce przybito deskę, na której koślawo nabazgrane litery głosiły, że,,Nie ma Boga nad Allaha". Na murowanych ogrodzeniach obejść w wiosce pojawiły się arabskie napisy, dla większości mieszkańców niezrozumiałe. Słupy telegraficzne obwieszono zielonymi chorągwiami.

Na rogatkach wsi wystawiono tablice obwieszczające: „Uwaga! Wjeżdżasz na niezależne terytorium muzułmańskie”, które ostrzegały podróżnych, że decydując się na przekroczenie granicy, muszą być gotowi poddać się Bożym prawom i porządkom. Do odrapanej, bielonej chałupy przy rynku w Czabanmachi, gdzie dawniej urzędował sołtys, wprowadził się przypominający świętą inkwizycję trybunał uczonych i pobożnych, którzy na swe barki wzięli trudny obowiązek orzekania, co spodobałoby się Najwyższemu, a co by go rozgniewało.

Kobietom wielka rada zaleciła, by ubierały się w powłóczyste, zakrywające całe ciało i twarz *parandże,* a najlepiej – by w ogóle bez potrzeby nie wychodziły z domów. Zniknęły bezszelestnie. Poza polami ziemniaków, gdzie pracowały, rzadko się je spotykało po wsiach. W ogóle zrobiło się jakoś ciszej i puściej. Nawet dzieciaki, wcześniej ganiające z wrzaskiem po ulicach, teraz bawiły się na podwórzach.

A choć zmieniło się tyle, twarze mieszkańców doliny nie zdradzały tych zmian. Nadal były puste i pozbawione wyrazu. Na targowisku, na rynku, na polach ludzie rozmawiali półgłosem; na widok cudzoziemców odwracali wzrok. Rewolucja dokonała się niby w ich wioskach, ale bez ich udziału. Nikt ich nie pytał o zdanie.

– U nas ludzie nie lubią rozmawiać z obcymi. Nie żeby się bali. Po prostu, tacy już są – tłumaczył Szamil, anioł Szamil, nieodstępujący na krok. Przed rewolucją był kierowcą wielkiej ciężarówki, woził z doliny ziemniaki do Rosji. Nie chciał wspominać tamtych czasów. Nie chciał też mówić o tym, jak razem z towarzyszami zabił sołtysa. Opowiadał tylko o Wszechmogącym i o Bożym Królestwie, które miało powstać w górach Kaukazu.

– Wielu jeszcze nas nie rozumie i zwraca się przeciw nam, nie pojmując, że jesteśmy dla nich ratunkiem. Ale to się zmieni – Dżarullah odzywał się coraz rzadziej i coraz ciszej. – Już dziś przychodzą do nas ludzie z innych wsi, mieliśmy tu posłańców z ponad czterdziestu wiosek. Proszą o radę i pomoc. Odpowiadamy im, żeby sami zrobili porządek na swoim podwórzu. Wciąż się boją ministrów, urzędników, policjantów. Ale im bardziej będą upokarzani, im bardziej ich życie będzie nędzne, tym większą poczują odwagę.

Zapadał już wieczór, a my, pod płotem upstrzonym arabskimi napisami, w milczeniu czekaliśmy na samochód, którym łącznik Chamzat miał mnie odwieźć do Machaczkały. Przedłużające się oczekiwanie wyraźnie krępowało i niecierpliwiło Dżarullaha. Rozmowa się nie kleiła. Wszyscy byliśmy zmęczeni. Całym dniem i samymi sobą. Ciekawość przepadła już koło południa, teraz wyczerpywała się cierpliwość.

Dżarullah i jego wojownicy nie zgodzili się, żebym został w dolinie na noc. Nawet nic nie tłumaczyli. Po prostu odmówili i już. Jeszcze w południe, nie bardzo wiedząc dlaczego, upierałem się, by zostać, przekonywałem. Wieczorem nie mogłem się nadziwić, że taki pomysł mógł mi przyjść do głowy. Chciałem tylko jak najszybciej wydostać się z doliny. Marzyłem, by zostać sam. I o papierosie, bo przez wzgląd na gospodarzy powstrzymywałem się od palenia przez cały dzień.

Zmęczeni zakurzonym upałem dnia, Dżarullah, Chalid, Said i Szamil rozmawiali między sobą szeptem. Wpatrywaliśmy się w gęstniejący mrok z nadzieją, że dostrzeżemy światełka samochodu, które położą kres udręce. Zrobiło się ciemno, mogłem więc zamknąć oczy bez obawy, że ktoś to zobaczy.

Na nogi poderwał nas sygnał z radiotelefonu, który ściskał w dłoni Dżarullah, i głos z trudem przebijający się przez metaliczne trzaski. Rzucając w pośpiechu słowa pożegnania, kazali mi czekać na Chamzata i czym rychlej wracać do Machaczkały. Nerwowo przeładowali ze szczękiem karabiny, wskoczyli do samochodów i popędzili kamienistą drogą.

Przed upływem kwadransa pojawił się Chamzat. Był studentem, pochodził z doliny i jako jeden z pierwszych przystał do brodaczy. Ci zaś pozwolili mu golić brodę, by w ten sposób uchronić go przed aresztowaniem w Machaczkale, gdzie poza nauką zajmował się utrzymywaniem kontaktów z miejscowym muzułmańskim podziemiem.

– Pod Czabanmachi pojawili się ni stąd, ni zowąd Rosjanie i próbowali rozbroić nasz posterunek. Ale nasi wzięli ich do niewoli. Czterech żołnierzy i wóz pancerny. Rosjanie przyjdą teraz upomnieć się o swoje – syknął na powitanie. Nadkładając drogi, kluczył ścieżkami po górach, zanim zdecydował się zjechać na szosę do Machaczkały. Wysadził mnie

dwie przecznice przed hotelem. – Jeśli będzie wojna, to będziemy walczyć. Mogą nas rozbić, ale wtedy tylko się rozpryśniemy jak rozgnieciona kropla rtęci. Będziemy wszędzie i nigdzie. Nie da się nas pokonać. Będzie nas coraz więcej, a ich dni są policzone.

Wyjeżdżałem nazajutrz.

Rosjanie zaatakowali dolinę Kadaru pod koniec lata. Otoczyli wioski, ale nawet nie próbowali ich szturmować. Za dnia nad doliną krążyły śmigłowce, strzelając w chałupy z rakiet. Strzelały też, już bardziej na oślep, działa i czołgi rozmieszczone na otaczających dolinę wzgórzach.

Uciekając przed wojną, dziesięć tysięcy mieszkańców doliny porzuciło swoje domy już w czasie pierwszych dni oblężenia. Wojownicy Dżarullaha, który dowodził obroną, dniami chowali się w piwnicach i po lasach. Opuszczali kryjówki nocami, by strzelać z ukrycia do rosyjskich żołnierzy, którzy pod osłoną ciemności próbowali zapuszczać się w dolinę.

Przez jakiś czas obrońcom sprzyjała pogoda. Gęste mgły i rzadkie o tej porze roku ulewne deszcze przykuły do ziemi zabójcze i nieosiągalne dla partyzantów śmigłowce. W końcu jednak górę wzięło rosyjskie wojsko, nieporównywalnie liczebniejsze i potężniejsze.

Jako ostatnia skapitulowała wioska Czabanmachi, ta, w której czekaliśmy na Chamzata. Dżarullahowi udało się ponoć wyrwać z oblężenia i przemknąć lasami do Czeczenii. Podobno widziano go potem w Urus-Martanie.

Przed klęską nie uratował doliny ani Basajew, który ogłaszając, że idzie na odsiecz brodaczom, znów najechał ze swoimi wojownikami na Dagestan (tym razem na Lację), ani seria straszliwych – ponad ćwierć tysiąca zabitych – tajemniczych zamachów bombowych w Moskwie, Wołgodonsku i Bujnacku, które miały przerazić Rosję groźbą krwawego odwetu.

Przeciwnie, Rosjanie, dotąd noszący się z zamiarem odgrodzenia od Czeczenii pasem zaoranej, zaminowanej ziemi, ścigając dżygitów Basajewa, wtargnęli na ziemie Czeczenów. Wierzyli niezłomnie, że tym razem uda się złamać tamtejszych górali i ich niepojęty opór, który stał się inspiracją dla innych buntowników, wywołując w potężnej Rosji

poczucie bezsilności i ślepy gniew.

Jesień



Zgodnie z umową czekali przy betonowych blokach wyznaczających

granicę między Inguszetią i Czeczenią. Z karabinami w garści, odświętnie ubrani w jedwabne koszule, kamizelki i spodnie zaprasowane w kant. Mohammed i Nuruddin włożyli nawet na tę okazję czarne kapelusze, tak niegdyś lubiane na Kaukazie. Wojskowe mundury, które w ostatnich latach były dla nich takim samym elementem fizyczności jak ich czupryny, wąsy czy brody, wydały się im Tego Dnia przyodziewkiem niestosownym. Tego Dnia nawet ich samochody lśniły czystością, co na czeczeńskich, szarych od mażącego się błota drogach jest zjawiskiem prawie niespotykanym.

Mieli mnie ochraniać, dbać o moje bezpieczeństwo. To z mojego powodu zostali na kilka dni oddelegowani z oddziału i z okopów nad Terekiem. Wyglądali mnie niecierpliwie, bo Ten Dzień miał być dla nich nie tylko przepustką z linii frontu, ale i wędrówką w czasie, przypomnieniem życia sprzed wojny.

Mansur czekał już na lotnisku w stanicy Sliepcowskaja, w odrapanym, zagrzybionym baraku, zawilgotniałym od oddechów pasażerów. Poznałem go wcześniej. Uważał nawet, że zdążyliśmy się trochę zaprzyjaźnić. Przyjechał po mnie do Inguszetii, by uprzedzić tamtejszych policjantów, napastliwie oferujących ochronę już podczas kontroli paszportowej na lotnisku. Czeczen przekupił ich pieniędzmi, które pozostały mu z otrzymanej ode mnie zaliczki. Resztę wydał poprzedniej nocy na karabiny i amunicję.

Mansur był dowódcą mojej eskorty. Masz robić, co ci każę - taki postawił warunek, zanim podjął się bezpiecznie przeprowadzić mnie przez Kaukaz. Żeby uratować mi życie, zgodził się ryzykować własne. Wziął też za to sporo pieniędzy. Lubił powtarzać, że „porządna ochrona to podstawa” i że „dobry ochroniarz prędzej sam cię zabije, niż pozwoli cię sobie wykraść”.

Droga do Groznego była prawie nieprzejezdna. Setki samochodów, traktorów i ciężarówek walczyły ze sobą o każdy metr popękanego asfaltu. W kakofonii klaksonów, przekleństw i lamentu trwała ucieczka z Czeczenii, byle dalej od rosyjskich samolotów, które zrzucały bomby na stanice i miasteczka. Najbogatsi z uchodźców już dawno zadomowili się z rodzinami w najdroższych apartamentach jedynego w Nazraniu

hotelu. Wzdłuż drogi, w brezentowych namiotach rozbitych na gliniastej równinie koczowali ci, których nie stać było na urządzenie się w Inguszetii.

Stojąc na poboczu, czekaliśmy na Mansura – z dokumentami podróżnymi zniknął w tłumie napierającym na pomalowaną w białe i czerwone pasy budkę celników. Drogą z Groznego w kierunku Inguszetii rwała wezbrana i wzburzona rzeka uciekinierów. W drugą stronę, pod prąd, wybieraliśmy się tylko my. Świadomość tego niepokoiła, ale zarazem pobudzała niecierpliwie do działania, cieszyła, a nawet napawała nadzieją.

Oparty plecami o samochód, wystawiając twarz do jesiennego słońca, przypatrywałem się tym, w których ręce złożyłem swój los. Odtąd miałem być na nich skazany i od nich zależny. Dobrowolnie godziłem się – a nawet im za to płaciłem- by dokonywali za mnie wyborów, których skutki miałem ponosić.

Mansur sprawiał wrażenie podszytego strachem służbisty. Pozostali zdawali się być doskonale świadomi jego przywar,a mimo to słuchali go bez szemrania. Poważny, zamyślony Omar, roześmiany od ucha do ucha Musa, gawędziarz Mohammed, Sulejman z ogoloną czaszką i krzaczastą brodą, wiecznie podejrzliwy Nuruddin. Wszyscy pochodzili z tej samej wioski leżącej w połowie drogi między Groznym a skalnym łańcuchem Kaukazu. Znali się od dziecka. Chodzili do tej samej szkoły, kopali piłkę na tym samym nierównym boisku na łące, kochali się w tych samych dziewczynach.

Żołnierzami zostali przed pięcioma laty, kiedy rosyjskie pułki pancerne wdarły się do Groznego, żeby poskromić Czeczenów, którym zamarzyła się niepodległość. Skrzyknęli się z innymi kolegami z rodzinnej wioski i utworzyli własny oddział. Na dowódcę wybrali Ałmana, jemu ufali najbardziej. Mieli wtedy po dwadzieścia kilka lat i żadnego życiowego doświadczenia.

Asfaltowa, nierówna droga biegła początkowo przez płaską zieloną równinę, po czym lekko zakręcając, zanurzyła się w rzadkim zagajniku. Rozstrzelane, potrzaskane pociskami, pokaleczone drzewa stały zszarzałe i nieruchome.

Jechaliśmy bez słowa. Mansur spał na siedzeniu obok mnie, Omar z przodu, koło kierowcy, nieobecny i zadumany, dłubał ostrzem noża w zamku spoczywającego mu na kolanach karabinu, a Musa, znad kierownicy, zerkał w lusterko, by upewnić się, czy jadący za nami drugim samochodem Nuruddin nie zostaje zanadto z tyłu.

Na rogatkach Groznego zwolniliśmy, a Czeczeni uchylili okna w samochodach i wysunęli lufy karabinów.

W ciepłym, jesiennym słońcu nawet wąwozy zgliszcz i rumowisk dawały ułudę budzących się do życia, pełnych wigoru i nadziei. Dopiero o zmierzchu, który zapadał nagle i jakby znienacka, zmieniając tonację i klimat, zburzone miasto znów stawało się upiornym cmentarzyskiem, pogrążonym w groźnym mroku, przez który, jak zjawy, przemykały ludzkie postacie.

Grozny ledwie przypomina! miasto znane mi z wcześniejszych podróży. Beztroskie, zadzierające nosa i zachwycone sobą, rozwrzeszczane i zapędzone, niechętnie udające się na spoczynek, jakby czas przeznaczony na sen uważało za zmarnowany. Szerokie, wysadzane drzewami ulice zdawały się nigdy nie pustoszeć. Dzieciaki biegały z piskiem wokół chlapiących wodą fontann, a młode pary kryły się w cieniu parkowych alei. Śródmiejskie ulice i knajpy przez całą noc rozbrzmiewały gwarem i pulsowały dyskotekową muzyką, która skutecznie zagłuszała głosy muezinów wzywające górali na modlitwę w meczetach. Wódka lała się strumieniami.

Wojna, która przetoczyła się przez miasto, zniszczyła je i okaleczyła jego mieszkańców. Wypaliła pożarami od środka secesyjne kamienice, a ich mury poraniła tysiącami pocisków, tych ran było zbyt wiele, by zdążyły się zabliźnić.

Miasto, choć tak niepodobne do siebie, starało się jednak żyć po dawnemu. Wojna zabija wszystko oprócz iluzji, która – nieśmiertelna – pozostaje jako jedyny ratunek i jedyna ucieczka od rzeczywistości.

Szukając drogi i omijając leje po bombach, niekończący się strumień samochodów sunął wśrod ruin jak rzeka swoim zapamiętanym korytem. Pod murami okopconych, wymarłych domów uwijali się przekupnie i straganiarze, wyrywając sobie z rąk towary i pieniądze. Niedbale zbite

z desek i dykty szaszłykarnie i knajpy tonęły w oparach pieczonego mięsa, kwaśnego piwa i marnego tytoniu.

Gdy zbliżaliśmy się do wiaduktu w alei Awturchanowa, Mansur kazał Musie zwolnić. Szturchnął mnie w ramię.

– Tu walczyłem… I tu też… w grudniu, gdy broniliśmy miasta… Wszędzie walczyliśmy – poprawił się po chwili. – A w sierpniu dziewięćdziesiątego szóstego zajęliśmy całe miasto. Stare80dzieje. Byliśmy bohaterami, co, Musa?

W głosie Mansura pobrzmiewały smutek, tęsknota, wątpliwości i rozczarowanie. Wracającym z wojen świat zazwyczaj wydaje się za mały, a ich myśli odbiegają zbyt daleko.

– Tu spotkałem kiedyś Amerykanów – ciągnął Mansur, podniecony moją zachłanną uwagą. Od dawna nie miał okazji mówić o tych sprawach, o pięknych czasach chwały i śmierci.

– Przyszli do mnie, żeby ich przeprowadzić pod pałac prezydencki. Moskiewska telewizja podała, że Rosjanie już go zdobyli. Amerykanie pytali, czy to prawda? Powiedziałem, że nie, że nasi dalej się bronią. Na to oni, żeby ich tam zaprowadzić, żeby mogli sfilmować i pokazać w nocnym dzienniku, że to ważne. Obiecywali pieniądze. Przeprowadziłem ich pod pałac, zaułkami, podwórkami. Piwnicami i kanałami można było przedostać się w prawie każde miejsce. Żyliśmy jak szczury. A wokół nic tylko ogień i rozrywające się bomby. Doprowadziłem ich tam i z powrotem, nikomu nic się nie stało. Byli bardzo zadowoleni - Mansur urwał i podrapał się za uchem, jakby lekko zażenowany. – Wtedy pierwszy raz dałem się kupić – zerknął na mnie spod oka, ciekawy reakcji. – Tanio się nie sprzedałem!

– Ciebie też upilnujemy, spokojna głowa! – rzucił Musa. Roześmieli się wszyscy.

Mansur był wtedy dowódcą kompanii w oddziale Ałmana. Umiał strzelać, znał się na wojsku, ale wojnę widział dotąd jedynie na filmach.

Nie mieli czasu na naukę ani na zastanowienie. Na wahanie też.

– Kiedy każdej minuty musisz walczyć o życie, szybko się uczysz, jak przetrwać. Większość naszych zginęła właśnie na początku wojny, zanim zdążyli się nauczyć, jak żyć… jak zabijać, żeby żyć. Były chwile, gdy

myślałem, że to już koniec, że już z tego nie wyjdę. I czasami chciałem, żeby to był koniec, żebym nie musiał przeżywać tego wszystkiego ciągle od nowa.

Przez dwa miesiące Rosjanie bombardowali Grozny. Z dział, czołgów, samolotów, śmigłowców. Mansur, Musa i Omar chowali się po piwnicach, ale przecież musieli wychodzić na powierzchnię, żeby zagrodzić Rosjanom drogę do miasta. Wszystko dookoła stało w ogniu, budynki waliły się na ich oczach. Mimo zimy na ulicach było gorąco od pożarów. A huk panował taki, że z uszu szła krew.

– Czasami sam się dziwię: czy to naprawdę byłem ja? Naprawdę przez to wszystko przeszedłem? Albo tam, pod dworcem kolejowym – Mansur pokazał palcem w stronę dworca, którego w ciemnościach i tak nie było widać. – Rosjanie przebijali się do śródmieścia pancernymi kolumnami. Przepuszczaliśmy je, żeby im odciąć drogę, otoczyć i wybić. Przed dworcem rozwaliliśmy czołg dowódcy i cała kolumna poszła w rozsypkę. Dla nas, znających miasto, zajść czołg i zniszczyć go nie było żadnym problemem. Oni natomiast za życia trafili do piekła. Miotali się tymi czołgami jak bezbronni ślepcy. Nie mieli pojęcia, gdzie są, nie widzieli nas ze swoich peryskopów, a my mierzyliśmy do nich z dachów i wyższych pięter. Jeden uciekał nam parę godzin, zanim w końcu podpaliło go kilku gówniarzy. Jeszcze dziś mam przed oczami tych żołnierzy. Wypełzali z płonących czołgów i wozów pancernych, chowali się pod pancerzami. Strzelali na oślep w powietrze, dopóki nie skończyły im się pociski. Wyli, przeklinali, szlochali, wołali „mamo!”. Myśmy nie marnowali kul. Żal mi ich było, ale wojna to wojna. Wiele rosyjskich czołgów wpadło wtedy w nasze ręce. Na chodzie, zupełnie nieuszkodzonych. Przemalowywaliśmy je na biało, żeby nasi snajperzy do nich nie strzelali.

W islamie biel jest barwą żałoby.

Po Nowym Roku plac przed pałacem tak zawaliły spalone czołgi i wozy pancerne, że nie sposób było chodzić. Wszędzieleżały sterty rosyjskich trupów.

– Nie wiem, ile ich mogło być, tysiące. W kilka dni wystrzelaliśmy w Groznym całą rosyjską armię. Mówiliśmy im, żeby zabrali swoje trupy,

bo psy łażą po ulicach i pożerają zwłoki. Posmakowały ludzkiego mięsa, już nie uciekały z podkulonymi ogonami, patrzyły na ludzi jak na łowną zwierzynę. Musieliśmy je potem wybijać, żeby całymi watahami nie atakowały przechodniów.

Dziewiętnastego stycznia dziewięćdziesiątego piątego, o świcie, Czeczeni postanowili nie bronić dłużej pałacu prezydenckiego. Po prawie trzech tygodniach nieustannych bombardowań był już tak zniszczony, że przebywanie w nim groziło śmiercią. Ciężkie bomby, przystosowane do niszczenia betonowych bunkrów i pasów startowych na lotniskach, wypatroszyły od środka kilkunastopiętrowy budynek, z którego pozostały tylko opalone i pogruchotane kikuty murów. Bomby przelatywały przez kondygnacje jak ciskane z góry kamienie i wybuchały coraz głębiej w ukrytych pod ziemią piwnicach. Nie było już czego bronić.

– Nocą nasz dowódca, Ałman, został wezwany na naradę do pałacu. Wrócił i powiedział, że się wycofujemy.

Zrobiło się ciemno, twarz Mansura wyłaniała się z mroku, oświetlana reflektorami mijających nas samochodów.

– Mówił jeszcze, że prezydent prosił, żeby się nie martwić, bo jego pałac to tylko budynek, taki sam jak inne, tylko trochę wyższy. I że w Czeczenii każda chałupa jest pałacem prezydenta.

Omar drzemał na siedzeniu obok kierowcy. Zamyślony Musa nucił coś pod nosem, nie zwracając na nic uwagi.

Wąwozy ruin urwały się na przedmieściach, a w księżycowej poświacie niespodziewanie wyrósł nad miastem szkielet wypalonego wieżowca.

– To była rafineria, tam pracowałem – skinął głową Mansur.

Miał wielkie plany. Chciał być znanym inżynierem geologiem, szukać na Kaukazie ropy naftowej, pisać rozprawy naukowe, jeździć na międzynarodowe konferencje. Na Kaukazie ropa przyniosła fortuny tysiącom śmiałków, którym nie zabrakło odwagi i szczęścia. Mansur uważał, że jemu też powinno się udać. Chciał być kimś, marzył o życiu nie tylko dostatnim i godnym, ale ciekawym, można powiedzić – światowym.

Po wojnie wyjechał z kraju. Teraz myślał już tylko o jednym – jak wywieźć z kraju rodzinę. Po to właściwie wrócił. Przeczuwał nadciągającą nową katastrofę. Wiedział, że straszliwa wojna wraca, że jest tuż-tuż. Wiedział też, że jeśli zostanie, jeśli nie uda mu się namówić rodziny do ucieczki, znów będzie musiał walczyć. A nie był pewien, czy jeszcze raz będzie gotów zmierzyć się z koszmarem. Już na samą myśl o tym ogarniało go przerażenie. Nie przyznawał się do tego przed Omarem ani Musą. Ale kiedy byliśmy sami, nie wstydził się swoich wątpliwości i obaw.

Po bombardowaniach zdobyte miasto zostało oddane na łaskę zaciężnych żołnierzy. Rozbijali się po ulicach gąsienicowymi pojazdami, miażdżąc stojące im na drodze kramy i samochody. Byli panami życia i śmierci. Każdy dorosły mieszkaniec miasta w każdej chwili mógł zostać wtrącony do lochu, gdzie go czekały upokorzenia, tortury, a nierzadko śmierć.

– W czasie wojny za wydanie ciał naszych żołnierzy Rosjanie żądali okupu. Potem ludzie sami zaczęli handlować żywymi. Na żywych można lepiej zarobić.

Dopiero po apokalipsie miasto dorównało nazwie, którą proroczo nadali mu przed wiekami rosyjscy zdobywcy i osadnicy. Samą twierdzę nazwali Groznaja, miasto – Grozny, a więc Groźny, Straszliwy, Przerażający. Miasto bezprawia i bezwzględnej przemocy. Miasto bez urzędów, bez sądów i bez policji, gdzie nie działa absolutnie nic, a jego mieszkańcy są zdani wyłącznie na siebie. Sami zdobywają pożywienie, sami, z karabinami w ręku, dbają o bezpieczeństwo i dochodzą sprawiedliwości. Miasto, które widziało tyle okrucieństwa, że nie stać go już na współczucie. Miasto z piętnem śmierci, gdzie ludzkie życie zostało odarte z wszelkiej mistyki i sprowadzone do kategorii towaru.

Wojnę czuło się wyraźnie w powietrzu, widziało w niespokojnych twarzach mieszkańców miasta, w ich nerwowych, gwałtownych gestach i ruchach. Od kilku dni przyjezdni rozpowiadali po stołecznych bazarach, że chłopi z gór zaczęli sprzedawać stada, co zawsze było niechybnym znakiem nadciągającej wojny.

Rosyjskie wojska bez uprzedzenia przekroczyły granicę Czeczenii

i powoli suną na południe, w kierunku gór, zajmując kolejne stanice, drogi, mosty i wzgórza. Mówił o tym w telewizji sam premier Rosji, Władimir Putin.,,To oczywiste, że nasze wojska stoją w Czeczenii. A cóż w tym dziwnego? Są przecież u siebie. Nie ma znaczenia, czy nasi żołnierze są dziś kilometr bliżej, czy dalej. Czeczenia jest przecież częścią Rosji, nie dzielą nas żadne granice, które by trzeba przekraczać".

Ale ludzie już dawno nauczyli się nie wierzyć telewizji.

Rosyjskich żołnierzy widziano pod Bamutem, a ich czołgi, wozy pancerne i artyleria stanęły już ponoć na brzegu rzeki Terek, gdzie zatrzymały się w oczekiwaniu na kolejne rozkazy. Wszyscy zachodzili w głowę, co zrobią dalej. Marsz na południe tak samo wydawał się samobójczym gestem jak rejterada na północ. A może – zastanawiali się Czeczeni – Rosjanie okopią się na nadtereckich wzgórzach i wyznaczą tam nową granicę? Zabiorą sobie równinne stepy – będzie to cena za wolność – górskie wąwozy zaś oddadzą Czeczenom, by żyli tam sobie, jak chcą, byleby im samym nie wchodzili w drogę.

Ten brak rozeznania zamierzeń, a także świeża pamięć o koszmarze dopiero co przerwanej wojny i strach przed popełnieniem czegoś nieodwracalnego sprawiały, że na razie nigdzie nie dochodziło do walk. Mieszkańcy miasta, choć przeczuwali najgorsze, jeszcze odpędzali złe myśli i sami siebie przekonywali, że wszystko się jakoś ułoży, że musi się przecież znaleźć jakieś rozwiązanie.

Byłem spokojny i zadowolony z siebie, pewny, że uda się wszystko, co zamierzyłem.

Wielka wojna nadciągała jak ciemna burzowa chmura, a ja zdążyłem jeszcze przed pierwszymi kroplami. Przekroczyłem granicę, zanim wraz z wybuchem wojny została zamknięta na głucho.

Znalazłem się w dobrym miejscu, by wszystkiemu przyjrzeć się z bliska. Niemal na samej scenie. I w dobrym czasie – tuż-tuż przed rozpoczęciem dramatu. Miałem też przewodnika, tłumacza i opiekuna – Mansura i jego drużynę. Za ustaloną zawczasu opłatę podjęli się nie tylko strzec mnie, ale wszędzie i do każdego doprowadzić, wszystko ułatwiać, usuwać przeszkody.

W Czeczenii, którą jednego dnia można przejechać wzdłuż i wszerz, wszyscy wydają się ze sobą spokrewnieni, a przynajmniej znajomi. Tylko dzięki więzom krwi lub przyjaźni dawało się jakoś tu przeżyć. Dziś ty mnie, jutro ja tobie. Na Kaukazie górale, żeby zrobić wrażenie na obcych albo wywyższyć się nad sąsiadów, przechwalają się koneksjami i wpływami. Mansur zaś zachowywał umiar, co jemu dodawało wiarygodności, a mnie nadziei.

Zdawało się, że nic nie jest już w stanie przeszkodzić, bym stał się naocznym świadkiem historii, bym sam jej doświadczył, zamiast poznawać ją jedynie z cudzych relacji. A przez to moje świadectwo i moja opowieść będą prawdziwe. Prawdziwsze.

O to przecież szło. Być jak najbliżej, przekonać się, co jest za zakrętem, dotknąć samemu, sprawdzić, jak to jest naprawdę. Nie po to, żeby coś przeżyć, z czymś się zmierzyć, ale żeby po prostu doświadczyć, wczuć się w rolę, cudzą rolę. A potem zdaćź tego sprawę. Jak bowiem ukazać koszmar, samemu go nie przeżywając? A strach? Triumf? Jak opisać ślepy zaułek, jeśli nie oglądało się go nawet z daleka?

Nieraz staję przed pytaniem, co warta jest dobra opowieść i czy ma sens narażać się dla niej, ryzykować życie, płacić udrękami najbliższych.

Tak naprawdę wcale nie chodzi jednak o opowieść, ale o prawdziwość i uczciwość tego, co się robi. To zaś nie poddaje się żadnym kosztorysom. Uczciwość wobec siebie, wobec tych, dla których ma być opowieść, a także, może przede wszystkim, wobec tych, o których ona będzie. Opowieść zdawkowa, powierzchowna, byle jaka zdradza lekceważenie innych i całkowitą, wzgardliwą obojętność, również żałosny brak szacunku dla samego siebie, dla tego, co się robi, własnego życia.

Opowieść jest, powinna być, odległym szczytem, a do wspinaczki na wierzchołek popycha już choćby to, że ten szczyt istnieje.

Uznając, że opowieść to cel najważniejszy, dla jej zdobycia powinno się poświęcić właściwie wszystko. Nie licząc się z niczym i z nikim, rzucić się w sam środek wydarzeń, żywiołów, kataklizmów wojennych, badać je, dotykać, chciwie chłonąć i wracać dopiero, gdy nasyciwszy się nimi i dokładnie poznawszy, jest się gotowym do napisania dobrej

opowieści.

Ale pozostaje jeszcze odpowiedzialność za innych. Zobowiązania i ograniczenia, będące skutkiem wcześniejszych decyzji i czynów. Sama myśl o konsekwencjach powstrzymuje przed działaniem, każe się zatrzymać w pół kroku. Zmusza do kompromisu, rezygnacji.

Pozostają też wieczne rozterki i wątpliwości: czy rezygnacja, a więc jakaś forma ofiary, zostanie dostrzeżona i doceniona, czy cokolwiek zmieni, cokolwiek poprawi. Czy było warto? I za jaką cenę? Nie opowiadać, ale rezygnować z opowiadania.

Ci, co czują się skrępowani odpowiedzialnością za innych, często sami rezygnują i nigdy nie doznają radosnego uniesienia, które zawsze daje przywilej otarcia się o prawdę.

Ci zaś, co nie czują się związani odpowiedzialnością za nikogo, zazwyczaj cierpią samotność.

Sztab czeczeńskiego prezydenta mieścił się w kilkupiętrowej kamienicy w zburzonym śródmieściu i jako jedyny chyba odnowiony w okolicy budynek nie pasował do niej w żaden sposób. Na pobojowisku, wśród ruin i pogorzelisk najbardziej kłuła w oczy gładkość pobielonych murów i zamieciona ulica dojazdowa, przegrodzona w połowie betonowymi zaporami.

Przed sztabem wiecznie coś się działo. Wbiegali i wybiegali posłańcy i wartownicy, wzbijając obłoki kurzu, podjeżdżały samochodami orszaki ważnych komendantów i ministrów. Wysypywali się z nich brodaci i długowłosi żołnierze, w malowniczych kapeluszach i chustach, obwieszeni karabinami i granatami. Otaczali najważniejszy z pojazdów i gotowi własnym ciałem przeciąć lot pocisku, szukali wzrokiem po dachach i zaułkach potencjalnych zamachowców i porywaczy. Po krótkiej, pełnej nerwowego oczekiwania chwili rozstępowali się, robiąc przejście swojemu przełożonemu lub przywódcy, za którego mieli oddawać życie tak samo bez zastanowienia, jak wykonywali wszystkie jego rozkazy.

Żołnierze i komendanci, a także zwyczajni mieszkańcy miasta nie wyglądali na przerażonych wieściami o nadciągającej wojnie. Żołnierze sprawiali wrażenie zaprawionych w bojach weteranów, cywile zaś

szykowali się do wojny jak do czegoś, co jest nieuniknione, ale wcale nie musi być katastrofą. Tak jak rolnik przygotowuje się do najsurowszej nawet zimy, wiedząc, że musi ją po prostu przetrwać.

Wyraźnie brakowało jednak tego czegoś nienazwanego, ulotnego, ale jakże dobrze wyczuwalnego – poczucia jedności i siły wobec śmiertelnego zagrożenia. Było to aż nadto widoczne szczególnie dla tych, którzy pamiętali wybuch poprzedniejwojny.

A jakże, prezydent Maschadow ogłosił mobilizację, do miasta codziennie ściągały więc z gór nowe oddziały ochotników, ale nie było w tym wszystkim wiary w zwycięstwo, pasji ani pewności siebie. Odnosiło się wrażenie, że czeczeńscy przywódcy nawet nie starali się wpłynąć na sytuację, raczej czekali na Rosjan, by to oni coś postanowili, coś rozstrzygnęli, podjęli jakąś decyzję.

Rosjanie i Czeczeni przypominali dwóch sposobiących się do nowej walki pięściarzy, którzy stoczyli już wiele pojedynków i wiedzą o sobie wszystko. Znając zaś siebie na wylot, wszystkie atuty i słabości, wyczekują na pierwszy ruch rywala, by to on przejął śmiertelne ryzyko pierwszego uderzenia.

Osman, właściciel małej kafejki przy alei Awturchanowa, gdzie przesiadywaliśmy, zabijając czas w oczekiwaniu na umówione spotkania, co wieczór słuchał tranzystorowego radia, by się dowiedzieć, jakie plany ma Rosja. Osman uważał, że do wojny wcale nie dojdzie, a jeśli już, to zakończy się ona klęską Rosji. Nikomu nie mieściło się w głowie, by czeczeńscy wojownicy pozwolili bezkarnie Rosjanom zajmować ich kraj kawałek po kawałku. Atak na Grozny – przekonywał – będzie oznaczał konieczność ulicznych walk, w których uzbrojeni w karabiny i bazooki czeczeńscy partyzanci będą dla rosyjskich czołgów nieosiągalnym, za to śmiertelnie groźnym przeciwnikiem. Zresztą – powiadał Osman – nowy rosyjski premier nie jest tak głupi, jak mówią, bo wczorajszego wieczora znowu zapowiedział, że jego wojska będą unikać bitew z Czeczenami.

Pełen niecierpliwości i wiary był też Apti Batałow, szef prezydenckiej kancelarii, w jego gabinecie przesiadywałem nieraz, czekając na audiencje u Asłana Maschadowa. „Niechże zaatakują, niechże raz wszystko będzie jasne. Poczekamy na nich w mieście i zgotujemy im

krwawą łaźnię" – powtarzał, tryskając rozpoznawalnym z daleka, urzędowym optymizmem.

Z okien prezydenckiej kancelarii nawet przy pochmurnej pogodzie widać było wzgórza, które oddzielały miasto od odległej o jakieś dwadzieścia kilometrów rzeki Terek. Rosjanie stali już nad Terekiem, a teraz ich czołgi pięły się na otaczające miasto pagórki. Z ich wierzchołków mogłyby je nawet ostrzeliwać.

Gabinet Batałowa był ogromny. Zastawiony ciężkimi, ponurymi meblami, tonął w kurzu i zapachu starości. Posępny nastrój kancelarii pogłębiał wieczny mrok, w jakim najwyraźniej uwielbiał przebywać Batałow. Ciemne zasłony odpędzały jasne i ciepłe promienie jesiennego słońca.

Batałow, łysawy i dość tęgi mężczyzna w średnim wieku, bez przerwy uwijał się przy telefaksie. Od kilku już dni nie mógł połączyć się z Moskwą, z Kremlem. Telefon Wołoszyna, szefa kancelarii prezydenta Rosji, milczał albo słuchawkę podnosiła któraś z sekretarek, tłumacząc, że szefa nie ma, że nie wie, kiedy będzie i że wszystko przekaże. Bez odpowiedzi pozostawały przesyłane telefaksem oświadczenia i propozycje zażegnania konfliktu, wymyślane przez Asłana Maschadowa, który chcąc uniknąć wojny z Rosją, odcinał się od dagestańskiej awantury Szamila Basajewa i zabiegał o spotkanie lub przynajmniej rozmowę z prezydentem Rosji.

Wyczulony na punkcie honoru i godności, bał się jechać do dalekiej Moskwy bez zaproszenia, bez pewności, że zostanie tam powitany i podjęty z należnym szacunkiem. Wielu namawiało go do tego, błagając, by nie myślał o sobie, lecz ratował kraj przed wojną. Maschadow jednak czekał na zaproszenie z Moskwy, chciał uniknąć choćby podejrzenia, że zląkł się Rosji i że jest gotowy składać jej wiernopoddańcze hołdy. Jego rodacy, tak przynajmniej sądził, nigdy by mu tego nie wybaczyli.

To rosyjskie milczenie niepokoiło coraz bardziej Aptiego Batałowa. Przypominało bowiem historię sprzed pięciu lat, gdyrosyjskie wojska również maszerowały na Grozny, a czeczeński prezydent, Dżochar Dudajew, nie mógł się doprosić audiencji u Jelcyna. Wtedy też nie sposób było dodzwonić się na Kreml, nie sposób cokolwiek ustalić, wyjaśnić.

Nie dało się powstrzymać wojny.

Poprzedniego dnia w rosyjskim dzienniku telewizyjnym pokazano nowe wystąpienie premiera Putina, który zdecydowanie przejmował od Jelcyna kremlowskie berło. Stary prezydent coraz częściej chwalił go za odwagę i zdecydowanie, podobało mu się, że młody premier, by osiągnąć cel, nie zawaha się przed niczym. Teraz zaś Putin oskarżał Czeczenów i Maschadowa o ukrywanie terrorystów, którzy podkładali w Rosji bomby. Domagał się ich wydania i dopiero wtedy – grzmiał –,,może wycofamy wojska i wezwiemy do Moskwy Maschadowa".

– No przecież właśnie w tej sprawie przez pół dnia słałem wczoraj telefaksem listy na Kreml – ze złości Batałow spurpurowiał na twarzy. – Ogłosiliśmy, że jesteśmy gotowi wpuścić do Czeczenii zagranicznych kontrolerów, z ONZ, z Europy, Ameryki, nawet z Afryki, żeby przyjechali i przekonali się na własne oczy, że nie ma u nas żadnych terrorystów. To chyba uczciwe postawienie sprawy. Dlaczego o tym nie mówi się ani słowa?

Narzekał, że w głowie kłębią mu się czarne myśli. Wiadomo – w bałaganie panującym na Kremlu mogło się zdarzyć, że jakaś sekretarka zapodziała przysyłane z Groznego rozpaczliwe listy Maschadowa, że zawieruszyły się gdzieś pod papierami. Zrozumiałe też, że kremlowskim urzędnikom, zajętym bez reszty sprawami sukcesji po Jelcynie, ani w głowie były sprawy Kaukazu. Co jednak, jeśli miałoby się okazać – a nie brakowało i takich opinii – że wojna w Czeczenii nie jest wcale wynikiem panującego bezkrólewia czy czyjegoś zaniedbania, lecz intrygi, precyzyjnie zaplanowanej i realizowanej z zimną, żelazną konsekwencją, intrygi, której stawką był Kreml? Jeśli – uchowaj Boże – tak właśnie miałyby się sprawy, to już nic, nic na świecie nie uratowałoby Czeczenów przed nowym kataklizmem.

Wybawieniem od nerwowych utyskiwań Batałowa oraz mroku i kurzu jego kancelarii był świdrujący, podrywający na nogi dzwonek czerwonego telefonu na biurku. Na ten numer mógł dzwonić tylko sam prezydent Maschadow z gabinetu znajdującego się tuż za ścianą. Batałow zrywał się za stołem na baczność, wygładzał zmiętą kurtkę polowego munduru i dawał ręką znak do powstania.

– Prezydent zaprasza – oznajmiał uroczyście, prowadząc w kierunku wielkich, obitych sztuczną skórą drzwi.

Był urodzonym żołnierzem, doskonałym, wzorowym w każdym calu. Nawet Rosjanie, jego późniejsi zaprzysięgli wrogowie, a kiedyś przyjaciele, kompani i towarzysze broni przyznawali, że takich oficerów jak Czeczen Asłan Maschadow było w całej rosyjskiej armii może z pół tuzina. Dobre, stare dzieje, najszczęśliwsze chyba dni w jego życiu. Minęło zaledwie dziesięć lat. Jakby jedna chwila, jednocześnie zaś cała epoka.

Żołnierzem został z woli ojca i starszyzny dumnego szczepu Alirojów, zamieszkującego przed laty wąwozy wśród kaukaskich gór. W podbitej przez Rosjan Czeczenii Aliroje należeli do najniepokorniejszych. Żeby mieć ich na oku, Kreml nakazał przesiedlenie całego szczepu z Kaukazu na nadtereckie równiny. Rozstali się ze swoimi aułami, ale nie z silniejszym ponad wszystko zamiłowaniem do broni, wojaczki i rycerskiego kodeksu honorowego.

Żołnierski stan zawsze cieszył się mirem u wszystkich kaukaskich ludów. Żołnierzy szanowano, podziwiano, słuchano, wybierano na najwyższe urzędy. Generałowie nie musieli tu dokonywać zbrojnych przewrotów, by zdobyć władzę. Ludzie sami im ją powierzali, szczególnie w najtrudniejszych czasach. Ufali, że wojskowi, w ich oczach niemal arystokracja, nie tylko najlepiej zapewnią im bezpieczny żywot, ale starczy im rozumui siły ducha, by rządzić sprawiedliwie, oprzeć się pokusom, jakie niesie ze sobą władza. Dlatego Czeczeni wybrali sobie na prezydenta najpierw lotnika, generała Dżochara Dudajewa, a po nim pułkownika artylerii Maschadowa, Ingusze – generała Auszewa, Karaczaje – generała Siemionowa. O generale kosmonaucie Tołbojewie też napomykano – że może zostać przywódcą Dagestanu, gdyby tamtejszym góralom kazano lub pozwolono wybierać sobie prezydenta. Lezgini i Bałkarzy, śniąc o własnych pan-stwach, widzieli na ich czele generałów Mugudtina Kachrinamowa i Sufjana Bieppajewa.

Dla podbitych przez Rosjan ludów Kaukazu służba w imperialnej armii i biurokracji była najczęściej jedynym sposobem awansu, kariery,

wyrwania się w wielki świat. Ale dla wiecznych buntowników Czeczenów i ta droga była zwykle zamknięta. Kreml nie ufał im i niechętnie wpuszczał na wierzchołek piramidy władzy. Dlatego, choć rodzili się żołnierzami, tak niewielu z nich dosłużyło się w rosyjskiej armii generalskich szlif. Jak na ironię generałem został jednak Dudajew, i to on później stanął na czele czeczeńskiego powstania.

Maschadowowi zaś, żołnierzowi doskonałemu, któremu wojskowa służba tak wypełniała świat, że nie starczało w nim miejsca nie tylko na politykę, ale na nic innego, żołnierzowi wiernemu, zdycyplinowanemu, co by wypełnił każdy rozkaz, temu Maschadowowi nie były pisane generalskie pagony, będące ziszczeniem jego największych marzeń. Generałem mianował go dopiero Dudajew jako przywódca czeczeńskiego powstania. To jednak nie było to samo.

Zdaniem jego starego przyjaciela, pułkownika Wasilija Zawadzkiego, jeśli komuś w rosyjskiej armii należał się awans na generała, to przede wszystkim Maschadowowi. Był jednak zbyt doskonały, jego wzorowość kłuła w oczy przełożonych i kolegów. Jakby nie z tego świata, całkiem niedzisiejszy. Przypominał raczej książkowe postacie, oficerów z armii Aleksandra i Bonapartego, może wręcz rycerzy Camelotu. Nawet nie przeklinał.

Już na studiach w akademiach wojennych w Tbilisi i Leningradzie okrzyknięto go dziwakiem, fanatykiem. Asłan nie biesiadował, nie bywał na zabawach. Nie chodził też na ryby ani do teatru czy na wódkę. W ogóle niczym się nie interesował, niczym nie zajmował – poza nauką i żołnierką. Wciąż ćwiczył i ćwiczył. Jeśli czytał, to książki o wielkich dowódcach, słynnych bitwach albo taktyce działań artylerii czy teorii prowadzenia ognia artyleryjskiego.

Wciąż był na służbie. Inni stawali się żołnierzami, on się nim urodził, wojsko było jego życiem, a naturalnym środowiskiem rozkazy, musztra, paradne mundury, zapach broni, mordercze manewry, ćwiczenia i pochody. Każdy oddział, jaki mu powierzano – nad Ussuri, w węgierskim Szegedzie, w Wilnie – stawał się wkrótce najlepszy w pułku, dywizji, armii. Tak już miało być do samego końca.

– Kiedy Graczow dostał awans na dowódcę dywizji, w którejś z gazet

wydrukowano zdjęcie, jak podczas porannej gimnastyki biegnie z żołnierzami – wspominał jesienią dziewięćdziesiątego dziewiątego podczas naszej przedostatniej, a ostatniej w jego prezydenckim gabinecie w Groznym, rozmowy. Wracał do tych starych spraw, nie potrafiąc zamknąć przeszłości, która wobec dnia obecnego wydawała się tak nieważna. Rosyjskie wojska podchodziły już pod miasto. Na północy stały nad Terekiem, a pancerne kolumny powoli ściągały ze wschodu i zachodu, zamykając pierścień oblężenia. Na ulicy pod pałacem prezydenckim od świtu zbierali się obwieszeni karabinami brodaci wojownicy. – U mnie biegaliśmy tak zawsze, żołnierze, podoficerowie, dowódcy. A ja razem z nimi.

W grudniu dziewięćdziesiątego czwartego generał Paweł Graczow, już jako rosyjski minister wojny, wydał swojej armiirozkaz najazdu na Czeczenię. Kremlowskim zwierzchnikom obiecywał, że podbije Kaukaz w kilka dni. Po dwóch latach krwawej wojny pobite i upokorzone rosyjskie pułki dostały nowy rozkaz, do powrotu. Ich pogromcami okazali się kaukascy górale, dowodzeni przez pułkownika Maschadowa.

Kiedy jego pułk wyruszał na ćwiczenia polowe, Maschadow zarządzał odprawę, jakby wybierał się na najważniejszą z wojen. Żołnierze mogli stać na placu dwie, trzy, cztery godziny, pół dnia, jeśli czegoś brakowało, coś było nie tak. Musiały się znaleźć wszystkie niezbędne siatki maskujące, manierki, łopatki saperskie, prysznice polowe. A gdy ich nadal nie było, kazał je przygotować domowym sposobem, tyle że w rozmiarach i barwach przewidzianych wojskowym regulaminem.

Pułkownik Zawadzki wspominał w jednej z rosyjskich gazet wymarsz na zimowy poligon na Litwie. Podczas przeglądu pułku okazało się, że zabrakło białych brezentowych osłon do karabinów, by były niewidoczne dla przeciwnika.,,Nad Bałtykiem śnieg w lutym bywa rzadko. Asłan wydał rozkaz «rozejść się», wezwał mnie do siebie i ostro rzucił: Gdzie brezent? Próbowałem go ułagodzić. Gdzie ty widzisz śnieg? – pytam. On zaś na to: a jaki mamy miesiąc? No, luty. A jaka to pora roku? No, zima. To trzeba zachowywać się tak, jakby to była zima. W końcu poszyliśmy te osłony ze starych prześcieradeł. U Asłana wszystko musiało być jak należy. To straszny skrupulant".

Podziwiano go i zazdroszczono mu. Nie tylko talentów, ale także tego, że wszystko, co osiągnął, zawdzięczał wyłącznie sobie, a nie wpływowym kuzynom czy przyjaciołom w najwyższym dowództwie. Każda jednostka, którą mu powierzano, w krótkim czasie stawała się najlepsza, wzorowa pod każdym względem. Jego wojsko spędzało czas na poligonach, strzelnicach, placach musztry, boiskach i w salach gimnastycznych. Żołnierze z innych oddziałów po służbie oddawali się nieróbstwu lub ulegali pokusie gorzałki. A wojsku Maschadowa nawet czas wolny od ćwiczeń fizycznych wypełniały nieustanne egzaminy, zawody, pogadanki, wieczornice. Maschadow sam, na równych prawach z żołnierzami, uczestniczył we wszystkich konkursach. Zmuszał też do tego swoich oficerów. Każdy żołnierz był nieustannie oceniany, chwalony za postępy, ganiony za ich brak.

Wydawał się bez wad. I nie lubiano go za to. Dowódcy innych oddziałów, którzy wciąż przegrywali z nim w rozmaitych rankingach i sprawdzianach, którzy we wszystkim mu ustępowali, nie cierpieli go za tę jego gorliwość, za ciągłe zawyżanie poziomu, zmuszanie do niepotrzebnego wysiłku.

Przeklinali go także właśni żołnierze. Ocaleni od zabójczej w wojsku bezczynności, poczucia zaniedbania i całkowitej bezużyteczności, dusili się jego ciągłą opieką i obecnością, ciągłą kontrolą. Bali się też surowych kar, jakie na nich spadały za najmniejszy już nawet nie tyle brak posłuszeństwa, ale i najdrobniejsze zaniedbanie.

Może właśnie ta kłująca w oczy doskonałość i brak protektora zadecydowały, że nie osiągnął tego, do czego był stworzony.

Wtedy jednak, na Węgrzech, czuł się panem świata, a życie wydawało się piękne. Służba w którymś z wasalnych państw imperium Związku Radzieckiego należała do najbardziej prestiżowych z punktu widzenia kariery, a także atrakcyjnych życiowo. Wschodnie Niemcy, Czechosłowacja czy Węgry to nie smutne garnizony znad Wołgi lub znad Bałtyku. Było tam ciepło, bogato, czuło się przestrzeń.

Wróżono mu wspaniałą karierę. Nawet gdy z Moskwy nadszedł rozkaz o przeniesieniu z węgierskiego Szegedu na Litwę. Teraz pojedziesz na jakiś czas do kraju – przepowiadano – po to tylko, żeby

wrócić na Węgry, ale już, kto wie, może nawet jako dowódca artylerii w całej Południowej Grupie.

Na Węgry już jednak nie wrócił. Nie zdążył. Szczęście, które96mu dotąd tak nieprzyzwoicie sprzyjało, porzuciło go, jakby zawstydzone. Opuściło także Związek Radziecki, który Czeczen Maschadow przywykł uznawać za swój kraj. Ale wtedy jeszcze nie przypuszczał, że jest to dopiero początek smuty, a on i jego rówieśnicy staną się straconym pokoleniem czterdziestolatków, co przyszli na świat zbyt późno, by dojść w życiu na sam szczyt, i za wcześnie, żeby nie mając nic do stracenia, zostać po prostu bohaterami.

Litwa ogłosiła niepodległość, a stacjonujące na jej terytorium rosyjskie wojska znalazły się na obczyźnie. Jak wcześniej na Węgrzech, w Polsce, w Niemczech. Nikt ich już tam nie potrzebował, nikt o nie nie dbał, nikt się już nie bał, nikt nie dawał nic za darmo. Zewsząd się domagano, by wyjechały jak najszybciej. Z Europy ruszyły powoli na wschód całe pociągi ewakuowanych rosyjskich garnizonów, rabowanych i rozprzedawanych po drodze przez własnych dowódców. Potężna, niezwyciężona armia rosyjska wracała do kraju w upokorzeniu i biedzie. W domu nikt na nią nie czekał, nie witał, nie martwił się kłopotami żołnierzy i nie przejmował się tym, co z nimi będzie, co poczną.

Wileńska dywizja Maschadowa miała zostać rozwiązana, a pułk dział samobieżnych, którym dowodził, przeniesiony gdzieś na bagna pod Leningradem, teraz na powrót nazwanym Sankt Petersburgiem. Maschadowowscy kanonierzy wraz z rodzinami z ciepłych, wygodnych koszar w Wilnie mieli trafić do rozstawionych na leśnym pustkowiu namiotów.

Maschadow, wybrany na przewodniczącego zebrania oficerów, mimo kłopotów i totalnego bałaganu po staremu wymagał od wszystkich – a zwłaszcza od siebie – nienaganności. Jego nieustanne pytania i ciągłe żądania wywoływały tylko irytację przełożonych, bezradnych, czasami zaś zbyt pochłoniętych swoimi zmartwieniami i swoim losem, żeby się jeszcze czymkolwiek przejmować.

W czasach, gdy licytowano się niegodziwością, wzorowość i rycerskość Maschadowa, zawsze tak drażniące jego towarzyszy broni,

stały się nie do zniesienia. Nagle błyskotliwa kariera czeczeńskiego pułkownika, dla którego poza doskonaleniem wojskowego rzemiosła nie liczyło się nic ani nikt, stanęła pod znakiem zapytania. Zaczęły się wieczne pretensje o brak tego czy owego, wypominanie, wtrącanie się we wszystko.

Wreszcie, na którejś z narad, stało się to, co się po prostu stać musiało. Publicznie upokorzony Maschadow napisał raport z prośbą o zwolnienie ze służby. Nie wierzył chyba, że armia nie opowie się po jego stronie, że pozbędzie się go, ot tak, w końcu brakowało mu już tylko jednego orderu, by zostać Bohaterem Związku Radzieckiego. Zwykle takie sprawy ciągnęły się całymi miesiącami. W wypadku Maschadowa armijna biurokracja wykazała się jednak wyjątkową sprawnością. Odpowiedź nadeszła już po trzech tygodniach: przeniesiony do rezerwy. Na pożegnalne przyjęcie, które wyprawili na jego cześć przełożeni, nie przyszedł.

Po latach, gdy przyłączył się do czeczeńskich powstańców i został szefem ich sztabu, urzędnicy na Kremlu, chcąc go oczernić, próbowali przypisać mu udział w tłumieniu buntu Litwinów, którzy w styczniu dziewięćdziesiątego pierwszego wyszli na ulice Wilna, by raz jeszcze zażądać wolności. W Moskwie rozpuszczano plotki, że Maschadow rozkazał swoim kanonie-rom strzelać do demonstrantów zebranych przed wieżą telewizyjną w Wilnie.

Maschadow, wzorowy żołnierz, zapewne bez wahania wypełniłby każdy rozkaz, który dla niego zawsze był największą świętością. A jako znakomity kanonier roztrzaskałby wieżę telewizyjną jednym strzałem. W rzeczywistości jednak pułk Maschadowa został wtedy tylko wyznaczony do obrony rosyjskiego garnizonu na wypadek, gdyby miał zostać zaatakowany przez buntowników.

Jego świat legł w gruzach. Koniec z wojskiem, z życiemwedług regulaminu, na rozkaz. Koniec z marzeniami o generalskich epoletach, które miały przypaść w udziale innym. A miał już czterdzieści lat. Dopiero czterdzieści. Nie był jeszcze tak stary, by nie marzyć.

Za każdym razem, gdy rozmawiałem z nim o wojsku i o rosyjskich generałach, w końcu nie wytrzymywał i wybuchał: To ci dopiero

generałowie! Wstyd patrzeć na te zapijaczone, nieogolone mordy! – wykrzykiwał z pogardą i goryczą. – A to ich słownictwo! Ten bełkot, przetykany najgorszymi przekleństwami! Niedouczeni, nieokrzesani, pazerni. To są dowódcy? To jest ta wielka armia? Kiedyś zostać rosyjskim generałem było najwyższym zaszczytem. A dziś? Szkoda gadać.

Maschadow postanowił wracać do Czeczenii, choć poza świadomością, że jest Czeczenem, niewiele go z tą ziemią wiązało. Wracał do tej nieznanej mu prawie Czeczenii także dlatego, że zawisło nad nią śmiertelne niebezpieczeństwo. Czuł to. Generał Dudajew, którego Maschadow spotkał raz, na poligonie w Tartu, ogłosił niepodległość czeczeńskiej republiki.

Maschadow wracał na Kaukaz z ciężkim sercem.,,Wasylu Iwanowiczu – pisał w liście do Zawadzkiego – nie pojmuję, co się dzieje. Rosjanie wycofują armię z Czeczenii, ale zostawiają na rozgrabienie całe arsenały. Wszystko jest rozkradane: karabiny, moździerze, czołgi. Dudajew grzmi na cały świat, że Czeczenia jest pierwszą republiką, która zmusiła rosyjską armię do odwrotu, że to koniec okupacji, że wolność. Ale ja widzę tylko te góry broni pozostawionej jakby po to, by ludzie sami zaczęli się zabijać".

Sprzedał wygodne mieszkanie w Wilnie, wyprawił rodzinę do Groznego. Chciał sobie pod miastem zbudować dom z ogrodem. Pisał do Zawadzkiego, że jak ojciec na stare lata chce się zająć ziemią, oderwać od wszystkiego, co by się wiązało z poprzednim wcieleniem.

„Przyjacielu, wybacz, ale wątpię, by ci się to udało – odpowiadał mu Zawadzki – jesteś stworzony do czegoś zupełnie innego. Jesteś żołnierzem".

Żegnając się w Wilnie z towarzyszami broni, wypili ostatni toast za to, że – choćby przyszło im służyć w różnych, a nawet wrogich armiach – nigdy nie będą walczyć przeciw sobie.

Wojna, której wszyscy się spodziewali, w końcu wybuchła. I jak zawsze zaskoczyła okrucieństwem i barbarzyństwem. Graczow przechwalał się buńczucznie, że wystarczy mu parę czołgów i parę dni, by zmiażdżyć czeczeńskich buntowników w ich gnieździe, Groznym.

Rosyjskie natarcie ugrzęzło jednak w zaułkach miasta, które przepoczwarzyło się w upiorne cmentarzysko ruin.

W wigilię dziewięćdziesiątego piątego roku w środku pijackiej biesiady Graczow wydał rozkaz, by do szturmu na niepokorne miasto rzucić nawet odwody. Rosyjskie pułki, otoczone i wybite do nogi w zaułkach, stały się krwawą hekatombą, złożoną wojnie w niepotrzebnej ofierze. Była to pierwsza tak wielka wyprawa wojenna rosyjskiej armii od nieudanego najazdu na Afganistan i pierwsza miejska bitwa, jaką stoczyli czerwonoarmiści od czasu krwawego pogromu węgierskiego powstania w Budapeszcie.

„Odkąd rozstaliśmy się w Wilnie, straciłem kontakt z Maschadowem. Wiedziałem, że nie obchodziła go polityka, ale w Czeczenii wybuchła wojna, martwiłem się o niego – wspominał pułkownik Zawadzki. – Aż któregoś dnia zobaczyłem w telewizji, jak między ośnieżonymi ruinami Groznego przemykają się czeczeńscy partyzanci, ubrani w białe maskujące drelichy. Wtedy mnie olśniło! Przypomniałem sobie nasze wyprawy na zimowe poligony na Litwie. Asłan! – pomyślałem. Przecież to musi być on. To on musi nimi dowodzić!”

Maschadow, ukryty przed gradem bomb w piwnicy pałacu prezydenckiego, dowodził obroną miasta. Poddał je dopiero po dwóch miesiącach ulicznych bojów, gdy dalsza obrona z punktuwidzenia wojskowej skuteczności stała się absurdem. Kazał swoim wojskom wycofać się w bezpieczne kaukaskie wąwozy, a bezludne ruiny miasta wydał Rosjanom.

Choć był już wtedy naczelnym dowódcą armii czeczeńskich partyzantów i pospolitego ruszenia, armii toczącej wojnę z najeźdźcą, a więc wojnę sprawiedliwą, Maschadow nie mógł uwolnić się od wątpliwości zatruwających mu myśli. Nigdy wcześniej i nigdy później ten wzorowy żołnierz nie był tak bliski odmowy wykonania rozkazu. W dodatku zastanawiał się nad tym, gdy już toczyła się wojna, podczas której każda niesubordynacja jest równoznaczna ze zdradą. Może nawet wydać się dziwne, że właśnie jego opadły wątpliwości i że stało się to akurat w czasie wojny, czyli w chwili dla żołnierza najmniej odpowiedniej do wahań. Ale Maschadow wojny nie chciał. I był w tym

osamotniony.,,Dudajew kochał emocje, uwielbiał się im poddawać bez reszty. Ja zawsze uważałem, że nie powinniśmy nawet myśleć o wojnie" – przyznał po latach. Chodziło mu o konsekwencje, o ofiary, zgliszcza.

„Bitwa o Grozny trwała już w najlepsze, a ja jeszcze wtedy gotów byłem sprzeciwić się Dudajewowi, przerwać wojnę. Pod warunkiem, że rosyjscy generałowie też będą gotowi skończyć z tym szaleństwem, że w imię honoru i czysto ludzkiej przyzwoitości zdobędą się na odwagę, by powiedzieć «nie» swoim politycznym zwierzchnikom – wspominał Maschadow. – Jeszcze wtedy wierzyłem, że nam, generałom, uda się to, do czego cywilni politycy nie byli zdolni. Patrzyłem na rosyjskich oficerów, przypominałem sobie ich nazwiska. Dla mnie to wciąż byli moi towarzysze”.

W liście przekazanym Zawadzkiemu z obleganego miasta pisał:

„Wasylu Iwanowiczu! Od pierwszego dnia szturmu na Grozny dzwoniłem do Babiczewa, Rochlina, Kulikowa, Kwasznina. Wzywałem ich: zatrzymajmy tę wojnę. Nawet jeśli miałoby to oznaczać nasz sprzeciw wobec polityków. Ja byłem gotów na wszystko. Ale rosyjscy generałowie myśleli tylko o orderach, nagrodach, podwyżkach, emeryturach, służbowych mieszkaniach. A ileż to razy proponowałem im rozejm! Mówiłem: zabierzcie choć swoje trupy, bo zdziczałe psy zaczynają je żreć. Nie uwierzysz, drogi przyjacielu, ale ten Babiczew, zamiast mi podziękować, powiedział, że zgodzi się na rozejm, jak ja się poddam i wywieszę białą flagę nad pałacem prezydenckim. Co mu odpowiedziałem? Te słowa nie nadają się do powtórzenia.

Wasylu Iwanowiczu! Gdybyś widział te cygańskie tabory, te żałosne kolumny. Jedna ciężarówka ciągnie na linie dwie inne, bo się popsuły albo żołnierze sprzedali benzynę za wódkę. Nic nie działa jak należy. A ci żołnierze! Brudni, zarośnięci, stoją na posterunkach i skomlą o kawałek chleba. Łażą po wsiach, kradną kury, gęsi, dywany, chowają potem to wszystko po lasach, żeby łupu nie odebrali im koledzy. Nocami ze strachu strzelają do siebie, dezerterują całymi oddziałami. Ja nie poznaję tej armii! Nie do wiary, jak są przekupni! Możesz zdobyć tu wszystko, co chcesz, bylebyś miał pieniądze. Sprzedadzą ci czołg, a nawet poślą na pewną śmierć własnych żołnierzy. Poza pieniędzmi

rosyjskich generałów nie interesuje nic więcej.

Honor oficerski? Wolne żarty! Na Boga, gdybyś widział to wojsko! Pamiętasz? Kiedy wysyłano nasze wojska do Afganistanu, żołnierze wiedzieli przynajmniej, po co tam jadą. Inna sprawa, czy była to prawda, czy nie. A tych młokosów popędzono do Czeczenii jak bydło. Nawet nie powiedziano im, dokąd ich wiozą i po co! W bydlęcych wagonach, przerażonych, w bałaganie, totalnym chaosie, kolumny tyłowe razem z oddziałami uderzeniowymi, jak leci. Ach, gdybyś ich widział! Jak oni wyglądają! Nie rozpoznasz, czy to wojsko, czy zbóje. Zarośnięci, długowłosi, każdy inaczej ubrany. Wiecznie brudni i głodni. Kiedyś żołnierz miał prawo i obowiązek iść na śmierć czysty. Przed każdąbitwą wojsko goliło się, strzygło. A teraz? Wystarczy popatrzeć na tego Rochlina! Generał, a siedzi nieogolony, w jakimś rozciągniętym swetrze. To ma być przykład dla żołnierzy?

Przecież w Afganistanie żołnierze dostawali codziennie kiełbasę. Kąpali się, sami szykowali sobie polowe łaźnie. Jakaż to w końcu filozofia? A w Czeczenii wojsko Graczowa je pomyje, samo zaś jest zjadane przez wszy. Ale Czeczenia to nie Afganistan, nie pustynia i nie pustkowie, gdzie trudno znaleźć studnię. Są tu i drogi, i kolej. Czasami odnoszę wrażenie, że dowództwo specjalnie nie daje wojsku jeść ani nie dba, by się myło, żeby łatwiej uczynić z nich barbarzyńców, gotowych do popełnienia każdej zbrodni. Czy uwierzysz, Wasylu Iwanowiczu, że oni każą sobie płacić za każdego wydanego trupa, za każdego jeńca?! Ich areszty polowe stały się targami niewolników.

Kiedy więc ta straszna, zdziczała rosyjska armia najechała na mój kraj, niszcząc po drodze wszystko niczym najgorsza zaraza, sam rozumiesz, że nie miałem innego wyjścia, jak tylko stawić jej opór z moją garstką śmiałków. Musiałem spełnić swój obowiązek żołnierza. Wiem, że mnie rozumiesz".

Rozmowy z Maschadowem były katorgą. Stary uraz gardła sprawiał, że odchrząkiwał co chwila, przerywał, tracił wątek. Jak ognia unikał wieców i przemówień, napawały go one najprawdziwszym strachem.

Mówił jakoś opornie, niechętnie, podejrzliwie. Nie sposób go było przekonać do wojennych anegdot, frontowych opowieści. Wolał używać

wyświechtanych, banalnych i patetycznych frazesów.

Niewysoki, mocno zbudowany i dziarski, nigdy nie wyzbył się manier służbistego dowódcy, zaprzątniętego wyłącznie sprawami regulaminu, dyscypliny, gotowości bojowej, przywykłego do życia odtąd dotąd, do raportów i rozkazów, ale nigdy do zwierzeń czy osobistych refleksji.

W czasie rozmowy natychmiast zaczynał mimowolnie odgrywać rolę przeciwnika. Kulił się, zamykał, czujny, jakby spodziewał się ataku, na pytania odpowiadał szybko i zdecydowanie, jakby odparowywał ciosy. Każde słowo trzeba było z niego wyciągać niczym największą tajemnicę.

Ze skrupulatnością neofity dbał o drobiazgi, maniery i pozory, sztywny, śmiertelnie poważny, ugrzeczniony wobec gości, miotający surowe, zabójcze spojrzenia adiutantom. Wydawało się, że forma jest dla niego równie ważna – jeśli nie ważniejsza – jak sama treść, co zazwyczaj cechuje ludzi nieśmiałych, niepewnych siebie i swoich racji, zżeranych przez kompleksy. Zachować godność! Tylko to się liczyło. Nic dziwnego, że swoją urzędową biografię kazał zatytułować*Godność jest ważniejsza niż samo życie*.

Bał się, że najmniejszy fałszywy krok ośmieszy go w oczach obcych, a co gorsza – rodaków. Wyglądało na to, że niczego nie obawiał się tak bardzo jak śmieszności. Odbierało mu to pewność słów i poczynań, a także tak typowe dla Czeczenów sarkastyczne poczucie humoru. Jakże musiał cierpieć z powodu przezwiska Kłapouchy, jakim go obdarzano z powodu wielkich, odstających uszu, w żaden sposób nie pasujących do surowości oblicza!

Wyprężony i godny, w czyściutkim, cętkowanym mundurze polowym, sadzał mnie na wciąż tym samym, najwyraźniej wybranym przez niego samego krześle, które stało przy wielkim biurku, gdzie sterty dokumentów, ułożone w równiuteńkich kolumnach i szeregach, czekały w kolejności na rozpatrzenie. Sam, przygładzając szpakowatą brodę i zaczesując dłonią rzedniejące włosy w kolorze popiołu, sadowił się w fotelu naprzeciwko.

– Z wojskowego punktu widzenia zatrzymanie wojsk na Tereku nie ma sensu. Ilu żołnierzy i ile pieniędzy trzeba na utrzymanie takiego kordonu? I czy Rosjanie naprawdę wierzą, że będą bezpieczni za rzeką?

Na pierwszy rzut oka wyglądał jedynie na poważnego, dopiero po jakimś czasie w jego głosie zdawało się pobrzmiewać zmęczenie.

– Wycofałem swoich żołnierzy z północnej Czeczenii, bo z samymi karabinami na równinach i w stepach nie mieliby szans w walce z pancernymi kolumnami. Zostali tam jednak partyzanci, którzy już dziś organizują zasadzki i odbijają stanice zajęte przez Rosjan. Rosjanie chcą z nami walczyć z daleka, tak wolą. Mogą wtedy używać samolotów i dział dalekiego zasięgu. A poza tym nie widzą nas, więc mniej się boją. To łatwiej niż stanąć z przeciwnikiem twarzą w twarz. No i nie gryzą ich tak wyrzuty sumienia, kiedy nie widzą zabitych kobiet i dzieci. Nasza taktyka polega zaś na tym, by walczyć z Rosjanami możliwie jak najbliżej ich pozycji. Staramy się podejść tuż pod ich pierwszą linię. Wtedy nie mogą używać ani samolotów, ani dział, ani nawet czołgów w obawie, że strzelając do nas, będą zabijać swoich piechurów. Co dalej? Czy Rosjanie pójdą naprzód, będą szturmować Grozny i góry? To może oznaczać jedynie klęskę. Nie mam najmniejszych wątpliwości, że Rosja przegra i tę wojnę. W porównaniu z poprzednią mamy nie tylko więcej żołnierzy i broni, lecz przede wszystkim więcej doświadczenia. Doskonale wiemy, jak się bić z Rosjanami. Pięć lat temu nasi żołnierze bali się czołgów, dziś będą na nie polować jak na zające. Trochę się jednak obawiam, że te pierwsze, pozorne sukcesy zawrócą w głowie rosyjskim generałom i mimo to ruszą na nas.

– A może się jeszcze opamiętają? Przerwą wojnę i wycofają się z Kaukazu?

– Nie po to ją rozpoczynali, żeby teraz przerywać. To nie jest tylko wojna o Czeczenię, to jest raczej wojna o władzę na Kremlu. Kaukaz jest tylko, zawsze zresztą tak było, jedynie poligonem, na którym rosyjscy politycy robią kariery, zdobywają sławę, posady, nabijają pieniędzmi kieszenie. Jelcyn jest chory, starzeje się, odchodzi. Jego dwór zaś chce za wszelką cenę utrzymać się u władzy. Boją się o fortuny, które dzięki niej zdobyli. Wojna jest im potrzebna po to, by nie dopuścić do wyborów, albo i po to, by osadzić na Kremlu swojego faworyta. A generałowie chcą przy okazji pomścić klęskę poprzedniej wojny.

Miałem jednak wrażenie, że Maschadow nie wierzył jeszcze

w nieunikniony wybuch wojny. Wciąż chyba liczył, że skończy się na prężeniu muskułów, pogróżkach, żądaniach, wyznaczaniu ultimatum. Miał w Moskwie swojego ambasadora, Mairbeka Waczagajewa, któremu później rosyjska policja podrzuciła do samochodu pistolet i aresztowała pod zarzutem nielegalnego posiadania broni. Ilekroć Waczagajew składał jakieś oświadczenia, udzielał wywiadów zagranicznym gazetom i telewizjom, nazajutrz Maschadow dzwonił do niego, besztając za niestosowną wojowniczość i nieostrożność, które w końcu sprowokują Rosję do wojny. Sam zaś, w Groznym, tłumaczył nielicznym dziennikarzom, jakie korzyści mogłaby czerpać Rosja, żyjąc zgodnie z Czeczenami. Jakby liczył, że przekażą jego słowa do Moskwy, dokąd jego sekretarze w żaden sposób nie mogli się już od tylu dni dodzwonić.

– Moglibyśmy być ich najwierniejszymi i najpewniejszymi sprzymierzeńcami na Kaukazie. Gdyby Rosja dogadała się z nami, gdyby żyła z nami w zgodzie i pozwoliła nam żyć po swojemu, gdyby nas szanowała, przegnalibyśmy z Kaukazu i Arabów, i Turków, i Amerykanów – wyliczał na palcach, co Rosjanie stracili, wydając Czeczenom wojnę, a tak naprawdę chyba mamił pokusą korzyści. – Nowa wojna? Skończy się tak samo jak wszystkie poprzednie. Zbędnymi ofiarami, pożogą, morzem krwi. Komu to potrzebne? Komu przyniesie chwałę? Rosyjska armia jest potężna i wielka, przygotowywana do wojen z największymi potęgami o pierwszeństwo w świecie. Rosyjscy wojskowi powinni uczynić wszystko, by nie doznała nowego upokorzenia.

– A jeśli wojny nie da się uniknąć?

– Ja tej wojny nie chcę. Rosja musi ją wziąć na swoje sumienie. A potem będziemy walczyć, jeśli taka jest wola Najwyższego.

W na wpół zburzonym mieście pełnym malowniczych, dzikich wojowników, z których każdy starał się jak najbardziej wyróżnić spośród innych, a żaden ani myślał uznać czyjejkolwiek nad sobą komendy, Maschadow, wielbiący ceremoniał, regulaminowość i żelazny porządek, wyglądał okropnie nie na miejscu. Miasto, sposobiące się do nowej wojny, wydawało się żywiołem tego, który ją tu sprowadził. Jej wiernego

sługi, który wojnie wszystko zawdzięczał, Szamila Basajewa.

Był w mieście.

Jak gdyby nigdy nic wrócił tu z nieudanych wypraw wojennych do Dagestanu. Wraz z oddziałem brodatych zabijaków rozłożył obóz w wielkim domostwie z czerwonej cegły, które sobie zbudował wśród ruin po poprzedniej wojnie. Wielu mieszkańców stolicy nie mogło się nadziwić pysze młodego dżygita – ściągnął na kraj śmiertelne niebezpieczeństwo, a teraz za nic mając pełne milczącego potępienia spojrzenia rodaków, rozjeżdżał się po Groznym z orszakiem zbrojnych partyzantów w terenowych samochodach, wzbijających chmury rudego kurzu. Mówił, że wrócił do miasta, by go bronić przed Rosjanami. Ale nie brakowało takich, co podejrzewali, iż Basajew, spodziewając się zemsty Rosjan, specjalnie okopał się w obojętnej mu stolicy, by uchronić przed bombami rodzinny auł Wiedeno w górach Kaukazu.

Już pierwszego dnia Mansur posłał jednego ze swoich ludzi do Basajewa z prośbą o audiencję dla mnie. Odpowiedź miała nadejść lada dzień. Poprzedniego dnia widziano go, z ogoloną głową i brodą do pasa, jak gniewnie i szyderczo zaprzeczał rosyjskim komunikatom, które głosiły, że ponoć znów został otoczony nad Terekiem i że kazał swoim żołnierzom zabić jakichś francuskich dziennikarzy.

Rozmawiając z Maschadowem, zwlekałem z pytaniem o Basajewa, czułem, że zostanie ono uznane za nietakt, wprawi go w zakłopotanie.

Byli swoim przeciwieństwem, zaprzeczeniem wszystkich wartości, które cenili, i reguł, którym starali się być wierni. Wydawało mi się, że musieli sobą pogardzać, żywić wzajemny wstręt i odczuwać obcość. A jednocześnie byli na siebie skazani. Jeden bez drugiego nie znaczył nic, nie mógł przetrwać, nie mógł odnosić zwycięstw ani nawet unikać klęsk. Było tak już od dawna.

Niejeden raz Maschadowowi przychodziło cierpieć zniewagi i upokorzenia z powodu Basajewa. Podczas pierwszej wojny, gdy Maschadow prowadził sekretne rozmowy z rosyjskimi generałami w sprawie rozejmu, Basajew dokonał zuchwałego najazdu na Budionnowsk. Już wtedy, godząc się na negocjacje, Rosjanie zażądali od Maschadowa, by im go wydał. Maschadow był bezsilny, świecił za niego

oczami. Nawet gdyby mógł nałożyć areszt na Basajewa, Czeczeni nigdy by mu nie darowali, że wydał Moskwie śmiałka, który brawurą zaskarbił sobie miano bohatera i miłość całego Kaukazu.

Rok później Basajew poprowadził partyzantów do straceńczego, zdawałoby się, szturmu na opanowaną przez Rosjan czeczeńską stolicę. Operacja zakończyła się niespodziewanym triumfem. Rosjanie zgodzili się na pokój i wycofali wojska. A choć atak na Grozny drobiazgowo zaplanował i koordynował wyrachowany strateg Maschadow, za zwycięzcę został uznany szalony wojownik, warchoł Szamil Basajew.

Byli swoim odbiciem w krzywym zwierciadle. Jeden miał to, czego drugiemu nie starczało. Maschadow miał mądrość, rozwagę, dobrą reputację i szacunek rodaków. Basajew – śmiałość, siłę i miłość, którą otaczali go kaukascy górale. Bez Maschadowa Basajew zabrnąłby w ślepy zaułek, roztrwonił dżygicką sławę, wytracił wojsko, zginął. Bez Basajewa Maschadow byłby generałem bez armii.

Kiedy Basajew najechał na Dagestan, jego głowy domagała się nie tylko Rosja, ale także wielu czeczeńskich komendantów, wśród których Szamil zdążył narobić sobie wrogów. Jako pierwsi przyszli do Maschadowa skłóceni z Basajewem bracia Jamadajewowie z Gudermesu. „Teraz albo nigdy – przekonywali. – To tak samo nasz wróg jak twój. Napadnijmy na niego, gdy osłabiony, niczego się nie spodziewając, będzie wracał z Dagestanu. Sam się o to prosi, załatwmy więc to raz na zawsze”. Maschadow się nie zgodził. Mówiono, że nie był pewien, czy uda mu się pobić Szamila, a własnej porażki, choćby ze względu na powagę urzędu, nie mógł ryzykować.

Potem Rosjanie najechali na Czeczenię. Od Maschadowa domagali się, żeby wydał im Basajewa, jeśli chce zrzucić z siebie winę za jego najazd na Dagestan. Ciekawe, jak miał to zrobić? Jak miał powstrzymać Basajewa przed czymkolwiek? Rozkazów Szamil po prostu nie słuchał. To znaczy – słuchał, ale tylko tych, które były dla niego wygodne. Równie bezcelowe było grożenie mu śmiercią, bo śmierci Basajew się nie bał albo może nie wierzył, że go spotka. Przynajmniej ze strony Maschadowa. Aresztować go? Na jedno wychodzi. Już łatwiej zabić.

W końcu nie wystąpił przeciw Basajewowi w ogóle. Jakoś nie mógł

tego zrobić, coś go powstrzymywało. Na pewno nie strach.

– Dlaczego nie zapobiegł pan najazdowi Basajewa na Dagestan? Przecież właśnie to dało Rosji powód do nowej wojny.

– Powstanie wywołali miejscowi, Basajew pojechał tam jako prywatna osoba, ochotnik, nie zaś przedstawiciel czeczeńskich władz. Sam to sobie wymyślił, wiedział, że może to być pułapka, a nie chciał narażać kraju. Umyślił sobie, że w razie nieszczęścia weźmie wszystko na siebie. Trudno zresztą byłoby go powstrzymać. Przyznaję, że ze strony Basajewa była to skrajna głupota i nieodpowiedzialność. Obwiniamy go dziś o to, że dał Rosji powód do wojny, dał Moskwie wszystko, co jej było potrzebne. Ale oświadczamy, że odcinamy się od terroryzmu, gotowi jesteśmy z nim walczyć. Potępiamy napaść na Dagestan. Potępiamy Czeczenów, którzy uczestniczyli w tej awanturze. Proponujemy powołanie rosyjsko-czeczeńskiej komisji, jej celem będzie wyjaśnienie, jak do tego doszło, jak było naprawdę. Aby nie dopuścić do nowych awantur, stwórzmy północnokaukaskie siły pokojowe pod jednym dowództwem. Możemy wpuścić do Czeczenii międzynarodowych obserwatorów, którzy sprawdzą, czy wywiązujemy się z obietnic.

– Jedna z rosyjskich gazet napisała, że jeszcze w lipcu Basajew spotkał się w Nicei, w domu Saudyjczyka Adnana Chaszoggiego, znanego w świecie handlarza bronią, z szefem kancelarii Jelcyna, Aleksandrem Wołoszynem. Nie pytał pan Basajewa, po co się wybrał na Lazurowe Wybrzeże?

– Powiedziałem mu: jeśli chcesz zachować twarz i zdobyć rozgłos, który tak kochasz, to opowiedz ludziom o wszystkim, o czym rozmawialiście. Basajew nic mi na to nie odpowiedział. Ale jestem przekonany, że wojna by wybuchła tak czy inaczej, byłem tego pewien.

Wieczorami wracaliśmy do wsi. Mansur uznał, że tam będziemy bezpieczniejsi niż w mieście. Znał tu wszystkich, a co najważniejsze – wiedział, że porywając mnie, rabusie wypowiedzieliby wojnę całej wsi. Byłem wszak gościem, a wykradzenie gościa jest na Kaukazie najgorszym upokorzeniem dla gospodarza. To dawało mi większą pewność niż karabiny Mansura i jego wojenna sława.

Ale i w domu Mansur nie zaniedbywał środków ostrożności. Nawet do

ubikacji w podwórzu nie wolno mi było wychodzićbez zbrojnej eskorty jego młodszych kuzynów. Jeden pilnował drzwi wychodka, drugi ostentacyjnie przechadzał się z karabinem wzdłuż płotu. Na noc zamykali drzwi od wewnątrz, spali w sieni przy piecu, czuwając na zmianę. A nim udali się na spoczynek, Mansur wychodził na drogę przed domem i przypatrywał się samochodom, czy któryś z nich nie przejechał pod jego oknami więcej niż raz. Codziennie rano sąsiedzi meldowali mu o wszystkich obcych kręcących się po wsi i okolicy.

Lubiłem wracać do wioski o zmierzchu, gdy ze zmęczenia nie chciało się już nawet mówić, a milczenie było usprawiedliwioną i zasłużoną chwilą wytchnienia, nie krępowało, nie wymuszało obowiązku podtrzymywania rozmowy. Przez otwarte okna ciepły wiatr przynosił zapach palonych jesienią traw i wilgotniejących we mgle liści.

Po zakurzonych i dusznych dniach w Groznym wieczory tchnęły świeżością, która zmywała zmęczenie. Góry, za dnia dalekie i ledwo widoczne, o zmierzchu zdawały się zbliżać, potężnieć. Powietrze robiło się wtedy przejrzystsze i rześkie, barwy czystsze i jaskrawsze, zapachy i dźwięki wyraźniejsze. Miasto oznaczało pośpiech, krzątaninę, niepewność, trud, niepokój, zagrożenie. Wioska, a nawet już sama droga do niej – kres nieustannego, wyczerpującego napięcia, poczucie zadowolenia z kolejnego dnia, który okazał się udanym i radosnym oczekiwaniem wyłącznie przyjemnych chwil, jakie jeszcze pozostały.

Samo domostwo składało się z dwóch parterowych budynków, połączonych zadaszonym betonowym tarasem. Tam właśnie, na dużym drewnianym stole przykrytym kwiecistą ceratą, kobiety podawały kolację – dymiący pilaw, kawałki gotowanej baraniny, rosół z ząbkami czosnku, mleko, sery, jabłka. Do wieczerzy siadaliśmy z Mansurem i jego towarzyszami. Młodsi kuzyni sadowili się na krzesłach pod ścianą. Kobiety z dzieciakami na rękach stawały w drzwiach kuchni, przysłuchując się rozmowom. Kiedy w gościnę przychodzili starsi, Omar, Musa alboSulejman ustępowali gościom miejsca przy stole. Im z kolei miejsce robili młodsi kuzyni siedzący na krzesełkach pod ścianą.

Codziennie przychodził ktoś nowy. Byli ciekawi cudzoziemców, wieści ze świata. Pytali, co tam słychać i co się mówiło o nich, Czeczenach.

Kręcili z niedowierzaniem głową, nie mogąc się nadziwić, że świat zajęty jest jeszcze czymś innym. Po kilku dniach nauczyłem się odpowiadać tak, by im nie sprawiać zawodu.

Starcy najchętniej snuli opowieści o górach. Były to historie przepełnione taką tęsknotą jak wspomnienia o miłej, lecz nieodwracalnie utraconej młodości i szczęściu, co się już nigdy nie miało powtórzyć. Opowiadali o kamiennych aułach i zielonych pastwiskach, które kiedyś były ich domem, teraz zaś opustoszały, niemal wymarły. Ich świat powoli odchodził, a oni wraz z nim.

Młodzi – biadali starcy – nie znaleźli w sobie wytrwałości i siły, by żyć jak dawniej. Uciekali od morderczego, ale dającego dumne poczucie własnej wartości znoju życia w górach. Nie widzieli nic złego w drogach na skróty, nie myśleli zmagać się z trudami ani karmić się satysfakcją wynikającą z ich pokonywania, z wiecznej mitręgi. Nie potrafili czerpać z tego zadowolenia. Nie zamierzali walczyć z naturą o każdą piędź ziemi, znosić upałów i zabójczych chłodów. Nie odczuwali żadnej pociechy z przeświadczenia o własnej wyjątkowości ani też bezpieczeństwa i pewności, jakie ich przodkowie czerpali z życia w swych wieżach z kamienia, oderwanych od reszty świata.

Pokusy wygody, wolności od surowych jak góry obyczajów i praw oraz przekonanie, że czekają na nich nieograniczone możliwości i perspektywy, gnały ich na równiny, do miast. Sprzedawali domy i poletka, a nawet je porzucali, i wyjeżdżali. Jedne po drugich wyludniały się auły i chutory, im bardziej zaś pustoszały, tym mniej troski i serca mieli dla ich mieszkańcówrozdzielający pieniądze urzędnicy ze stolicy.

Coraz rzadziej naprawiano więc prowadzące w góry drogi, linie energetyczne, telefony. Nie mogąc doczekać się wypłaty, uciekli wiejscy nauczyciele. Zresztą zimą szkoły w górach i tak były zamykane z powodu śniegów i mrozu, a większość zlikwidowano w ogóle, bo nie miał kto do nich chodzić. Rodzice wysyłali dzieci na naukę do miast, uważając, że tam dowiedzą się wszystkiego więcej i lepiej. Wyjechali też nieopłacani i przymierający głodem wiejscy lekarze, góralom pozostało więc tylko szukać ratunku u znachorów.

Starcy, choć w górach nie byli już dawno, opowiadali, że można tam

spotkać wymarłe auły, w których, jak w dziewiczym lesie, słychać tylko śpiew ptaków, i pastwiska, gdzie pasą się stada jeleni. Wilki zaś, nie niepokojone przez nikogo, rozbestwiły się tak bardzo, że napadają na bydło przy wodopojach, a nawet atakują podróżnych na drogach.

Starcy opowiadali też o rosyjskich samolotach.

– W południe znów dwa przyleciały. Zrzuciły bomby na górce pod lasem. Musiało im się coś najwyraźniej pomylić, bo tam tylko owce się pasą.

Drzwi, które ktoś pchnął gwałtownie, odbiły się od ściany z nieprzyjemnym trzaskiem. Wpadło ich do karczmy siedmiu, może ośmiu. Stanęli z lufami karabinów wycelowanymi w nasze talerze. Pojawili się tak nagle i tak niespodziewanie, że Mansur, Omar, Nuruddin i Musa nie zdążyli nawet sięgnąć po broń.

Zamarliśmy ze strachu, ściskając w dłoniach widelce z kawałkami baraniny ze stygnącego na stole pilawu.

Ale strzały nie padły. Barczysty brodacz, niewątpliwie dowódca, ze ściągniętą napięciem twarzą wpatrywał się w Mansura, jakby gorączkowo próbował odgrzebać go we wspomnieniach. Mansur powoli podniósł się z krzesła, stali teraz naprzeciw siebie, niepewni, nieufni, wciąż gotowi strzelać i zabijać.

Zza brudnych okien dobiegał gwar śródmiejskiej ulicy. Poza nami w knajpie nie było żadnych gości, jeśli nie liczyć ubranego na czarno młodzieńca z elegancko przystrzyżoną brodą, który przysiadł się, by wypić filiżankę czarnej kawy. Wypił ją duszkiem i wyszedł z sali, rozmawiając ściszonym głosem przez krótkofalówkę. Po chwili wrócił, znów zamówił kawę, ale tym razem wypił ją powoli, delektując się jej ciepłem i aromatem.

Milczenie przerwał Mansur.

– Ty jesteś Ahmed… Ahmed Abdullajew…

Dowódca opuścił karabin i krzyknął coś po czeczeńsku do swoich żołnierzy. Przez chwilę naradzali się z Mansurem, nerwowo wyglądając na ulicę.

– Wiedzą już o tobie na mieście – rzucił przez ramię Man-sur. – Ahmed służy w gwardii prezydenckiej. Podsłuchali przez krótkofalówkę, jak

o tobie mówili: że siedzisz w karczmie i że masz tylko kilku ludzi ochrony – powiedział Mansur. – Ahmed widział, jak wychodzisz od prezydenta, więc przybiegł, żeby cię ostrzec.

– Zabieramy się stąd! W tym kraju cudzoziemcy warci są niezłe pieniądze. Wasze życie się ceni, nasze nie ma już żadnej wartości.

Tego dnia, przy kolacji, Mansur zdecydowanym głosem oświadczył, że jeśli ma strzec mojego bezpieczeństwa, muszę zapłacić mu za to więcej. Dużo więcej.

– Albo jeszcze dziś odwiozę cię na granicę i do widzenia – zakomunikował Mansur, a siedzący z nami przy stole Musa i Omar, jakby zażenowani, odwrócili głowy. – Jeśli chcesz zostać, płać.

– Przecież ci płacę.

– Musisz zapłacić więcej.

– Co znaczy więcej?

– Więcej znaczy więcej.

Spodziewałem się tej rozmowy. Prędzej czy później zazwyczaj do niej dochodziło. Umowy dotyczące badawczych wypraw w świat koszmaru podlegają renegocjacjom. Zawierane po jednej stronie granicy, stają się nieaktualne, są też dowolnie zmieniane po tej drugiej, ciemnej. Wpisuje się to nawet w scenariusz wyprawy, jest jednym z obowiązkowych punktów programu, jedną z jego atrakcji.

Po mojej stronie ja dyktowałem warunki, stawiałem żądania, kręciłem nosem, sporządzałem listy życzeń, a od ich spełnienia uzależniałem zapłatę. Bezpiecznie przeprowadzony na drugą stronę, byłem zdany tylko na moich wynajętych opiekunów i przewodników, na ich przyzwoitość.

W naszych relacjach zawsze coś zgrzytało, zawsze coś uwierało, jakieś niezrozumienie, niedopowiedzenie, pretensje, wygórowane oczekiwania.

Mogłoby się wydawać, że samo ryzyko i trudy podróży do kraju zagrożonego najazdem potężniejszego wroga i wojną powinny być okolicznością zwalniającą z wszelkich dodatkowych opłat. Jako dobrowolni i wiarygodni świadkowie i kronikarze dokonujących się niesprawiedliwości, my, dziennikarze, powinniśmy być gośćmi mile

widzianymi, o których należy zabiegać. Oczywiście, byliśmy gotowi płacić za jedzenie, dach nad głową, za wynajęty samochód i benzynę, za straż przyboczną, kierowcę, przewodników, tłumaczy. Oni jednak dodawali do tego jeszcze jedną dodatkową i najwyższą opłatę – za możliwość oglądania koszmaru i obcowania z makabrą.

Nigdy nas nie rozumieli, a raczej nigdy nie było między nami zrozumienia.

Traktowali nas jak uczestników dzikiego, barbarzyńskiego safari. Byli przekonani, że odczuwamy niepojętą, dziwaczną przyjemność z przyglądania się cierpieniu i strachowi innych. Wciąż nam chcieli pokazywać trupy. Ilekroć dowiedzieli się o kimś zabitym podczas bombardowania czy choćby zmarłym z powodu choroby bądź ze starości, ciągnęli i zachęcali: „Chodź, zobaczysz trupa”. Wpatrywali się w nasze twarze, sprawdzając, czy widok umarłych, a także straszliwie okaleczonych, płaczących ludzi i dymiących zgliszcz dostarczył nam należytej satysfakcji. Naprawdę się starali. Uważali też najwyraźniej, że skoro możliwość oglądania z bliska ich nieszczęścia ma dla nas tak tajemniczą wartość, powinna również mieć słoną cenę.

Poniekąd mieli rację. Nie istniała żadna wielka wspólna sprawa, która by wymuszała na nich solidarność, lojalność. Ich los miał dla nas w sumie znaczenie drugorzędne. Nie byli nam obojętni, ale interesowali nas przede wszystkim jako dostarczyciele, a w najlepszym razie jako bohaterowie opowieści, po które przyjechaliśmy. Mieli tylko wykonać określoną robotę – jak najszybciej zwolnić nas z obowiązku przebywania po tej drugiej, ciemnej stronie. Ta zaś w dodatku była z czasem coraz zwyczajniejsza, przestawała ciekawić. Jej niezwykłość stanowiła wyzwanie tylko wtedy, gdy pozostawała niedostępna.

Oni też nie widzieli w nas swoich wybawców, sprzymierzeńców. I choć nigdy nie mówili tego głośno, nie spodziewali się po nas zbyt wiele, nie wierzyli w sprawczą moc naszych opowieści, w nasze świadectwo. Interesowaliśmy ich głównie jako źródło dochodu, ułatwiające przetrwanie.

Chwila prawdy przychodziła niemal zawsze, ale nie przynosiła ulgi. Opadała podtrzymywana z takim wysiłkiem zasłona pozorów i zaufania.

Ludzie, z wielkim trudem wybrani i odpowiednio opłaceni, którzy mieli być gwarancją bezpieczeństwa i sukcesu, opoką i ucieczką, przemieniali się w nieodgadnionych szafarzy naszego losu. Traciliśmy nad nimi kontrolę i stawaliśmy się ich zakładnikami. Zależeliśmy już tylko od ich kaprysu, zniechęcenia, przyzwoitości lub niegodziwości, chciwości, nagłej rozpaczy. Nie wolno było im wierzyć. Nie wolno też byłoim nie wierzyć.

Żądając zmiany warunków dotychczasowej umowy, Mansur działał jak doświadczony myśliwy. Dotąd wywiązywał się wzorowo ze wszystkich ustaleń. Dostawałem wszystko, czego chciałem. Mogłem więc liczyć na jeszcze więcej. Wojna ryglowała coraz bardziej czeczeńską stolicę, zamykając w niej wszystkich, z którymi chciałem się spotkać i rozmawiać. Nie mogli mi się nigdzie wymknąć. Potrzebowałem tylko czasu i pomocy Mansura. Był tego świadomy, może nawet potraktował to jako niezawodną przynętę.

Wiedział też, że ja wiem, iż odstępując od umowy, mógł mnie uważać za towar, a więc za coś, co da się z korzyścią odsprzedać któremuś z działających na Kaukazie handlarzy żywym towarem. Rzucił kiedyś niby żartem, że na udanym porwaniu cudzoziemca, po odliczeniu kosztów własnych i marż dla rozmaitych pośredników, można zarobić na czysto od kilkudziesięciu do kilkuset tysięcy dolarów.

Czeczeni znani byli zresztą od wieków z napadów na drogach i porwań ludzi dla okupu. Zapędzeni przez najeźdźców w surowe górskie wąwozy, pozbawieni pól uprawnych i pastwisk, jak afgańscy Pasztunowie łupili nieliczne, wędrujące przez Kaukaz karawany kupieckie i nieostrożnych podróżnych. Wyprawiali się też chętnie na stepy nad Terekiem i Sunżą, by pod osłoną nocy plądrować osady Kozaków, brać jasyr.

Jan Potocki, który dwieście lat temu przemierzał Kaukaz i stepy astrachańskie, napisał w swoim dzienniku podróżnym: „Widziałem w tych dniach księżniczkę czeczeńską, którą los rzucił do Astrachania. Jest niebrzydka i na swój sposób wykształcona. Nie potrafi się jednak pozbyć przesądów własnego plemienia. Uważa, że kraj, w którym nikt nie rabuje na gościńcach, tchnie monotonią i nudą, a skradziona chusta

sprawia jej większą radość niż kupiony naszyjnik z pereł. Mówi, że książęta z jej rodziny od początku świata rabowali podróżnych na drogach i że nie chciałaby za nic na świecie, aby krewni i przyjaciele dowiedzieli się, iż poślubiła mężczyznę, który nie żyje z grabieży”.

O kaukaskich jeńcach i złowróżbnych Czeczenach czyhających w nadrzecznym sitowiu pisali Aleksander Puszkin i Lew Tołstoj.

Porywano ludzi dla okupu, ale także jako niewolników do pracy, w jasyr tymczasowy. Kiedy już jeniec odpracował swoją szacunkową wartość, nie tylko zwracano mu wolność, lecz pozwalano też, jeśli chciał, żyć i mieszkać wśród prześladowców, a także cieszyć się takimi samymi jak oni prawami, włącznie z prawem do założenia własnego rodu. Kaukaska legenda mówi, że właśnie taki uwolniony z jasyru Awar, któremu pozwolono osiedlić się pod czeczeńskim Wiedeno w chutorze założonym przez zbiegów z rosyjskiej armii, dał początek rodowi Szamila Basajewa. Nawet podbici przez Rosjan Czeczeni napadali na pociągi zmierzające przez ich kraj do Baku, Astrachania i Machaczkały.

W zburzonej i wyniszczonej niedawną wojną Czeczenii porywanie ludzi dla okupu stało się jedynym, obok szmuglu ropy naftowej i broni, dochodowym procederem.

Najbardziej poszukiwanym towarem byli cudzoziemcy, za których spodziewano się największego okupu. Najczęściej porywano dziennikarzy, a także pracowników międzynarodowych organizacji humanitarnych, przybywających na Kaukaz, by pomagać Czeczenom w leczeniu powojennych ran i odbudowie kraju ze zniszczeń. Za każdego cudzoziemca rutynowo żądano od jednego do trzech milionów dolarów. Porywano jednak nie tylko dla pieniędzy. Za uwolnienie jeńców domagano się często wypuszczenia z aresztów więzionych kompanów, posad i awansów dla przyjaciół, gwarancji bezpieczeństwa i nietykalności dla siebie. Już podczas wojny zakładnicy stali się powszednią walutą. Brali ich, jak leci, zarówno Czeczeni, jak i Rosjanie, żeby wymienić na swoich, ale także na broń, pieniądze, benzynę, jedzenie czy wódkę.

Proceder rozkwitł jednak dopiero po wojnie.

Podczas jednej z następnych podróży na Kaukaz poznałem

ukrywającego się po wsiach Mohammeda Mohammedowa, zastępcę prokuratora generalnego, któremu Maschadow kazał walczyć z handlarzami żywym towarem.

– To Rosjanie nam zaszczepili tę zarazę. W zemście za przegraną wojnę – zapewniał prokurator; mnie wydał się on zanadto łagodny, dobrotliwy i wrażliwy jak na człowieka wyznaczonego do przeprowadzenia zwycięskiej wojny z handlarzami niewolników. – Uczyli nas tego, płacąc okup za jeńców, a nawet za trupy. Próbowaliśmy z tym walczyć, ale nie mogliśmy się od nich doprosić pomocy. Na odwrót! Ich bogacze, chcąc się przypodobać Kremlowi, płacili miliony dolarów okupu, nakręcali koniunkturę, a Rosja nie pozwalała nam nawet przesłuchiwać uwalnianych zakładników. Trzeba jednak przyznać, że i naszym komendantom nie starczało często hartu ducha, by zwalczyć pokusę łatwego zarobku. Czas pokoju dla wielu z nas okazał się trudniejszy od wojny.

Po wojnie powstały prawdziwe koncerny handlarzy niewolników posiadające wyspecjalizowane filie i podwykonawców.

Samymi porwaniami zajmowały się niewielkie oddziały. Werbowano do nich, nierzadko na jedną jedyną akcję, bezrobotnych partyzantów. Cele wskazywali tajemniczy zleceniodawcy, którzy wcześniej korzystali z usług swoistych firm analitycznych i konsultingowych, zajmujących się wyszukiwaniem potencjalnych ofiar, badaniem ich zwyczajów, majątków, rodzin, wszelkich możliwych słabych miejsc.

Porwanych ludzi przejmowały wyspecjalizowane firmy przewozowe, które przemycały jeńców najczęściej do Czeczenii, powojennej krainy bezprawia, gdzie po upadku starego rosyjskiego porządku nie zdążył się jeszcze narodzić żaden nowy. Ręce rosyjskich sędziów, prokuratorów i śledczych już tu nie sięgały, a władza czeczeńskiego rządu ograniczała się – i to nie zawsze – do murów pałacu prezydenckiego i ministerstw.

W Czeczenii jeńców przejmowali kolejni pośrednicy. Zadaniem jednych było bezpieczne przechowanie zakładników, inni nawiązywali kontakt z rodzinami i prowadzili negocjacje w sprawie okupu. Jeszcze inni – ci zazwyczaj działali publicznie i cieszyli się nieposzlakowaną opinią, a więc pobierali od handlarzy niewolników specjalną marżę – zajmowali

się wyłącznie wymianą jeńców na okup i dostarczaniem go zleceniodawcom, których przeważnie nie znali, podobnie jak innych współuczestników całej operacji.

Jeńców porywano w Moskwie, Sankt Petersburgu, Władykaukazie, Czerkiesku czy Astrachaniu, ale wieziono ich na przechowanie do Czeczenii nie tylko ze względu na to, że zbuntowana republika dawała gwarancje bezpieczeństwa i bezkarności, lecz także z powodu jej budzącej strach reputacji.

Handlarze niewolników szybko pojęli, że im większą grozę budziło nazwisko czeczeńskiego komendanta, któremu powierzali swoich jeńców, tym wyższy okup udawało się im wytargować i tym mniej było kłopotów, a także zwłoki z jego wyegzekwowaniem.

Komendanci cieszący się opinią największych okrutników – jak szalony Arbi Barajew czy szajka braci Ahmadowów z Urus-Martanu – też dostrzegli szansę dodatkowego, łatwego zarobku i za sowitą sumę chętnie przyznawali się do porwań, z którymi nie mieli nic wspólnego. Pozwalali jedynie wykorzystywać swoje budzące grozę nazwiska, pobierali opłatę za wykorzystanie swojego znaku firmowego. Zdarzało się więc, że zakładnika porywano w Moskwie, tam go przetrzymywano i w końcu uwalniano po zapłaceniu okupu, a do Czeczenii jedynie telefonowano, by ustalić wysokość kwoty.

O tym, że dokonano transakcji, nieomylnie świadczyło pojawienie się na bazarze w Groznym tajemniczych mężczyzn, którzy wymieniali w kantorach tak ogromne sumy dolarów, że powodowało to krótkotrwały spadek kursu amerykańskiej waluty.

Tak skomplikowana struktura przemysłu niewolniczego skutecznie utrudniała z nim walkę. Napastnicy porywający ludzi natychmiast przekazywali ich innym, a wieśniaków, którzy za grosze przetrzymywali jeńców w swoich ziemiankach, trudno było oskarżać o handel żywym towarem. Nie sposób też było ustalić, czy pośrednik negocjujący uwolnienie jeńców jest szlachetnym bohaterem zasługującym na podziw czy też wtajemniczonym w spisek bandziorem, którego powinno się wtrącić do więzienia.

O handel żywym towarem oskarżano w Groznym wszystkich –

czeczeńskich ministrów, a nawet wiceprezydenta, bezrobotnych partyzanckich komendantów, bohaterów niedawnej wojny z Rosją, prokuratorów, patrolujących drogi policjantów, wręcz dowódców rosyjskich garnizonów, którzy sprzedawali w kaukaską niewolę swoich żołnierzy, tych zaś, co uciekali z niewoli, ogłaszali dezerterami i karali. Polowali na ludzi także policjanci z Dagestanu, Inguszetii, Kabardy i Osetii Północnej, którzy sami porywali ludzi i odsprzedawali ich handlarzom albo, skuszeni nagrodami, wyłapywali po Kaukazie zbiegłych niewolników i oddawali ich właścicielom.

Powietrze było gęste od podejrzeń, oskarżeń i strachu, na które Czeczeni reagowali sarkastycznymi dowcipami.

Oto rząd Rosji, by zorientować się, co naprawdę dzieje się na Kaukazie i kto porywa tam ludzi, postanowił wysłać do Czeczenii swojego asa wywiadu, najlepszego i najpewniejszego szpiega, Stirlitza, rosyjskiego filmowego odpowiednika Jamesa Bonda, żeby rozeznał się na miejscu i dostarczył wreszcie wiarygodnych informacji.

– Od kogo zacząć? Od prezydenta czy jego wrogów? – zastanawia się w przydrożnym rowie zrzucony na spadochronie Stirlitz. – Ach, zacznijmy od rządowych.

Ledwie jednak postawił nogę na polnej drodze, a tu zza krzaków wyskakuje czeczeński dżygit i strzela w powietrze z karabinu maszynowego:

– Ty dokąd? – pyta.

– No, tam gdzie rząd – mówi Stirlitz.

– Nie idź tam lepiej – powiada Czeczen. – Wiesz, co tam robią z takimi jak ty? Biją, rozbierają, odbierają wszystko i puszczają gołych jak święci tureccy.

Aha, dobrze wiedzieć – myśli Stirlitz i odwraca się w drugą stronę, do opozycji. – Przyjdzie więc zacząć od opozycji.

Ale ledwie obrócił się na pięcie, dżygit znów strzela w powietrze i krzyczy:

– Tam też nie leź! Tam też takich jak ty zaraz biją, rozbierają, odbierają wszystko i puszczają gołych jak święci tureccy.

– No to dokąd mam pójść? – rozkłada ręce Stirlitz.

Czeczen na to:

– Nigdzie nie chodź! Tu się rozbieraj!

Przystałem na żądania Mansura. Wciąż mi się to opłacało. Dławiąc bezsilną wściekłość i starając się opanować drżenie głosu, zapowiedziałem, że na następne zmiany umowy już się nie zgodzę, nie starczy mi pieniędzy. Oznajmiłem też, że zmusza mnie w ten sposób do skrócenia pobytu w Czeczenii, że przez niego, z powodu jego chciwości, będę musiał, być może, wyjechać, zanim zacznie się prawdziwa wojna i kiedy świadkowie tacy jak ja staną się Czeczenom najbardziej potrzebni.

Uśmiechnął się szeroko jak rozdokazywany łobuziak, co nie potrafi dłużej kryć radości z powodu spłatanego figla. Wyciągnął dłoń niby zadowolony z ceny kupiec, który pragnie dobić targu.

– Bez urazy?

– Bez urazy.

Wioska Mansura leżała rozłożyście i wygodnie nad rzeką Argun, która spadała z gór wzburzonym, gniewnym potokiemi dopiero tu, wśród niewysokich pagórków i łąk, uspokajała się, łagodniała. Szeroka, płaska równina, zamknięta na północy zielonymi wzgórzami nadtereckimi, zwężała się tu raptownie i podnosiła, jakby wspinała się na palce, przytłoczona ogromem monumentalnych, skalistych gór.

Wieś sprawiała wrażenie bogatej, i chyba taka była. Podczas dopiero co zakończonej wojny miejscowa starszyzna zdołała ubłagać Rosjan, by ocalili wieś w zamian za bezpieczny przejazd drogą, która biegła tędy w góry. Sąsiedzi mieli potem za złe ludziom z wioski, że troszcząc się tylko o siebie i przepuszczając Rosjan, ułatwili im marsz w górskie rejony i wystawili na niebezpieczeństwo tamtejsze auły.

Wioska, podobnie jak inne osady, którymi rozkwitło niemal całe przedgórze, była ogromna, zdawała się nie mieć końca. Z perspektywy głównej, przecinającej ją drogi sprawiała jednak wrażenie wymarłej, bezludnej. Parterowe murowane domy o płaskich dachach ginęły za potężnymi murami i zamkniętymi na głucho, ciężkimi, żeliwnymi bramami, pomalowanymi zazwyczaj zieloną farbą. To za nimi, z dala od niepowołanych oczu, toczyło się prawdziwe życie, tam kryły się

wszystkie pilnie strzeżone tajemnice. Zakurzona gruntowa droga przez wieś była najwyżej miejscem spotkań, lokalnym areopagiem.

Rano, gdy wyruszaliśmy w nową podróż, droga była pusta i cicha. Tylko przy rzadkich przydrożnych kramach spotykało się dziewczęta w kolorowych chustach, wysłane przez matki po chleb. Za murami domostw kobiety rozpalały ogień, a siwy, pachnący dym z mokrych gałęzi spływał jak mgła na drogę.

Kiedy wracaliśmy o zmierzchu, wieś gasła jak dopalająca się świeca. Jedne po drugich rozbłyskiwały jasne prostokąty okien. W wieczornej szarówce, łapiąc ostatnie chwile mijającego dnia, ubrani na czarno mężczyźni kończyli rozmowy albo przykucając pod murami, palili w milczeniu tytoń. Wyrywani z odrętwienia reflektorami przejeżdżających samochodów, z wysiłkiem przebijali wzrokiem zapadające ciemności, by dostrzec twarze kierowcy i pasażerów, a gdy rozpoznali znajomych, godnie i powoli kiwali głową na znak pozdrowienia.

Za wsią droga, dotąd prosta i równa, zaczynała się wić między wysokimi, żółtymi trawami nad rzeką. Omijając most zburzony przez rosyjskie samoloty, przeprawiała się na drugą stronę po betonowych płytach, przyciągniętych przez wieśniaków z pobliskiej cementowni. Dalej biegła między polami aż do wyznaczonego przez stare wierzby miejsca, gdzie dołączała się do szybkiej, asfaltowej szosy, która na pobliskim rozstaju rozdzielała się na kilka odnóg. Jedna z nich prowadziła do Groznego, inna do Szali i dalej, do Serżen-jurtu i Wiedeno, zagubionych w zielonych, porośniętych lasami górach, jeszcze inna wiodła wąwozem Argunu w kierunku granicy z Gruzją, wśród groźnych, majestatycznych wierzchołków Kaukazu.

Najczęściej skręcaliśmy do Groznego. Wciskaliśmy się między pogięte, umazane błotem samochody o potrzaskanych szybach, przypominających pajęczyny. Sunęły jeden za drugim, skrzypiąc ze starości lub pod ciężarem ładunku.

Przy drodze do stolicy, tuż na skraju poharatanego armatnimi pociskami asfaltu, w niebieskich spalinach i kurzu walczyli o miejsce właściciele małych, pachnących cebulą szaszłykarni. Straganiarki

wciskały podróżnym pomarszczone, brzydkie owoce i warzywa, a rzeźnicy w przenośnych jatkach rozwieszali na gwoździach połcie mięsa. Przed chałupami dzieci pilnowały piramid wielkich szklanych słojów, plastikowych baniek i kanistrów, wypełnionych żółtawą benzyną, wyrabianą domowymi sposobami w ogrodach i sadach z zalegającego pod całą okolicą morza ścieków, spływających od lat pod ziemię z dziurawych i pordzewiałych rurociągów naftowych i szybów wiertniczych.

Kiedy Mansurowi dopisywał humor, mawiał, że kiedyś, gdy nie będzie już ani wojny, ani handlarzy niewolników, przyjadę do niego w gości, po prostu jak stary przyjaciel. Nie będę musiałpłacić ani grosza za ochronę. Zabierze mnie doliną Argunu w góry, nad jezioro, i przyrządzi szaszłyki, tak pyszne i soczyste, że będę go przeklinał do końca życia, bo nic mi już nie będzie tak smakowało. Podobnie jak nic nie dorówna urodzie tamtejszych gór, wąwozów, lasów, przełęczy i wodospadów.

Jego wieś była bramą doliny Argunu. Zaraz za zburzonym mostem góry zsuwały się, pozostawiając między sobą tylko tyle miejsca, by mogła się przecisnąć wartka rzeka. Ilekroć wracaliśmy za dnia do wsi, Mansur wskazywał ręką pochylone ku sobie górskie zbocza.

– Wilcze Wrota – mruczał tajemniczo i z tęsknotą, jakby tam właśnie biegła magiczna granica między dobrem a złem, brzydotą a pięknem, którą wystarczy przekroczyć, by się uwolnić od trosk, cieszyć wolnością, żyć pełnią życia. Nigdy mnie tam nie zabrał. Nie dałbym nawet głowy, że sam kiedykolwiek tam był.

Obiecywał też, że kiedyś, gdy nie będzie już wojny, pojedziemy wysoko w góry, żeby wśród orlich gniazd odnaleźć Miasto Umarłych, wzniesione przed wiekami kamienne nekropolis na podobieństwo domów i baszt.

Wieże z kamienia zaczęto budować na Kaukazie, by służyły za schronienie lub za obronne twierdze kupieckim karawanom. Zdobycie przez Turków Konstantynopola i odkrycie drogi morskiej do Indii oznaczały wyrok śmierci dla Jedwabnego Szlaku. Do opuszczonych przez karawany kamiennych wież wprowadzili się kaukascy górale, czyniąc z nich swoje siedliska. Z czasem wieże z kamienia stały się symbolem ich tożsamości, łącznikiem między przeszłością i dniem

dzisiejszym, zawołaniem bojowym, mityczną oazą, w której można ratować się przed zagrożeniem i zagładą, cieszyć się poczuciem bezpieczeństwa, odnajdywać wiarę w przyszłość i dumę z własnej odmienności.

– Dziadek opowiadał mi kiedyś, że w wieżach mieszkali i ludzie, i zwierzęta. Ziemi zawsze było tu niewiele i nie dawało się z niej wyżyć, ludzie zajmowali się więc pasterstwem – mamrotał Mansur, rzucając od czasu do czasu spojrzenie na zasłuchanychMusę i Omara. – Pasterze zaganiali na noc stada do wieży, żeby uchronić je przed złodziejami. Ale czasami, gdy nadarzała się okazja, sami napadali na sąsiednie auły i rabowali. Jeśli zdążyli zagnać skradzione krowy, owce czy kozy do wieży i zamknąć wierzeje, stado stawało się ich prawowitą własnością.

Samoloty pojawiły się o poranku, gdy dopijaliśmy herbatę. Wyleciały nagle zza lasu, zmierzając prosto nad wieś. Leciały niziutko, nad samymi dachami i wierzchołkami owocowych drzewek w sadach. Wydawało się, że wystarczy wyciągnąć rękę, by dotknąć palcami ich stalowych brzuszysk. Kiedy tak zbliżały się do nas, coraz większe i straszniejsze, chciało się wołać do pilotów, żeby poderwali maszyny, bo inaczej rozbiją się na wiejskiej drodze.

Od huku zatrzęsły się z brzękiem szyby w oknach, poruszyła się ziemia.

Zniknęły za wzgórzem, by po chwili nadlecieć ponownie. Staliśmy na podwórzu z zadartymi głowami, wpatrując się w ich ciemne sylwetki, ledwie widoczne w słońcu. O tym, że się zbliżały, świadczył już tylko narastający, przeszywający warkot.

Dzieciaki, które wybiegły na drogę, by lepiej się przyjrzeć latającym potworom, chowały się teraz, śmiertelnie przerażone, pod płotami. Na podwórzu żona Mansura kurczowo przycisnęła do piersi zanoszącego się płaczem najmłodszego syna. Tuliła główkę dziecka, zasłaniając mu dłońmi uszy.

W całej wsi ludzie zamarli z zadartymi głowami, pustym wzrokiem patrzyli w niebo. Stali bezradni, starając się nie myśleć o tym, że któregoś dnia bomby spadną na ich domy i ogrody.

Po kolejnym, czwartym, a może piątym nawrocie samoloty zniknęły za

lasem. Po kilku sekundach dobiegły stamtąd głuche odgłosy eksplozji.

Minęła jeszcze chwila i mieszkańcy wioski oprzytomnieli.

Przyzwyczajali się do nagłej ciszy. Jeszcze jedna chwila, a już spierali się, próbując odgadnąć, gdzie trafiły bomby. W most na rzece? Polanę nad jeziorem? Cegielnię w wąwozie?

Mansur był przekonany, że samoloty zrzuciły bomby na okolice Serżen-jurtu, niedaleko. Wyruszyliśmy, rozpytując po drodze o samoloty. Ludzie pokazywali rękami góry, potakiwali głowami. Pięliśmy się coraz wyżej krętą leśną drogą, która zaprowadziła nas na rozległą polanę.

Wioska nazywała się Elistandżi. Nikt tu nie wypatrywał samolotów, nikt się ich nie spodziewał.

Kiedy wybuchły pierwsze bomby, samoloty ginęły już w słońcu nad górskimi szczytami, wyznaczającymi granicę z Dagestanem. Dopiero gdy ucichły eksplozje, a wiatr rozwiał nad wioską czarny dym, ludzie rzucili się, by w trawie, pod owocowymi drzewkami, szukać swoich bliskich. Tego dnia w Elistandżi zginęło od bomb trzydzieści pięć osób, głównie kobiety i dzieci. Sześćdziesiąt zostało rannych.

Większość bomb spadła na rynek, na podwórza obejść, przed meczetem, na dziedziniec szkoły. Między ulicami Wiejską i Szkolną nie został nawet jeden cały dom. Wskazówki zegarów w zburzonych domach zatrzymały się za kwadrans ósma.

O tej porze, jak co dzień, mężczyźni zebrali się na rynku i nieśpiesznie przygotowując się do modlitwy w meczecie, omawiali najważniejsze sprawy, kobiety zaś wypędzały dzieci do ogrodów, by nie przeszkadzały w kuchni.

– Było bardzo ciepło, słońce świeciło jak latem. Zupełnie wyleciało mi z głowy, że jest to idealna pogoda na bombardowanie. Gdybym choć usłyszała nadlatujące samoloty. Ale nic nie słyszałam. Obierałam ziemniaki, aż tu nagle rozległ się straszny huk, z ziemi podniosła się chmura dymu. Kiedy opadła, zobaczyłam na trawie pod drzewem ciała starszej córki i syna. Najmłodszy, Said Mansur, leżał w kołysce, cały we krwi. Odłamek odrąbał mu stopę.

– U nas we wsi nigdy nie było żadnych partyzantów. Przychodzili rozmaici, prosili, żeby ich wpuścić do wioski, granica z Dagestanem jest

przecież tuż za górami. Nie zgadzaliśmy się. A i tak nas zbombardowali.

W całej wsi rozchodził się stukot młotków i siekier. Chłopi naprawiali chałupy, które jeszcze można było uratować. W zrytych bombami sadach zawodziły kobiety.

– Niech ich piekło pochłonie! Niech was wszystkich piekło pochłonie!

W samochodzie Mansur słuchał nagranych na zniszczoną kasetę pieśni czeczeńskich bardów o świętej wojnie, męczeństwie i wolności.

Wyprawiając się na niezliczone wojny, Czeczeni brali do swoich oddziałów poetów i pieśniarzy, by jak kronikarze opisywali ich waleczność, poświęcenie, błyskotliwe zwycięstwa i bohaterską śmierć. Poetom i pieśniarzom nie wolno było walczyć ani ginąć. Mieli być blisko wojny, by dobrze jej się przyjrzeć, dobrze ją poczuć. Ale ich zadaniem było przeżyć, w pieśniach i w wierszach zebrać opowieści i przekazać je potomnym.

Wtedy, jesienią dziewięćdziesiątego dziewiątego, Mansur, a wraz z nim cała Czeczenia, słuchał pieśni Imama Alimsułtanowa. Kochano go, bo spędził z partyzantami całą wojnę, dwa lata w górach, lasach, okopach i na tułaczce. Czeczeńscy wojownicy strzegli go jak najdroższego skarbu, najważniejszego przywódcy. Nieraz ich błagał, by dali mu karabin i pozwolili walczyć. Odmawiali i tłumaczyli, że swoją gitarą i pieśniami bardziej przysłuży się zwycięstwu niż stu uzbrojonych po zęby dżygitów. Alimsułtanow, który szukał śmierci na wojnie, znalazł ją w czasie pokoju, gdy zabrakło przy nim troskliwych partyzantów.

Zginął, zastrzelony w Odessie, gdzie nagrywał nową płytę.

Rosyjscy żołnierze, którzy nie mieli w oddziałach poetów, kupowali od Czeczenów płyty i kasety Alimsułtanowa, choć śpiewał – co prawda po rosyjsku – o świętej wojnie, islamie i niewiernych. Zapewne starali się nie słuchać słów. Urzekał ich widocznie sam śpiew i melodia, pełna tak bliskiego im sentymentalizmu i patosu.

Podobnie młodzi Czeczeni zachwycali się pieśniami rosyjskiego barda Włodzimierza Wysockiego, szczególnie tą o wilkach. Choć sam Wysocki już dawno nie żył, a wiersz o obławie na wilki napisał w czasach, gdy nikt w Czeczenii nie myślał o nowym buncie, czeczeńscy dżygici wierzyli, że pieśń była właśnie o nich. Mówili wszak o sobie: wilki.

Szarego wilka wybrali jako godło na sztandar, zawołanie w walce, znak rozpoznawczy. Skąd mieli wiedzieć, że niezwykły talent, jakim dobry Bóg pobłogosławił rosyjskiego poetę, polegał między innymi na tym, że wszyscy, którzy słuchali jego pieśni, byli przekonani, że mówią one akurat o nich.

(…) nie skończyła się obława i nie śpią gończe psy,
I giną ciągle wilki młode na całym wielkim świecie!
Nie dajcie z siebie zedrzeć skór!
Brońcie się i wy!
O, bracia wilcy! Brońcie się, nim wszyscy wyginiecie!
Obława, obława, na młode wilki obława!
Te dzikie, zapalczywe, w gęstym lesie wychowane!
Krąg śniegu wydeptany!
W tym kręgu plama krwawa!
Ciała wilcze kłami gończych psów szarpane![1]

Zapytałem Mansura, skąd u Czeczenów wzięła się ta miłość do wilków.

– Wilk? – zaskoczyłem go najwyraźniej, nigdy wcześniej na pewno się nad tym nie zastanawiał. – A bo ja wiem? Może dlatego, że wilk jest odważny, dumny, wolny. Powiadają, że umiera w milczeniu.

Potem dopiero opowiedział mi czeczeńską legendę o wilku, a właściwie wilczycy, która ocaliła świat. Kiedy Bóg kończył trudne dzieło stwarzania świata, zorientował się, że sprawy idą nie tak, że wszystko wymyka mu się spod kontroli. Najgorsi byli ludzie, których tak sobie umiłował. Zamiast być wdzięczni i żyć jak zalecił, na każdym kroku naruszali jego nakazy i zakazy, pławili się w grzechu. W końcu Stwórca rozzłościł się nie na żarty i postanowił zniszczyć wszystko, co stworzył. Zesłał na ziemię straszliwy huragan, który wyrywał drzewa z korzeniami i obalał domostwa. Ludzie i zwierzęta w trwodze porzucali swoje siedziby i uciekali na oślep przed żywiołem, pędzili przed siebie, tratując tych, co padli ze zmęczenia. Ginęli, bo nie było ucieczki, nie było schronienia, znikąd nie było ratunku przed huraganem, nic nie mogło ich ocalić. Tylko szara wilczyca nie uciekała. Stanęła zwrócona pyskiem do wiatru, by swoim ciałem osłonić wilczęta. Gdy Stwórca

dojrzał, że ktoś mu się sprzeciwia, kazał huraganowi wiać jeszcze silniej. Wilk jednak jeszcze mocniej zapierał się łapami i stał dalej. Gonił resztkami sił, umierał, ale się nie poddawał. Widząc to, także ludzie i inne zwierzęta przestali uciekać. Zaczęli zbierać się za plecami wilczycy, która powstrzymywała wicher. Gdy to zobaczył Bóg, pojął, że bez względu na to jak straszne żywioły ześle na ziemię, nie uda mu się jej zniszczyć, póki żyć na niej będzie choć jeden wilk, stworzenie dumne i niezawisłe, z tak ogromną wolą życia, z takim uporem i taką godnością chroniące swoje dzieci. Bóg uradował się więc:,,To stworzenie jest warte ocalenia i szacunku". Po czym uciszył huragan.

- U nas wszyscy znają tę legendę – powiedział Mansur.

Sam najczęściej słuchał pieśni o Bajsan-gurze, dziewiętnastowiecznym kaukaskim buntowniku. „Lepiej zginąć z honorem w świętej wojnie niźli żyć w pogardzie – śpiewał, a raczej wykrzykiwał ochrypłym głosem Alimsułtanow w tumulcie gwałtownych akordów gitary – bierzmy wzór z Bajsan-gura”.

Bajsan-gur stracił na wojnie nogę, rękę i jedno oko, ale dalej walczył i dowodził. Kiedy jego oddział ruszał do ataku, partyzanci przywiązywali go do konia. A gdy sam przywódca powstania, imam Szamil, zwątpiwszy w powodzenie dalszej wojny z Rosją, przyjął oferowane przez cara warunki kapitulacji i szedł podpisać pokój z rosyjskimi generałami, Bajsan-gur z pistoletem w dłoni wołał za nim, żeby się odwrócił, by mógł go zastrzelić. Szamil nie odwrócił się, wiedząc, że jako człowiek honoru Bajsan-gur nie strzeli mu w plecy. Bajsan-gur nie złożył broni i walczył aż do śmierci.

W Czeczenii śpiewano pieśni głównie o Szamilu Basajewie, szczególnie odkąd dokonał zuchwałego najazdu na Budionnowsk i stał się bożyszczem całego Kaukazu, wielbiącego śmiałków, brawurę i męstwo. Zazdroszcząc sławy Szamilowi i próbując powtórzyć, a nawet przyćmić jego wyczyn, inni komendanci także rzucali się do straceńczych szturmów. Ale żaden z nich nawet nie zdołał otrzeć się o legendę Basajewa.

Niewiele też pojawiło się pieśni, które za bohatera miały Maschadowa, choć to on dowodził na wojnie partyzantami, nikt by więc

nie odmówił mu męstwa i tak cenionej u przywódców rozwagi. Zaczęto o nim śpiewać, gdy został już wybrany na prezydenta. Podejrzewano w dodatku, że autorami poświęconych mu pieśni byli urzędnicy i adiutanci, którzy chcieli się przypodobać prezydentowi. Pieśni te śpiewano głównie w państwowej telewizji i na wiecach zwoływanych przez stronników Maschadowa.

Najwięcej jednak pieśni napisano o Dżocharze Dudajewie, pierwszym prezydencie, który stając się w świadomości Czeczenów mitycznym herosem, był żywym dowodem wybiórczości ludzkiej pamięci, wymazującej w obronnym odruchu zdarzenia przykre, a zachowującej wyłącznie te miłe, wyolbrzymiane z czasem, zlewające się z marzeniami.

Dżochara Dudajewa zapamiętałem najbardziej z pierwszego spotkania w styczniu dziewięćdziesiątego drugiego. Z Gruzji, gdzie spiskowcy obalili właśnie prezydenta Zwiada Gamsachurdię, postanowiłem wracać przez Kaukaz, zaglądając do Czeczenii, dokąd pozbawiony tronu gruziński władca zamierzał się udać na wygnanie. Mijał setny dzień panowania Dudajewa, które trąciło bardziej groteską niż grozą i w niczym nie zapowiadało krwawej tragedii, wojny, zniszczenia połowy kraju i śmierci stu tysięcy ludzi. Już wtedy powiadano o Dudajewie, że był to człowiek, któremu całkowicie obce było poczucie strachu. Nikt jednak nie pomyślałby wówczas, że pomnikiem tej brawury staną się ruiny czeczeńskiej stolicy, a sam Dżochar będzie uchodził za bohatera narodowego, świętego męża czy wręcz Bożego Posłańca, budzącego dumny naród z letargu.

Prawdę powiedziawszy, wybierając się w podróż z Tbilisi do Czeczenii przez zasypany śniegiem, skuty mrozem Kaukaz, nie liczyłem na żadną dramatyczną historię, tę miałem już gotową – o ulicznej wojnie i zbrojnym przewrocie w gruzińskiej stolicy. Po wizycie u Czeczenów spodziewałem się opowieści o położonej na końcu świata zbójeckiej krainie i jej ekscentrycznym władcy.

Z pierwszego spotkania z Dżocharem Dudajewem bardziej może niż jego słowa zapamiętałem szydercze spojrzenie ośmiolatka Ahmeda, którego poznałem w prezydenckiej kancelarii, gdzie czekałem na

audiencję i rozmowę.

Ahmed spędzał tam całe dnie. Jego ojciec był jednym z ochroniarzy Dudajewa i często zabierał dzieciaka ze sobąna służbę. Ahmed siedział więc w kancelarii i bawił się karabinami. Wyjaśniał mi na przykład z wyższością i własnoręcznie demonstrował, jak składa się i rozkłada pistolet maszynowy Wilk, produkcję tych pistoletów zlecił właśnie prezydent jednej ze stołecznych fabryk. W przyszłości wilki – do złudzenia przypominające izraelskie karabinki Uzi – miały być w wyposażeniu całego czeczeńskiego wojska.

– Do magazynka wchodzą trzydzieści cztery pociski. Kaliber dziewięć milimetrów, takie same jak do makarowa – tłumaczył cierpliwie Ahmed, błyskawicznie rozmontowując pistolet. – Niesie na pięćset metrów.

Nie potrafił ukryć dobrotliwego rozbawienia, nie pojmując, jak dorosły mężczyzna może nie wiedzieć tak oczywistych rzeczy. Mimo to lubił, kiedy przychodziłem. Inni dorośli nie mieli dla niego czasu – zajęci bez reszty swoimi sprawami, głównie przygotowaniami do wojny, która według nich właśnie nadciągała. Ja miałem czas, a Ahmed, jak każdy ośmioletni chłopiec, po prostu chciał się bawić. Tyle że za zabawkę służył mu karabin.

Przed drzwiami gabinetu Dudajewa, wzdłuż długiego korytarza prowadzącego do prezydenckich pokoi, stali pokornie interesanci. Tego dnia prezydent miał rozpatrywać skargi i prośby.

Dudajew, w otoczeniu wyższych o głowę ochroniarzy, szybko wbiegał po schodach na czwarte piętro, gdzie mieścił się jego gabinet. Nigdy nie jeździł windą. Bał się zamachowców, którzy dybali na jego życie. Mijając przed drzwiami gabinetu zgiętych w pokłonach podwładnych, uśmiechał się łaskawie, ściskał wyciągnięte dłonie. Czarny, przystrzyżony wąsik, lodowate, przeszywające na wskroś spojrzenie, kamienna twarz, długi, zapięty pod szyję skórzany płaszcz, czarny kapelusz przewiązany białą wstęgą. Gdyby z jakiegoś powodu postanowił jeszcze nosić getry, wyglądałby – wypisz, wymaluj – jak ojciecchrzestny włoskiej rodziny mafijnej z Nowego Jorku czy Chicago z czasów prohibicji.

Już dawno nie miał na sobie generalskiego munduru. Starał się go nie nosić, żeby ludziom nie kojarzyło się to z wojskową dyktaturą. I tak

wystarczyło, że włożył popularne na Kaukazie ciemne przeciwsłoneczne okulary, a już jego wrogowie porównywali go do południowoamerykańskich pułkowników i generałów, wojskowych dyktatorów. Ale bez względu na wszystko nie rozstawał się z pistoletem, który nosił w kaburze pod pachą.

Nie wyzbył się wojskowych nawyków. Nie rozmawiał, lecz rozkazywał, nie odpowiadał na pytania, lecz składał raport. Strzelał krótkimi, prostymi zdaniami. Podmiot, orzeczenie, dopełnienie. Kropka. Wciąż dowodził.

Podczas rosyjskiego najazdu na Afganistan kierował dywanowymi bombardowaniami pasztuńskich i tadżyckich wiosek, a zanim został czeczeńskim prezydentem, dowodził przez cztery lata jednostką bombowców strategicznych w Tartu w Estonii. Po wybuchu trzeciej wojny światowej samoloty Dudajewa miały zasypać Europę Zachodnią bombami atomowymi.

Zamiłowanie do pilotowania samolotów pozostało mu do końca życia. Jako prezydent nieraz zasiadał za sterami swego niewielkiego samolotu i nie informując nikogo, z gospodarzami włącznie, zaskakiwał ich, lądując bez uprzedzenia z wizytą w ich stolicach. Odwiedził tak na przykład Wilno, Baku i Erewan, ale także Bejrut i Amman.

Był pierwszym Czeczenem, który w rosyjskiej armii doszedł do stopnia generała. Czeczeńskich górali, jako wiecznych buntowników i ludzi niepewnych, w wojsku nie awansowano, ale starano się ich rugować. Pomijano milczeniem bojowe zasługi, nie zabierano na parady zwycięzców.

Przeprowadzano wśród nich pobór rekrutów, ale dopuszczano do godności ledwie podoficerskich. Inna sprawa, że każdy oficer w rosyjskiej armii marzył, by w swoim oddziale mieć przynajmniej kilku kaprali Czeczenów. Choć im samym trudno było ugiąć karku, swoją obecnością zaprowadzali dyscyplinę i porządek nawet w najgorszej, najbardziej zabałaganionej drużynie.

Rozkochani w wojaczce i mundurach, Czeczeni bardzo przeżywali, że w całej rosyjskiej armii żaden z nich nie dosłużył się stopnia generała. Było im tym bardziej wstyd, że swoich generałów mieli niemal wszyscy

ich sąsiedzi z Kaukazu. Kiedy więc dotarła do Czeczenii wieść, że Dudajew został generałem, wśród Czeczenów wybuchła szalona radość.

Prawdę mówiąc, mało kto go znał, nawet mało kto o nim słyszał, a nikt nie potrafił nic o nim powiedzieć. Całe dorosłe życie spędził z dala od gór, w Rosji, na Syberii, na Ukrainie i nad Bałtykiem, wziął sobie za żonę Rosjankę, Ałłę, córkę oficera, mówiono, że Żydówkę. Żył jak Rosjanie, przesiąkł ich zwyczajami i kulturą, wstąpił do ich partii komunistycznej, myślał jak oni, czuł jak oni, lepiej nawet władał przybraną rosyjską mową niż rodzimą, czeczeńską.

Wróżono mu karierę w wojsku, ale rzucił wszystko, kiedy Czeczeni poprosili go, by wziął ich pod swoją komendę. Propozycja trochę go zaskoczyła. Na Kongres Narodu Czeczeńskiego jechał jako gość, a nie pretendent do władzy. Ale cóż, Allah tak chciał!

Kiedy przyszło wybierać władze Kongresu, wybuchły kłótnie. Żadna z frakcji, żaden z rywalizujących od stuleci klanów nie chciał ustąpić. I wtedy ktoś zaproponował Dudajewa. Pomysł chwycił. Generał był człowiekiem z zewnątrz, bez klanowych powiązań. W Czeczenii, gdzie wszyscy się znają i wszystko o wszystkich wiedzą, nie potrafiono jednoznacznie określić nawet tego, z jakiego rodu się wywodził. Kiedy zaś w końcu udało się to ustalić, natychmiast wybuchły zażarte spory, czy jego ród można uznać za szlachetny, czysty, a nawet – czy w ogóle jest to ród czeczeński, czy też jedynie inguski.

Tak czy inaczej, w końcu wszyscy się na niego zgodzili. Doszli do wniosku, że nie ma co kruszyć kopii w otwartej walce. Lepiej zaczekać i po cichu przeciągnąć żółtodzioba na swoją stronę.

Czeczeński Kongres był jedną z dziesiątków organizacji, jakie nagle pojawiły się dzięki niespodziewanej wolności, której śmiertelnie chore i słabe wielkie imperium nie mogło już tak skutecznie tłumić. Podobnie jak one, czeczeński Kongres pod adresem władz zaczął mnożyć, zrazu nieporadnie i nieśmiało, żądania ustanowienia prawdy, naprawienia krzywd. Z czasem domagał się coraz więcej i coraz odważniej, nie znosząc sprzeciwu. W końcu zażądał władzy.

Po kilkudniowej rewolucji, wiecach i ulicznych zamieszkach zbuntowani przeciw władzy mieszkańcy Groznego, a także sprowadzeni

im do pomocy twardzi górale z wysokiego Kaukazu przepędzili z miasta sekretarzy, ministrów i posłów. Kilku z nich pobito, jeden, na widok ludzi wdzierających się do budynku, wyskoczył z trzeciego piętra i zginął na miejscu. Otwarto i zburzono więzienia, jak przy okazji niemal każdej rewolucji. Uwolnieni przestępcy przyłączyli się do burzycieli starego porządku, a niektórych, w innych okolicznościach uznanych za typy spod ciemnej gwiazdy, obwołano nawet przywódcami powstania.

Nieznanego dotąd szerzej generała Dudajewa okrzyknięto bohaterem. Kiedy ogłoszono wybory prezydenta, wygrał je niemal jednogłośnie. Stał się sławny nie tylko na Kaukazie, ale i w całej Rosji. W Moskwie, gdzie doszło do najważniejszej z batalii między obrońcami starych porządków i zwolennikami nowych, górę wzięli ci ostatni. W czeczeńskim generale widzieli swego sprzymierzeńca i druha. Winszowali mu zwycięstwa, pozdrawiali, wiązali z nim wielkie nadzieje.

Był wśród nich rodak Dudajewa, Czeczen Rusłan Chasbułatow, który za sprawą wrodzonego sprytu i szczęśliwego zbiegu okoliczności wdrapał się w tamte rewolucyjne dni na sam szczyt kremlowskiej piramidy władzy. Po wywodzących się z Gruzji Stalinie (mówiono o nim, co prawda, że Gruzinem był tylko jako dziecko), Berii i Szewardnadzem żaden inny przedstawiciel Kaukazu nie zaszedł w Rosji tak wysoko.

Chasbułatowowi zawróciło to najwyraźniej w głowie, bo wkrótce spróbował sięgnąć jeszcze wyżej, jako przewodniczący rosyjskiego parlamentu rzucił wyzwanie samemu prezydentowi.

Przegrał z kretesem. Prezydent rozpędził parlament, a do posłów okupujących jego siedzibę kazał strzelać z czołgów i dział. W kolejnej, rozgrywanej w samym sercu Moskwy bitwie o władzę zginęły setki ludzi. Chasbułatow skapitulował, wtrącono go do więzienia. Nigdy nie pogodził się z porażką i rozczarowaniem. Nawet po latach, rozmawiając o tamtych dniach, nie potrafił ukryć goryczy i sarkazmu.

– Nie sądzę, żeby Dudajew pojawił się przypadkiem. Był potrzebny. Komu? Proszę sobie tylko przypomnieć tamte czasy. Rozpada się Układ Warszawski, przegrana wojna w Afganistanie, wali się imperium, a jego wielka armia całymi pociągami wycofuje się z Europy, z Afganistanu. Wracają do domu, gdzie nikt nie czeka na żołnierzy, nikt nie ma im nic do

zaproponowania – opowiadał Chasbułatow w swoim wyklejonym tanią boazerią uniwersyteckim gabinecie profesora ekonomii. Szczerzył popsute zęby w uśmiechu i w kółko przypalał nieodłączną fajkę, która stała się jego znakiem rozpoznawczym. – Jestem przekonany, że Dudajewa wymyślili właśnie wtedy rosyjscy generałowie. Potrzebna im była „czarna dziura”, jakieś niezależne od Kremla terytorium, niezależny od nikogo korytarz, przez który mogliby przepuścić choć część wywożonej z Europy broni i zrekompensować sobie złamane życie i kariery. A szmuglowali nie tylko bron, ale wszystko, co było pod ręką. Ropę naftową, narkotyki. Pamięta pan historię tego rosyjskiego dziennikarza, Dimy Chołodowa? Szukał, drążył, pytał, dociekał, jak to było naprawdę. I co? Dostał kulkę w łeb, zanim jeszcze zaczęła się wojna w Czeczenii. A i o wojnie powiadano, że wybuchła, bo generałowie, bojąc się, że wpadną, postanowili zniszczyć dowody winy, spalić miasto, a z nim wszystkie dokumenty, archiwa i świadków.

– Dudajew tego nie rozumiał, czy też godził się być jedynie marionetką?

– Na początku nie rozumiał, potem jednak uwierzył, że wszystkich przechytrzy. Kto to był ten Dudajew? Żaden polityk. Zwyczajny generał, a ci nie należą do najbystrzejszych. Spotkałem go tylko raz, zaraz po tym, jak przejął władzę, ja pojechałem do Czeczenii zorientować się co i jak. Zapamiętałem tylko te jego rozbiegane oczy. Obiecał mi wtedy, że nie zrobi nic pochopnego. Ledwie wyjechałem, a on ogłosił niepodległość. Zadzwoniłem do niego i pytam: jak ci nie wstyd? Dałeś słowo nie tylko jako mężczyzna, ale i jako żołnierz. Przepraszał, mówił: wybacz, jakoś tak wyszło.

Z Moskwy słano do Dudajewa emisariuszy, żeby go wybadać, przekabacić, skusić pieniędzmi, przywilejami, awansami, stanowiskami. Włącznie z posadą naczelnego dowódcy całego rosyjskiego lotnictwa. Jeździł do Groznego rodak generała, Chasbułatow, jeździł wiceprezydent Rosji, inny generał lotnik, Aleksander Ruckoj, jeździł znany z przebiegłości Giennadij Burbulis, kremlowska szara eminencja. Wracali jak Chasbułatow, przekonani, że dogadali się z Czeczenem, że dobili targu.

Na Kremlu nie zdążyli się nawet obejrzeć, a tu w Teatrze Dramatycznym w Groznym Dudajew, wystrojony w generalski mundur i zielono-biało-czerwoną szarfę, przysięgał na Koran bronić czeczeńskiej niepodległości. Słyszane to rzeczy?

W oczach metropolii czeczeński generał popełnił nawet nie jedno, lecz dwa straszne przestępstwa – obalił imperialną administrację w Groznym, rozpędził parlament i bez pytania Moskwy138o zgodę przejął władzę. Tak po prostu! Bez jednego wystrzału!

Nie żeby Moskwie tak bardzo zależało na starych władzach w Czeczenii. Jeśli jednak Dudajew chciał rządzić, trzeba było wpierw przyjechać na Kreml, przedstawić się, porozmawiać. Wtedy – proszę bardzo. Ale tak, na własną rękę obalać władze? Toż to czyste warcholstwo. A gdyby tak wzorem Czeczenów również Ingusze, Baszkirzy, Tatarzy czy Buriaci zaczęli pozbywać się starych władz, wyrzucać za ręce i nogi moskiewskich namiestników i sami wybierać swoich przywódców?

Na tym jednak jeszcze nie koniec. Czeczen w ogóle wymówił posłuszeństwo Rosji i jął podburzać innych górali z Kaukazu. Rozpowiadał, że gotów jest dyskutować o tym z rosyjskim prezydentem, gotów wypalić fajkę pokoju, ale tylko z samym prezydentem Rosji i tylko jak równy z równym.

Sytuacja zaczynała wymykać się spod kontroli. Rozsierdzony już nie na żarty Ruckoj jeszcze raz pofatygował się na Kaukaz. „Zwykłem nazywać rzeczy po imieniu. To, co się dzieje u was, to po prostu bandytyzm”, powiedział Dudajewowi.,,Nie, to rewolucja, do której mamy takie samo prawo jak wszyscy inni", odparł Czeczen.

Tym razem Ruckoj wrócił do Moskwy przekonany, że z Dudajewem nie ma się co patyczkować, bo i tak nie dotrzyma słowa, że trzeba rozprawić się z Czeczenami, zanim będzie za późno, zanim Dudajew dogada się z sąsiadami i namówi ich do wspólnego wkroczenia na wojenną ścieżkę przeciw Rosjanom, zanim rebelia rozleje się na cały Kaukaz.

W Groznym wylądowali rosyjscy spadochroniarze z listem gończym za Dudajewem. Na lotnisku powitały ich tysiące uzbrojonych Czeczenów.

Tysiące innych zebrały się na placu Szejka Mansura. Na rogatkach miasta stanęły barykady.

Dudajew wezwał górali do świętej wojny przeciw Rosji. Wezwał Czeczenów na całym świecie, by w obronie swego kraju, jeśli zajdzie potrzeba, zaatakowali wszystko co rosyjskie – ambasady, statki, samoloty, fabryki, elektrownie atomowe (tego samego dnia ośmiu Czeczenów porwało do Ankary rosyjski samolot wraz ze stu siedemdziesięciu ośmioma pasażerami, lecący z Mineralnych Wód do Jekaterynburga).

– Każda czeczeńska wioska, każda ulica, każdy dom będzie niezdobytą twierdzą, wieżą z kamienia – groził. – Niech nikt nie próbuje z nami walczyć. Mam pod bronią pół miliona ludzi.

Znany z tego, że łatwo dawał się ponosić emocjom, często popadał w przesadę. Zważywszy, że cała Czeczenia liczyła najwyżej półtora miliona dusz, w jego wojsku musiałby służyć co trzeci mieszkaniec kraju, włączając w to kobiety, starców i dzieci.

Dziadek Islam Hasanow, którego ród wywodzi się z górskiego aułu Szatoj, też przystał do rewolucji, choć przyznawał, że bardziej z ciekawości niż z poczucia obywatelskiego obowiązku.

– Ja tam, panie, nigdy się do polityki nie mieszałem. Ale jak powiedzieli przez radio, żeby przychodzić na plac, bo Ruskie przyjechali, żeby obalić naszego prezydenta, to sobie pomyślałem: trzeba iść. A moja baba w krzyk. Taki stary, a taki głupi! Nigdzie nie pójdziesz! Do tej pory radzili sobie bez ciebie, to i teraz sobie poradzą! Cicho, stara, powiedziałem, to męska rzecz. Wziąłem strzelbę i poszedłem.

Dziadek Islam w ciągu dnia handlował na bazarze zagranicznymi papierosami i gumą do żucia. Wieczorami dorabiał jako taksówkarz. Za dnia zarabiał pieniądze, wciskając mi szmuglowane z Turcji papierosy Lucky Strike (codziennie obiecywał, że nazajutrz załatwi rothmansy), nocą zaś – wożąc mnie po mieście na wyznaczane przez czeczeńskich ministrów spotkania w urzędach i gospodach.

– Tu, na placu, było takie mrowie ludzi, że trudno się było przecisnąć – pokazywał ręką przez otwarte okno samochodu. Wszyscy nazywali go dziadkiem, choć dopiero stuknęła mu pięćdziesiątka. On sam nie

wiedział, skąd wzięło się to przezwisko. Ot, nazywali i tyle. – Podobno przemawiał prezydent, alem go nawet nie widział. Przesiedziałem na placu całą noc, chociaż pogoda była paskudna. Jak rano ogłosili, że ruskie wojsko już sobie poszło, wróciłem do domu. I tak się skończyła ta moja wojna – śmiał się, błyskając garniturem złotych zębów. – Ale jak będzie trzeba, to znowu przyjdę. Dla nas, Czeczenów, wojna to nie pierwszyzna.

Moskwa zobaczyła, że to nie przelewki, a ponieważ nie była jeszcze gotowa na wojnę – na Kremlu wciąż urzędowali dwaj prezydenci, Rosji i rosyjskiego imperium ZSRR, i jeszcze nie było wiadomo, który z nich weźmie górę – odwołała z Kaukazu swoich spadochroniarzy. Zamiast złamać upór hardego Czeczena, upokorzyć go i pokazać miejsce w szeregu, nieudany atak na jego stolicę tylko go rozzuchwalił i wyniósł w oczach rodaków, którzy teraz zaczęli w nim widzieć nowe wcielenie wielkich kaukaskich powstańców i imamów.

Wrogowie Dudajewa, a tych mu nigdy nie brakowało, narzekali potem, że to sama Rosja z nieznanego generała uczyniła mitycznego bohatera. On sam w ten swój przyrodzony heroizm święcie wierzył. Roli przywódcy dopiero się uczył, uznał ją za misję, którą powierzyło mu przeznaczenie.

Zabrał się do rządzenia krajem jak lotniczą eskadrą. Przestał kogokolwiek słuchać, nie przyjmował żadnych rad, podpowiedzi. Lepiej czuł się w roli buntownika, burzyciela niż budowniczego. Rządzenie państwem wyraźnie mu nie szło.

Niewysoki, bardzo szczupły i chłopięco drobny. Zapamiętałem też, że dłonie miał delikatne i zadbane, inne niż setki męskich prawic, szorstkich, kanciastych, mocnych w uścisku.

Głos miał łagodny, twarz miłą, o regularnych rysach. Uśmiechał się tajemniczo, trochę wyrozumiale, jak iluzjonista, który wie zawczasu, co się zdarzy, i bawi się samą perspektywą ujrzenia min zadziwionej publiczności.

Umiał i lubił czarować. Potrafił na przykład w środku rozmowy wtrącić z głupia frant, że ceni sobie znajomości z dziennikarzami, bo to ludzie kulturalni, uprzejmie słuchają i nie zadają głupich pytań.

Rozmawiając zaś, nie uciekał wzrokiem, lecz wpijał palące spojrzenie w swego gościa, jakby go chciał poddać próbie szczerości intencji.

Spojrzenie miał Dżochar diabelskie, a nos jak dziób orła – śpiewano o nim w jednej z pieśni.

Na początek zapytałem go, jak się czuje w roli prezydenta państwa, którego nikt nie uznaje.

– Bez łaski! – wzruszył ramionami. – Na świecie rządzi prawo silniejszego, nikt nie przestrzega innych praw. Im większy kraj, tym chętniej stosuje prawo dżungli. A gdyby nas uznali? Co by to zmieniło? Czeczeńska flaga zostałaby wywieszona w ONZ? ONZ to przeżytek. Allah nas uznaje, to najważniejsze.

Domagał się zresztą dymisji sekretarza generalnego ONZ, którego obarczał odpowiedzialnością za wszystkie światowe wojny, klęski głodu i inne nieszczęścia. A na wspomnienie wysuwanych przeciw niemu zarzutów o dyktatorskie zapędy żachnął się, unosząc ze zdziwienia brwi.

– Niedemokratyczne metody? Zachodni liberałowie nie mają prawa mówić nam o tym, co znaczy być demokratą, a co dyktatorem na Kaukazie. Tu nie ma państw o kilkusetletniej tradycji demokratycznej. Jest za to spuścizna totalitarnego reżimu. Nadmiar demokracji kończy się zresztą anarchią. Skąd wy macie prawo, by nas osądzać albo się śmiać z naszych obyczajów? Wycierpieliśmy może więcej niż inni. Dlaczego więc Litwini czy Łotysze mogą mieć własne państwo, a nam, Czeczenom, na to się nie pozwala? Dobijemy się tego prawa, czy to się komuś podoba, czy nie! I urządzimy swoje państwo tak, jak sami uznamy za stosowne.

Co do przyszłej wojny z Rosją był pełen najgorszych przeczuć.,,Napadną na nas, będzie wojna", powtarzał, za nim zaś cały kraj. A może było na odwrót, i to właśnie on, wsłuchując się w obawy rodaków, uwierzył w jej nieuchronność? Mówił, że niechce wojny, że gotów jest rozmawiać, ale sam chyba nie wierzył, że spór między Rosjanami i Czeczenami da się rozstrzygnąć polubownie. Jego upór, wyczulenie na sprawy honoru i porywczość sprawiały, że niezwykle trudno przychodziło mu układanie się, ustępstwa. Z drugiej jednak

strony, żeby dobić z nim targu, uniknąć wojny, wystarczyłby zapewne jakiś spektakularny, pusty, lecz bardzo patetyczny w formie gest ze strony Rosji. Gest, na który nie mógł się zdobyć rosyjski prezydent Jelcyn, ponieważ sam potrzebował go jak powietrza, sam koniecznie chciał dowieść swojej potęgi i zdecydowania. Najlepiej na kimś słabszym, jak Czeczeni.

– Wszystko, czego żądam, to żebyśmy zasiedli do stołu jak równy z równym – mówił Dudajew i przypominał, że rosyjskiemu prezydentowi nie spadła z głowy korona, gdy zaszczycił w ten sposób przywódców Tatarów i Baszkirów. Czeczen obiecywał dodatkowo, że jeśli tylko Rosja na to się zgodzi, złoży urząd i będzie sadzić kwiatki w ogrodzie. – Rosjanie muszą pamiętać, że nie znajdą lepszych przyjaciół niż Czeczeni, ale mogą też uczynić z nas najstraszniejszych wrogów. My nigdy nie pogodzimy się ze zniewoleniem. Takich nas stworzył Wszechmogący. Łatwiej nas zabić niż złamać.

Straszył Rosjan, że wszedł w posiadanie pocisków rakietowych zdolnych do przenoszenia bojowych głowic atomowych na odległość pięciu tysięcy kilometrów, że porzuconą w Czeczenii setkę ćwiczebnych samolotów Albatros gotów jest przysposobić do samobójczych ataków na Kreml, że w każdej chwili może sprowadzić na Kaukaz sto pięćdziesiąt tysięcy afganskich mudżahedinów zaprawionych w bojach z Rosjanami i żądnych zemsty.

– Nie chcę tej wojny, bo boję się, że może być początkiem nowej wojny światowej, której nie chcę być winien – mówił Dudajew. – Nie dojdzie do tego, póki mam wszystko pod kontrolą.

Rodacy generała obawiali się, że tak bardzo przejął się rolą nowego kaukaskiego imama, iż celowo prowokował Rosjan do wojny, by móc kroczyć śladami największych bohaterów czeczeńskiej historii.

Pełen był też najgorszych przeczuć i surowo oceniał kondycję świata. Przepowiadał marny koniec cywilizacji.

– Cały świat gwałci prawa natury. Wszelkie kataklizmy są właśnie rezultatem odejścia od natury, upadku moralnego. A dziś wszystko do tego zmierza – powiadał. – Popatrzcie tylko, Europa chce legalizować małżeństwa pederastów. To już koniec, całkowite dno, zupełna

degeneracja. Wszystkie wielkie imperia ginęły, gdy ludzkość odchodziła od praw natury i moralności. Imperium rzymskie – ostatnich siedmiu cesarzy było pederastami, bezecnikami. I wszyscy za to ponieśli karę. Podobnie imperia bizantyjskie, osmańskie – wszystkie upadły, gdy tylko zaczęto łamać normy moralne. Sto tysięcy razy ziemia była zalewana wodą, a oceany wysychały i stawały się pustyniami. Tak będzie i teraz.

Jego doradcy błagali, by starał się hamować krasomówczy zapał, by bardziej uważał na to, co mówi. Obiecywał na przykład Czeczenom, że sprowadzi na Kaukaz amerykańskich nafciarzy i wkrótce górale będą mieli złote krany w łazienkach, że będzie z nich płynęło wielbłądzie mleko. Chciał też budować gigantyczny rurociąg, którym by pompował na sprzedaż do pustynnej Arabii krystaliczną, chłodną wodę z kaukaskich gór. Wciąż też podburzał inne kaukaskie narody do buntu przeciw Rosji. Proponował Inguszom, Osetyjczykom, Czerkiesom utworzenie Republiki Górskiej, obejmującej cały Kaukaz, od Morza Czarnego do Kaspijskiego. „Teraz albo nigdy. Razem damy radę”, kusił. On już zadarł z Rosją i niewiele miał do stracenia. Oni wręcz przeciwnie. Zsuwali więc z czoła baranice i drapali się zatroskani po głowach. Było o czym myśleć. Z jednej strony szkoda okazji. Moskwa słaba i zbyt zajęta swoimi kłopotami, może by sięi udało. Ale z drugiej – weź tu i zadrzyj z Rosją!

Obiecywał, że uczyni z Czeczenii muzułmańską republikę rządzącą się prawami Bożymi. Odkąd został prezydentem, to piątek, a nie jak dotąd niedziela, był w kraju Czeczenów dniem wolnym od pracy. O nagłej pobożności prezydenta opowiadano już nawet dowcipy.

– Jesteśmy najprzykładniejszymi muzułmanami na świecie – mówi na jednym z wieców zachwycony Dudajew. – Jesteśmy tak pobożni, że modlimy się trzy razy dziennie!

– Nie, Dżochar, nie trzy, a pięć – cicho podpowiada wiceprezydent Selim Chan Jandarbijew, zawstydzony, że jego zwierzchnik, choć składał przysięgę na Koran, nie ma pojęcia, iż zgodnie z muzułmańskim obrządkiem wierni modlą się pięć razy dziennie.

– A jak się komuś podoba, to modli się i pięć razy. Taka u nas swoboda – wykrzykuje niczym niespeszony Dudajew.

Dudajew żyje w baśniowym świecie, lamentowali czeczeńscy przeciwnicy prezydenta. Ale życie w Czeczenii coraz mniej przypominało bajkę. Prędzej już opowieść zbójecką. Choć rosyjscy żołnierze dawno wyjechali do domu, po ulicach Groznego wciąż przechadzali się wąsaci wojownicy, obwieszeni karabinami, granatami i bandolierami. Nocami rozlegał się huk wystrzałów. Nie mogło być zresztą inaczej, skoro jednym z pierwszych prezydenckich dekretów Dudajew dał Czeczenom prawo do noszenia broni. Sam rozdawał karabiny, kiedy nie będąc jeszcze prezydentem, wzywał ludzi do szturmu na parlament.

Widok mężczyzny z karabinem na ramieniu czy pistoletem za pasem nikogo już w Groznym nie dziwił. U nas mężczyźni noszą nie tylko portki, ale i karabiny, powiadali Czeczeni.

Ludzie chodzili z bronią do pracy (jeśli akurat ją mieli), na wieczorne spacery, na dyskoteki. Pokaż mi swoją broń, a powiem ci, kim jesteś. Nowy karabin Kałasznikowa kosztuje sporo, więc człowiek, który jest jego posiadaczem, zaliczany był do ludzi zamożnych. Natomiast bogaczem był z całą pewnością ktoś, kto miał kolta czy thomsona albo szczególnie modnego stieczkina. Ktoś bez karabinu mógł być jedynie biedakiem albo pacyfistą. Tak czy inaczej nie zasługiwał na szacunek.

Najwięcej uzbrojonych mężczyzn można było spotkać na placu przed siedzibą rządu. Pierwszy kordon stanowili gwardziści i policjanci. Na każdym piętrze rządowego budynku znajdowały się posterunki. Mrukliwi mężczyźni w garniturach sprawdzali dokumenty, pytali co i jak, dzwonili gdzie trzeba albo po prostu spali. Z pistoletami za pasem przychodzili do pracy ministrowie. Z pistoletem nie rozstawał się sam Dudajew.

Rozdał Czeczenom bron, bo spodziewał się wojny z Rosją.

– Rosjanie uderzą w najmniej spodziewanym momencie. Musimy być czujni, zwarci, gotowi! – ostrzegał.

Zachować czujność! Wróg nie śpi! Wojna się nie skończyła! Niech ludzie nie sarkają, że niczego nie ma w sklepach, że drożyzna, że bieda. Niech nie narzekają, że dowodzi krajem jak jednostką wojskową, niech nie wypytują o cenę, jaką im przyjdzie zapłacić za wolność. Kto nie

z nami, ten przeciw nam! Niech żyje rewolucja!

– Moja sprawa jest słuszna i gotów jestem dla niej zginąć – powtarzał często.

Nie czytał widać Oscara Wilde'a, który twierdził, że nie każda sprawa jest święta tylko dlatego, że ktoś gotów jest dla niej umierać. Nie znał też pewnie Woltera, ale wydaje się, że mógłby się zgodzić z jego maksymą o człowieku wolnym, który idzie donieba taką drogą, jaka mu się podoba.

*

Z tymi Czeczenami zawsze były same kłopoty.

,,Był tylko jeden naród, który w ogóle nie poddał się psychologii pokory – nie jednostki, nie buntownicy, ale cały naród.

To byli Czeczeni..." – pisał Aleksander Sołżenicyn w*Archipelagu Gutag.*

Ze wszystkich podbitych ludów imperium rosyjskiego nikt tak zażarcie nie broni! swej wolności. Rosyjscy generałowie dawno podporządkowali sobie kaukaskich bejów, szamchałów, azjatyckich chanów, a nawet polskich królów, nie potrafili natomiast dać sobie rady z czeczeńskimi góralami, którzy się wciąż buntowali, wciąż walczyli. Pod względem liczby zbrojnych powstań przeciw metropolii Czeczeni znajdują się zapewne w ścisłej światowej czołówce narodów skolonizowanych – nie tylko przez Rosję, ale przez wszystkie mocarstwa imperialne.

Gdy pokonała groźne chanaty kazański i astrachański, gdy okrzepła i zebrała siły, słaba dotąd Rosja z zachwytem zaczęła przyglądać się swojej nowej potędze, a jej carowie zaczęli śnić o imperium, jakiego nie znała ludzkość. Pierwsi rosyjscy konkwistadorzy, początkowo nieśmiało, nie chcąc narazić się Turcji ani Persji, pojawili się na Kaukazie w wieku szesnastym. W obawie przed Europą Moskwa postanowiła spróbować szczęścia na południu. Piewcy rosyjskiego imperializmu przekonywali kolejnych carów do marszu ku południowym morzom.,,W Europie bez wojny nikt nie ustąpi nam ni piędzi ziemi – pisał wielki orędownik kolonialnych podbojów, generał Aleksiej Jermołow, konsul Kaukazu, rosyjski Pizarro, Cortes i Cecil Rhodes w jednej osobie. -W Azji całe królestwa leżą u naszych stóp". Rosyjskie wojska ruszyły więc na

południe, na podbój. Drogę do wielkości i potęgi przegradzał Kaukaz.

Rosjanie najpierw starali się omijać nieprzyjazne, sięgające nieba góry, przeciskając się piaszczystymi brzegami mórz Kaspijskiego i Czarnego, odkryli też wśród skał przejezdny szlak, który nazwali drogą wojenną. Wygrywając wojny z perskim szachem i tureckim sułtanem, Rosja wchłonęła ziemie Gruzinów, Ormian i Azerów, a także dagestańskich i kabardyjskich górali. Ale pośrodku tego rozległego, podbitego terytorium wciąż pozostawały niepokorne, nieuznające niczyjej władzy krainy walecznych Czeczenów i Czerkiesów. „Pokonaliśmy na wojnie tureckiego sułtana, a ten, uznając przewagę moskiewskiego cara, podarował mu cały Kaukaz", miał tłumaczyć pewien rosyjski generał czerkieskim starcom. Na te słowa jeden z nich wskazał przybyszowi orła szybującego po niebie.,,A ja ci ofiarowuję tego ptaka – powiedział. – Jest twój, złap go sobie". Wojna z góralami była tylko kwestią czasu. Stała się nieunikniona także dlatego, że nie było żadnego innego sposobu, by ich sobie podporządkować. W przeciwieństwie do Kabardyjczyków, Czerkiesów, Awarów czy Gruzinów nie mieli własnych możnowładców, których oszustwem, przekupstwem lub groźbą dałoby się przeciągnąć na swoją stronę, namówić lub zmusić, by wraz z królestwem i wszystkimi poddanymi przyjęli obce poddaństwo. Czeczeni prawdziwych książąt nie mieli. To znaczy – mieli, dawno, przed wiekami, lecz wytępili ich, zarówno własnych, jak obcych, kumyckich i kabardyjskich, wywołując kaukaską chłopską rewolucję, której krzyżująca się z legendą historia przetrwała nie w dokumentach, lecz w pieśniach i opowieściach.

Ukryci pośród gór w swoich aułach i wieżach z kamienia, żyli w wolnych wspólnotach chłopów, pasterzy i wojowników, nieciekawych świata i nieliczących się z otaczającą rzeczywistością, rządzących się odwiecznymi, lecz nigdy niespisanymi prawami.

Wszyscy mieli równe prawa i jednakowe obowiązki, a najważniejszym z nich była wierność wobec rodu i plemienia. Nie posiadali własnego wojska (każdy dorosły mężczyzna był wojownikiem), urzędów (zawsze sami musieli dochodzićswego i sami, nie mogąc liczyć na nikogo, bronili się przed wszelkimi niesprawiedliwościami, urzędy uważali więc za

wymysł ludzi słabych, którzy nie potrafią sobie w życiu poradzić), sędziów (każdy spór rozstrzygała starszyzna), policji ani więzień (przed zbrodnią najlepiej chronił*czir,*święty obowiązek rodowej zemsty, który przechodził do dwunastego pokolenia; powiadają na Kaukazie, że raz się strzela, a echo sto lat wystrzał powtarza).

W sprawach wagi nadzwyczajnej – wojny, pokoju, wendety, waśni między rodami czy sporów o miedzę – zwoływano Mehk-Khel, wielką radę starszyzny rodowej. W razie obcego najazdu Czeczeni zwoływali pospolite ruszenie i wybierali spośród siebie komendanta. Kiedy ginął, wybierali nowego. Władza była powierzana, nigdy zaś dziedziczona. Zabicie dowódcy nic nie dawało. Nie mieli żadnego rodu panującego, którego unicestwienie mogło doprowadzić do zguby wszystkich. W czasie pokoju nie mieli wcale rządu ani przywódców. Niechęć, niemożność, by się komukolwiek podporządkować, słuchać czyichś poleceń, walczyć na rozkaz ustępowała jedynie trosce o przetrwanie. Czas pokoju nie był jednak czasem spokoju. Czeczeńskie rody walczyły między sobą o miano najgodniejszego szacunku, najmężniejszego, najbardziej honorowego. Prześcignąć innych, zyskać podziw – było celem najważniejszym. Okryć się wstydem – najgorszą ujmą. Czeczeni rywalizowali więc wiecznie o to, kto mężniejszy, kto silniejszy, szybszy, mądrzejszy i gościnniejszy, kto wierniejszy tradycji i etykiecie, kto dłużej pamięta i mści zniewagi wyrządzone jemu samemu lub jego rodowi. Nawet walcząc z najeźdźcami, współzawodniczyli między sobą o to, kto w walce wykaże więcej męstwa.

W walce zaprawiali się zresztą od pokoleń, stawiając czoła niezliczonym najeźdźcom – Scytom, Macedończykom, Chazarom, Mongołom, Arabom, Persom, Turkom, wreszcie Rosjanom. W potyczkach z wrogami uczyli się wytrwałości i męstwa, ale także oswajali się z najróżniejszymi podłościami i niepotrzebnym okrucieństwem. Najeźdźcy nie przebierali bowiem w środkach, by ujarzmić kaukaskich górali, zarażając ich przekonaniem, że godny cel usprawiedliwia wszelką nikczemność.

Nic dziwnego, że nawet sąsiedzi uważali Czeczenów za straceńców, ludzi dzikich, okrutnych, nieprzejednanych i nie-szczędzących nikogo,

nawet samych siebie. Ich brawura graniczyła z szaleństwem. Krzywd nie przebaczali nigdy. Woleli stawać do walki jeden przeciw dziesięciu niż się poddać, pójść do niewoli i okryć wstydem. Dla kogoś, kto okazał się tchórzem, lepiej było szukać sobie miejsca gdzie indziej. U Czeczenów nikt nie podał mu ręki, nie spojrzała na niego żadna dziewczyna.

Pochłonięci bez reszty własnymi sprawami, sami sobie wystarczali. Zdanie swoich znaczyło wszystko, opinia obcych – nie liczyła się wcale. Wobec obcych można było dopuszczać się czynów, które, wyrządzone pobratymcom, uznawano za zbrodnie. Wolności zaś nie łączyli z obowiązkiem czy odpowiedzialnością, ale z prawem robienia, co się chce. W tak swoiście pojmowanym wojennym egalitaryzmie umocniła ich dodatkowo muzułmańska wiara, która głosi, że nie ma niewolników i panów, że wszyscy są równi wobec Stwórcy, żaden wierny nie może być więc niczyim poddanym, a ci, co zginą męczeńsko na wojnie, pójdą do raju, który znajduje się w cieniu szabli. Nawet ich przewodnicy, imamowie, mieli kłopoty, by narzucić im dyscyplinę i posłuch. Rosjanom, dla których hierarchia, zwierzchności i podległości były środowiskiem naturalnym, ten opór Czeczenów przeciw jakiemukolwiek podporządkowaniu i granicząca z całkowitym zatraceniem niepokora wydawały się niepojęte, obce, dzikie, barbarzyńskie. Przerażały, popychały do zniszczenia, usprawiedliwiały najgorsze zbrodnie. Rosyjscy carowie, jeden po drugim, jak zaczarowani grzęźli w kaukaskich wojnach, próbując złamać hardych górali, bowiem samo istnienie Czeczenów poczytywali za zagrażające państwu wyzwanie. Nie dawało im spokoju, że choć rządy Rosji rozciągały się na połowę Azji i ćwierć Europy, w imperium wciąż istniała ta wysepka buntowników. Podbój Kaukazu i krew przelana dla poskromienia tamtejszych górali zdawały się mieć dla rosyjskich carów właściwości namaszczenia na władców.

,,Nie mogę znieść tych kanalii, jak niezawodnie trzeba nazwać tutejsze górskie plemiona, co ośmielają się przeciwstawić władzy Najjaśniejszego Pana", pisał z Kaukazu w liście do przyjaciela Jermołow, dla którego porządek był tożsamy z postępem.

Jeszcze na początku dwudziestego stulecia, gdy w Rosji toczyła się krwawa wojna domowa, dowódca „białej armii”, generał Anton Denikin, powtarzał z niezrozumiałym uporem:„Jeśli nie będę miał Kaukazu, nie będę miał Rosji". I zamiast bić się z czerwonymi, maszerować na stolicę, Piotrogród, ugrzązł na Kaukazie, wytracając wojsko i przegrywając z kretesem całą wojnę.

Przez Rosję przetaczały się dziejowe zawieruchy, rewolucje, wojny, bunty i pałacowe spiski, a carowie, nie zważając na nic, walczyli o Kaukaz, trwoniąc czwartą część państwowego skarbca i utrzymując w górach wielotysięczną armię. Jeden z kronikarzy tamtych czasów pisał, że Kaukaz był postrzegany jako dziki, niepojęty kraj, księstwo ciemności, dokąd szło wojsko za wojskiem i skąd nikt nie powracał taki sam.

Desperackie, niemal samobójcze przywiązanie Czeczenów do anarchicznej wolności, ich indywidualizm i egoizm sprawiły jednak, że praktycznie przez całą historię towarzyszyło im widmo zagłady. Nie znosili żadnej zwierzchności, tej obcej, ale także rodzimej. Nie godzili się na władzę, którą usiłowali narzucić im cudzoziemcy, nie potrafili też przyjąć z pokorą własnej.

Dzielnie walczyli o wolność przeciw najeźdźcom. Ale na wojnach radzili sobie znacznie lepiej niż w czasie pokoju, gdy wywalczoną lub ocaloną wolność marnotrawili w warcholstwie i pieniactwie. Wynosili do władzy jedynie tych, którzy potrafili walczyć i zwyciężać, lecz nie znali się na codziennym rządzeniu.

Rosyjski historyk Dmitrij Furman napisał, że sami Czeczeni stali się przyczyną własnych nieszczęść i własnym przekleństwem. Ich wady były prostym przedłużeniem zalet. Te same cechy czyniły ich strasznymi dla wrogów i dla samych siebie. Wojna o wolność była dla nich wojną o przetrwanie. Nie godząc się na uległość, podejmowali walkę, walcząc zaś – ściągali na siebie zagładę. „Wszystko przechodziło we własne przeciwieństwo – pisał Furman. – Fantastyczne zwycięstwa zwiastowały niechybną katastrofę”. A Lew Tołstoj, który jako carski oficer także walczył z Czeczenami, wyznał, że Kaukaz to zaiste dziwna kraina, gdzie wojna i wolność, dwa całkowicie przeciwstawne – zdawałoby się –

pojęcia, łączą się w jedność. Póki bladolicy i jasnowłosi przybysze z Rosji wędrowali jedynie przez ziemie czeczeńskich górali, nie wchodząc z nimi w spory i szukając przyjaźni, w górskich wąwozach i na stepach przedgórza panował pokój. Wojna wybuchła, kiedy Rosjanie zaczęli narzucać góralom swoje prawa i porządki.

W pierwszych zbrojnych potyczkach poszło o nadrzeczne pastwiska, które rosyjscy osadnicy odbierali Czeczenom na stanice, o podatki, które próbowali ściągać od górali, o to, że zmuszali ich do prac przy budowie dróg, mostów i twierdz wznoszonych na brzegach rzek, wreszcie o prawo zakazujące Czeczenom napadania na kupieckie karawany i porywania ludzi dla okupu, oraz o rosyjskie odwetowe, krwawe ekspedycje karne na czeczeńskie auły. Z pozoru cele Rosjan były najszlachetniejsze – zamierzali zaprowadzić porządek i prawo, zakładać szkoły, położyć kres rodowym zemstom i rabunkom. Tyle że to dobro chciano zaprowadzać siłą i uszczęśliwić dzikie górskie plemiona, zmuszając je wcześniej do uległości. „Wybierajcie: pokora albo straszliwe unicestwienie”, rozkazywał Czeczenom generał Jermołow, uważany w carskiej stolicy za człowieka postępowego, przyjaciela dekabrystów, rosyjskiego Bonapartego. Lubił też mawiać, że podobnie jak człowiek rodzi się we krwi i mękach, tak żelazem i krwią buduje się potężne mocarstwa. Potem rosyjscy generałowie tłumaczyli, że zapłacono zbyt wysoką cenę, zbyt wiele przelano krwi, zbyt wiele kości rosyjskich żołnierzy bieleje w górach, by o Kaukazie zapomnieć.

Jermołow wybrał okrucieństwo za ulubiony i najskuteczniejszy oręż. „Życzę sobie, by moje imię budziło wśród tubylców grozę i znaczyło dla nich tyle co wyrok śmierci”, tłumaczył swoim oficerom, a Czeczenów przestrzegał: „Najmniejsze nieposłuszeństwo, każdy napad zbrojny, a wasze auły każę zrównać z ziemią, waszych mężczyzn powyrzynać w pień i powywieszać, a kobiety i dzieci sprzedać w niewolę”.

Jermołow kazał swoim wojskom walczyć z Czeczenami ogniem i mieczem, zajmować ich pastwiska i stada, niszczyć uprawy, aż,,głód dosięgnie wszystkich i przymusi do posłuszeństwa", a także rąbać kaukaskie knieje, by pozbawić wojowników kryjówek i sposobności urządzania zasadzek wzdłuż dróg łączących rosyjskie faktorie i fortece.

Odtąd dla żołnierzy wysyłanych na Kaukaz wyrąb lasu był codziennością służby.

Cóż osiągnął Jermołow, którego Czeczeni przezwali Jer-mułłą? Czytając rosyjskie księgi historyczne i rozprawy, można by pomyśleć, że zwyciężył, że udało mu się podbić Kaukaz. Nic bardziej mylącego – ostrzega Dmitrij Furman. Okrucieństwo Jermołowa i jego uporczywe dążenie do przerobienia Kaukazu na podobieństwo Europy, w którą sam był zapatrzony, ostatecznie zniechęciło Czeczenów do Rosji, nasiliło opór, zjednoczyło, popchnęło w ramiona religijnego fanatyzmu i świętej wojny. Nawet ci, co dotychczas żyli z ziemi, uciekali w góry i odtąd wojna stała się ich rzemiosłem. Rozbici przez rosyjskie wojska, przepędzeni ze swoich aułów i wąwozów, rozbiegali się, chowali do kamiennych baszt, ukrytych w skalistych szczelinach, niedostępnych, których zdobycie wymagałoby poświęcenia życia tysięcy żołnierzy. A po chwili zachodzili rosyjskie wojska od tyłu jak wilki, kąsali, szarpali, toczyli krew, zmuszali do odwrotu.

Jermołow chciał Kaukaz podbić i zmienić raz na zawsze. Nie wiedział, jak bardzo Kaukaz zmieni jego samego i jego życie. Na opór Czeczenów odpowiadał jeszcze większą przemocą i zwyczajną nienawiścią, która przebijała nawet z jego oficjalnych raportów, pełnych przekleństw, wyzwisk i sprośności pod adresem górali. Dopiero odwołany z Kaukazu, zgorzkniały, pisał pod koniec życia, że zadanie podboju Czeczenów było niemożliwe do wykonania.„Jestem pewien, że poddaliby się, gdyby tylko wiedzieli, jak to sięrobi".

Do pierwszego poważnego starcia między Rosjanami i Czeczenami doszło na początku osiemnastego stulecia, gdy pod wodzą niejakiego Ajdemira dżygici rozgromili rosyjski oddział pułkownika Kocha. Potem Czeczeni stawali po stronie każdego, kto mienił się wrogiem Rosji i kto wydawał jej wojnę – Turków, Persów, a nawet Anglików, których wysłannicy krążyli po Kaukazie z workami złota i podburzali górali przeciw carowi, a górale jeszcze długo opowiadali potomkom o sprawiedliwej angielskiej królowej, która przybędzie im na ratunek.

Pod koniec osiemnastego wieku Czeczeni wywołali pierwsze wielkie powstanie. Chwycili za broń, nie mogąc dłużej ścierpieć ograniczeń

narzucanych im przez Rosjan i coraz częstszych karnych ekspedycji. Zapuszczały się one daleko za rzekę Terek wyznaczającą granicę między światem nieproszonych słowiańskich przybyszów a światem górali. Na czele rebelii stanął Uszurma z wioski Ałdy, po czym ogłosił się szejkiem i przybrał imię Mansur. Rosjanom potrzeba było aż sześciu lat na stłumienie powstania, które rozlało się na cały Kaukaz. Przywódca buntu, szejk Mansur, został schwytany i zesłany na Wyspy Sołowieckie, gdzie zmarł niebawem.

Potem przyszedł czas Bejbułata, dezertera z carskiej armii, i trzech imamów, Awarów z dagestańskiego aułu Giumry: Kazi-Mohammeda, Chamzat-beka i Szamila. Przewodzili oni wielkiemu powstaniu, które trwało pół dziewiętnastego stulecia. Nie była to zwyczajna rebelia, nie zemsta na Rosjanach, lecz najprawdziwsza rewolucja, ogłoszona w dodatku świętą wojną. Imamowie walczyli już nie tylko o wolność, ale i sprawiedliwość. Zamierzali wywrócić wszystko do góry nogami, obalić panów i wyswobodzić zniewolonych, nakazy obyczaju i tradycji zastąpić prawami zapisanymi w Koranie, a na całym Kaukazie stworzyć państwo Boże, imamat.

Kazi-Mohammed, podbiwszy Awarię, Derbent i Kizlar, zginął oblężony przez Rosjan w aule Achulgo. Chamzat-bek, który nie zdążył przyjść mu z odsieczą, już jako imam został zadźgany kindżałami w meczecie przez zdradzieckiego ha-dżiego Murata i jego brata Osmana. I dopiero pod przywództwem trzeciego imama, Szamila, powstanie nabrało niezwykłego impetu i przyśpieszenia. Szamil był człowiekiem obdarowanym przez los wyjątkową mądrością, siłą i magią. Porównywano go ze współczesnymi mu wielkimi rewolucjonistami i wizjonerami: Giuseppe Garibaldim, Lajosem Kossuthem, Simónem Bolivarem, ale także z Cromwellem czy Skanderbegiem.

Zbudował pierwsze i jedyne kaukaskie państwo z rządem, naibami – wojewodami, administracją, sądami, podatkami i prawdziwym, składającym się z piechoty, konnicy i artylerii wojskiem. Zniósł przywileje tych, co uważali, że władza należy im się z tytułu szlachetnego urodzenia. Dał zaś wolność i ziemię chłopom i niewolnikom – uczynił ich obywatelami.

W pełni rozkwitu państwo Szamila liczyło prawie milion dusz i rozciągało się na ziemie Awarów i niemal cały górski Dagestan, Czeczenię, część Inguszetii i kumyckich stepów, a nawet na położone z południowej, gruzińskiej strony gór Chewsuretię i Tuszetię. Zwolenników i uczniów miał Szamil wśród żyjących w zachodnim Kaukazie Kabardyjczyków, Czerkiesów, Adygejczyków i Abchazów. Imam próbował nawet najeżdżać Gruzję, zmuszał też Rosję do utrzymywania w tyfliskim garnizonie znacznych sił, które tak bardzo przydałyby się carowi na wojnie z Turcją. Wojna Szamila rozpalała wyobraźnię i budziła szalone nadzieje rewolucjonistów i buntowników nawet w zniewolonej części Europy. Do jego powstańczego wojska wędrowalii zaciągali się pobici powstańcy z Polski i Węgier, rosyjscy rewolucjoniści, skazani na wygnanie za bunt przeciw carowi. Nigdy wcześniej i nigdy później Kaukaz nie zajmował i nie poruszał Europy tak bardzo jak podczas powstania imama Szamila.

Jednakże siły były zbyt nierówne, a dysproporcja rosła z każdym rokiem trwającej już ćwierć wieku wojny. Powstanie upadało. Wojenna pożoga wyniszczała kraj, ludność czeczenska zmniejszyła się o połowę. Setki tysięcy Czeczenów uciekły za granicę, do Turcji i Arabii (w Turcji mieszka dziś prawie pięć milionów potomków kaukaskich uciekinierów). Dalsza walka groziła całkowitą zagładą narodu, zresztą naród walki miał już dosyć. Nie chcieli dalej walczyć także rewolucjoniści, którzy poobrastali tłuszczem i ze szlachetnych wojowników, mających na względzie tylko dobro ludu, stali się nowymi ciemiężcami, dbającymi jedynie o własny dostatek.

Rosjanie zaś nauczyli się z czasem walczyć w górach. Nauczyli się też rozumieć górali. Książę Aleksander Bariatinski, nowy carski namiestnik Kaukazu, zarzucił karne ekspedycje i Jermołowską metodę ognia i miecza. Nie palił już aułów, lecz pomagał odbudowywać te, które odchodziły od Szami-la. Przeczył tym samym jego ostrzeżeniom, iż nawet tych Czeczenów, co złożą bron, czekać będzie ze strony Rosjan jedynie sroga zemsta. Udręczeni górale nie widzieli dłużej powodu, by trwać przy imamie, którego rządy, zamiast obiecanego królestwa sprawiedliwych, przynosiły im jedynie cierpienia i nową dyktaturę. Życie

zwyciężyło rewolucję. Opuszczony, zapędzony do aułu Gunib i otoczony zewsząd przez wielokrotnie silniejszą armię, Szamil złożył bron i poddał się Rosjanom.

Rozpoczął powstanie jak straceniec, nie licząc się z rzeczywistością. Kończył wojnę, kalkulując jej konsekwencje i uginając się pod brzemieniem odpowiedzialności.

Zrezygnował nawet z bohaterskiej śmierci, na jego ostatnią redutę nie trzeba było przypuszczać szturmu. Nie rzucił się na rosyjskie działa, by zginąć i uratować nieśmiertelną sławę dżygita przed hańbą niewoli. Uznał, że jeśli za to miałyby zapłacić życiem pozostałe w aule kobiety, dzieci i starcy, to lepiej poświęcić ją na ołtarzu odpowiedzialności. Idąc w niewolę, spodziewał się śmierci i upokorzeń, lecz stało się inaczej. Zamiast zakuć Szamila w kajdany i wtrącić do lochu, Rosjanie witali go z najwyższymi honorami, jak godnego przeciwnika. Nie odebrano mu nawet szabli, a w ostatnią podróż car pozwolił mu się udać z pielgrzymką do Mekki. Umarł i został pochowany w świętej ziemi na cmentarzu Rajska Dolina.

Łaski, jakie niespodziewanie spotkały Szamila w niewoli, okazały się dla niego gorszą pokutą niż najsurowsza kara. Wywoływały bowiem wątpliwości, nie pozwalały spokojnie zamknąć oczu. Po jego śmierci życie na Kaukazie popłynęło starym korytem. Tak jak Jermołow, Szamil chciał Kaukaz wywrócić do góry nogami, a w rezultacie to Kaukaz jego samego odmienił.

Na Kaukazie wrzało jednak dalej. Rosjanie tłumili jedno powstanie, a za kilka lat wybuchało nowe. Na nic się zdały krwawe pacyfikacje czeczeńskich wsi, pogromy, deportacje i wywłaszczenia górali, których ziemie rozdawano słowiańskim osadnikom. Wciąż napadano na garnizony i kozackie stanice, wciąż porywano rosyjskich oficerów. Sygnałem do nowego buntu była każda z wojen, jakie Rosja toczyła z Turcją.

Rebelię wywołał i stanął na jej czele nawet wielki suficki szejk Kunta hadżi, który dotąd brzydził się orężem, występował przeciw imamowi Szamilowi i zaklinał Czeczenów, by nie dali się sprowokować do wojny z Rosjanami, bo to oznacza dla nich zagładę. „Bracia, przestańcie

walczyć. Czyż nie widzicie, że prowokują nas do walki? W ten sposób chcą nas zniszczyć – nauczał Kunta hadżi, gdy Szamil wzywał Czeczenów, by wyruszyli wraz z nim na świętą wojnę. – Czy naprawdę wierzycie, że pomogą nam jacyś wyśnieni tureccy sułtanowie i angielskie królowe? Nauczcie się żyć z Rosjanami jak dobrzy sąsiedzi. Nawet jeśli będą was zmuszać, byście chodzili do ich świątyń, do cerkwi, idźcie tam, to tylko mury. Ważne, by w głębi duszy pozostać muzułmaninem. Walczcie z Rosją tylko wtedy, gdy spróbuje wam odebrać waszą mowę i obyczaje, zażąda, byście wyparli się samych siebie. Dopiero wtedy powstańcie, walczcie i lepiej wygińcie co do jednego, niżbyście mieli się poddać". Rosjanie schwytali Kuntę hadżiego i jak innych zesłali na Wyspy Sołowieckie, gdzie zginął. Nie wszyscy na Kaukazie uwierzyli jednak w śmierć świętego męża. Wielu Czeczenów uważa, że Kunta hadżi nigdy nie umarł i że do dziś wędruje po szczytach i przełęczach Kaukazu, podobnie jak ci, których nazwano abrekami i którzy pojawili się w górach po upadku powstania Kunty hadżiego. Byli dzikimi, wolnymi zbójnikami, nie uznawali i nie podporządkowywali się żadnej władzy, łupili bogaczy, tych, co dorobili się nieuczciwie i wyzyskiwali ludzi, napadali też na rosyjskich kupców i żołnierzy.

Kaukaz spłynął krwią, gdy na początku dwudziestego stulecia wielka wojna domowa wybuchła w Rosji, a w Piotrogrodzie obalono cara. Czeczeni, nienawidząc carskiego wojska i urzędników, sprzymierzyli się z rewolucjonistami, bolszewikami, którzy zabili cara. Bili się natomiast zaciekle z Kozakami i dowodzonymi przez generała Denikina niedobitkami carskiej armii.

Białych znali i wiedzieli, że nie mogą się po nich spodziewać niczego dobrego. Czerwoni byli nowi, obiecywali raj. Lenin zapewniał, że po zwycięstwie rewolucji będą wreszcie mogli żyć, jak zechcą, i że mają do tego prawo. Choć sam nie wierzył w Boga, zgadzał się nawet, by żyli według Bożych praw. Czyż nie to samo obiecywał im potem rosyjski prezydent Jelcyn, gdy potrzebował ich wsparcia w walce o Kreml i wołał do Czeczenów, by brali sobie tyle wolności, ile zdołają unieść?

Dali się skusić, wpadli w zastawioną pułapkę. Nadaremnie czekali na nagrodę za pomoc w wojnie domowej. Po zwycięstwie czerwoni ani

myśleli spełniać obietnic. Komisarze w skórzanych kurtkach zastąpili carskich urzędników. Reszta została po staremu. Na Syberię odjechały nowe transporty z czeczeńskimi skazańcami – mułłami i partyzanckimi komendantami. Czeczeni więc, jak dawniej, zaczęli się buntować.

Nie rozstrzygnęła się jeszcze wojna między białymi i czerwonymi, a na Kaukazie już ogłoszono narodziny niepodległej republiki górskiej, posłano ambasadorów do Paryża, Berlina, Warszawy i Stambułu. Rozpadła się jednak w wyniku bratobójczych waśni, podejrzeń i dawnych uraz, zanim zdążyła rozbić ją Rosja. Nikt nie chciał iść pod komendę najsilniejszych i najludniejszych na Kaukazie Czeczenów, tak jak czerkiescy książęta nie chcieli słuchać imama Szamila, a po latach kaukascy prezydenci Dżochara Dudajewa. Niezrażony fiaskiem górskiej republiki, powstanie własnego emiratu ogłosił znany w górach z pobożności szejk Uzun hadżi, kiedy zaś jego armia została rozbita przez Rosjan, czwartym imamem ogłosił się Nadżmuddin i walczył, póki nie dostał się do rosyjskiej niewoli i nie został rozstrzelany przez pluton egzekucyjny.

Czeczeni nie skończyli jeszcze opłakiwać emira i imama, gdy nowe bunty przeciw Rosjanom wywołali niedawni ich sprzymierzeńcy, czeczeńscy komuniści. Straszliwie oszukani, zrozpaczeni i wściekli, chwytali za broń, by zmyć hańbę, bo obiecywany przez bolszewików raj okazał się prawdziwym piekłem.

Czerwonoarmiści spędzali ich z gór na stepy, by mieć na oku wiecznych buntowników. Odbierali pastwiska i poletka, rekwirowali stada i zbiory, zamykali meczety, zabraniali się modlić, nawet chować zmarłych zgodnie z muzułmańskim obrządkiem. Na posady w urzędach sprowadzano Słowian z Rosji, Ukrainy i Białorusi, czeczeńskim dzieciom kazano się uczyć w szkołach po rosyjsku. Czekiści łomotali nocami do drzwi, dziesiątki tysięcy ludzi trafiło do więzień lub przepadło bez wieści. Rozstrzeliwano mułłów, a nawet tych, którzy po prostu znali arabską mowę i potrafili czytać Koran. W końcu rozszalałe czystki dosięgły samych czeczeńskich komunistów.

Na świecie trwała już druga wojna światowa, Rosja biła się z Finlandią, a potem z Niemcami, gdy Czeczeni, pod wodzą komunistów

Hassana Israiłowa i byłego prokuratora z Szatoj, Mairbeka Szaripowa, utworzyli w górach powstańczy rząd, który oferował przyjaźń każdemu, kto wyzwoli Czeczenię z rosyjskiej niewoli.

Nie za bardzo wiedzieli, co to faszyzm ani o co poszło w sporze europejskich mocarstw. Doskonale za to zdawali sobie sprawę, że dalsze pozostawanie pod rosyjskimi rządami grozi im zagładą. Dobrze życzyli więc każdemu, kto by potrafił Rosję pokonać. Tak jak wielu Hindusów i Persów życzyło klęski Anglikom, wielu Arabów i Afrykanów – Francuzom, a Koreańczycy i Chińczycy – Japończykom. W pochodzie do Baku i bajecznie bogatych złóż ropy naftowej Apszeronu niemieckie wojska zostały zatrzymane na Wołdze. Zatknęły co prawda sztandary na Elbrusie, najwyższym szczycie Kaukazu, zajęły Mozdok leżący prawie nad Tere-kiem, ale do krainy Czeczenów już nie dotarły. Nad Wołgą poniosły klęskę.

Rosjanie uznali Czeczenów za podłych zdrajców. Nigdy nie pojmowali ich ciągłych buntów. Stwierdzili, że skoro podbili ich kraj i dowiedli swojej przewagi, sprawa została raz na zawsze zamknięta, a górale powinni odtąd uważać Rosję za własną ojczyznę i lojalnie jej służyć. Chyba naprawdę spodziewali się po stu latach okrutnych wojen, że ich nienawistni wrogowie staną się nagle wiernymi sojusznikami. Trwała jeszcze w najlepsze światowa wojna, kiedy Rosja postanowiła wywrzeć na Czeczenach srogą zemstę. Mieli zostać na zawsze przegnani z Kaukazu na zabójcze pustynie Turkiestanu i stepy Syberii, dokąd rosyjscy władcy zsyłali buntowników i wrogów.

Kilka odwołanych z frontu dywizji piechoty przy wsparciu lotnictwa zmiażdżyło górską rebelię. Następnie wojsko otoczyło auły. Był środek mroźnej, śnieżnej zimy czterdziestego czwartego. Ludzi spędzano na rynek i gnano do najbliższej stacji kolejowej. Tam ładowano ich do bydlęcych wagonów. Tych, którzy stawiali opór, rozstrzeliwano na miejscu, palono żywcem – jak w chutorze Chajbach – albo topiono pod lodem skuwającym górskie jeziora. W niedostępne rejony w wysokich górach wysyłano samoloty, które równały chałupy z ziemią.

I znów, jak w wojnie kaukaskiej, wyginęła połowa narodu czeczeńskiego. Umierali z rozpaczy, głodu, pragnienia, chorób i chłodów,

wycieńczeni trwającą półtora miesiąca podróżą w samym środku mroźnej zimy. Najwięcej wygnańców zginęło właśnie tej pierwszej zimy, kiedy wysadzano ich z pociągów pośród pustkowia, na skutym mrozami stepie. Pobyt w nowym miejscu zaczynali od zakładania cmentarzy.

Dziadek Islam, który podczas mojej pierwszej podróży do Czeczenii obwoził mnie po Groznym swoją wołgą i trułprzemyconymi z Turcji lucky strike'ami, miał wtedy cztery lata, przypuszczałem więc, że czasy wygnania bardziej znał z opowiadań, niż je pamiętał. Nie przyznałby się zresztą do tego ani przede mną, ani nawet przed samym sobą. Z wiekiem coraz łatwiej przychodziło mu wierzyć, że na własne oczy widział to, o czym mógł co najwyżej słyszeć.

– W pociągu umarło trzech moich braci i siostra. Niedługo potem, już w Kazachstanie, policja zabrała ojca. Nigdyśmy go już nie zobaczyli – najbardziej lubiłem rozmawiać z dziadkiem Islamem, gdy zmierzchało, a on, ociągając się, zwijał powoli stragan. – Mieszkaliśmy w tym Kazachstanie na zupełnym pustkowiu, wciąż wiał wiatr, wszędzie był piach. Nam, Czeczenom, nie wolno się było oddalać od obozu bez zgody władz. Jak cię złapali dalej niż sześć kilometrów od baraków, to dostawałeś karę. Dziecko, kobieta, młody czy stary, bez różnicy. Trzymali nas tam jak bydło. Po dwunastu latach zesłania Rosja pozwoliła Czeczenom wrócić na Kaukaz. Wygnańcy wracali w góry, wioząc w walizkach prochy swoich bliskich, którzy zmarli na obczyźnie.

– Wygnać cały naród to tak jakby wyrwać roślinę z korzeniami. W innej ziemi może się już nie przyjąć. A nawet jak ją wsadzisz z powrotem w stare miejsce, też może zwiędnąć – mówił dziadek Islam, pakując do bagażnika kartoniki miętowej gumy Spearmint i papierosów Lucky Strike. – Wielu naszych starców nie wytrzymało tego wygnania. Powymierali. Zabrali ze sobą do grobu całą mądrość. No i mamy, co mamy. Młodzi nie szanują starszych, nie szanują tradycji, nie znają języka. Tfu! Czy po tych wszystkich wojnach, podbojach, pogromach i wygnaniu moglibyśmy żyć obok Rosjan i czuć się bezpiecznie? Dlaczego od Żydów nikt nie wymagał, by po zagładzie zamieszkali w Niemczech? Dlaczego nikt się nie dziwi Ormianom, że cudem uniknąwszy zagłady,nie chcą żyć razem z Turkami?

Po latach rosyjskie władze specjalnym dekretem wybaczyły Czeczenom winy, za które zostali wypędzeni z Kaukazu. W Rosji utarło się jednak przekonanie, że Czeczeni, a także inni kaukascy górale, to zabójcy, złodzieje, zdrajcy i przyjaciele Hitlera, że nie wolno im ufać.

Wojny, wygnanie, groźba zagłady oraz otaczające ich nieustannie wrogość i podejrzliwość uratowały jednak Czeczenów przed zapomnieniem, kim są, przed przerobieniem na powstającego w bolszewickich laboratoriach*homo sovieticus.*Kiedyś sami pozbyli się swoich książąt. Teraz, na szczęście, nie zdążyli się ich dochować. Obalony przez Dżochara Dudajewa komunista Dokku Zawgajew był pierwszym Czeczenem, któremu Rosjanie pozwolili rządzić Czeczenią. Odrzuceni, pozbawieni dostępu do awansów i wygód, pozbawieni możliwości rozwoju, mogli liczyć tylko na stary świat tradycji i odwiecznych porządków, ich wież z kamienia.

Ale nawet w czasach wygnania w opustoszałych prawie górach wciąż walczyli czeczeńscy partyzanci. Napadali na policyjne posterunki, palili urzędy. Oddział wiejskiego nauczyciela, Chasucha Mohammedowa, walczył przez trzydzieści lat i został rozbity dopiero w siedemdziesiątym siódmym. Potem, przez kilkanaście lat, był z nimi spokój. Aż się pojawił Dudajew.

Kiedy ponownie przyjechałem do Groznego, miasto huczało od plotek. W nocy ktoś znowu próbował zastrzelić prezydenta. W herbaciarniach i parkach mężczyźni mówili tylko o zamachu.

,,To musiał być Besłan – kiwali głowami. – Tak, to na pewno zrobił Besłan, nikt inny".

Besłan Gantamirow był burmistrzem czeczeńskiej stolicy.Kiedyś trzymał z Dudajewem. Potem jednak ich drogi się rozeszły, a na krótko przed zamachem Besłan oświadczył nawet, że nie uznaje już władzy prezydenta. Dudajew posłał wojsko na ratusz. Zbuntowany burmistrz został ranny w strzelaninie i musiał uciekać z miasta na drugi brzeg Tereku. Tam już władza prezydenta nie sięgała. Od tego czasu nikt go w mieście nie widział. Ludzie wiedzieli jednak, że Besłan wróci.

Rozeźlony na zdrajcę Dżochar powiedział w telewizji, że cały ród, z którego wywodził się Gantamirow, to tchórze i niewolnicy. Wiosną

żołnierze Dudajewa zastrzelili dwóch ciotecznych braci Besłana. Nad ich grobem burmistrz poprzysiągł zemstę. Takich rzeczy się nie przebacza. Za krew Dudajew miał zapłacić krwią. Takie było prawo gór. Dlatego ludzie wiedzieli, że Besłan wróci.

O tym, że gabinety Dudajewa znajdują się na czwartym piętrze odrapanego, szarego budynku, nazywanego dumnie pałacem prezydenckim, wiedzieli w Groznym wszyscy. Światła w oknach paliły się tam przez całą noc. Nigdy jednak nie było wiadomo, czy to prezydent ślęczy nad papierami do później nocy, czy też jego gwardziści oglądają telewizję i grają w karty na warcie. A może paliły się światła w małej salce gimnastycznej, gdzie Dudajew dwa razy w tygodniu o północy gimnastykował się, medytował lub ćwiczył karate.

Zamachowcy wiedzieli jednak, że tej nocy Dudajew postanowił pracować do późna. Besłan zostawił w mieście wielu potężnych przyjaciół w ministerstwie bezpieczeństwa, w policji, nawet w prezydenckiej gwardii.

Strzelanina nocą nikogo już w Groznym nie dziwiła. Stała się czymś tak zwyczajnym jak ujadanie psów. Dlatego kiedy o trzeciej nad ranem z placu Wolności dobiegły karabinowe serie, nikt nie zwrócił na to uwagi. Ale gdy pod prezydenckim pałacem gruchnął granatnik, nawet staruchy zrozumiały, że tym razem nie były to nocne zabawy podchmielonych gwardzistów.

Zamachowcy podjechali na plac szarym oplem bez numerów rejestracyjnych. Wyskoczyli z samochodu i zza uchylonych drzwi zaczęli strzelać do okien na czwartym piętrze. Niemal jednocześnie odezwał się granatnik ustawiony aż za rzeką. Pocisk przeleciał nad pałacem prezydenckim i wybuchł na podwórku jednego z domów mieszkalnych.

Po kilku sekundach zamachowcy wskoczyli do opla i pomknęli główną, zupełnie pustą o tej porze ulicą. Przejeżdżając obok gmachu ministerstwa bezpieczeństwa, posłali z okien samochodu jeszcze kilka serii z karabinów. I tyle ich widziano.

Czeczeni mawiają, że wystarczy, by pasterz zawrócił stado, a ostatnie w nim owce staną się pierwszymi.

Czeczeńska rewolucja, jak każda, otworzyła dla wszystkich polityczną

scenę, niedostępną dotąd, zawłaszczoną przez garstkę. W zakazanej przez lata polityce wszystko nagle stało się cudownie możliwe. Rewolucja, na której czele stanął generał Dudajew, wyniosła na szczyty piramidy władzy dużo ludzi żyjących sobie do tej pory marnie u jej podnóża. Wielu z nich okazało się ludźmi przypadkowymi, niegodnymi, a nierzadko zwyczajnymi krętaczami, aferzystami, typami spod ciemnej gwiazdy. Ich nieoczekiwany awans był ceną, jaką przyszło Czeczenom zapłacić za wolność.

Pierwszym rewolucyjnym premierem został sprzedawca z bazaru, który dostrzegł nadciągającą epokę wolnego rynku. Dudajew wyrzucił go wkrótce za kradzież milionów dolarów z państwowej kasy.

Besłan Gantamirow był przed rewolucją zaledwie jednym z mrówczej masy sierżantów policji drogowej, wymuszających łapówki na podróżujących kierowcach. Spośród innych towarzyszy doli i niedoli Gantamirow wyróżniał się jedynie tym, że korzystał z munduru także po to, by łatwiej kraść samochody i sprzedawać je w Stawropolu i Krasnodarze. Czeczeńska policja drogowa wydała zresztą wyjątkowo wielu rewolucjonistów.

Jeden z nich został później wiceprezydentem kraju, inny – najbardziej znanym na całym Kaukazie handlarzem niewolników. Gantamirow, przezywany Biesem, zasłynął w czasie rewolucji tym, że jako pierwszy skrzyknął pod swoją komendę pospolite ruszenie górali i stawił czoła rosyjskim spadochroniarzom wysłanym do Groznego, by rozprawić się z Dudajewem. Besłan stał się ulubiencem generała, który nazywał go synem i powierzył mu posadę burmistrza Groznego. Odebrał ją pazernemu faworytowi, gdy ten próbował położyć łapę na czeczeńskiej petrochemii i szybach naftowych. Obrażony Gantamirow przeszedł do obozu opozycji, tuż za rzeką Terek.

Największych dziwaków przyćmiewał jednak ostrzyżony na jeża wielkolud Rusłan Łabazanow. Rewolucja zastała go w grozneńskim więzieniu, gdzie odsiadywał wyrok za zabójstwo. Opowiadał potem niechętnie, że rzeczywiście,,uciszył na zawsze takiego jednego w Rostowie". Podobno chodziło nie o jednego, lecz o trzech, i to w dodatku mundurowych. Zresztą olbrzym (prawie dwa metry wzrostu,

ponad sto dwadzieścia kilogramów żywej wagi) większość swoich kłopotów rozstrzygał siłą, którą doskonalić zaczął już w wojsku, gdzie ćwiczył boks, zapasy i wschodnie sztuki walki. Doszedł do takiej biegłości, że po przeniesieniu do rezerwy ogłoszono go mistrzem i przywódcą adeptów sztuki karate kyokushin na całym Kubaniu. Nie wiadomo, czy to gorący temperament, czy skromna trenerska pensja sprawiły, że w chwilach wolnych od zajęć na sali gimnastycznej Rusłan zajmował się rozbojem.

Na wieść o wybuchu w mieście rewolucji, wraz ze swym druhem Chozą – Pięknisiem, wielkolud Rusłan podniósł bunt w więzieniu. Na czele pół tysiąca skazańców objął nad nim kontrolę, po czym zgłosił się na służbę do Dżochara Dudajewa. Wielkolud spodobał się generałowi, który mianował go kapitanem w gwardii prezydenckiej, a następnie szefem straży przybocznej i doradcą do spraw walki z przestępczością. Potem jednak ich drogi się rozeszły. Dudajewowi doniesiono, że przygłupi olbrzym wysługuje się rosyjskim szpiegom. Rusłan obraził się śmiertelnie, poprzysiągł zemstę.

Wyjechał ze swoimi zbójami z Groznego, okopał się w rodzinnym Argunie. Założył tam partię polityczną, którą nazwał Sprawiedliwość. Odwiedzało go wielu dziennikarzy, bo jako dobry gospodarz żadnego z nich nie wypuszczał z domu bez gościńca na drogę, bez nowej, zbójeckiej opowieści.

Na pytania, czym się zajmuje, Rusłan odpowiadał niezmiennie: „Pomagam biednym. Odbieram pieniądze tym, którzy je mają w nadmiarze, i rozdaję tym, którzy ich naprawdę potrzebują. Można więc powiedzieć, że wyzyskuję wyzyskiwaczy. Wielu dorabia się dziś w nieuczciwy sposób. Ja przywracam sprawiedliwość”.

Nie ukrywał nawet, że bogatym musiał odbierać pieniądze siłą. A któż by oddawał je po dobroci? Nie uważał jednak tego za grabież.,,Grabież – tłumaczył – jest wtedy, kiedy zabiera się dla siebie". A on oddawał przecież wszystko biednym i potrzebującym. Sobie zostawiał tylko tyle, ile było potrzeba na utrzymanie zbójeckiej armii. Miał też własną teorię zabójstw. „Zabójstwa bywają sprawiedliwe i niesprawiedliwe – mawiał, zapewniając, że sam zabijał wyłącznie sprawiedliwie. – Pokażcie mi choć

jednego, którego zabiłem niesłusznie, który nie zasłużył sobie na śmierć”.

Uważał się za polityka i twierdził, że Dudajew nie powinien zadzierać z Rosją. Wspominał, jak to kiedyś topił się w Kubaniu i jak go uratowała pewna Tania z Krasnodaru, którą odtąd utożsamiał z Rosją.,,Cała plaża gapiła się na mnie, a tylko ona jedna mi pomogła i wytaszczyła z wody te moje sto kilogramów czeczeńskiego cielska. Nigdy jej tego nie zapomnę". Wymyślił też, że parlament powinien się składać z trzech izb. Pierwsza miała być od debatowania, druga od podejmowania decyzji, a trzeciaod krytykowania tego, co zostało postanowione.

W Czeczenii wzbudzał raczej rozbawienie niż strach. Mówiło się, że choć zapalczywy, Rusłan był w gruncie rzeczy łatwowiernym, uczuciowym i niezbyt rozgarniętym osiłkiem, którego byle frant mógł przekabacić na swoją stronę i wykorzystać przeciw swoim wrogom, nabić w butelkę. Krążyło o nim mnóstwo anegdot i dowcipów.

Oto przychodzi Rusłan do bogatego domu, żeby zabić gospodarzy, odebrać im majątek i rozdać biedocie. Każe im stanąć pod ścianą i przygotować się na śmierć.

– Powiedz mi na pożegnanie, jak ci na imię, żebym wiedział, kogo zabiłem – mówi Rusłan do gospodyni.

– Malika – odpowiada kobieta.

Rusłanowi łzy napływają do oczu i opuszcza gotowy do strzału karabin.

– A więc będziesz żyła. Tak samo miała na imię moja matka. Nie mogę zabić kogoś, kto nosi takie samo imię jak ona.

Odwraca się i pyta gospodarza:

– A ty? Jak ci na imię?

– W papierach mam niby zapisane, że Sulejman, ale wszyscy mówią na mnie Malika.

Zanim zginął na podwórzu własnego domu w ostatniej z bitew, uczestniczył w niezliczonych strzelaninach z dżygitami Dudajewa i odniósł w nich tyle ran, że mówiono, iż lekarze nie nadążali wyciągać z jego ciała odłamków i kul.

Na prezydenckim dworze pojawiły się też tajemnicze postacie

z workami złota. Mściwi Rosjanie postanowili wziąć Czeczenów głodem, wstrzymali więc wszelką pomoc, ogłosili blokadę.,,W takiej sytuacji – oświadczył Dudajew – musimy sięgnąć po nietypowe sposoby zdobywania pieniędzy". Czeczenia zawsze była jedną z najbiedniejszych i najbardziej zacofanych prowincji w rosyjskim imperium. Rosja nie widziała potrzeby budowania czegokolwiek w kraju, gdzie wciąż wybuchały bunty i przetaczały się wojny. Bieda miała być dla Czeczenów nauczką i karą za brak pokory.

Życie w nędzy, bez jakichkolwiek perspektyw, i sobiepan-stwo przysyłanych z Moskwy urzędników powodowały, że czeczeńscy mężczyźni zabierali synów i ruszali do Rosji za chlebem. Każdy chłopiec po ukończeniu trzynastu, czternastu lat jechał z ojcem na zarobek na Powołże, Daleki Wschód, Syberię. Przez większą część roku w republice mieszkały tylko przerażone i samotne kobiety.

Ale tym, którzy wyjeżdżali za chlebem, też wcale nie było łatwo. Dostawali najcięższą i najgorzej opłacaną pracę, taką, jakiej nie chcieli wykonywać Rosjanie. Mieszkali w hotelach robotniczych, wszędzie spotykali się z niechęcią. Byli czarnuchami, przybyszami, innowiercami, obcymi. No i mieli pieniądze. Rosjanin zarobił na budowie parę rubli i zaraz zapraszał kolegów, świętował z nimi przy butelce i wzruszał się, zapominał o jutrze, o dziś i o wczoraj. Czeczeni zaś nie bawili się z innymi, odkładali pieniądze, wieźli do domu.

Wrogość otoczenia oraz tradycyjnie silne więzy rodzinne i klanowe sprawiły, że Czeczeni trzymali się razem, pomagali sobie, zapewniali ochronę, bronili się przed policją i wszystkim, co im zagrażało.

Tak zrodziła się czeczeńska mafia, bliźniacza siostra sycylijskiej i korsykańskiej. Podobnie jak one wyrosła na biedzie, strachu przed zagładą i pragnieniu życia tak silnym, że w jej oczach usprawiedliwiającym najgorsze niegodziwości i zbrodnie.

Czeczeńskie rodziny mafijne działały w Moskwie, Petersburgu, Irkucku, ale ich ostoją był Kaukaz. Tu mieszkali ojcowie i żony czeczeńskich „ojców chrzestnych” i ich „żołnierzy”, tu chowały się ich dzieci i dorastali rekruci. Tu ukrywali się przed rosyjską policją Czeczeni poszukiwani listami gończymi. Jakoprezydent wolnej Czeczenii

Dudajew zapowiedział, że nie wyda żadnego, nawet najgroźniejszego przestępcy państwu, które nie uzna czeczeńskiej niepodległości.

Nie tylko dotrzymał słowa, ale wysyłał też do rosyjskich więzień ludzi przebranych za policjantów i konwojentów; wymachując dokumentami zaopatrzonymi w fałszywe pieczęcie tajnej policji, zabierali oni ze sobą skazanych Czeczenów i rozpływali się jak we mgle. Tak z więzienia nad Amurem wyrwał się na wolność Choż-Ahmed Nuchajew, szef czeczeńskiej mafii w Moskwie, awansowany potem na wicepremiera i szefa kontrwywiadu.

Nuchajew, którego poznałem w Baku, gdzie w kolejnym wcieleniu bankiera i przedsiębiorcy snuł plany budowy Kaukaskiego Wspólnego Rynku, kaukaskiej hanzy, gospodarczej unii miast od Rostowa po Lenkoran, od Astrachania po Batumi, nie lubił słowa,,mafia". Wolał używać słowa „organizacja”. Ta czeczeńska powstała według niego nie tylko po to, by omijając prawo, powiększać majątki swoich członków. Miała też na względzie dobro ich górskiej ojczyzny. Jako ojciec chrzestny czeczeńskiej mafii w Moskwie Nuchajew sam opodatkował się na potrzeby republiki, dając przykład rodakom i druhom – Łysemu Leczy, Starikowi, Majerowi, Ślepemu Husajnowi.

Gdzie indziej na świecie mafia stara się podporządkować sobie polityków – ministrów, posłów, senatorów. W Czeczenii, duszącej się w coraz ciaśniejszej pętli rosyjskiej blokady, mafia z błogosławieństwem Dudajewa wzięła pod kontrolę całe państwo: ministerstwa ropy naftowej, handlu, prywatyzacji, finansów, spraw wewnętrznych i zagranicznych, sądy, policję. Granica między państwem i mafią zacierała się stopniowo. W końcu rozmyła się tak bardzo, że nie sposób jej było określić.

Jedna po drugiej znikały instytucje będące atrybutami zwykłego państwa. Stanęły szkoły, zamknięto stare fabryki, których przejęciem nikt nie był zainteresowany. Przestano wypłacać emerytury, renty, a nawet pensje. Pozbawieni pracy robotnicy albo powiększali armię bezrobotnych, albo zaciągali się do mafijnego wojska. Nie funkcjonował już transport, autobusy i ciężarówki rozgrabiono. Na pociągi przejeżdżające przez Czeczenię zaczęły napadać zbrojne bandy.

Odkąd Dudajew dał swoim obywatelom prawo do noszenia broni, własne wojsko miał każdy możnowładca – ojcowie chrzestni,

ministrowie, biznesmeni, politycy, mułłowie. Sądy i prokuratura, jako zupełnie zbędne, zostały natychmiast rozpędzone. Prywatne armie – a w Czeczenii działało ich kilkanaście – same wymierzały sprawiedliwość. Zaczęło obowiązywać prawo pięści.

Policjanci przestali wychodzić z komisariatów, a jeśli już, to tylko po to, żeby wyłudzić parę rubli od kierowców na rogatkach miasta. Zgodzili się patrolować ulice dopiero wtedy, gdy na wniosek starszyzny klanowej wprowadzono specjalne prawo, stwierdzające, że policjant, który użył broni przeciw przestępcom, jest wyłączony spod wendety.

Prawo klanowej zemsty miało zapewnić równowagę biologiczną i bezpieczeństwo w Czeczenii. Dudajew zakazał gwardzistom strzelać do swoich wrogów. Ba! Nie pozwolił nawet zamykać opozycji w więzieniach.

– Nikt, kto przeleje choćby kroplę czeczeńskiej krwi, nie uniknie surowej kary. Człowiek, który zabije Czeczena, może się już uważać za żywego trupa. Jeśli nie jutro, to za miesiąc, za rok, za dziesięć lat, w końcu dosięgnie go zemsta krewnych zamordowanego – tłumaczył Dudajew. – Po co mi zabójcy w więzieniach? Tam także dopadną ich mściciele. Po co mi te trupy?

I, o dziwo, początkowo to rzeczywiście skutkowało! Przestępczość gwałtownie spadła. Ale to pokojowe współistnienie skończyło się szybko. W warunkach bezprawia ludzie zaczęliżyć według zasad, jakie obowiązują w więzieniu.

Niepodległa Czeczenia stawała się państwem mafii, czarną dziurą, gdzie ginęły góry brudnych pieniędzy, pomostem, którym przerzucano za granicę trefne towary i surowce. Taka sytuacja urządzała nie tylko czeczeńską, ale w ogóle wszystkie mafie działające w byłym imperium. W Groznym można było załatwiać dowolne transakcje bez obawy przyłapania przez policję i służby bezpieczeństwa. Trzeba było tylko uważać na konkurentów i zapłacić „podatek” czeczeńskiemu skarbowi.

Liczba chętnych do robienia interesów w Czeczenii stale rosła, coraz częściej dochodziło też do konfliktów. Powstawały nowe sojusze polityków i mafii, nowe orientacje. Jedni chcieli robić interesy z Zachodem, inni z państwami arabskimi, jeszcze inni z Rosją. Chodziło

o pieniądze, a nie politykę. Tych pierwszych nazywano w gazetach partią prozachodnich demokratów, drugich – radykałami muzułmańskimi, trzecich – rosyjskimi lojalistami.

Kreml zaciskał pętlę blokady, a mimo to dzięki przedsiębiorczości „chłopców z ferajny” do Groznego płynęły codziennie miliony rubli. W niepodległej Estonii po wprowadzeniu własnej waluty pozostały miliardy bezwartościowych rubli, które miał odkupić rosyjski rząd. Moskwa targowała się z Estończykami, ci zaś sprzedali na wagę całe tony (sto dwadzieścia dolarów za tonę) nic niewartych rublowych banknotów niespodziewanym kupcom z Czeczenii. Inni czeczeńscy emisariusze zaczęli zgłaszać się do centralnego banku Moskwy z podrobionymi awizami, na ich podstawie przekupieni rosyjscy bankierzy wypłacili im następne miliardy rubli.

Gospodarkę zastąpiły czarny rynek i kontrabanda, a handel w całości przeniósł się na bazar, gdzie na zakupy zjeżdżano się nie tylko z Kaukazu, ale i z połowy Rosji. Tu targ trwał na okrągło, świątek-piątek, a kupić można było dosłownie wszystko. Na bazarze, tym morzu biedy, wyrosły oazy bogactwa, wspaniałe pałace, odgrodzone od reszty miasta wielkimi murami z czerwonej cegły. Ich gospodarze tylko z rzadka opuszczali swoje twierdze, a jeśli już wyruszali w miasto, to oglądali je zza przyciemnionych szyb drogich samochodów.

Z każdym miesiącem rządów Dudajewa rosła armia jego wrogów. Jedni odchodzili obrażeni, bo władzę traktowali jedynie jako łup należny zwycięzcom, za których się uważali. Inni, pozbawieni wystarczającej odwagi i wyobraźni, sądzili, że generał jest niebezpiecznym szaleńcem i że należy się go pozbyć, nim ściągnie na kraj nieszczęście. Jeszcze inni najzwyczajniej rozczarowali się nim samym i wolnością przez niego uosabianą.

Występowali przeciw niemu nie tylko dlatego, że się z nim nie zgadzali, ale – może głównie – z tego powodu, iż wiedzieli, że jeśli zbyt długo pozostaną z dala od władzy, zbyt długo będą poza grą, znajomość i przyjaźń z nimi przestanie być opłacalna, zostaną opuszczeni i zapomniani. Wojna z generałem była więc dla nich w istocie walką o byt, sprawą honoru, nic więcej się nie liczyło.

Wciąż za to wierzyli mu ślepo biedni chłopi z gór, którzy zjeżdżali do stolicy na każde jego zawołanie, gotowi dać się za niego posiekać na kawałki, a przede wszystkim rozerwać na strzępy każdego, kogo wskazałby jako wroga. On zaś zapraszał starszyznę, radził się ubranych w baranice mężczyzn, wysłuchiwał, co mają do powiedzenia. Szczególnie odkąd rozpędził sprzeciwiający mu się parlament, już drugi w ciągu zaledwie dwuletniego panowania.

Wszystkie konflikty między generałem i jego wrogami kończyły się przelewem krwi, nowymi, jeszcze gorszymi obelgami i oskarżeniami. Mścicieli przybywało z każdym dniem.

Rosła dzieląca ich przepaść i coraz trudniej przychodziło znajdować mosty, na których można się było spotkać, porozumieć. Wreszcie, na drugim, wrogim brzegu Tereku, w wiosceNadtereczna miejscowy sołtys nazwał Dudajewa przybłędą, co całe życie błąkał się Bóg wie gdzie po świecie, wobec czego w żaden sposób nie można mu zaufać. Sołtys sam ogłosił się prezydentem, utworzył własny rząd i wojsko, zapowiedział, że siłą weźmie stolicę i przepędzi z niej Dudajewa. Pierwszym dekretem, napisanym odręcznie długopisem, ogłosił generała banitą i wysłał za nim listy gończe.

Generał nie przejąłby się buntownikami i rozniósł ich armię, gdyby nie fakt, że rebelię wsparła Rosja, z którą od dawna miał na pieńku. Sołtys samozwaniec nawet nie ukrywał, że dostaje od Rosjan wszystko, czego zapragnie – walizki rubli, broń, wozy pancerne, czołgi, nawet śmigłowce. Przechwalał się, że jeśli tylko zechce, będzie mieć wręcz okręty podwodne czy kosmonautów.

Rosja nie dawała za wygraną, choć zachodzono w głowę, dlaczego aż tak bardzo uwzięła się na czeczeńskiego generała, który, choć nosił się z wysoka, jednak wydawał się gotów do ugody. Chciał podpisać z Rosją traktat podobny do tego, jaki zawarli z nią Tatarzy i Baszkirowie. Rosjanie jednak odmówili. Twierdzili, że Czeczeni dają zły przykład innym, że jeśli im się ustąpi, w ich ślady pójdą Ingusze, Czerkiesi, Kałmucy, Tuwińcy, Buriaci, Jakuci i Bóg jeden wie kto jeszcze, że rosyjskie państwo podzieli los rosyjskiego imperium, rozpadnie się, przestanie istnieć. Nikt jednak nawet nie myślał podążać drogą

Dudajewa. Przeciwnie, doświadczenia Czeczenów skutecznie zrażały wszystkich, którym pomysł buntu choćby zaświtał w głowie.

Nie przekonywały także argumenty, że rządzona przez Dudajewa Czeczenia stała się zagrażającą Rosji i światu stolicą międzynarodowego terroryzmu i organizacji przestępczych. „Fakty są takie, że prawdziwi ojcowie chrzestni większości działających u nas mafii zasiadają na Kremlu”, twierdził Dudajew. Poza tym w samej Moskwie popełniano więcej zbrodni niż w całej Czeczenii, a pod względem zabójstw polityków i skłonności do posługiwania się w polityce przemocą wyprzedzał Czeczenów choćby sąsiedni Dagestan. W końcu ustalono na Kremlu, że przestępstwem, za które koniecznie trzeba ukarać Czeczenów, było nieprzestrzeganie przez nich rosyjskiej konstytucji.

Nie powiodły się jednak ani próby zastraszenia Czeczenów, ani szantaż i intrygi, ani gospodarcza blokada. Nie udało się też wciągnąć ich do wojny. Dudajew nie dał się sprowokować ani wtedy, gdy przez miedzę Osetyjczycy, do spółki z rosyjskimi spadochroniarzami, dokonywali pogromu braci Czeczenów – Inguszów, ani gdy rosyjskie czołgi co jakiś czas,, przypadkowo" zapuszczały się na czeczeńskie ziemie.

Nie wypalił też pomysł, by Dudajewa obalił któryś z jego czeczeńskich wrogów. Chętnych zgłosiło się bez liku. W Czeczenii zaczęły się mnożyć zamachy na Dudajewa, próby wojskowych puczów. Prezydent wychodził jednak z opresji cało, a jego dżygici z łatwością odpierali kolejne szturmy.

W końcu Rosjanie uznali, że jeśli chcą się pozbyć Dudajewa, muszą wszystko zrobić sami, nikt ich w tym nie wyręczy. W Czeczenii atmosfera zaczęła gęstnieć. Mężczyźni wywozili kobiety i dzieci do górskich wiosek, a sami wracali do stolicy, by bronić prezydenta. Wojna pukała do drzwi i nawet kaukaskie prawo rodowej zemsty nie było jej w stanie odstraszyć. Tym bardziej że wojny, małej, ale pięknie wygranej, potrzebował rosyjski prezydent dla poprawienia nastroju i politycznych notowań. Generałowie obiecali mu zdobyć Grozny w urodzinowym podarku.

Także w Czeczenii nie brakowało takich, co utrzymywali, że do wojny z Rosją parł ślepo Dżochar Dudajew, że zamiast Rosję powstrzymywać, unikać wojny za wszelką cenę, drażnił Rosjan i prowokował. Mówiono, że zamiast ustrzec ludzi przed nieszczęściem, sam ich na nie naraził. Okazał się marnym przywódcą, a jego panowanie było katastrofą, i kto wie, czy gdyby nierosyjski najazd, nie zostałby wypędzony z prezydenckiego pałacu, przegnany na cztery wiatry. Mogła go uratować – i uratowała – jedynie wojna, która wszystko przekreśla i nakazuje wszystko zapomnieć, wszystko unieważnić.

Wojna wzięła mu życie, ale i tak uczyniła go swoim dłużnikiem. Jak dobra wróżka zabrała ludziom pamięć, a jego samego przemieniła na zawsze z nieporadnego, czasami zagubionego prowincjusza, raptusa i dziwaka w mitycznego herosa, którym może nawet chciał być, ale nie miał pojęcia jak i za jaką cenę. Kiedy zaś w końcu ujrzał wszystko jasno i wyraziście, było już za późno. Jego żona, Ałła, wspominała, że w ostatnich dniach życia Dżochar nie bał się śmierci i nie chował się przed nią, wiedział, że nieuchronnie nadejdzie i był już zmęczony jej unikaniem.

Uchodził w swoich czasach za uosobienie czystego szaleństwa, kogoś, kto przed niczym się nie cofnie, sięga po nieosiągalne, zamierza niemożliwe, stawia sobie nierealne cele i wyzwania, kompletnie nie licząc się z rzeczywistością ani z logiką. Mówiono o nim, że niczego się nie boi i przed niczym się nie cofnie.

Mnie zaś wydał się dość zwyczajny, a nawet cokolwiek prowincjonalny. Poza gorejącym spojrzeniem czarnych oczu nie miał w sobie nic z fanatyka, jeśli nie weźmie się za fanatyzm jego wrodzonej zapalczywości czy też dbałości o sprawy honoru.

Spośród czeczeńskich górali niczym specjalnym się nie wyróżniał, był taki sam jak oni wszyscy. Może właśnie dlatego tak go uwielbiali. Był wybuchowy i porywczy – jak wszyscy, i jak wszyscy sentymentalny, marzycielski, patetyczny i próżny.

Ałła, jego żona, kochała sztukę i sama trochę malowała. Mówiono mi, że awansowany na generała Dudajew kazał żonie namalować swój portret w generalskim mundurze. Nie stronił od zabawy i tego co

modne. Służąc jeszcze w rosyjskiej armii, zabierał żonę na tańce i popisywał się znajomością modnego wówczas w Rosji fokstrota. Nie unikał też biesiad i alkoholu. Pijał jednak nie wódkę jak inni oficerowie, lecz jakieś portwajny. I to kieliszek, najwyżej dwa. Nie przez wstręt do pijaków czy z racji wyszukanego smaku, ale po to, by zwrócić na siebie uwagę, zrobić wrażenie oryginalnością. Po pijatykach w sztabie inni oficerowie, żeby uniknąć gniewu żon, przemykali się chyłkiem do domu. Dudajew zaś, popisując się przed kolegami, kazał się odprowadzać z fasonem, walił pięścią w drzwi i krzyczał od progu: „Kobieto! Gdzie kolacja?”

Był zakochany w sobie, ale nie zarozumiały. Uwielbiał, gdy go podziwiano, sam jednak raczej się nad innych nie wywyższał. Przywiązywał wagę do konwenansów i ceremoniału, szanował wytyczone dawno ścieżki i przypisane obyczajem role. Takie przynajmniej robił wrażenie.

Zresztą w czasie tego pierwszego spotkania niezbyt zajmował mnie jako człowiek, lecz niemal wyłącznie jako prezydent zbuntowanej republiki, co o swoją wolność gotowa była walczyć z tysiąckroć potężniejszym przeciwnikiem. Mając do dyspozycji dwa kwadranse, wypytywałem o bieżące sprawy, o to, na czym poznać się jeszcze nie zdążył, i zadowalałem się odpowiedziami, które kilka tygodni później traciły wszelką wartość, znaczenie i aktualność.

Nie interesowało mnie, kim był, ale jakie miał stanowisko.

W pogoni za wydarzeniami i nowościami nieraz lądowałem w nieznanych krajach, wśród nieznanych ludzi, by zorientować się w sytuacji i zdać relację. Ciągły pośpiech i nerwy – czy zdążę. Czy dotrę do właściwych osób? Czy uda się nadać korespondencję?

Pędziłem co sił do partyzanckich sztabów, ministerialnych gabinetów, biur rozmaitych partii, których nazw już dawno nikt nie pamięta. Nagabywałem tysiące ludzi o ich stanowisko czykomentarz, wyciągając na zwierzenia, co miało mi zapewnić pierwszeństwo i wyłączność na prawdę. Zapisywałem notatniki nazwiskami, datami, numerami telefonów, cyframi oznaczającymi liczbę zabitych wrogów i procenty zdobytych w wyborach głosów.

Najbardziej irytowałem się wówczas, gdy ktoś z miejscowych zatrzymywał mnie w biegu, zawracając głowę historiami, które wydawały mi się bez sensu. Wyrywałem się, gdy łapiąc mnie za rękę, wypytywali o setki spraw, wykręcałem się, jak mogłem, gdy zapraszali mnie do siebie do domu, by pochwalić się dziećmi, żoną, samochodem, a czasami po prostu popisać się przed sąsiadami znajomością z cudzoziemcem. Nie chcieli zrozumieć, że nie mam dla nich czasu, że mam ważniejsze sprawy, muszę się przecież wszystkiego dowiedzieć, napisać relację.

Zjeździłem pół świata, byłem świadkiem większości najważniejszych wydarzeń przełomu wieków, widziałem, jak rozpadało się jedno z ostatnich imperiów, widziałem narodziny nowych niepodległych państw, a także niezliczone wojny, w jakich natychmiast się pogrążały. Byłem świadkiem zamachów i elekcji, upadków i narodzin nowych dyktatorów, rewolucji i rewolucyjnych agonii.

Spotykałem się i rozmawiałem z ludźmi, którzy byli najważniejszymi bohaterami historycznych wydarzeń. Zwykle nie mieli, co zrozumiałe, zbyt wiele czasu na rozmowę. Niekiedy jednak – odnosiłem takie wrażenie – chcieli powiedzieć coś jeszcze, coś więcej poza przedstawieniem oficjalnego stanowiska, chcieli choć na chwilę zrzucić maskę i wyjść poza przypisaną, jakże często narzuconą rolę. Na to jednak czasu nie miałem z kolei ja, zabiegany i pochłonięty całkowicie powagą wydarzenia. Zegnaliśmy się, obiecywaliśmy sobie, że następnym razem, rozchodziliśmy się, każdy w swoją stronę.

Pozostały z tych spotkań strzępy zapisanych w notatnikach zdań, przeważnie nic już niewartych i nic niemówiących, zamazane w pamięci twarze, z rzadka fotografie, czasami mocno utrwalone pierwsze wrażenie. Szkice, kreślone pośpiesznie, z trudem nadające się do tego, by na ich podstawie wyrobić sobie o kimś opinię, naszkicować portret. Przypominało to mozolne sklejanie naczynia rozbitego na drobniutkie odłamki. Nigdy nie było pewności, czy wszystkie części udało się znaleźć, poskładać właściwie. A jeśli nawet, niezwykle rzadko, wszystkie do siebie pasowały idealnie, wciąż nie było wiadomo, co pierwotnie służyło za ich spoiwo.

Z czasem nowości i wydarzenia, za którymi dotąd goniłem, straciły wiele ze swojej wartości. Owszem, wciąż były ważne, ale teraz mniej interesowało mnie, ilu wrogów zabił jakiś żołnierz czy partyzant, a bardziej – jak czuje się człowiek, kiedy zabija. Mniej ważne było, ile głosów zdobył jakiś polityk w wyborach, bardziej – dlaczego tak pragnie władzy i jak go ta władza odmienia. Wydarzenia i nowości nie straciły znaczenia, ale zyskały tło, nabrały wielu wymiarów, kolorów, czasami dźwięków, zapachu, stały się pełniejsze, dopiero wtedy zrozumiałe, naprawdę ważne.

Wystarczyło, że przystanąłem i zacząłem słuchać, a zniknęła bez śladu dawna samotność, z którą zostawało się sam na sam w hotelowym pokoju czy w samolocie. Znajdowałem już czas na rozmowy, biesiady, bezczynność nawet.

Kiedy zapałałem ochotą i ciekawością porozmawiania z Dżocharem Dudajewem i poznania go nie tylko jako prezydenta i buntownika, ale człowieka, było już za późno. Zginął, trafiony rosyjską rakietą nakierowaną na telefon satelitarny, z którego rozmawiał nocą na leśnej polanie.

Nie nosiłem w sobie poczucia winy czy choćby zaniedbania, że mając sposobność, nawet nie spróbowałem go zrozumieć. Podobnie jak innych bliższych i przygodnych znajomych, polityków i żołnierzy, którzy zginęli, zanim dostrzegłem w nich także ludzi. Czułem raczej zwyczajny żal wynikający z poczucia przegapionej, straconej okazji, nieodwracalności i przemijania.

Szukałem i odnajdywałem Dudajewa – tak mi się przynajmniej zdawało – w tych, co przyszli po nim, Maschadowie i Basajewie, jego spadkobiercach i dziedzicach. Gdyby nie Dżochar i wojna, za którą ponosił część winy, Asłan i Szamil nigdy by się zapewne nie zetknęli, nigdy nie weszli sobie w drogę, ba, może nigdy by o sobie nie usłyszeli.

Pochodzili z dwóch pogardzających sobą nawzajem światów, tak różnych, że nigdy i w niczym się nie schodziły. Mascha-dow reprezentował porządek, przewidywalność, rutynę, utarte ścieżki, obowiązek, gotowość do ugody, odpowiedzialność za każde słowo i każdy czyn, świadomość konsekwencji. Basajew to był żywioł i chaos,

straceńcza odwaga, pragnienie, by żyć po swojemu i mieć, co się zapragnie, do niczego się nie naginać, w niczym nie ustępować. Choćby za wszelką cenę. Egoistyczne szaleństwo, które za nic ma podjęte kiedyś, a dokuczliwe dziś zobowiązania, obiecuje za to szczęście i spełnienie. Z drugiej zaś strony odpowiedzialność i troska o konsekwencje, wynikające z poczucia obowiązku i wierności raz dokonanemu wyborowi. Trudno o większą odmienność osobowości, temperamentów, kodeksów wartości i życiowych postaw.

Choć stanowili swoje przeciwieństwo, zostali na siebie skazani przez dobre i złe wybory, a także przez splot przypadkowych zdarzeń i niemożliwych do przewidzenia okoliczności. Głównie jednak przez Dudajewa, który wplątał ich obu we własne życie, a umierając, zostawił w spadku przywary i zalety, dwie strony swojej natury, podzielone tak niesprawiedliwie jakby dla złośliwej uciechy.

Maschadow przyjął dziedzictwo po swojemu. Z powagą i obowiązkowością, nie dając po sobie niczego poznać, ani rozczarowania, ani radości. Basajew gniewał się, nie ukrywał, żeliczył na więcej, miotał się i szarpał z powodu urażonej dumy i wściekłej bezsilności, wzbraniał się przed narzuceniem mu w czymkolwiek ograniczającej go, obcej roli.

Nieodwracalnie uwikłani w łączące ich, lecz niemożliwe do pogodzenia sprzeczności, obaj powoływali się na te same słowa i zdarzenia, rozumiejąc je po swojemu i zazwyczaj w zupełnie odmienny sposób.

Cokolwiek postanowili, cokolwiek zrobili – zastanawiano się, jak na ich miejscu postąpiłby Dudajew.

Maschadow utrzymywał, że Dżochar niewątpliwie zachowałby się dokładnie tak samo jak on.

– Mówią, że nie dorównywałem mu brawurą – powiedział mi kiedyś. Nie przepadał za Dudajewem. I z wzajemnością. Nie wydaje się też, by darzyli siebie specjalnym szacunkiem. Dudajew był krewki, wybuchowy, często nieodpowiedzialny, łatwo się wzruszał. Maschadow zaś, nawet w ogarniętym rewolucyjnym szałem kraju, pozostawał niewzruszenie logicznym, precyzyjnym służbistą. Dudajew żył w świecie marzeń, które

nierzadko brał za rzeczywistość. Maschadow twardo stąpał po ziemi, nie zaglądał na wiece, nie uczestniczył w burzliwych debatach, nie poddawał się emocjom, nie podnosił głosu, nie uśmiechał się nawet. – Brawurowy, wojowniczy bywał Dżochar tylko na użytek zewnętrzny, dla publiczności. Dopiero gdy sam zająłem jego miejsce, zrozumiałem, że tak jak ja najbardziej bał się wojny, a szczególnie wojny bratobójczej, która by posłużyła Rosji za powód do nowego najazdu.

Twierdził, że znał Dudajewa lepiej niż ktokolwiek inny, że byli ulepieni z tej samej gliny. Wyłączne prawo do znajomości prawdziwej duszy Dżochara rościli sobie zresztą wszyscy, których los zetknął z nim w jakikolwiek sposób.

– Pamiętam, jak w dziewięćdziesiątym czwartym, latem, wrogowie Dżochara zaczęli się zbroić, szykować do wojny.

Ja, będąc wtedy szefem sztabu czeczeńskiej armii, biłem się z myślami: czyżby Dżochar miał okazać się tchórzem? Dlaczego nic nie robi? Zachodziłem do niego i mówiłem: zróbże coś! Już ludzie się z nas śmieją! A Dżochar w kółko to samo: poczekajmy jeszcze trochę, porozmawiajmy ze starszyzną, może się uda porozumieć. O czym tu gadać – ja mu na to – każdy dzień zwłoki pogarsza tylko naszą sytuację. Dopiero później zrozumiałem, że Dżochar robił wszystko, by odwlec wojnę. Potem dzwonił do Moskwy, prosił, błagał, żeby mu pozwolili choć dziesięć minut porozmawiać z Jelcynem. Bez rezultatu. Urzędnicy Jelcyna pewnie nie mówili mu nawet, że dzwonił Dudajew. Dżochara to bardzo bolało, powtarzał, że są na Kremlu ludzie, którym jest potrzebna ta wojna. A gdy wojna już wybuchła, szukał wszelkich możliwości, żeby ją przerwać – kiedy Maschadow opowiadał o Dudajewie, jego twarz przybierała wyrozumiały, choć nieco znudzony wyraz, w głosie zaś pojawiała się cierpliwość, jaką dobry nauczyciel odnajduje w sobie, by niezbyt pilnemu uczniowi wytłumaczyć po raz tysięczny wcale nietrudne zagadnienie. – Dżochar był lotnikiem i generałem, wiedział doskonale, z jaką potęgą przyjdzie nam się zmierzyć, jakie bomby będą zrzucać na nasz kraj. Dziś powiadają, że jestem słaby, bo nie rozprawiłem się z Basajewem, gdy ten najechał na Dagestan. A ja się bałem nie Basajewa, tylko nowej wojny z Rosją.

Na Kaukazie mówią, że jeśli chcesz poskromić pędzącego dzikiego rumaka, musisz go dosiąść i spiąć do jeszcze bardziej szalonego galopu. Może się oczywiście zdarzyć, że zrzuci cię z grzbietu i zginiesz pod jego kopytami. Jeśli jednak spróbujesz go najpierw zatrzymać, z całą pewnością stratuje cię na śmierć. Dudajew pewnie próbowałby dosiąść konia. Maschadow zaś usiłował powstrzymać go w biegu.

Spotkanie z Szamilem Basajewem przekładano z dnia na dzień. Już, już było umówione, był wyznaczony czas i miejsce. I za każdym razem, gdy zbieraliśmy się w drogę, ktoś łomotał pięścią w żeliwną bramę Mansurowego obejścia, Mansur wychodził na piaszczystą drogę, rozmawiał chwilę z nieznajomym, po czym wracał, rozkładając ręce w przepraszającym geście niemocy.

Bałem się, że Basajew wyjedzie z miasta, zaszyje się gdzieś w górach, a tam go nie odnajdę, o nic nie zapytam. Ilekroć przejeżdżaliśmy przez miasto, prosiłem Mansura, byśmy sprawdzili, czy się nie wyprowadził i przynajmniej zajrzeli na ulicę, przy której mieszkał Szamil (na budowę domu, jak się z dumą przechwalał, wydał ćwierć miliona dolarów). Parę lat później, gdy Rosjanie zburzyli Szamilowe domostwo, zrzucając na nie bomby z samolotów, Basajew, z tak charakterystyczną dla siebie pyszałkowatością, powiedział: cóż, będę musiał wziąć paru rosyjskich jeńców i zaraz mi to w mig odbudują.

Nie obnosił się ze zdobytym bogactwem, ale też go i nie krył. Na Kaukazie nie po to ma się pieniądze, by je chować, wstydzić się dostatku. Przeciwnie, wystawia się go na pokaz, by inni, mniej zaradni, mniej przedsiębiorczy, mogli zazdrościć i podziwiać.

Kiedy czeczeński rząd umyślił sobie ściągać od Czeczenów podatki, Basajew bez fałszywej skromności oznajmił, że pierwszego roku po wojnie z Rosjanami zarobił dwa miliony dolarów. Przyznał się do czterech dżipów ofiarowanych mu przez majętnych przyjaciół z zagranicy. Dodał też zaraz, że z zarobionych i podarowanych pieniędzy sobie zostawia najwyżej dziesiątą część, a resztę rozdaje wśród biedoty i potrzebujących, przede wszystkim zaś wśród swoich partyzantów.

Nieraz powtarzał, że zawsze chciał żyć mocno, światowo, z fasonem.

Wielkie pieniądze, złote roleksy, marlboro, dobre samochody, piękne dziewczyny. Kochał życie, a za najbardziej znienawidzonego wroga i najstraszniejszy koszmar uważał nudę, szarą codzienność, anonimowość i banał. O tym samymmarzyła większość jego rówieśników urodzonych już we własnym kraju, dokąd pozwolono w końcu wrócić Czeczenom z zesłania na Syberię i na pustynie Turkiestanu. Może właśnie dlatego tak bardzo różnili się od ojców i starszych braci, którzy doznawszy bliskości zagłady, godzili się z wdzięcznością przyjąć samo przetrwanie, nie śmieli żądać, oczekiwać niczego więcej. Młodzi znali przemoc i śmierć tylko z opowieści, nie czuli już więc tego przejmującego strachu. Marzyli, chcieli żyć pięknie i czerpać z życia pełną garścią.

Kolorowe sny, wspaniałe plany i wielkie ambicje rozbijały się jednak o wszechobecne przeszkody, mury niemożności, piętrzące się wokół jak skaliste góry Kaukazu. Bieda, beznadzieja, pogarda, brak zajęcia, brak pieniędzy, brak przyszłości. Taki żywot wiodła większość Czeczenów w górskich aułach. Niewielu tylko starczało siły i odwagi, by się wyrwać z tego zaklętego kręgu.

Młody Szamil też nie zapowiadał się na śmiałka. Pochodził z marnego rodu, co w przywiązanej do tradycji Czeczenii nie wróżyło mu nic dobrego. Przyszedł na świat w chutorze leżącym na brzegu rzeczki, która oddzielała osadę od Wiedeno, czeczeńskiej kolebki. Mówiono, że jego przodkowie, zanim Czeczeni uznali ich za swoich, byli niewolnikami, Awarami, Osetyjczykami czy nawet rosyjskimi żołnierzami wziętymi w jasyr lub zbiegłymi z carskiego wojska.

W dzieciństwie Szamil nie wyróżniał się niczym szczególnym, dzieciństwa też nie miał szczególnego. Podobnie jak jego trzej bracia i siostry. Nie odznaczył się ani w szkole, ani w wojsku, gdzie służył nawet nie jako żołnierz, lecz strażak na lotnisku. Potem pasł owce i razem z ojcem i braćmi wyruszał do Rosji szukać zarobku na budowach.

Stary Salman Basajew, choć niskiego stanu, cieszył się wśród Czeczenów szacunkiem, będąc człowiekiem żelaznych zasad i wielkiej pobożności. Nie zapominał o żadnej z pięciu nakazanych modlitw,

a nawet odbył pielgrzymkę do Mekki.

Znany był też na całym Kaukazie i na południoworosyjskich stepach jako znakomity i solidny majster budowlany. Należał do tych, o których mawiano, że z jednego kamienia potrafi zbudować cały dom.

Kiedy jego czterej synowie podrośli i pokończyli obowiązkowe szkoły, tak jak inni czeczeńscy ojcowie zabierał ich ze sobą w daleką podróż, aż nad Wołgę, na zarobek. Salman i jego synowie czeladnicy budowali Rosjanom domy, obory, stodoły. W pamięci mieszkańców nadwołżańskich wiosek i miasteczek stary Basajew zapisał się jako człowiek surowy, mroczny, zamknięty w sobie, wciąż zapracowany i stroniący od ludzi. Do nikogo nie chodził w gości, nikogo do siebie nie zapraszał.

Jego synowie marnie jednak znosili pełną znoju tułaczkę, nudę, harówkę przy kielniach i betoniarkach. Jedynym urozmaiceniem tych wypraw były niezliczone romanse z wiejskimi dziewuchami i schadzki w parkach pod pomnikami weteranów światowej wojny.

Pierwszy uciekł Szamil, najbardziej niespokojny z czterech synów. Nie był to żaden bunt przeciw woli ojca. To właśnie stary Salman, czego jego rodacy nie mogli pojąć, twierdził, że jego synowie są stworzeni do lepszego życia i większych rzeczy, że zasługują na coś więcej.

Ale wymarzone Wielkie Miasto, Moskwa, też nie przyniosło Szamilowi spokoju i spełnienia. Na uniwersytet, gdzie ojciec kazał mu studiować prawo (miał zostać policjantem i walczyć z przestępcami), nie został przyjęty, z instytutu, do którego się zapisał na naukę agronomii, wkrótce go wyrzucono za nieprzykładanie się do zajęć, wykładów i egzaminów.

Nie utonął w rozpaczy. Nauka go nudziła. Marzył o czymś innym niż ślęczenie nad książkami i dorabianie jako stróż w szaszłykarni albo mechanik naprawiający w zajezdni trolejbusy. Nie mógł sobie znaleźć miejsca, miotał się, imał przeróżnych zajęć, po to by je za chwilę porzucić, uznając za całkowitą stratę czasu.

W Moskwie jednak nadchodziły właśnie złote czasy dla zuchwałych. Agonii imperium towarzyszyła polityczna odwilż i rewolucyjne wydarzenia. Obalano władców, pomniki i stare porządki. Nastawały nowe czasy, wywracając do góry nogami cały dotychczasowy stan rzeczy, dawały niezwykłą szansę rozpoczęcia wszystkiego od nowa.

W tych nowych porządkach, nieznanych, przez co przerażających, najłatwiej i najszybciej odnajdywali się właśnie ludzie śmiali, zdecydowani, zuchwali. A Szamil zawsze miał się za zuchwałego.

Zachłysnął się wolnością i możliwościami. Zanim skreślono go z listy studentów, rzucił się bez wahania w nieznane labirynty wolnego rynku. Wziął się za interesy, zajął komputerami, coś kupował, by odsprzedać z zyskiem, kręcił się to tu, to tam, poznawał ludzi.

Wśród pierwszych beneficjentów dobrodziejstw nowych, wspaniałych czasów znaleźli się też królowie półświatka, gangsterzy, przemytnicy i spekulanci, którzy z wolności zrobili interes i na zawsze oszpecili ją w oczach Rosjan.

Czeczeni, jak zawsze, trzymali się razem. Szamil nieraz korzystał z ochrony, pomocy i rady rodaków z diaspory w Moskwie. Sam też niejednokrotnie zgłaszał się na ochotnika jako żołnierz, gdy dochodziło do porachunków i wojen o strefy wpływów. Poznał Choż-Ahmeda Nuchajewa, uchodzącego za ojca chrzestnego czeczeńskiej mafii, a także wielu odważnych i rzutkich młodzieńców, którzy zwabieni nadzieją odmiany losu ściągali z Kaukazu do Moskwy, pełni wiary, że uda im się nie zmarnować życia.

Szamil starał się nie tracić czasu. Szukał przygody, zabawy, dobrze poznał smak kobiet i wina. Zarobił pierwsze spore, ale nie oszałamiające pieniądze, zaciągnął pierwsze długi. Wciąż jednak nie miał żadnych planów ani nawet pomysłów na życie.

Znudzony nieco, wciąż łaknący przygód, w sierpniu dziewięćdziesiątego pierwszego stanął na barykadach wzniesionych w Moskwie przez obrońców rosyjskiego parlamentu i nowych porządków, zagrożonych przez próbujących zawrócić czas strażników imperium. To wtedy po raz pierwszy dał się uwieść narkotycznej sile polityki i władzy.

Jesienią zaś spakował manatki i wrócił do ogarniętej rewolucyjną gorączką Czeczenii, która, jak wiele innych rosyjskich kolonii, ogłosiła niepodległość. Górale szykowali się właśnie do wyboru swojego prezydenta. Niewiele myśląc, Szamil postanowił stanąć do elekcji. Miał dwadzieścia sześć lat.

Nie wiadomo, na co liczył. Nie miał własnej partii, znanego nazwiska, nie pochodził z szanowanego rodu, nie miał niczego, czym mógłby się pochwalić. Niemożliwe więc, by kierował się politycznym wyrachowaniem. Raczej potrzebą silnych wrażeń, przeżycia nowej przygody, chęcią spróbowania czegoś nowego. Ot, miał taki gest. Trudno nawet powiedzieć, co by począł, gdyby wybrano go na prezydenta. Wybory wygrał Dżochar Dudajew, a Basajew przegrał z kretesem. Chyba bez większego żalu.

Zaraz potem stał się po raz pierwszy naprawdę sławny, jego nazwisko wielkimi literami krzyczało z czołówek rosyjskich gazet i telewizyjnych dzienników. Z lotniska w Mineralnych Wodach Basajew wraz z towarzyszami porwał do Turcji samolot z prawie dwustu pasażerami na pokładzie. W Ankarze, zanim się poddał tureckim żandarmom, zażądał, by Rosja uznała czeczeńską niepodległość i trzymała się z dala od Kaukazu. Obiecał też, że uwolni wszystkich jeńców, jeśli otrzyma obietnicę bezpiecznego powrotu do Czeczenii. Namawiani przez Turków, którzy pragnęli co prędzej pozbyć się kłopotliwych gości, Rosjanie, choć niechętnie, w końcu się jednak zgodzili. Samolot z zakładnikami wrócił do kraju, a porywacze zaszyli się w górach.

Nikt mu nie kazał porywać samolotu i żądać uznania niepodległości Czeczenii. Ba! Gdyby znalazł się taki ktoś, niewykluczone, że Szamil postąpiłby dokładnie na odwrót. Nie, nikogo nie pytał, nikogo się nie radził, nie prosił o zgodę. Nawet Dudajewa, prezydenta. Zawsze już miał tak postępować. Nie pytał Dudajewa o pozwolenie najazdu i branie zakładników w Budionnowsku. Nie prosił Maschadowa o zgodę na wyprawę wojenną na da-gestanski Botlich. Robił, co chciał, co uważał za słuszne.

Zakochany w swojej sławie, niechętnie wracał do historii z porwaniem samolotu. Nie żeby się tego wstydził. Po prostu nudziło go to. Nie było o czym gadać. Wzruszał wzgardliwie ramionami, stroił miny jak rozkapryszone dziecko, któremu każe się robić coś, na co zupełnie nie ma ochoty, albo zamiast spodziewanej nagrody odmawia czegoś, co przyzwyczaiło się już dostawać.

Za turecką awanturę nie poniósł żadnej kary. Przeciwnie, wpadł w oko

samemu prezydentowi Dudajewowi, który powierzył mu stanowisko dowódcy jednego z pułków w tworzonej właśnie czeczeńskiej gwardii.

Szamil miał wszystko, co chciał. Swobodę i niezależność, pieniądze, sławę i podziw rówieśników. Stawał się dla nich ucieleśnieniem marzeń o wielkości, uosobieniem ambicji i tęsknot. W Szamilu i jego czynach widzieli samych siebie, takich, jakimi chcieli być – nieustraszonych, gotowych na wszystko dżygitów.

Przed Szamilowym domem z czerwonej cegły kręcili się partyzanci z karabinami. Niektórych z nich Mansur znał osobiście. Widząc go za kierownicą, pozdrawiali go i krzyczeli głośno lub machali rękami. Inni wpatrywali się tylko, milcząc, w przejeżdżające samochody.

Mansur, który od początku krzywił się na przejażdżki wokół domu Szamila, w końcu odmówił wprost. Orzekł, że lepiej będzie, jeśli się tam nie będziemy kręcili bez potrzeby.

– Sam przyśle po ciebie, jak przyjdzie czas – powiedział.

Wyraźnie za Basajewem nie przepadał. Może mu zazdrościł. Byli niemal rówieśnikami. Szamil miał lat trzydzieści cztery, Mansur był o dwa lata młodszy. Ale wiedział, że już mu nie dorówna i ta świadomość kresu możliwości przygnębiała go i nastawiała wrogo do wszystkich, którzy w jego przekonaniu osiągnęli więcej.

Często mówił o sobie: jestem petrochemikiem, inżynierem. Mawiał tak, gdy nachodził go nastrój pretensji i żalu, że jego życie poszło nie tak. Szukał winnych, bo w sobie żadnej winy nie widział. Słusznie.

Zarzucał mnie pozornie banalnymi pytaniami. Jak mieszkam, ile zarabiam, jakim samochodem jeżdżę, jakim bym chciał jeździć. Ale nie było w nim żadnej ciekawości, chyba mnie nawet nie słuchał. Czekał tylko, kiedy skończę, by mówić samemu. Jestem petrochemikiem, inżynierem.

Opowiadał o domu w rodzinnej wiosce i mieszkaniu, które kupił w mieście, dowodząc tym swojej nowoczesności i zamożności. Opowiadał o meblach, o meczach piłkarskich, oglądanych niegdyś w telewizji, o tym, że nigdy nie kupił samochodu, bo mu się nie opłaciło. Mieszkał blisko rafinerii, do pracy chodził spacerkiem. Wspominał, jak z kolegami płatał figle w szkole i jak podglądali kąpiące się na golasa

w strumieniu Ukrainki, które przyjeżdżały na wakacje do Serżen-jurtu. Mieszkały w szkole za wsią położoną na zielonych górskich zboczach, jednym z najbardziej urokliwych zakątków, jakie kiedykolwiek widziałem. Potem do tej samej szkoły wprowadzili się brodaci mudżahedini i założyli w niej najsłynniejszą na Kaukazie akademię partyzantki. Nauczyciele, którzy w niej wykładali, pochodzili z Arabii, Sudanu, Algierii, a nawet Afganistanu. Ich uczniami zaś byli młodzieńcy z kaukaskich republik, ale także z Gruzji, Azerbejdżanu, Uzbekistanu, Tadżykistanu, Kirgizji, nawet z chińskiego Turkiestanu. W zależności od potrzeb kursy trwały trzy (podstawowy) albo sześć (specjalistyczny) miesięcy. Za każdym razem nauka kończyła się egzaminem praktycznym – napadem na rosyjski posterunek graniczny albo wysadzeniem w powietrze składu broni.

Mansur zaczynał opowiadać o swoim dawnym życiu i o tym, jak miało wyglądać, pozwalał się uwodzić wspomnieniom, dryfował w marzeniach, by w końcu, jak rozbitek, roztrzaskać się na rafie bezwzględnej rzeczywistości.

Pewnego wieczora obaj daliśmy się ponieść nerwom. Rozdrażniony protekcjonalnym tonem, jakiego używał, gdy nie byliśmy sami, i jego opowieściami, w których przeszłość mieszała się z teraźniejszością, a życzenia z rzeczywistością, rzuciłem, że inżynierem petrochemikiem być może był kiedyś, ale już nim nie jest i nigdy zapewne nie będzie.

Wojna, po której mnie oprowadzał jak przewodnik, na zawsze odmieniła jego życie, choć wcale nie jest powiedziane, że uczyniła je gorszym. Tyle że życie wymknęło mu się spod kontroli, poniosło jak rumak czymś nagle spłoszony. Gdy wodze wypadły mu z dłoni, próbował już tylko utrzymać się w siodle.

Tęsknił za tym, co było, choć podejrzewałem, że mocno idealizował przeszłość. Powtarzał, że jest petrochemikiem, inżynierem, bo nie godził się ze swoim obecnym i jedynym prawdziwym wcieleniem. Chyba nie bardzo wiedział, kim jest. Gdy wziął do ręki karabin, z inżyniera stał się żołnierzem. Czuł jednak, że odkładając broń, nie wróci do dawnej postaci, ale w raz rozpoczętej wędrówce będzie jedynie bezbronnym, nędznym tułaczem.

Nie tylko Mansur nie lubił Szamila. Odnosiłem wrażenie, że Basajew miał przynajmniej tyluż wrogów co przyjaciół, no, może jednak trochę więcej przyjaciół. Był jak wielki pokerzysta, którego podziwia się i wielbi za mistrzowskie zagrywki, ale nienawidzi, bo za jego wygrane płaci się z własnej kieszeni.

Wielu też zazdrościło mu szczęścia i łatwości osiągania tego, o co inni zabiegali, nie szczędząc wysiłków i starań. Szami-lowi po prostu wszystko się udawało, dostawał też wszystko, o czym zamarzył, co przedsięwziął. W dodatku chełpił się swoim fartem, mnożąc wokół zawistnych nieprzyjaciół, złorzeczących na niesprawiedliwość losu.

Wstąpiwszy na służbę do gwardii Dudajewa, owiany świeżą sławą gotowego na wszystko dżygita, Szamil zaciągnął się wraz z innymi czeczeńskimi ochotnikami do pospolitego ruszenia powstającej dopiero tajemniczej Konfederacji Narodów Kaukazu. Jej apologeci utrzymywali, że była porozumieniem kaukaskich powstańców, zamierzających wreszcie zgodnie wywalczyć wolność dla wszystkich górali. Wrogowie zaś twierdzili, że to sama Rosja przy pomocy swych szpicli powołała tę łupieżczą armię naiwnych marzycieli, poszukiwaczy przygód i niebieskich ptaków, by utrzymywać w posłuszeństwie kolonie buntujące się na Kaukazie.

Przystając do konfederatów, Basajew jednak nie zaprzątał sobie głowy polityką. Zdecydował się być konfederatem, bo wojna ciekawiła go i kusiła, po chłopięcemu, zwyczajnie ciągnęło go do burzliwego i obiecującego bogate łupy żywota kaukaskiego watażki, buntownika.

Wylądował w Abchazji, starożytnej Dioskurii, która postanowiła zerwać z Gruzją. Ale nie doszłoby do wojny, gdyby nie Rosja, ponieważ Kreml chciał ukarać Gruzję, prowodyra buntu prowincji.

Basajew został jednym z dowódców czeczeńskiego zaciągu. Nie minął nawet rok, odkąd Rosjanie rozesłali za nim listy gończe i wyjęli spod prawa za uprowadzenie samolotu w Mineralnych Wodach, a z banity i wroga Szamil stał się ich sojusznikiem i towarzyszem broni. Zanim górskimi ścieżkami przez kaukaskie przełęcze Karaczaju, niezatrzymywani przez rosyjskie192wojska, Basajew i czeczeńscy ochotnicy dotarli do Abchazji, przeszli szybki wojskowy kurs

dokształcający, na którym wykładowcami byli oficerowie z Rosji.

Niespodziewane przymierze Rosji z Czeczenami nic nie znaczyło. Było wynikiem zwyczajnych kalkulacji, bieżących potrzeb, intryg. Wciąż uważali siebie za wrogów, ale odkładali na bok nieprzyjaźn, kalkulując, co w danej chwili bardziej się opłaca. Dla Rosjan ważniejsze od Czeczenii było ukaranie Gruzji – klęska gruzińskiej armii w Abchazji omal nie zakończyła się śmiercią prezydenta Gruzji Eduarda Szewardnadzego w oblężonym, płonącym Suchumi, rozpadem gruzińskiego państwa i ponownym podporządkowaniem go Moskwie.

Czeczeni, licząc się z tym, że im samym przyjdzie stawić czoła Rosji, w abchaskiej wojnie dostrzegli szansę zaprawienia się w bojach, wyszkolenia wojowników, a przy okazji – wzbogacenia się, upłynnienia w Abchazji składów oręża, porzuconego w ich kraju przez rosyjskie wojska odwołane na rozkaz Kremla.

Na takich wojnach, nie świętych, lecz toczonych o pieniądze i za pieniądze, pokrętnych i brudnych, uczył się wojaczki Szamil Basajew. Wojnach bez żadnych zasad, podczas których do rzezi, pogromów i grabieży dochodziło znacznie częściej niż do walnych bitew, a zdobywane miasta były wydawane na trzy dni zdobywcom, by mogli wziąć należne im łupy.

Wojenne burze wynosiły na polityczne Olimpy ludzi często przypadkowych, niespokojne duchy, nieświadomych zazwyczaj, że odgrywają jedynie rolę pionków w czyjejś wielkiej grze. Czasami zdarzało się jednak, że pozornie bezwolne marionetki nagle ożywały, wymykały się spod kontroli i z posłusznych kukieł przeistaczały się w nadzwyczaj samodzielne potwory.

Choć z rekomendacji samego Dudajewa Basajew został komendantem całego kaukaskiego pospolitego ruszenia, a nawet wiceministrem wojny w abchaskim powstańczym rządzie, zajmował się w Abchazji przede wszystkim przerzucaniem przez góry nowych ochotników, przemytem broni i zdobywaniem łupów dla siebie, swoich żołnierzy i Dudajewa.

Walczył niewiele, chociaż z upływem czasu na Kaukazie pojawiało się coraz więcej legend o jego rozlicznych ranach, waleczności, okrutnych czynach i chciwości przy podziale łupów. Sami Abchazi, wdzięczni za

pomoc, nie zapomnieli jednak, że kiedyś, nie chcąc narażać życia żołnierzy, odmówił przyjścia z odsieczą otoczonemu przez Gruzinów i wybitemu prawie do nogi oddziałowi Osetyjczyków i Kabardyjczyków.

Dowódcą też był raczej malowanym. W pospolitym ruszeniu konfederatów walczyli przede wszystkim nienawidzący Gruzinów Osetyjczycy oraz spokrewnieni z Abchazami Czerkiesi, Kabardyjczycy i Adygejczycy. Ani myśleli słuchać rozkazów Basajewa, a Czeczenów, jak zwykle, traktowali z podejrzliwością i niechęcią. Sami zaś czeczeńscy wojownicy za swojego komendanta nie uważali zajętego łupami, kontrabandą i papierkową robotą Basajewa, lecz dowodzącego nimi podczas walk Cham-zata Chunkarowa. Dopiero gdy zginął, zastrzelony już w Czeczenii, weterani abchaskiej wojny uznali za przywódcę Szamila.

Ale i tak Basajew przywiózł z Abchazji nową sławę, a także żonę. Poznał też wojnę, wszystkie jej strony, z tą sekretną, komercyjną włącznie. Doświadczył frontowego życia, pokazał się jako żołnierz i komendant, widział śmierć, poczuł dreszcz strachu, narkotyczną potęgę przemocy i absolutnej władzy.

Z Abchazji, owiany złowieszczą sławą i wzbogacony łupami, Basajew wyruszył na wojnę do Azerbejdżanu, gdzie w Górskim Karabachu wspierani przez rosyjskich wojskowych miejscowi Ormianie toczyli secesyjną wojnę przeciw Azerom. W Karabachu dostał łupnia. Azerowie, znani z niechęci do poświęceń i ryzyka, liczyli, że ich wyręczy w zamian za pieniądze i zdobycze wojenne. Zostawili go z oddziałem naprzeciw ormiańskich partyzantów, najlepszych żołnierzy na całym Kaukazie. Basajewwziął nogi za pas.

Z Baku pojechał prosto do Afganistanu, gdzie w zagubionym w górach Choście przez trzy miesiące wprawiał się w wojennym rzemiośle pod okiem afganskich mudżahedinów, którzy nie ugięli się przed rosyjską armią, gdy najechała na ich kraj, i po dziesięcioletniej wojnie zmusili ją do odwrotu.

Kiedy wrócił na Kaukaz, Czeczeni odliczali dni do wojny z Rosją, nadciągającej nieuchronnie jak ponura, surowa zima. Asłan Maschadow, zawodowy żołnierz, który wojny nigdy wcześniej nie poznał, pośpiesznie

tworzył czeczeńskie wojsko, po swojemu, z regulaminami, dyscypliną i musztrą. Basajew zaś, wychowanek i ulubieniec wojny, miał pod komendą armię podobnych mu zabijaków, którym śmierć nie była ani obca, ani straszna.

Obaj służyli tej samej sprawie i temu samemu prezydentowi. Szamil, choć zawsze twardo trzymał stronę Dżochara Dudajewa i zawsze był wobec niego lojalny, kierował się raczej instynktem, intuicją niż refleksją.

Sam był dżygitem i zawadiaką, obdarzonym w dodatku charyzmą i mającym szalone ambicje, podświadomie więc szukał kogoś podobnego. Zdawało mu się, że w Dudajewie odnalazł pokrewną duszę. Być może – ponieważ nie był jeszcze gotowy, by samemu przewodzić – potrzebował mistrza i zwierzchnika, duchowego ojca. To aż niezwykłe, że obaj porywczy, nieznoszą-cy sprzeciwu, nigdy nie skoczyli sobie do oczu. Szamil, jak posłuszny czeczeński syn, nie śmiał krytykować Dudajewa, nawet jeśli się z nim nie zgadzał. Wykonywał jego rozkazy, a złość i bunt, które w nim wzbierały, dusił w milczeniu. Tylko Dudajewa tak słuchał. Po jego śmierci nie uznał już niczyjego pierwszeństwa i nawet woli większości podporządkowywał się tylko wtedy, kiedy uważał to za stosowne i kiedy dla niego samego było to wygodne.

Maschadow, choć różnił się od Dudajewa usposobieniem i poglądami, choć obca mu była fantazja Dżochara, trwał przy nim z wrodzonego i wyostrzonego przez życie poczucia obowiązku. W jakimś sensie on także czuł w nim pokrewną duszę. W jego przekonaniu człowiek, który wziął na siebie rolę przywódcy, mógł to uczynić jedynie z pielęgnowanej w sobie troski i odpowiedzialności. A te były najważniejszymi i najoczywistszymi kierunkowskazami w jego własnym życiu.

Pytałem Maschadowa i Basajewa o dzień i okoliczności, w jakich zetknęli się po raz pierwszy. Żaden z nich tego nie pamiętał. Co więcej, żaden nie starał się nawet grzebać specjalnie w przeszłości, by odtworzyć tę chwilę. Najwyraźniej ani jeden, ani drugi nie uważał tego zdarzenia za szczególnie ważne. Nie sądzili też chyba, by wpłynęło ono w jakikolwiek sposób na ich dalsze losy.

Dżochar Dudajew był może lekkoduchem, może nawet szaleńcem, ale

nie głupcem. Maschadow mógł go drażnić służbistością i niezrozumieniem dla fantazji, ale nie miał pod ręką lepszego oficera, któremu można było powierzyć zbudowanie od podstaw czeczeńskiej armii. Trudno było sobie nawet wyobrazić, by Maschadow zdradził i przejął powierzoną mu armię. Nie wydawał się żadnym zagrożeniem, gdyż zarówno do polityki, jak do odwiecznych kaukaskich rodowych waśni odnosił się z pełną wyższości pogardą.

Nie udało mu się jednak stworzyć czeczeńskiej armii z prawdziwego zdarzenia. Czeczeni, niepoprawni indywidualiści, nie zamierzali ani oddawać mu swoich karabinów, ani uznawać pierwszeństwa naczelnego dowódcy nad starszym rodu czy aułu, z którego się wywodzili. Kiedy wybuchła wojna, żołnierze Maschadowa rozpierzchli się pod komendę wioskowych przywódców, ci zaś zgadzali się współpracować z innymi i wypełniać cudze rozkazy tylko wtedy, gdy nie zagrażało to ichwłasnym interesom i dobremu imieniu. Tymczasem Dudajew rozkazał Maschadowowi tym warcholskim pospolitym ruszeniem dowodzić.

Isa Madajew miał wtedy pod sobą partyzancki oddział z rodzinnego Cziri-jurtu.

– Nie wiem, czy udało mu się przespać choć jedną noc przez całą wojnę. Ile razy go widziałem, albo siedział nad mapami i coś kreślił ołówkiem, albo się naradzał z pomniejszymi komendantami. Można było do niego zajść o każdej porze dnia i nocy. Zawsze pracował, zawsze spokojny, gładko ogolony, w czystym, odprasowanym mundurze. Przeklinałem go wtedy nieraz, bo nie chciał mi wydać tyle broni czy pieniędzy, ile potrzebowałem, albo pozwolić na jakąś operację zbrojną. Teraz sobie myślę, że musiał mieć do nas anielską cierpliwość i końskie zdrowie. Ilu takich jak ja przychodziło do niego domagać się czegoś, groziło, psioczyło, przeklinało na czym świat stoi. Myśmy myśleli o swoich oddziałach, swoich odcinkach frontu, swoich aułach. Nie mieliśmy pojęcia, co się dzieje gdzie indziej. A on, siedząc nad tymi mapami i wysłuchując rozmaitych raportów, panował nad wszystkim.

Musiał sprawiedliwie dzielić nie tylko broń i pieniądze dla poszczególnych oddziałów, ale także bojowe zadania dla komendantów, tak by jednych nie obciążać wojennymi klęskami, a drugich nie

wywyższać bitewnymi triumfami. Najmniejszy błąd groził wybuchem rokoszu w armii wolontariuszy, jej rozpadem albo, co gorsza, wykrwawieniem się w odwiecznych, beznadziejnych waśniach.

Nie popełnił jednak żadnego błędu. Najtrudniej przyszło mu przekonać komendantów, że – aby nie narażać swoich mudża-hedinów niepotrzebnie – muszą trzymać się jak najbliżej nacierających Rosjan. „Bądźcie tuż przy nich, nie dajcie im wytchnienia – mówił. – Im bliżej podejdziecie, tym będziecie bezpieczniejsi. Na swoje wojska nie będą przecież zrzucać bomb, nie będą strzelać do swoich z dział".

Usuwając się w cień, przygotowywał plany najsłynniejszych operacji partyzanckich. Przyniosły one nieśmiertelną sławę komendantom, którym zlecił ich przeprowadzenie, a byli to Szamil Basajew, Chunkar-pasza Israpiłow, Rusłan Gełajew, obaj Asłanbekowie, Wielki i Mały, bracia Chajcharojewowie, Turpał-Ali Atgierijew.

Szamil Basajew na początku wojny nie wyróżniał się absolutnie niczym. Choć dowodził jednym z najlepszych oddziałów, niczym szczególnym się nie zapisał. Nikt o nim nie słyszał, mało kto go znał. Był zaledwie jednym z wielu partyzanckich komendantów.

Walczył pod Bamutem, gdzie kiedyś Rosjanie trzymali w schronach wyrzutnie rakietowe. W moskiewskich gazetach i wiadomościach telewizyjnych podawano, że Bamutu broniły tysiące partyzantów. W rzeczywistości było ich trochę ponad stu, głównie miejscowych wieśniaków, straganiarzy, traktorzystów, weterynarzy, wioskowych nauczycieli i ich uczniów. Żołnierzami stali się dopiero wtedy, gdy wojna wkroczyła w ich obejścia. Przerobili schrony i bunkry na niezdobytą twierdzę. Podziemnymi korytarzami przekradali się aż pod rosyjskie okopy albo niepostrzeżenie wędrowali w porośnięte gęstym lasem góry, gdzie znikali bez śladu jak duchy.

Basajew szybko wymknął się lasami w bezpieczne góry. Wydawało się, że wojna jednak go przerosła, przeraziła. Zatracił gdzieś wcześniejszą brawurę i zawadiacką pozę. Co chwila się gubił, wahał, nie wiedział, co robić, popełniał błędy. Pod Wiede-no dał się podejść Rosjanom, którzy wybili mu oddział. Na wieść o tym, że stracił najlepsze wojsko, Dżochar Dudajew rwał z wściekłości mundur. Gdyby mógł wtedy dopaść Szamila,

niechybnie by go zabił.

Zdruzgotany dżygit zaszył się głęboko w kniei, gdzie przełykając wstyd, lizał rany. Przemyśliwał też, jak odzyskać dobre imię i sławę, wypatrywał okazji.

Stutysięczny Budionnowsk, nazwany tak ku czci słynnego marszałka, atamana kozackiej konnicy, leży pośród porośniętych falującym żółtawym stepem pagórków w Kraju Stawropolskim, prawie dwieście kilometrów od Czeczenii. Jego mieszkańcom wydawało się, że to wystarczająco daleko, by nie bać się wojny, która w dodatku jakby miała się ku końcowi. Rosyjskie wojska zajmowały ostatnie czeczeńskie auły w wysokim Kaukazie, a generałowie sposobili się do ogłoszenia ostatecznego zwycięstwa.

Tym większe było więc zaskoczenie, gdy w upalne czerwcowe południe na rynek zajechały wielkie ciężarówki, z których wyskoczyli ubrani w maskujące mundury mężczyźni i zaczęli strzelać. Zaskoczeni policjanci nie byli w stanie początkowo stawić oporu.

Napastnicy zajęli ratusz i wywiesili nad nim czeczeńską zieloną flagę. Pod wieczór, gdy do miasta ściągnęły posiłki, partyzanci wycofali się do miejscowego szpitala. Tam się zabarykadowali, biorąc ponad tysiąc zakładników, pacjentów (wiele kobiet w ciąży), lekarzy, spędzonych z miasta przypadkowych przechodniów, a nawet pasażerów autobusów, które przejeżdżając przez Budionnowsk, zatrzymały się akurat na dworcu.

Dowódca napastników ogłosił, że nazywa się Szamil Basajew.

Zapowiedział też: jeśli rząd Rosji nie zgodzi się na przerwanie toczącej się w Czeczenii wojny, nie wycofa wojsk i nie przystąpi do rokowań pokojowych z przywódcami czeczeńskich powstańców, on zabije wszystkich jeńców, a na koniec wysadzi w powietrze cały szpital wraz ze swoimi partyzantami.

Basajew obwieścił również, że kazał rozstrzelać znalezionych w szpitalu kilku rosyjskich oficerów, rannych na wojnie w Czeczenii. Wszyscy czeczeńscy komendanci z reguły oszczędzali branych do niewoli rosyjskich żołnierzy poborowych, ale nie mieli litości dla lotników i żołnierzy kontraktowych, którzyzaciągali się na wojnę dla

zarobku.,,Sami zgodzili się zabijać i umierać za pieniądze", powiedział Czeczen.

Zanim Rosjanie przystali na rozmowy z Basajewem, dwukrotnie posyłali wojsko do szturmu na szpital, w którym się zabarykadował. W bezładnej strzelaninie i pożarze zginęło półtorej setki zakładników, większość od rosyjskich kul.

W końcu Rosjanie zgodzili się rozmawiać. Najpierw za uwolnienie zakładników zaoferowano Basajewowi samolot i tyle pieniędzy, ile zażąda. Basajew odmówił. Charakterystyczne zresztą, że kaukascy terroryści nie domagają się nigdy pieniędzy, wypuszczenia więzionych krewnych czy przyjaciół, samolotów, zgody na wyjazd za granicę. Niezmiennie żądają natomiast przerwania wojny w Czeczenii, wycofania rosyjskich wojsk z Kaukazu, podpisania pokojowej ugody między Rosją i Czeczenią.

Po fiasku pomysłu z okupem do gabinetu ordynatora szpitala w Budionnowsku – tam właśnie rozłożył Szamil swój sztab i kwaterę – zadzwonił z Moskwy sam premier Wiktor Czernomyrdin (prezydent Borys Jelcyn bawił w tym czasie w Kanadzie).

Basajew zaczął licytację od żądania, by w całej Rosji przeprowadzić plebiscyt w sprawie statusu Czeczenii. „Wykluczone – odparł Czernomyrdin. – Dziś żąda pan plebiscytu w Rosji, jutro zacznie pan stawiać warunki całej Europie”. Wreszcie, po wielogodzinnych targach i próbach wyprowadzenia w pole przeciwnika, rosyjski premier, rozmawiając z Basajewem przed kamerami telewizji, wydał wojsku rozkaz przerwania działań zbrojnych i obiecał rozpocząć z Czeczenami rozmowy pokojowe.

,,Proszę wypuścić kobiety, chorych i dzieci – mówił premier, a jego rodacy w Rosji zachodzili w głowę, jak Czeczenom udało się tak łatwo zapuścić w głąb rosyjskiego terytorium i dlaczego Czernomyrdin rozmawia z czeczeńskim opryszkiem, hersztem200terrorystów, a Jelcyn nie potrafił się zdobyć na spotkanie z cze-czenskim prezydentem. Może gdyby doszło do tego spotkania, dałoby się uniknąć i wojny, i dramatu w Budionnowsku. – Teraz, kiedy oglądają nas i słuchają miliony ludzi, oficjalnie wydaję rozkaz wstrzymania działań bojowych w Czeczenii

i rozpoczęcia pokojowych negocjacji".

Basajew przystał na ugodę. Część zakładników uwolnił już w Budionnowsku, pozostałych – w górskim Zandaku, dokąd zabrał ich (a także grupę rosyjskich dziennikarzy i ośmiu posłów, którzy zgłosili się na ochotnika, by zastąpić zakładników) jako żywe tarcze, jako list żelazny.

Był wśród nich rosyjski działacz praw człowieka i stary antykomunistyczny dysydent Siergiej Kowaliow. Później tak wspominał wędrówkę z Basajewem z Budionnowska na Kaukaz:,,A ja pamiętam, że kiedy z zakładnikami i wojownikami Basajewa jechaliśmy autobusami z Budionnowska, na wszystkich drogach Kaukazu – również w Dagestanie, nie mówiąc już o Czeczenii – entuzjastycznie witały nas tłumy. Basajewa, który wziął dwa tysiące bezbronnych zakładników, zabił wielu cywilów na ulicach miasta i rozstrzelał siedmiu jeńców w szpitalu… tego Basajewa witano jak bohatera narodowego".

Szamil dopiął swego, odwrócił losy wojny (choć wymuszone przez niego rozmowy pokojowe zostały zerwane pół roku później), stał się najprawdziwszym bohaterem, spełnił się jego sen. Teraz znany był już nie tylko w Czeczenii, nie tylko na Kaukazie. Mówił o nim cały świat.

Zajazd na Budionnowsk utwierdził Czeczenów i samego Szamila w przekonaniu, że cel uświęca środki. Przecież to nie naciski zagranicznych rządów ani opamiętanie rosyjskich elit doprowadziły do tego, że wojna została powstrzymana. Dokonał tego Szamil, który uciekając się do terroru, najskrajniejszej z form zadawania przemocy, wymusił pokój.

Po wyprawie wojennej na Budionnowsk – przechwalał się zresztą, że zamierzał dotrzeć aż do Moskwy, ale pazerność rosyjskich policjantów i wojskowych spowodowała, że pieniądze na łapówki skończyły się jeszcze na stepach Kraju Stawropolskiego i musiał zajmować pierwsze lepsze miasto – nikt już nie mógł się z nim równać. Nawet inni komendanci, zazdrośni o sławę i nieskorzy do pochwał, nie szczędzili słów uznania i podziwu, starając się nie zauważać zachwytu, z jakim o Basajewie wypowiadali się ich partyzanci.

Szamil stawał się żywą legendą.

W Czeczenii ni stąd, ni zowąd pojawiły się na przykład pogłoski, że

pod rosyjskimi bombami zginęła cała rodzina Basajewa (w rzeczywistości na czas wojny Basajew wywiózł rodzinę do Abchazji i Azerbejdżanu) i że zajazd na Budionnowsk był porywem doprowadzonego do szaleństwa dżygita, który szukał śmierci, chcąc zemścić się na wrogach.

Partyzanci z oddziału Basajewa nie mogli się go nachwalić jako dowódcy surowego (w swoim obozie nie tolerował szabrowników, narkomanów, okrutników, zdarzało się, że winnych przestępstw i nieposłuszeństwa osobiście rozstrzeliwał na miejscu), ale sprawiedliwego, nieustraszonego i rozważnego, takiego, który dla własnej sławy nie będzie szafował życiem własnych wojowników.

Minimalne straty, jakie ponosił oddział Basajewa, sprawiały, że nigdy nie brakowało mu rekrutów. Rodziny partyzantów sławiły go jako dobrodzieja, niemal półboga, wyprawiając bowiem synów do partyzantki, ojcowie i matki żegnali się z nimi na zawsze, nie spodziewali się ich więcej zobaczyć. A oto za sprawą Szamila wracali wskrzeszeni po każdej, nawet najzuchwalszej akcji. Rodzinom poległych, nie było ich zresztą wielu, Basajew płacił odszkodowania, tych zaś, którzy zostali ranni, za własne pieniądze wysyłał na leczenie do czarnomorskich kurortów w abchaskich Suchumi czy Picundzie.

Szamil Drugi – zaczęto mówić o Basajewie w Czeczenii i na całym Kaukazie, przyrównywać do dziewiętnastowiecznego imama buntownika.

O Maschadowie nie śpiewano pieśni i nie stawiano go obok największych kaukaskich bohaterów. Ale po śmierci Dudajewa, rozerwanego na kawałki rosyjską rakietą, było naturalne, że to właśnie on stanie na czele państwa.

Wszyscy go szanowali i podziwiali. Ale nie kochali. Jemu dostał się szacunek, miłość zaś przypadła młodemu desperatowi Szamilowi, który ze straceńczą odwagą wciągał swoich mudżahedinów w najzuchwalsze awantury. I zawsze wychodził z nich cało.

Maschadow uważał zajazd na Budionnowsk za czyste szaleństwo, wyrok śmierci na najlepszych żołnierzy, bo tylko takich wzięto do akcji. Sprzeciwiał się, ale nie był w stanie Szamila powstrzymać. Myślał

o konsekwencjach. Szamil natomiast nie zawracał sobie tym głowy. I to on został bohaterem.

Maschadowowi zostało już tylko podpisać z Rosjanami wymuszony na nich rozejm i przełknąć gorzki wstyd, na jaki naraził go dżygit. Musiał uznać za zbrodnię i potępić zajazd Szamila na Budionnowsk, a także obiecać Rosjanom, że sam dopilnuje, by Basajew został pojmany i wydany rosyjskim śledczym (ci zaś ponownie rozesłali za nim po świecie listy gończe). Wiele kosztowało go zapewne, żeby nie dać poznać po sobie upokorzenia i złości. Tym bardziej że Szamil, który miał zaszyć się w górach, zapaść bez śladu, ani myślał zrezygnować z rozkoszy pławienia się w sławie. Spotykał się w lasach z dziennikarzami, rozsyłał przez umyślnych orędzia, ba, dyktował warunki ugody z Rosjanami.

– Włos mi z głowy nie spadnie. Chciałbym zobaczyć takiego, co spróbuje mnie wydać! – szydził. – A osobiście strzelę w łeb temu, kto zawrze pokój z Rosją, wyrzekając się wolności Czeczenii. Nikt nie ma takiego prawa.

Maschadow przewodniczył niemal wszystkim czeczeńskim delegacjom na rokowania z Rosjanami w sprawie pokoju. Podpisał niemal wszystkie rosyjsko-czeczeńskie porozumienia.

Włącznie z tym najważniejszym, o przerwaniu wojny. Rosyjscy generałowie nie mogli się go nachwalić.,,Choć to nasz wróg, można z nim pogadać", mawiali.

Spotykał się z nimi przy każdej sposobności, jawnie i po kryjomu. Najczęściej w Starych Atagach, w parterowej chałupie z czerwonej cegły, należącej do Rizwana Łarsanowa, człowieka majętnego, wpływowego i ustosunkowanego. Z racji tych właśnie zalet od pierwszego dnia wojny Rosjanie i Czeczeni obarczyli go niewdzięczną rolą pośrednika i posłańca między ich wrogimi obozami. Spotkania Maschadowa z rosyjskimi generałami trzymano czasem w tak wielkiej tajemnicy, że nie uprzedzano nawet samego Rizwana, który odchodził od zmysłów, gdy nagle na jego podwórzu pojawiali się przywódcy powstańców albo połowa dowództwa rosyjskiej armii kaukaskiej, wprawiając w osłupienie gospodarza i sąsiadów.

A kiedyś, gdy rozmowy przeciągnęły się do późnej nocy, Rizwan swoją ładą niwą sam odwoził rosyjskiego generała Lebiedzia do Groznego. Generalską wizytę należało utrzymać w bezwzględnej tajemnicy, by nikt, ani w Moskwie, ani w górach, nie storpedował niemal dobitego targu. Choć jechał z wyłączonymi reflektorami, by nie zwracać uwagi żołnierzy z pobliskiego posterunku, ci jednak usłyszeli warkot silnika, a nieoświetlony samochód tylko utwierdził ich w podejrzeniach. Poleciały karabinowe serie. Rizwan zjechał do rowu, wyskoczył na drogę, krzycząc wniebogłosy:

– Nie strzelać! Nie strzelać! To ja, Rizwan!

Wszyscy go tu znali, i miejscowi, i Rosjanie. Strzelanina umilkła.

– Rizwan? Życie ci niemiłe? Też sobie porę na przejażdżki znalazłeś!

– Lebiedzia wiozę – odkrzyknął Rizwan, zapominając, że żołnierze nie mają pojęcia o sekretnej misji generała, którego nazwisko znaczyło po rosyjsku „łabędź".

– Rizwan! Tyś chyba do końca rozum stracił! – zawołał po chwili milczenia żołnierz. – Wojna dookoła, godzina policyjna, a ten nocą, bez świateł, łabędzia samochodem wozi.

Dnia, gdy Maschadow i rosyjski generał Lebiedź mieli podpisać w chałupie Rizwana układ pokojowy, Czeczen też omal nie przypłacił życiem. Najpierw musiał długie godziny podejmować Rosjanina rozmową i grać z nim w szachy, bo okropnie spóźniali się podejrzliwi Czeczeni, którzy nie przyjęli zaproszenia na pokład rosyjskiego śmigłowca. Kiedy w końcu dotarł Maschadow, Lebiedź tak rozsmakował się w partii szachów, że ani myślał przerywać. Przywitał się tylko z Czeczenem i wrócił do gry. Maschadow, bez słowa, jakby przyjechał jedynie na proszony obiad, obmył ręce i rozsiadł się za stołem. Ugodę podpisano dopiero nad ranem, po nocy, podczas której Rizwan, przerażony śmiertelnie widmem fiaska rokowań, nie zmrużył na chwilę oka.

Maschadow był przekonany, że trzeba za wszelką cenę przerwać wojnę. Szamil nie uważał, by wojna była najgorszym wyjściem. Nie chciał z Rosjanami rozmawiać, sądził, że ugoda trąciła zdradą. Zamiast dogadywać się z Rosją – powiadał – trzeba co prędzej uderzyć, zadać jej

straszliwy ból, przerazić okrucieństwem zemsty.

Dżochar Dudajew, jakby przeczuwając zbliżającą się nieuchronnie śmierć, cały nią pochłonięty, wojną zajmował się coraz mniej. Zdał się na Maschadowa i dżygitów, pozostawiając sobie rolę symbolu, sztandaru. Kiedy zginął, spodziewano się, że wśród powstańców natychmiast dojdzie do bratobójczej wojny między Maschadowem i Basajewem o schedę po Dżocharze.

Czeczeni jednak nie tylko uniknęli waśni, ale odbili z rąk Rosjan swoją stolicę, korzystając z tego, że nazbyt pewni siebie generałowie wyprowadzili niemal cały stołeczny garnizon, by ścigać partyzantów w górach. Operację odbicia miasta zaplanował Maschadow – a któż by inny? – zaś jej wykonawcą został Szamil Basajew. Brawurowy szturm uwieńczył dżygicką sławę Basajewa. Błyskawiczny atak kompletnie zaskoczył Rosjan i uświadomił gospodarzom Kremla, że nie wygrają tej wojny, że trzeba ją przerwać, a do następnej przygotować się znacznie lepiej.

Wojna przeszła do historii jako jedna z najsromotniejszych klęsk imperialnych armii. Maschadow, jej faktyczny zwycięzca, stanął na czele tymczasowego rządu powstańczego, który miał sprawować władzę w Czeczenii do wyborów nowego prezydenta.

Już wtedy mówiono, że na czas pokoju Maschadow byłby najlepszym przywódcą. Był bardzo spokojny, nigdy się nie denerwował, nie dawał się wyprowadzić z równowagi, zgodny, jednocześnie zaś zdecydowany, sprawiedliwy, uczciwy. Przeciw wyborowi Maschadowa nie protestowała też Rosja. Wprost przeciwnie, na Kremlu uznano, że z byłym pułkownikiem rosyjskiej armii, wychowanym w duchu posłuszeństwa, podziwu i lęku przed Rosją, łatwiej będzie rozmawiać, a kto wie, może nawet wyperswadować mu mrzonki o wolności.

Po wojnie Basajew postanowił odwiedzić Moskwę, której nie widział długich pięć lat i w której ścigany był już dwoma listami gończymi. Chełpliwie opowiadał potem, jak to przechadzał się moskiewskimi alejami, przez nikogo niezaczepiany, nielegitymowany. Mimo że się nie przebierał, że nie zgolił nawet brody.,, A dawniej – wspominał – byle posterunkowy na widok mojej kaukaskiej gęby zaraz kazał pokazywać

papiery i opróżniać kieszenie".

Zdobyty na wojnie rozgłos zawrócił mu mocno w głowie. Uznał, że jemu i tylko jemu należy się sława zwycięzcy kaukaskiej wojny. Bez wahania postanowił kandydować w prezydenckich wyborach. Nie miał wątpliwości, że wygra.

Maschadow długo się wahał, zanim stanął do elekcji. Uczynił to zresztą nie z żądzy władzy ani irytującego u polityków przekonania, że właśnie oni wiedzą, jak naprawić świat. Prezydentem zdecydował się zostać z poczucia obowiązku.

– Wcale nie zgłosiłbym się do wyborów, gdyby nie to, że aż za dobrze znałem wszystkich tych, którym zachciało się prezydentury – przyznał podczas naszej ostatniej rozmowy.

W jego prywatnym, staromodnym kodeksie honorowym prezydentura, królestwo, rząd dusz należały do wybrańców. Rządy ludu, oddające władzę każdemu, kto jej zapragnie, byle zdobył poparcie większości, zdawały mu się straszną profanacją wysokiego urzędu. Z tuzina pretendentów do czeczeńskiej prezydentury każdy jawił mu się jako niedouczony parweniusz, zadufany w sobie uzurpator, którego rządy muszą zakończyć się hańbą i katastrofą. On sam może i nie znał się na polityce ani na rządzeniu, ale wiedział, że przynajmniej nie przyniesie wstydu. A Bóg jeden wie, do jakich skandali mogłoby dojść za prezydentury dzikiego watażki Basajewa czy niewydarzonego poety Jandarbijewa, który na stare lata odkrył w sobie boże powołanie i zamarzył, by nazywano go imamem? Maschadow uznał więc, że jedynym ratunkiem będzie wystawienie własnej kandydatury.

Jego ostatnie obawy i wątpliwości rozproszyli sami Rosjanie, głosząc wszem i wobec, że nie usiądą przy jednym stole z Basajewem, którego uważali za zwykłego rozbójnika, za to zaproszą na Kreml Maschadowa, nazywanego przez nich nadzieją Czeczenii, pragmatycznym, umiarkowanym, rozumnym kaukaskim Ataturkiem, zapatrzonym w świecką Europę, a nie muzułmański Orient, mostem nad wzburzoną wodą, na którym spotkają się i pogodzą zaprzysięgli wrogowie. Kiedy wygrał wybory, radośnie obwieścili, że to dla Rosji znakomita wiadomość. Znaleźli się nawet tacy, co twierdzili, że Maschadow byłby

doskonałym ministrem wojny w rosyjskim rządzie, i żałowali, że już pewnie nie zgodzi się przyjąć tej posady.

W wyborach zdobył trzy czwarte głosów, bijąc na głowę wszystkich rywali. Wygrał, choć nie jeździł po kraju, by przypodobać się rodakom. Wiecowe mizdrzenie się, licytowanie w pustych obietnicach wydawały mu się poniżej jego oficerskiej godności. Kiedy nie czekając na ogłoszenie zwycięstwa, dziennikarze wypytywali go, kogo powoła do rządu i co zamierza robić, Maschadow był wyraźnie onieśmielony, ale nie krył też zadowolenia, gdy dziennikarze zwracali się do niego,,panie prezydencie".

Szamil, upojony sławą pogromcy Rosji, pewny siebie i ufny w swoją szczęśliwą gwiazdę, przegrał wybory z kretesem. Głosy oddała na niego tylko jedna czwarta wyborców. Strudzonym Czeczenom Szamil kojarzył się z wojną. Wybrali więc Maschadowa, który dawał nadzieję na pokój.

Szamil długo nie mógł uwierzyć, że przegrał. W dodatku klęskę w wyborach do parlamentu poniósł też jego brat, którego w rodzinnym Wiedeno pokonał jakiś miejscowy nauczyciel. A jakby goryczy było nie dość, na przewodniczącego parlamentu wybrano faworyta Maschadowa, nie zaś popieranego przez Szamila jego towarzysza broni, Wielkiego Asłanbeka, kompana z wyprawy na Budionnowsk. Kiedy na uroczystym zaprzysiężeniu Maschadowa zapytano Basajewa, co myśli o wyniku wyborów i jak widzi przyszłość kraju i własną, potrafił tylko westchnąć ciężko:,,*Allah akbar!*– Bóg jest wielki!"

Nie był przygotowany na rozczarowania, jakie miał mu przynieść czas pokoju. Bolała go przegrana z Maschadowem, winił prezydenta za odebranie mu aureoli kaukaskiego bohatera, nie wiedział, co zrobić z upokorzeniem i wstydem. Zaczął się zachowywać jak rozkapryszone dziecko, które przyzwyczajone do tego, że spełnia się wszystkie jego zachcianki, gniewa się i tupie, gdy je spotka pierwsza odmowa,.

Ostentacyjnie wyjechał ze stolicy do Wiedeno, zapowiedział pożegnanie z polityką. Opowiadał, że założy pasiekę albo zajmie się wydobyciem ropy naftowej, będzie zaocznie studiował prawo albo handlował komputerami i zakładał w kaukaskich aułach internet, a może, wraz z towarzyszami broni, otworzyfirmę ochroniarską.

Ale nie wytrwał długo w cieniu, przeraził się zapomnienia – wrócił do wielkiej polityki, gdy wyrachowany strateg Maschadow, szukając sojuszników i neutralizując wrogów, powierzył mu posadę wicepremiera i swojego faktycznego zastępcy.

Odnosiło się zresztą wrażenie, że gdyby tylko mógł, gdyby nastarczył stanowisk, Maschadow wziąłby do rządu wszystkich, wszystkich porobił ministrami, dyrektorami, prezesami, generałami. Chciał wszystkich zadowolić, każdemu coś dać, żeby wszystkich mieć po swojej stronie. Jakby bał się mieć wrogów. Najpierw zaproponował posady rządowe Basajewowi i Udugowowi, rywalom w wyborach prezydenckich. Dodawał te głosy, które sam zebrał, do oddanych na Basajewa i Udugowa, i wychodziło mu, że na dziesięciu Czeczenów ośmiu, dziewięciu powinno popierać jego rząd.

Żeby zapewnić sobie przychylność dzikich górali wciąż opłakujących Dudajewa, Maschadow wybrał ich ziomka na wiceprezydenta. Szybko zorientował się, że w ten sposób naraża się Basajewowi, który nienawidził wiceprezydenta, powierzył mu więc posadę wicepremiera. Potem, za jednym zamachem, obdarował urzędami niemal wszystkich swoich rywali w prezydenckiej elekcji. Udugow został ministrem dyplomacji, Zakajew – ministrem kultury, Gełajew – ministrem wojny. W ten sposób w czeczeńskim rządzie znaleźli się niemal wszyscy, przyjaciele i wrogowie, bohaterowie i zdrajcy, uczeni notable i parweniusze.

Podejrzewano, że jako prezydent Maschadow otoczy się raczej dawnymi urzędnikami, z którymi łączyły go i wychowanie, i wykształcenie, i życiorys. Z pewnością więcej miał z nimi wspólnego niż z młodymi komendantami partyzanckimi, z którymi los zetknął go tylko przypadkiem. W dodatku teraz, gdy miał odbudowywać kraj z wojennych zniszczeń, bardziej potrzebował ludzi ze starego reżimu, inżynierów i urzędników,niż dzielnych, ale niedouczonych partyzantów. A jednak to im Maschadow oddał pierwszeństwo przy obsadzaniu stanowisk rządowych. I wcale nie dlatego, żeby ich rokoszu bał się najbardziej.

Komunistów i kolaborantów brał do rządu tylko wtedy, gdy już

naprawdę musiał. Mówił, że może i mają kwalifikacje do rządzenia, ale nie mają do tego z pewnością moralnego prawa. Nie ukrywał wcale, że posady ministrów należą się komendantom nie za ich umiejętności, ale za wojenne zasługi. Wierzył chyba, że w czasie pokoju potrafi dowodzić tak samo jak w czasie wojny.

Przyszło mu rządzić krajem, który wojna zniszczyła doszczętnie, i ludźmi, których zdeprawowała. Krajem, gdzie wolność liczyła się zawsze bardziej niż niepodległość, wolność – rozumiana jako niczym nieskrępowane prawo czynienia zarówno dobra, jak i zła, a nawet określania tego, co jest dobrem, a co złem. Przyszło mu rządzić ludźmi, dla których śmierć wydaje się błahostką w porównaniu z utratą czci, wszelkie zaś konstytucje, przepisy, regulaminy, prawa, nawet Koran ustępują pierwszeństwa odwiecznemu kodeksowi honorowemu.

Przyszło mu rządzić krajem, z którego co prawda wycofała się najeźdźcza armia, ale w każdym aule zostawiła po dziesięciu szpicli i dywersantów – mieli oni sprawić, że Czeczenia nigdy nie wygrzebie się z bagna bandytyzmu, warcholstwa i biedy. Krajem, gdzie ludzie powtarzają: tobie ufam, ale nie ufam za grosz temu, któremu ufasz ty.

Nie wiadomo było, za co się zabrać najpierw. Wszystko wydawało się pilne i niecierpiące zwłoki. Co najpierw odbudowywać: domy, szkoły czy rafinerię? Układać się z Rosjanami czy rozbrajać dżygitów, którzy tak przyzwyczaili się do karabinów, że nijak nie mogli się z nimi rozstać? A było ich ze sto tysięcy i nic innego poza strzelaniem nie potrafili albo po prostu niechcieli umieć. Zjednywać wciąż wrogów, czy zacząć ich w końcu zwalczać? Na nic nie starczało czasu ani energii. Wszystko wymykało się z rąk.

Na nic nie starczało też pieniędzy. W zniszczonym wojną kraju państwowy skarbiec świecił pustkami. Ruble, wydzielane w czasie wojny ustanowionym przez Kreml zarządcom, zostały przez nich doszczętnie rozkradzione. Kiedy podczas oficjalnej wizyty w Moskwie, gdzie podpisał pokój z rosyjskim prezydentem, Maschadow zagadnął go o pieniądze, które, jak podawano w telewizji, wciąż płynęły szeroką rzeką na powojenną odbudowę Czeczenii, Jelcyn rozłożył ręce i odparł bezradnie: „Diabli wiedzą, gdzie się podziały. Ale sprawdzę”.

Maschadow mógł tylko udawać, że bierze obietnice za dobrą monetę. Za wszelką cenę starał się unikać jakichkolwiek konfliktów, a nawet zadrażnień z Rosją. W Czeczenii działali rosyjscy szpiedzy i prowokatorzy – Maschadow wolał udawać, że nic nie widzi. Zrezygnował z oficjalnej podróży po Europie, bo się obawiał, że Moskwa może się poczuć dotknięta. Chyba naprawdę wierzył, że wystarczy lojalnie wypełnić powzięte zobowiązania, by również Kreml dotrzymał słowa. Cóż zresztą pozostawało mu poza wiarą?

Rosja zaś szybko o nim zapomniała. Łatwo rozstała się z płonną nadzieją, że Maschadow sam w imieniu Czeczenów wyrzeknie się niepodległości, że choćby z miłości do munduru i czerwonych gwiazdek na pagonach przybędzie na Kreml, by złożyć pokutny hołd. Kiedy stało się jasne, że Maschadow we włosiennicy nie pojawi się pod kremlowskimi murami, rosyjskie władze odłożyły sprawę Czeczenii do pancernej szafy. Nikt nie miał ani serca, ani głowy zajmować się Kaukazem, gdy było tyle spraw ważniejszych i pilniejszych – jak zaradzić kryzysowi gospodarczemu, jak się oprzeć rosnącej potędze Ameryki, wybierającej Rosji, jak ryby z saku, jedna po drugiej jej dawne kolonie i protektoraty, co począć z zapijającym się gorzałką prezydentem i jak znaleźć mu dziedzica tronu? Kto by tam zaprzątał sobie głowę Czeczenią!

Nie wiedząc, co począć z Czeczenią, Kreml uznał, że wystarczy jej przeszkadzać, by szarpiąc się sama ze sobą, nie uciekła za daleko, była pod ręką, kiedy Rosja wpadnie na jakiś pomysł, znajdzie czas i energię na ponowne zajęcie się Kaukazem.

Na pomoc Ameryki i Europy Czeczenia nie miała co liczyć. Zbyt droga była im przyjaźń z Rosją, by ją wystawiać na szwank z powodu kaukaskich górali, zresztą sympatia i współczucie dla Czeczenów malały z każdym kolejnym porwanym dla okupu cudzoziemcem. Sąsiedzką pomoc zaoferował Azerbejdżan, ale Moskwa ukarała go gospodarczą blokadą. Rękę chcieli podać Gruzini, lecz rosyjski minister policji ostrzegł: „Uważajcie, będziecie mieli z tego same kłopoty, uwierzcie mi”.

Tylko raz rosyjskie władze zaproponowały Maschadowowi pomoc.,,

Jeśli potrzebujesz, podeślemy ci trochę broni", zadzwoniono z Kremla, gdy w Czeczenii nabrzmiewał bratobójczy konflikt, a wrogowie Maschadowa szykowali się do zbrojnego przewrotu. Maschadow już prawie się zgodził, ale jego szpiedzy przybyli z wieścią, że taką samą ofertę pomocy w karabinach i moździerzach Rosjanie złożyli jego przeciwnikom. Chcieli, by Czeczeni powyrzynali się nawzajem, i z radością podsuwali im kindżały.

Szpiedzy Maschadowa donieśli mu, że Rosjanie podburzają przeciw niemu muzułmańskich rewolucjonistów. „Przelewaliście krew nie tylko za wolność, ale i za wiarę – rozpowiadali po wsiach rosyjscy prowokatorzy – a teraz ten Maschadow nie chce wam pozwolić żyć według Bożych praw”. Rosyjski minister policji pojechał do doliny Kadaru w Dagestanie, która ogłosiła się niepodległym kalifatem, i spotkał się z buntownikami, przyjął od nich podarki. Po powrocie opowiedział o wszystkim Jelcynowi, ten zaś w telewizji ogłosił: „Zuchy! Niech tam sobie żyją,jak chcą, nawet według tego tam szarijatu". „Widzicie – rosyjscy agenci dalej mnożyli wątpliwości i podejrzenia – nawet ten Jelcyn, wódkę pije, a przeciw islamowi nic nie ma. Za to Maschadow nie chce ogłosić Czeczenii kalifatem wiernych”. Kiedy Jelcyn wyrzucił premiera Stiepaszyna, ten, ze złości – bo liczył, że to on zostanie namaszczony na następnego prezydenta, czy z zazdrości – bo przegrał z obwołanym wojennym bohaterem Putinem, powiedział, że decyzję o wprowadzeniu wojsk do Czeczenii podjęto pół roku przed tym, jak Basajew z dżygitami najechali na Dagestan.

Radosne, beztroskie uniesienie po zwycięskiej wojnie ustępowało miejsca coraz boleśniejszemu i gorzkiemu rozczarowaniu. Maschadowowi nic się nie udawało, wszystko szło nie tak, za niczym nie mógł nadążyć. Posyłał ludzi, by szukali porywaczy zakładników, a ktoś w tym czasie włamywał się do banku. Ścigał złodziei, a kogoś zabijano w mieście. Nie do wiary, ale ograbiono nawet jego własny prezydencki gabinet. Rabusie skradli komputer.

Kiedy był łagodny, domagano się od niego surowości. Gdy był surowy, zarzucano mu tyranię. Kiedy prosił, ostrzegał, zaklinał, śmiano mu się w twarz, że słaby, bezsilny. Gdy straszył, wygrażał pięścią, podnosił się

płacz, że jest dyktatorem. Zabójcy, rabusie i handlarze niewolników, pewni bezkarności, mając za nic już nie tylko kodeksy karne, ale także Koran i odwieczny obowiązek rodowej zemsty, przechadzali się alejami zburzonego miasta. Domagano się, żeby zrobił w kraju porządek, ale rodacy nigdy by mu nie przebaczyli ani nie zapomnieli, gdyby sięgnął po przemoc. Nie mógł nawet nikogo aresztować. Nikt nie poddałby mu się po dobroci, nie obeszłoby się bez użycia siły, a gdyby wreszcie udało się wtrącić złoczyńcę do lochu, jego krewni by nie spoczęli, dopóki uwięziony nie odzyskałby wolności.

Przyzwyczajony do wojskowego drylu Maschadow z coraz większym trudem opanowywał wściekłość, gdy podwładni kwestionowali jego decyzje albo wręcz odmawiali ich wykonania. Wychowany w świecie komend, regulaminów i rozkazów, fatalnie znosił krytykę, szczególnie ze strony tych, nad których się wywyższał.

A nagle zaczęto go krytykować niemal za wszystko.

Cokolwiek robił, wywoływało protesty i oburzenie. Niegdyś podziwiano, że przed podjęciem każdej decyzji długo się zastanawia, zachodzi w głowę, bije się z myślami, waży konsekwencje. Wtedy mówiono, że jest przezorny, teraz – że niezdecydowany, że się guzdrze, nie ma żadnych pomysłów, żadnej wizji. Jeśli próbował układać się z Rosją, dawni komendanci partyzanccy oskarżali go o zdradę wielkiej sprawy. Gdy zrywał rozmowy, Kreml nazywał go zwykłym leśnym watażką. Kiedy na żądanie muzułmańskich duchownych i wojowników ogłosił, że w Czeczenii najwyższym prawem będzie Koran, jego rodacy oburzyli się, twierdząc, że nie są jeszcze gotowi żyć po bożemu. A gdy usiłował złagodzić koraniczne reguły, przeklinali go wszyscy. Dawni towarzysze z partyzantki, którzy kiedyś z dumą mówili o nim: rosyjski pułkownik, teraz mieli dla niego jedynie pogardę. „Przecież to tylko rosyjski pułkownik, w dodatku sztabowy, taki, co to wojuje, ale tylko na mapach – mówili – czego więcej można się po takim spodziewać?”

Coraz częściej wybuchały rokosze, a także bomby podkładane przez jego wrogów wzdłuż ulic, którymi zmierzał codziennie do prezydenckiego pałacu. Uszedł z życiem z tuzina zamachów. Kiedyś musiał wyskoczyć z płonącego auta. Innym razem bombę podłożono na

cmentarzu. Miał zginąć na pogrzebie.

Stawał się malowanym królem, bez władzy, którą skradli mu rozmaici watażkowie, rozdzierając kraj na kawałki. Mieli pieniądze, by zdobyć broń, i broń, by sięgnąć po pieniądze. Podczas wojny słuchali jego rozkazów jako podkomendni. Teraz podporządkowywali się jego władzy tylko wtedy, gdy było im towygodne. To walczyli między sobą, to się godzili, zawierali sojusze. Raz stawali po jego stronie, innym razem występowali przeciw niemu, gotowi odebrać mu władzę.

To także z ich powodu, z obawy przed nimi, Maschadow wziął do rządu Basajewa, a nawet mianował go swoim zastępcą, gdy sam wyruszył na pielgrzymkę do Mekki. I trzeba przyznać, że w roli zarządcy czeczeńskiego państewka Szamil nie wypadł najgorzej. Przynajmniej się starał.

Razem z towarzyszami broni, których mianował teraz ministrami, Basajew próbował postawić na nogi gospodarkę, ukrócić bandytyzm i handel żywym towarem, co jak zaraza panoszył się na Kaukazie (porywaniem ludzi dla okupu on sam nigdy się nie zajmował). Naprawdę traktował swoją funkcję poważnie, premierostwo i polityka wciągnęły go jak narkotyk. Zapragnął teraz sławy dobrego i mądrego kanclerza. Nie potrafił tylko pogodzić się z tym, że Rosja całkowicie ignoruje i jego, i prezydenta.

„Rozumiem, mnie nienawidzą, uważają za złoczyńcę, ale co mają do Maschadowa? – pieklił się, gdy zostawał tylko z najbliższymi przyjaciółmi i nie musiał dłużej kryć rozterek ani emocji. – Przecież póki jesteśmy we dwóch, nikt nam tu nie podskoczy. Wszystko może się udać. Wystarczy tylko pomóc”.

Złościł się, że Rosjanie chcą go traktować wyłącznie jak szalonego watażkę, podczas gdy on w swojej wędrówce dusz przebywał już w innym wcieleniu. W końcu zrozumiał, że, odmieniony, Rosji wcale nie był potrzebny. Przeciwnie, Rosjanie chcieli go takiego jak dawniej. Podobnie jak nie potrzebowali wcale Czeczenii dobrze rządzonej, spokojnej, bezpiecznej. To dlatego ignorowali Maschadowa i wcale nie życzyli mu powodzenia. Szamil uznał więc, że dalsze premierostwo jest zwyczajną stratą czasu, że z grzęzawiska nędzy, bezprawia i przemocy

nie ma żadnego wyjścia. Zniechęcony, złożył urząd premiera.,,Przyjmiesz moją dymisję czy nie, już mnie to nie obchodzi – napisał do Maschadowa. – Odchodzę i nic mnie tu nie zatrzyma".

Urząd premiera, który zaczął mu dawać tyle satysfakcji, okazał się kolejnym gorzkim doświadczeniem. Zwycięska, bohaterska Czeczenia przekształcała się w kłótliwy bazar. Bezsilny i rozczarowany Szamil mógł się tylko przyglądać, jak kraj stacza się w przepaść, a dawni wojenni bohaterowie intrygują przeciw sobie, biorą łapówki i obrastają w tłuszcz, jak zaciera się pamięć o wojennym bohaterstwie i bohaterach, a kuchennymi drzwiami wracają stare rodowe porządki. Jak marnotrawi się wielkie zwycięstwo.

Poza wszystkim drugoplanowa rola człowieka od czarnej roboty nigdy nie odpowiadała Szamilowi. Podporządkowywanie się komukolwiek i czemukolwiek było sprzeczne z jego naturą. Ponieważ nie mógł być pierwszy w państwie, postanowił być pierwszy przynajmniej wśród opozycji wobec prezydenta Maschadowa. Objął przywództwo sojuszu warcholskich i rozczarowanych partyzanckich komendantów, którzy jak on nie potrafili odnaleźć się w czasie pokoju. Basajew nadał przymierzu nazwę Kongres Narodów Czeczenii i Dagestanu i zapowiedział, że odtąd jego celem będzie nie tylko uwolnienie Kaukazu od Rosji, ale stworzenie w górach kalifatu kierującego się wyłącznie prawem Bożym. Takiego samego, o jaki przed laty walczył jego wielki imiennik, imam Szamil.

Dziwną zaiste i pokrętną drogę przeszedł Szamil Basajew, zanim z człowieka używającego życia, kochającego przygody i dobrą zabawę stał się wojownikiem świętej wojny, który wiedzie żywot pustelnika i szuka męczeńskiej śmierci, otwierającej bramy raju.

Sam zapewniał, że to wojna przemieniła go z grzesznika w pobożnego muzułmanina. Wrogowie, a tych mu nigdy nie brakowało, nie dawali temu wiary. Ich zdaniem islam i*dżihad*były dla rozkochanego w sobie Szamila jedynym ratunkiem przed niebytem zapomnienia.

Czas powojenny stawał się dla niego coraz trudniejszy do zniesienia. Każdy następny dzień był gorszy od poprzedniego. Bladła pamięć o wojennym bohaterstwie, dowodzenie bezczynnymi partyzantami graniczyło z absurdem, nowej zaś wojny nic nie zapowiadało, nawet

sama myśl o niej była zbrodnią nie do wybaczenia. Codzienność wydawała się tak podła, tak zwyczajna, tak niegodna jego życia, że chciało mu się kąsać i wyć.

Gotów był tkwić w swojej apolitycznej samotni, pod warunkiem jednak, że wciąż pozostawałby na ustach wszystkich, że wciąż powtarzano by jego słowa, zastanawiano się nad jego uczynkami, opowiadano o kolejnych weselach czy odwiedzinach u prezydentów sąsiednich kaukaskich krajów, którym przywoził w prezencie antałki miodu z własnej pasieki.

Ale, pozbawiony wojny i odsunięty od władzy, przestawał się liczyć, nikogo nie ciekawił. Nie miał już wpływów ani znajomości, o niczym nie rozstrzygał, w niczym nie mógł pomóc, do niczego się przydać. Zaczynało mu nawet brakować pieniędzy. Począł więc nerwowo rozglądać się za nowymi przyjaciółmi i możliwościami powrotu na wielką scenę.

To wtedy przystał do muzułmańskich rewolucjonistów, którzy, zachęcani przez przybyłych ze świata ochotników, koczowników świętych wojen z Arabii, Afganistanu i Bałkanów, zamierzali zbudować na Kaukazie państwo Boże.

Bogaci i pełni poświęcenia przybysze, choć walczyli dzielnie, nie byli początkowo przez Czeczenów ani rozumiani, ani lubiani. Ich wiara zdawała się bardzo różnić od tej, którą górale przekazywali sobie przez wieki. Sam Szamil odnosił się do nich nieufnie, nie pojmował ich pogardy i wrogości wobec uciech i radości życia, traktował jak rywali do sławy.

Po wojnie Czeczeni podziękowali Arabom za pomoc, ale poprosili, by czym prędzej wyjechali z Kaukazu. Domagała się tego Rosja, utrzymując, że cudzoziemscy ochotnicy są zgrają terrorystów, niebezpiecznych wywrotowców i banitów, poszukiwanych na całym świecie listami gończymi. To, że udało im się pozostać na Kaukazie, zawdzięczali wyłącznie Basajewowi, który stanął w ich obronie, a przywódcę Arabów, brodatego Chattaba, ogłosił druhem i bratem. Uszczęśliwieni muzułmańscy rewolucjoniści i koczownicy świętych wojen okrzyknęli Szamila swoim emirem. Do nowego sojuszu Szamil wnosił dży-gicką sławę, Chattab zaś zagraniczne koneksje i pieniądze.

Arab okazał się bowiem emisariuszem samego Usamy ibn Ladina, założyciela i księgowego Al-Kaidy, międzynarodówki terrorystycznej, z powodu której i przeciw której na początku dwudziestego pierwszego wieku wydana została trzecia wojna światowa. Chattab zapewniał stały dopływ broni i gotówki na potrzeby świętej wojny. Przyznawał, że poznał Usamę w Afganistanie, że walczył w brygadzie, którą Saudyjczyk dowodził. Nazywał go „dobrym człowiekiem” i podzielał jego pomysł przegnania „niewiernych” ze wszystkich ziem islamu.

Ale nie tylko strach przed zapomnieniem i pieniądze uczyniły z Szamila wojownika świętej wojny. Islam stał się dla niego zarówno głęboką wiarą, jak i polityczną strategią.

Takim jak on czas pokoju odbierał wszystko, co podarowała wojna: cel, sens i nadzieję życia. W kastowym społeczeństwie kaukaskim, skrępowanym tradycją i kodeksami honorowymi, w którym miejsce wyznacza przynależność do rodu, ludzie młodzi i niskiego stanu już w dniu narodzin byli skazani na margines.

Wojna pozwoliła im się wybić. Sprzeciwiali się więc powracającym przedwojennym porządkom, które z każdym dniem brały górę nad rewolucyjną przeszłością. Islam, z nauką głoszącą równość wszystkich wobec Najwyższego i pierwszeństwo braterstwa wiary nad braterstwem krwi, był dla nich wybawieniem i nadzieją na lepszą przyszłość. Woleli żyć w państwie rządzonym prawami Bożymi niż prawami przodków. Tym bardziej, że poddawane przez całe lata zgubnym skutkom wojen i prześladowań, a przede wszystkim zabójczej dla tradycji nowoczesności, stały się one pielęgnowanym rytuałem, bardziej legendą niż powszechnie uznawanym i przestrzeganym kodeksem i sposobem życia.

W islamie, muzułmańskiej rewolucji i prawie Bożym dostrzegł Szamil ratunek nie tylko dla samego siebie, ale także dla pogrążonej w bezprawiu i przemocy, coraz bardziej skłóconej Czeczenii. Uznał, że tylko prawo Boże pozwoli zjednoczyć Czeczenów i tylko z pomocą Koranu można wywołać rewolucję społeczną.

Stał się też orędownikiem eksportu rewolucji do kaukaskich sąsiadów. Zrozumiał, że otoczona skorumpowanymi satrapiami, nawet

najsprawiedliwsza, ale odcięta od świata Czeczenia nigdy nie stanie się państwem prawdziwie wolnym. I że skłócony Kaukaz nigdy nie będzie suwerenny, jeśli się nie zjednoczy. A zjednoczyć się może tylko pod sztandarem Proroka.

No i dał się też uwieść marzeniom, pokusie i obietnicom nowej, w dodatku świętej wojny.

Muzułmański fundamentalizm, wzbudzający tak wielką trwogę i złe skojarzenia w Rosji, Europie i Ameryce, na Kaukazie był odbierany niemal wyłącznie jako zjawisko pozytywne. Oznaczał odnajdywanie tożsamości, powrót do korzeni, odrodzenie, oczyszczenie.

Potrzebę urządzenia kraju według praw Koranu widział już Dżochar Dudajew, który nawet wydał swoim ministrom odpowiednie dyspozycje, a także jego następca, Selim Chan Jandarbijew, który brak siły i charyzmy starał się nadrabiać wojowniczością poglądów.

Pewnego dnia, gdy wracaliśmy z Groznego, Mansur zapytał, czy chciałbym z nim porozmawiać. Chciałem, oczywiście, że chciałem. Nie przyszło mi to jednak do głowy, bo byłem zaprzątnięty myślami o Maschadowie i Basajewie, rozmowami o nich i z nimi. A także o niepokojącym napisie wyrytym w kamieniu przy drodze w Giumry:,,Nie będzie bohaterem ten, kto myśli o konsekwencjach".

Wciąż do nich wracałem, starałem się o jeszcze jedną rozmowę, szukałem nowych, właściwych, docierających do sedna rzeczy pytań, dopatrywałem się ukrytego, być może mistycznego sensu odpowiedzi, które miały rozproszyć wątpliwości. Błąkałem się od poranka do zmierzchu, żyłem w oblężonym, szykującym się na śmierć mieście, usiłując w pośpiechu – żeby nie było za późno – i za wszelką cenę poznać, a także zrozumieć tylko tych dwóch ludzi. Prezydenta i dżygita. Jakby to właśnie oni stanowili najważniejszą zagadkę, zaś jej poznanie pozwoliło uchwycić istotę rzeczy.

Machnąłem ręką na spotkanie z burmistrzem miasta, krewnym Dżochara Dudajewa, nieuważnie rozmawiałem z kilkoma ważnymi, jak zapewniał Mansur, komendantami, których nazwisk nawet nie zanotowałem.

Zrezygnowałem też z rozmowy z Salmanem Raduj ewem,

największym dziwakiem spośród wszystkich komendantów. Przezywano go „wilkołakiem”, „człowiekiem z kulą w głowie” albo „Titanikiem”. To z powodu tytanowych płytek, którymi lekarze połatali jego roztrzaskaną kulami czaszkę. Był zresztą tak wiele razy ranny, przeżył tyle zamachów, z których nie miał prawa ujść z życiem, że blizn, szwów i protez liczył więcej niż zdrowych części ciała. Twarz oszpeciły mu kule i płomienie, stracił oko, nos i ucho, po kolejnych operacjach nawet najbliżsi nie mogli go już rozpoznać i do końca nie mieli pewności, czy to jest rzeczywiście on. Kilkakrotnie zresztą uznawano go za martwego, a pod Urus-Martanem ponoć miał nawet własną mogiłę.

Radujew, chorobliwie zazdroszcząc sławy Basajewowi, twierdził, że regularnie rozmawia przez telefon z nieboszczykiem Dudajewem, zresztą swoim powinowatym, przyznawał się też do wszystkich bez wyjątku zamachów bombowych i porwań w Rosji (powiadał, że jeśli nie może istnieć państwo czeczeńskie, nie będzie też istnieć państwo rosyjskie), do współpracy ze wszystkimi możliwymi wywiadami, z CIA i Mossadem włącznie, straszył bombą atomową, którą, w zależności od nastroju, albo już miał, albo właśnie kupował. W Groznym żartowano, że przyznałby się nawet do zabójstwa Kennedy'ego, gdyby był wtedy na świecie.

Do spotkania z Radujewem zniechęcał mnie zresztą sam Mansur. Twierdził, że Salman nie nadaje się już do niczego, że trapią go ciągłe krwotoki i bóle głowy, że traci zmysły i trzyma się tylko dzięki środkom znieczulającym. Gdy jednak zapytał, czy chcę się zobaczyć z Jandarbijewem, w jego głosie wyczułem, że odmowa byłaby czymś niestosownym, naruszeniem dobrego obyczaju, niedopełnieniem powinności.

Jandarbijew mieszkał w Starych Atagach, typowej czeczeńskiej wsi na przedgórzu, która zdawała się nie mieć początku ani końca. W drodze do Groznego często przejeżdżaliśmy prawie przed jego chałupą. Odkąd przegrał z Maschadowem w wyborach prezydenckich, trzymał się na uboczu, niewielu ciekawił. Nie trzeba było wysyłać umyślnych, by umówić nas na spotkanie.

Wciąż tkwiła w nim gorycz. Uważał, że jego dawni podwładni,

komendanci, zdradzili go, stając do wyborów prezydenckich.

– Nie szło mi wcale o władzę, mnie samemu na niej nie zależało – wspominał, pocierając dłonią ogoloną czaszkę. -Dziwnie to jednak wyszło. Wygrywamy wojnę, ale zmieniamy przywódcę. Jakbyśmy się odwracali od sprawy, dla której walczyliśmy.

Oddając władzę Maschadowowi, niczym w akcie zemsty Jandarbijew ogłosił Czeczenię republiką muzułmańską, żyjącą i rządzącą się wyłącznie prawami Bożymi.

– Prawo zapisane w Koranie jest najdoskonalszym ustrojem państwowym. W najdrobniejszych szczegółach określa wszystkie instytucje, sytuacje, zachowania i role społeczne. Daje odpowiedzi na wszystkie pytania – w charakterystyczny dla siebie sposób przymykał w zamyśleniu lewe oko. – Nasi ludzie czuli się zagubieni po upadku imperium, szukali czegoś pewnego. Bali się eksperymentów, wyborów, demokracji. Po co zresztą mieliśmy sięgać po półśrodki, skoro dysponowaliśmy najlepszym z możliwych rozwiązań?

Jeśli mściwie chciał utrudnić Maschadowowi panowanie, to się przeliczył. Maschadow, daleki od rewolucyjnej gorączki i religijnych uniesień, po głębokim namyśle postanowił sięgnąć po islam. Szukał czegokolwiek, co by mu pozwoliło utrzymać w całości rozpadające się państwo, sztandaru uznawanego przez wszystkich, jednej choćby sprawy, idei, co do której panowałaby absolutna zgoda.

Łatwiej było podejmować najtrudniejsze decyzje, ścigać i wtrącać przestępców do więzień, następować innym na odcisk, powołując się na prawo Boże i tłumacząc nim swoje postępowanie. Chwyciwszy zielony sztandar islamu, Maschadow odebrał go przeciwnikom, młodym komendantom, domagającym się ogłoszenia Czeczenii Królestwem Bożym, o którym nie mieli co prawda bladego pojęcia. Nie wiedzieli, czym faktycznie ma być, ale wiedzieli dokładnie, czym nie jest i być nie może, a mianowicie – ich obecnym życiem. Odrzucenie rzeczywistego stanu rzeczy miało być dla nich pierwszym i koniecznym krokiem ku doskonałości.

Mając nadzieję, że jego niepokorni poddani, którzy nie uznają żadnych praw ludzkich, ugną się przynajmniej przed prawami Koranu,

Maschadow przystąpił do dzieła upodabniania swojego kraju do Bożego Królestwa. Zadanie to powierzył specjalnym trybunałom. Powoływano do nich ludzi biegłych w religijnym prawie i teologii, w ogromnej większości wykształconych w Arabii, młodych, niecierpliwych, którzy widzieli palącą potrzebę rewolucyjnych przemian. Nie spodobało się to rodowej starszyźnie i starym mułłom, odmawiającym młodym, jak nakazywała tradycja, prawa do rozstrzygania o jakichkolwiek sprawach.

Nie zważając na nic, trybunały ogłosiły, że czeczeńskie sądy będą ferować wyroki wyłącznie na podstawie Koranu. Do litery Koranu miały się też dostosować banki, wyrzekając się przede wszystkim prawa do lichwy. Zakazano sprzedaży i picia wódki, uznanej za wynalazek szatański. Kobietom nakazano ubierać się skromnie, najlepiej w luźne szaty kryjące kształty, a włosy przesłaniać chustami. Karą za niestosowny przyodziewek mogło być nawet wyrzucenie z pracy. W przyszłości kobiety miały pracować w oddzielnych pomieszczeniach. Także w szkołach przewidywano powstanie oddzielnych klas dla dziewcząt i chłopców.

Rosyjską cyrylicę zastąpiono łacinką i pismem arabskim, arabskiej mowy nauczano w szkołach. Trybunały zakazały świętowania Nowego Roku i chrześcijańskiego Bożego Narodzenia. Naczelnicy w więzieniach wprowadzili nakaz pięciu modlitw dziennie, a tym skazańcom, co nie chcieli się modlić, grożono odesłaniem do Rosji. Powołano też specjalny urząd wspierania cnoty i walki z występkiem, który dysponując zbrojnymi patrolami, pilnował przestrzegania nowych porządków.

Rewolucyjne trybunały podjęły się nawet pionierskiego dzieła wytępienia powszechnego na Kaukazie obowiązku rodowej zemsty, a przynajmniej zastąpienia jej pochwalaną przez Koran pieniężną rekompensatą. Uczeni mułłowie zobowiązali się wypracować przeliczniki zalecanych przez Koran jako okup wielbłądów na towary bardziej dostępne na Kaukazie. Jeden z sędziów trybunału wyznaczył na przykład sześćdziesiąt trzy wielbłądy jako wysokość odszkodowania, które miał zapłacić pewien Czeczen rodzinie potrąconego samochodem chłopca.

Gdy skazany wniósł skargę, zamienił grzywnę w wielbłądach na krowy

według przelicznika: jeden wielbłąd równa się dwóm krowom.

Rewolucyjne trybunały nie żałowały surowych kar, by wskazać góralom dobrą drogę. Pijaństwo karano chłostą, cudzołóstwo kamienowaniem, morderców skazywano na śmierć, a prawo wykonania wyroku miały rodziny ofiar. Egzekucje przeprowadzano publicznie i pokazywano w telewizji. Ku przestrodze. Gdy wybuchł skandal, zostały zabronione. W Groz-nym, na placu Przyjaźni Narodów, rozstrzelano kobietę i mężczyznę za zabójstwo. Druga kobieta, pomysłodawczyni zbrodni, była w ciąży, jej egzekucję odroczono więc do porodu. W Baczijurcie nad Sunżą krewny ofiar mordercy, za zgodą rewolucyjnego trybunału, poderżnął mu gardło.

Surowość kar i okrucieństwo, z jakim stosowali je brodacze z patroli rewolucyjnych trybunałów, sprawiły, że szybko spadła przestępczość, pijaństwo, narkomania. Rządowi udało się wprowadzić zakaz noszenia broni w miejscach publicznych. Nawet przerażeni urzędnicy zaczęli się odnosić do ludzi życzliwiej i załatwiali sprawy, nie domagając się jak dotąd bakszyszu.

Ale rozzuchwaleni mułłowie i wojownicy z rewolucyjnych trybunałów nie zamierzali być tylko posłusznymi sługami prezydenta, tym bardziej że do buntu podburzali ich dżygici. Ponadto, w przeciwieństwie do Maschadowa, trybunały miały władzę rzeczywistą – własne wojsko, policję, sędziów i prokuratorów. Czeczeński kalifat przeradzał się w państwo dwuwładzy.

Coraz częściej dochodziło do zbrojnych potyczek. Zbuntowani komendanci próbowali zająć szturmem wieżę telewizyjną w stolicy. Do krwawych walk między buntownikami i wiernymi prezydentowi wojskami doszło w Gudermesie i Urus-Martanie.

Rewolucyjny trybunał uznał Maschadowa za uzurpatora, twierdząc, że Koran nie wspomina o instytucji prezydenta. Dymisji Maschadowa zażądał nawet jego zastępca, wiceprezydent Arsanow, który otwarcie przeszedł do opozycji, domagając się nie tylko likwidacji stanowiska prezydenta, ale także parlamentu, i zastąpienia ich Wielką Radą oraz wybieranym przez nią imamem.

W odpowiedzi Maschadow sam powołał Wielką Radę, która miała

służyć mu pomocą, i zaprosił do niej swoich zagorzałych wrogów. Ci utworzyli własną Wielką Radę, a na jej emira wybrali Basajewa.

Prezydent wciąż unikał konfliktu, wciąż ustępował. Zwolnił prezesa muzułmańskiego trybunału, by jednak nie urazić jego rodu, oddał to stanowisko jego wujowi. O niesubordynacji wiceprezydenta po prostu starał się nie pamiętać. Rzucił też pomysł, by w Czeczenii ogłosić Dzień Zgody i Pojednania i zapomnieć dawne urazy. W odpowiedzi znów próbowano go zabić.

Jego przeciwnicy odbierali to jako przejaw słabości i mnożyli żądania. Stawał się ich zakładnikiem, z każdym dniem kawałek po kawałku oddawał władzę. Wystarczyło, by ktoś podniósł przeciw niemu bunt, a natychmiast proponował mu posadę wójta czy dyrektora w ministerstwie. Jeśli zaś brakowało akurat wolnych etatów, zwalniał z pracy tych, których wierności był pewien.

Poddani zaczęli sarkać, że Maschadow traci twarz.

– Myśli pan, że łatwo było mi znosić tych wszystkich Basa-jewów, Raduj ewów, Barajewów? Myśli pan, że łatwo mi było znosić tę ich idiotyczną krytykę, oskarżenia, brednie? Że nie świerzbiła mnie ręka, by zrobić z nimi porządek raz na zawsze?

Jesienią dziewięćdziesiątego dziewiątego, gdy rosyjskie pułki pancerne wspinały się jak żuki na otaczające czeczeńską stolicę wzgórza nad Terekiem i Sunżą, Maschadow nosił srebrzystą brodę. Kolejne ustępstwo wobec zbuntowanych partyzanckich komendantów, dla których zarośnięte policzki były świadectwem pobożności i waleczności.

– Mówią, że jestem słaby, bo nie rozprawiłem się z Szamilem, gdy ten najechał na Dagestan. A ja nie Basajewa się bałem, tylko wojny z Rosją! Rosja bardzo na to liczyła. Że rzucimy się sami sobie do gardła, pozabijamy. Ledwie zaczęlibyśmy wojnę, a już Rosja przysyłałaby na Kaukaz wojska, żeby nas niby rozdzielać i godzić, w rzeczywistości zaś mordować, wyrzynać do ostatniego. Gdyby Czeczenia, jak Gruzja, była niepodległym państwem, gdyby jej bezpieczeństwo gwarantowało międzynarodowe prawo zakazujące zbrojnych najazdów, zmiażdżyłbym moich wrogów w okamgnieniu. Tak jak Szewardnadze rozprawił się ze

swoimi watażkami. Nie musiał się bać podstępnego ciosu w plecy. Mnie też starczyłoby siły, a ręka by nie zadrżała. Ale nie mogłem wywoływać wojny domowej. Nie mogłem postąpić inaczej. W końcu im też chodzi o wolność Czeczenii.

– Naprawdę było warto? Dobrze, nie dopuścił pan do wojny domowej, ale wojna z Rosją wybuchła i tak, a wywołał ją ten, którego usiłował pan najbardziej obłaskawić, Szamil Basajew.

– Rosja najechałaby na nas tak czy inaczej. Jako prezydent za swój obowiązek uznałem opóźnienie wojny, chciałem dać mojemu krajowi choć chwilę wytchnienia. A kiedy Rosjanie stanęli pod Groznym, Basajew, Radujew, Israpiłow i inni przyszli do mnie i powiedzieli: Asłan, co było, to było. Wiedz, że możesz na nas liczyć. Pomyślałem sobie: ciekawe, skąd wziąłbym żołnierzy na wojnę, gdybym odebrał im wcześniej karabiny i zapędził do łopat?

– Nie udało się. Czy czuje się pan winny?

– Winny?… Naprawdę nie wiem. Wojna, cierpienie, śmierć niewinnych ludzi… Przyglądać się temu wszystkiemu i nie móc nic zrobić… Ta bezsilność… Wiem, że jako przywódca ponoszę jakąś odpowiedzialność za wszystko, co się zdarzyło. Może więc jestem winien, może zawiodłem zaufanie rodaków, którzy uwierzyli we mnie… Nie zdołałem powstrzymać wojny, zagładymojego narodu. Ale zrobiłem naprawdę wszystko, co było w ludzkiej mocy, nie szczędziłem sił, poświęciłem praktycznie wszystko, co miałem, całego siebie. Jeśli jednak ponoszę winę, to powinni się tą winą podzielić ze mną także inni, mój poprzednik Selim Chan Jandarbijew, mój zastępca Wacha Arsa-now, Szamil Basajew, Chattab… Po co się brali za politykę? Dlaczego mi przeszkadzali? Gdyby nie to, może udałoby się nam zbudować normalne państwo. A oni zrobili z Czeczenii polityczny jarmark, na którym ludzie z rozdziawionymi ustami słuchali bredni Radujewa.

– Gdyby pan wiedział, jak to się wszystko skończy, czy mimo to ubiegałby się pan o prezydenturę?

– Nie pragnę władzy. Po wojnie byłem zmęczony, marzyłem o odpoczynku, tak jak cały naród czeczeński. Należało mu się wytchnienie, a nie nowa wojna. Ale już wtedy na nią się zanosiło. Ze

strachem słuchałem wystąpień rozmaitych polityków, komendantów. Przerażała mnie ta euforia, która ich ogarnęła po zwycięstwie, ta nagle ujawniona żądza władzy. Te wezwania do świętej wojny, do wyzwalania Kaukazu i muzułmanów w całej Rosji, zawieszania zielonych sztandarów islamu nad Kremlem! Widziałem już wtedy, że wszystko zmierza ku nowej wojnie. Uznałem więc, że trzeba ją przynajmniej odwlec, dać ludziom choć trochę czasu na odpoczynek i wylizanie się z ran. Byłem przekonany, że właśnie mnie uda się wypełnić to zadanie lepiej niż innym pretendentom do prezydenckiego fotela. Nawet gdybym wtedy wiedział, że wojna wybuchnie już za trzy lata, wystartowałbym tym bardziej.

– Czy nie jest pan jednak rozczarowany tym, co się zdarzyło? Nie nęka pana myśl, że lepiej byłoby w ogóle nie zajmować się polityką, tylko przejść na pułkownikowską emeryturę i żyć sobie spokojnie, choćby na Litwie? Zona nie namawiała pana nigdy, żeby rzucić to wszystko i wyjechać jak najdalej?

– Jak mógłbym spokojnie żyć na oficerskiej emeryturze w Wilnie czy pod Moskwą, jeśli w tym czasie Rosjanie najechaliby na mój kraj? Nawet jako emeryt przyjechałbym do Czeczenii i walczyłbym. Choćby jako prosty żołnierz.

– A gdyby mógł pan cofnąć czas i wrócić do najszczęśliwszego dnia w życiu?

– Przez całe życie byłem żołnierzem i trudno mi nie myśleć, nie czuć jak żołnierz. Decyzja o powrocie do kraju była zapewne najlepszą decyzją, jaką kiedykolwiek podjąłem. Najszczęśliwszym zaś dniem był chyba ten, gdy Dżochar polecił mi, bym objął stanowisko szefa sztabu armii czeczeńskiej.

– A chwila najgorsza…?

– Byłem jednak uczciwy, niczego nie obiecywałem. Mówiłem ludziom, żeby przygotowali się na najgorsze. Najstraszniej jednak było, gdy musiałem patrzeć bezradnie, jak nagle, cynicznie i podle, morduje się ludzi, zmiata z powierzchni ziemi wsie, fabryki, szpitale, zabytki, szkoły, mosty i trąbi się na cały świat: nie wtrącajcie się, to nasza sprawa! Czy gdyby szalona matka dusiła własne dziecko, też by jej na to pozwolono? Bo to sprawa rodzinna? Wojna to nie tylko zniszczenia, mogiły, popioły.

Wojny ranią i kaleczą ludzkie dusze. Wojny łatwo się przerywa, ale trudno kończy. Trwają, póki chodzi po świecie choć jeden człowiek z taką ranną, krwawiącą duszą. I póki chodzić będzie choć jeden z nas, tych, co walczyli. My już nigdy nie będziemy mieli spokoju duszy.

– Czy podpisując pokój z Rosją, nie wierzył pan, że Moskwa go dotrzyma?

– Podpisując pokój, nie zastanawialiśmy się, czy rozstawać się z Rosją, czy nie, ale w jaki sposób ten rozwód zostanie przeprowadzony. Kiedy potem spotkałem się w Moskwie z Jelcynem, zapytał mnie, czy przystaniemy na taką autonomię, jaką dostali w Rosji Tatarzy? Spojrzałem mu w oczy i powiedziałem: nigdy w życiu. Potem Rosjanie przestali mnie już nawet namawiać i wywierać naciski, żebym się zgodził na jakąś formę autonomii. Było jasne, że zaczęli przygotowania do wojny.

– Na jak wielkie ustępstwa byłby gotów pan pójść wobec Rosji, by ta przerwała wojnę? Czy na ołtarzu pokoju w Czeczenii skłonny byłby pan złożyć w ofierze na przykład jej niepodległość?

– Nigdy nie poświęcimy niepodległości dla pokoju, choćby dlatego, że jest ona warunkiem pokoju. I nie chodzi mi o zasadę, tylko o to, że jeśli dziś, jako czeczeński prezydent, zrezygnuję z niepodległości mojego kraju, to znaczy, że skażę na wojnę i zagładę moje wnuki. Walczymy przecież już od czterystu lat. Cała nasza historia to jedna wielka wojna z Rosją. Jermołow, wojna domowa, zdrady białych i czerwonych, Stalin, Jelcyn, Putin. Wciąż wojna, wciąż pogromy, zgliszcza, trupy. Tę wojnę, z pokolenia na pokolenie, przekazują w Czeczenii ojcowie synom. Jak dotąd żadne pokolenie nie miało do przekazania następnemu niczego poza wspomnieniami o okrucieństwach i krzywdach ze strony Rosjan. Jak możemy żyć w Rosji, jeśli dla nas kojarzy się ona wyłącznie ze śmiertelnym zagrożeniem? Czeczeni własną krwią płacą od wieków za rozwiązanie zagadki rosyjskiej duszy. Prochami naszych przodków usiane są Syberia i pustynie Turkiestanu. Mielibyśmy się czuć w Rosji bezpiecznie? Uwierzyć jej? Przetrwać jako naród mamy szansę tylko w państwie niepodległym, uznanym przez świat, takim, którego Rosja nie będzie już mogła bezkarnie najeżdżać, grabić, mordować, ilekroć

przyjdzie jej na to ochota. Chcemy niepodległości po to, by Rosja nie miała więcej prawa nas zabijać.

– Czy jest jednak taka sprawa, za którą warto oddać życie?

– Tak. Wolność. Żyć wolnym. Wierzyć w swojego Boga. Żyć jak ojcowie, w zgodzie z tradycjami i obyczajami. Wiedzieć, że ani tobie, ani twoim bliskim nic nie zagraża. Za to warto oddać życie.

– Co dla pana znaczy słowo „wolność”?

– Wolność to prawo do życia po swojemu. Prawo do istnienia. Żeby nikt już nie mógł nas bezkarnie mordować. Ot, i cała wolność.

Szamil Basajew kazał mi przyjść w porze obiadu. Już od ulicy jego dom z czerwonej cegły przypominał bojową twierdzę. I był nią w istocie. Za głowę Szamila rosyjscy generałowie obiecywali milion dolarów nagrody. Potem podnosili tę sumę wielokrotnie.

Ogromne podwórze zastawione było terenowymi toyotami, wojskowymi dżipami, kuchniami polowymi. Pod murem, ułożone w sterty, leżały moździerze.

Wszędzie kręcili się brodaci partyzanci w wojskowych drelichach. Większość z nich uczestniczyła w wyprawie wojennej Szamila na Dagestan. Łatwo można ich było rozpoznać. Wydawali się doroślejsi. Zdradzały to ich twarze, dziwnie spokojne, jakby trochę nieobecne, i gesty, powolniejsze, dostojne. Bardziej też trzymali się razem, związani braterstwem niedawnych doświadczen, bliskością śmierci i strachu, a także świadomością, jak bardzo odróżnia ich to od kolegów. Mniej mówili, ciszej się śmiali, pytania o niedawną wojnę w Dagestanie zbywali żartami, nie potrafiąc słowami oddać tego, co przeżyli.

Szamil kazał kucharzom nakarmić nas pilawem i gotowaną, łykowatą wołowiną z polowej kuchni, świeżym chlebem i cebulą. Dopiero po posiłku jego adiutanci zaprowadzili nas wąskimi schodami na piętro.

Był niewysoki, ale mocno zbudowany, dziarski. Ubrany w polowy mundur, przywitał nas szybkim, mocnym uściskiem dłoni i usadowił się z podwiniętymi nogami na kanapie. Na lewym ramieniu miał pagon z muzułmańskim wyznaniem wiary:,,Nie ma Boga nad Allaha, a Mahomet jest jego Prorokiem".

Odkąd przystał do muzułmańskich rewolucjonistów, zgodnie z ich

modą nie golił już brody, która teraz, długa i czarna, spadała mu aż na piersi. Znalazł też rozwiązanie dla przedwczesnej łysiny – golił czaszkę, również zgodnie z rewolucyjnymi kanonami. Odnosiłem wrażenie, że ten nowy wizerunek szalenie mu się podobał.

– Jestem Szamil Basajew, osiemnastokrotnie zabity – rzucił na powitanie.

W czasie rozmowy, która sprawiała mu przyjemność i którą się najwyraźniej bawił, pozostawał czujny, uważny i precyzyjny. W przeciwieństwie do Maschadowa mówił swobodnie, szybko, z ogromną swadą, miał typowe dla Czeczenów, sarkastyczne poczucie humoru. Z łatwością zmieniał role, ilekroć nudził się dotychczasową. Raz był prostackim watażką posługującym się uliczną gwarą, a za chwilę jak rewolucjonista wygłaszał płomienne mowy, przemawiał tonem pewnego siebie, nieznoszącego sprzeciwu męża stanu. To znów wychodził z niego złośliwy kpiarz albo błyskotliwy i doświadczony życiem mędrzec, który na naszych oczach przemieniał się w skrywającego tysiąc tajemnic spiskowca. Jego sekretarze, adiutanci i straż, siedząc na dywanach pod ścianą, bez słowa wpatrywali się w swojego komendanta jak w odgrywającego przedstawienie aktora.

Szamil nie zapominał też o rozmówcy, nie pozwalał, by choć na chwilę stracił ciekawość, czy, uchowaj Boże, może się znudził. Celnie rzucał pointy, powiedzonka, których zdawał się mieć całe tuziny na wszelkie okazje. Prawdziwą, niemal szczenięcą radość sprawiało mu przyłapanie gościa na źle dobranym słowie, przekręconej myśli.

– Nie boi się pan, że…

– Ja to się, proszę pana, niczego nie boję.

Z jego żywej twarzy wprost tryskały energia, dzika siła życia, niebezpieczna inteligencja i jakiś trudny do nazwania czar.

– To było dla pana chyba niezwykłe lato. Najpierw ogłoszono pana emirem Kaukazu, wkrótce zaś największym terrorystą.

A za kogo pan sam się uważa? Kim pan jest? Zbawicielem Kaukazu? Biczem bożym? Wojownikiem? Mężem stanu?

– Jestem zwykłym muzułmaninem, staram się żyć, jak przykazał Wszechmogący.

– Zwykły muzułmanin, który zostaje uznany za przywódcę świętej wojny przeciw niewiernym? Jeszcze niedawno głosił pan, że największym zagrożeniem dla czeczeńskiej niepodległości jest muzułmański fanatyzm.

– I nie zmieniłem zdania. Prorok Mahomet powiedział, że trzy śmiertelne zagrożenia dla islamu to wojujący bezbożnicy, muzułmańscy uczeni, którzy fałszywie tłumaczą Koran, i fanatyczni ignoranci. To ich miałem na myśli, mówiąc o muzułmańskim fanatyzmie. Fałszywymi uczonymi są sprzedajni mułłowie oszukujący wiernych, by przypodobać się bezbożnym tyranom, a wojujący bezbożnicy to oczywiście Rosjanie.

– Porozmawiajmy o pańskim nawróceniu. Jeszcze pięć lat temu słynął pan jako partyzancki komendant, ale chyba nikt wtedy nawet nie przypuszczał, że zostanie pan jednym z przywódców świętej wojny, muzułmańskiego powstania na Kaukazie.

– Prawdziwym muzułmaninem uczyniła mnie wojna. Wszyscy rodzimy się mahometanami. I pan, i ja przyszliśmy na świat jako dzieci Wszechmogącego. Nie potrafimy jednak od pierwszych dni odnaleźć prawdziwej drogi, potykamy się, błądzimy po omacku. Błądzą też nasi przewodnicy, nasi ojcowie, kapłani, przywódcy. Często w najlepszej wierze sprowadzają nas na manowce. Ja też błądziłem przez lata. Ceniłem wartości, które były kłamstwem. Jeszcze w czasie poprzedniej wojny walczyłem pod sztandarem „Wolność albo śmierć”. Dziś walczę też za wiarę. Pojąłem, że rzeczy, w które dotąd wierzyłem, są jedynie ułudą, że przemijają. A jedyną wieczną wartością jest wiara we Wszechmogącego. Ze tylko ona daje nadzieję i pokój. Nie doszedłem do tego z niedzieli na poniedziałek. Dojrzewałem. Pięć lat temu, kiedy zaatakowała nas Rosja, świat zachodni – strażnik tych wszystkich najświętszych wartości, jak równość, wolność, sprawiedliwość, braterstwo, swobody obywatelskie – odwrócił się od Czeczenii. Zdradził nas jak ladacznica, która idzie z tym, kto więcej płaci. Ta sprawa wiele nas, Czeczenów, nauczyła. Zobaczyliśmy fałsz naszych mistrzów. Zrozumieliśmy, że możemy liczyć tylko na siebie i miłosierdzie Allaha. To dało nam olbrzymią siłę.

– A jak zmieniło Czeczenów?

– Ogromnie. Dziś do wojny z Rosją stajemy już jako zupełnie inni ludzie. Walczymy nie tylko o wolność, lecz i za wiarę. Nie tylko moi mudżahedini, ale też niemal wszyscy Czeczeni zaczęli szukać w Koranie odpowiedzi, jak żyć. Jeszcze pięć lat temu liczni byli wśród nas ci, co się nie modlili, pili alkohol, palili papierosy, sięgali po narkotyki. Dziś niewielu takich pan znajdzie, a w mojej armii nie ma ich wcale. Ja też rzuciłem tytoń. Niedawno dla moich mudżahedinów kupiłem w Rosji mięso, teraz przychodzą do mnie jeden po drugim i tłumaczą, że nie chcą go jeść, bo pochodzi z bydła, które w Rosji zaszlachtowano niezgodnie z muzułmańskim obyczajem. Będę je musiał rozdać.

– Czy nad Czeczenią nie krąży widmo muzułmańskiego fanatyzmu?

– Krąży, krąży. Jest wśród nas wielu wojujących ignorantów, którzy chcieliby zaprowadzić Boże porządki w jeden dzień, nie rozumiejąc, że ludzie nie są do tego gotowi. Zresztą nie tylko sami ludzie. Najczęściej ci, co myślą o Bożych porządkach, nie mają zielonego pojęcia o Koranie, choć są przekonani, że posiedli całą mądrość. Jeśli chodzi o mnie, jestem wrogiem zarówno wojującego bezbożnictwa, jak i wojującego ignoranctwa.

– Szamil Basajew przeciwnikiem skrajności? Dla wielu jest pan ich uosobieniem.

– Robią ze mnie takiego. Sam nie wiem czemu.

– Pana to dziwi? A rajd na Budionnowsk nie był skrajnym rozwiązaniem? Znaleźć straceńców gotowych na śmierć i poprowadzić ich w głąb Rosji, gdy w samej Czeczenii trwa wojna? To nie była skrajność?

– A cóż w tym skrajnego? Wszyscy kiedyś umrzemy. Takich nas stworzył Wszechmogący. Wybór, który nam pozostawił, to nie kiedy umrzemy, ale jak. Umrzemy, kiedy taka będzie Jego wola, i nic na to nie możemy poradzić, choćbyśmy się ukryli w kamiennej wieży. Jedyny wybór to jak umrzeć. Ja postanowiłem umrzeć jak wojownik. Cóż w tym skrajnego?

– Maschadow mówi, że głupotą i wyjątkową nieodpowiedzialnością z pana strony był najazd na sąsiedni Dagestan. Ze dał pan Rosji powód do wojny.

– A ja mówię, że głupotą było podpisanie rozejmu z Rosją i dawanie jej czasu na przygotowania do nowej wojny. Wojna by wybuchła tak czy inaczej. Już wtedy, po tamtej wojnie, kiedyśmy pobili Rosjan, trzeba było ich zniszczyć, rzucić na kolana. Tłumaczyliśmy Maschadowowi, żeby nie układał się z Rosjanami, niczego nie podpisywał. Mówiliśmy mu, że to błąd pozwolić Rosji, by wycofała się z wojny bez kontrybucji, bez politycznych ustępstw, nawet bez przeprosin i ukarania odpowiedzialnych za masakry czeczeńskich cywili. Opuścili Czeczenię, jakby się nic nie stało, jakby nie przegrali wojny. Maschadow się oburzał. Mówił:,,Co też wygadujecie?! Popatrzcie tylko, kto podpisał się pod układem z Chasawjurtu o zawieszeniu broni. Sam Jelcyn!" Bredził o zobowiązaniach, o prawie międzynarodowym. Daliśmy Rosji cztery lata na spokojne przygotowanie się do nowej wojny. I dziś ją mamy. Allah ukarał nas za głupotę i pychę, tak jak ukarał afgańskich mudżahedinów. Od dawna Rosjanie prowokowali incydenty, tak czy inaczej znaleźliby pretekst do wojny. Nasze milczenie tylko ich zachęcało do działania. Uznali to po prostu za dowód naszej słabości.

– Dlaczego Maschadow tak wierzył Rosji?

– Maschadow ma duszę romantyka i radzieckiego pułkownika. Pół życia przesłużył w radzieckiej armii jako artylerzysta. Przywykł wierzyć Moskwie.

– Najpierw razem walczyliście z Rosją, potem rywalizowaliście o urząd prezydenta. Jeszcze później wasze drogi się rozeszły i zostaliście politycznymi wrogami, o mało co nie wywołując wojny domowej, a dziś Maschadow mówi, że znów zgodził się pan pójść pod jego komendę.

– Dziś znowu jesteśmy razem, bo ponownie zagraża nam wróg. Byliśmy zjednoczeni, bo mieliśmy wroga, Rosję. Podpisując z nią pokój, Maschadow sprawił, że ten wróg dla wielu Czeczenów zniknął, a przynajmniej już nie wydawał się straszny. Zaczęliśmy szukać wrogów między sobą, tego właśnie chciała Rosja. Ale z Maschadowem wciąż jesteśmy dobrymi przyjaciółmi, którzy otwarcie aż do bólu mówią sobie, co się im w nich nie podoba.

– Czy podejmując wojenną wyprawę do Dagestanu, nie warto było

chociaż uprzedzić Maschadowa?

– Niby po co? Nie byłem jego ministrem ani urzędnikiem. Mogę robić, co mi się podoba, i pomagać każdemu, kto mnie o to prosi. Byle tylko sprawa była słuszna. Do Dagestanu wyruszyłem w sierpniu na pomoc naszym braciom, którym tak jak kiedyś nam zamarzyła się wolność i wywołali powstanie, a raczej zostali zmuszeni do walki, bo zaatakowały ich wojska rosyjskie.

– Byłem wtedy w Botlichu, ale wcale nie odniosłem wrażenia, że tamtejsi chłopi widzą w panu zbawcę i wyzwoliciela.

– A co mieli mówić? W Dagestanie panuje skorumpowana dyktatura. Tysiące ludzi ginie lub trafia do więzienia za niepra-womyślność. Oni nie tylko boją się mówić, że wierzą w Boga, boją się nawet wierzyć. My pojechaliśmy do Dagestanu, żeby bić się nie z miejscowymi chłopami, tylko z Rosjanami i ich marionetkami. Mówiliśmy ludziom, żeby wyjeżdżali z wiosek, bo Rosjanie je zbombardują, jak tylko się dowiedzą, że tam jesteśmy. Nie wyrządziliśmy najmniejszej krzywdy żadnemu z dagestańskich wieśniaków. I myślę, że posialiśmy ziarno, które wkrótce przyniesie żniwo.

– Krążyły plotki, że miesiąc przed najazdem na Dagestan spotkał się pan w Nicei, w domu znanego na całym świecie handlarza bronią, Adnana Chaszoggiego, z szefem kancelarii Jelcyna, Aleksandrem Wołoszynem. Był pan na Lazurowym Wybrzeżu?

– Oczywiście, że byłem. Wołoszyn przyjechał i dał mi dwa miliony dolarów na wojnę. Potem pojawił się miliarder Biere-zowski i dorzucił jeszcze cztery, a i Saudyjczyk, Usama ibn Ladin, coś tam dodał od siebie. Byli jeszcze emisariusze wywiadów: rosyjskiego FSB, amerykańskiego CIA, izraelskiego Mossadu. Wpłaciłem te wszystkie pieniądze do szwajcarskiego banku. Tylko kartka, na której zapisałem numer konta, gdzieś mi się zapodziała i nijak nie mogę ich wyjąć.

– Pan sobie stroi żarty, a oskarżenia są poważne.

– Toteż odpowiadam na nie z należytą powagą.

– Czy nie sądzi pan, że pańska przyjaźń z arabskim komendantem Chattabem i pomoc, jakiej udziela Czeczenom, ułatwia zadanie Rosjanom, którzy przedstawiają pana jako kaukaskiego Usamę ibn

Ladina?

– W Chattabie znalazłem przyjaciela i towarzysza broni. Nie jest żadnym mędrcem, ale pomógł mi odnaleźć się w islamie. Na potrzeby Zachodu Rosjanie mówią, że pieniądze daje mi ibn Ladin, w Rosji Kreml rozpowiada, że pieniądze dają mi Żydzi. Robią ze mnie potwora zaprzyjaźnionego z najbardziej znienawidzonymi wrogami. Nazywają mnie terrorystą, muzułmańskim fanatykiem. Wszystko po to, żeby odwrócić uwagę od tego, co naprawdę dzieje się na Kaukazie. A toczy się tu wojna o wolność narodu. Jeśli Rosjanie chcą widzieć we mnie terrorystę,bicz boży, nocny koszmar, będę nim z największą przyjemnością. Klnę się, że będę kontynuował walkę nawet wtedy, gdyby przyszło mi poświęcić ostatniego Czeczena na tym świecie.

Widziana z góry rzeka Terek i biegnąca wzdłuż jej brzegów linia frontu wydawały się martwe, bezludne. Podobnie jak okoliczne, rozrzucone na pogarbionym stepie stanice, pola i pastwiska. Ciszę przerywała tylko regularna, monotonna kanonada, dochodząca od stanicy Czerwlionnaja, która wraz z dworcem i ważnym węzłem kolejowym wpadła przed dwoma dniami w ręce Rosjan.

Nad rzeką panował jednak błogi spokój, krajobraz rozświetlało jesienne, jasne o poranku słonce. Ale w zaroślach na drugim brzegu rzeki kryli się rosyjscy kanonierzy i czołgiści. Tak przynajmniej zapewniali czeczeńscy zwiadowcy. Brodaci, obwieszeni granatami i karabinami, nie sprawiali wrażenia przestraszonych bliskością Rosjan. Dzieliło ich najwyżej kilkaset metrów porośniętej rzadkimi krzakami nadrzecznej równiny. Gdyby Rosjanom udało się sforsować rzekę, do stolicy mieliby zaledwie kilka godzin marszu.

Wyruszyliśmy nad rzekę nocą, by nas nie zauważyli rosyjscy snajperzy w zaroślach na przeciwległym brzegu. Na ostatnią kolację zjedliśmy kapuśniak i chleb. Przy świecach i lampach naftowych, za długim stołem, siorbał gorącą zupę cały oddział Islama, który przejmował wartę w okopach nad Terekiem.

Już na rogatkach Groznego Islam zarządził całkowite zaciemnienie. Islam, długowłosy, drobnej postury brodacz o inteligentnej twarzy matematyka, był dowódcą Mansura, Omara i Musy. Przynajmniej do

czasu, gdy ich dawny komendant, Ałman, nie wróci z Paryża, dokąd wyjechał leczyć stare rany.

Kierowca wyłączył reflektory, żołnierze przydeptali niedopałki, pochowali latarki, żeby nie kusiły. Oblepieni kurzem, w milczeniu pogryzali pestki słonecznika.

Samochód zjechał z asfaltowej drogi na podmokłe łąki. Byliśmy nad rzeką. Z lewej strony jasnym czerwonym płomieniem paliły się zbiorniki ropy naftowej. Zatrzymaliśmy się za barakiem, tuż obok ognia. W ciepłym świetle strzelających płomieni sylwetki żołnierzy migały jak czarne papierowe wycinanki. W oddali srebrzyście i lodowato pobłyskiwała rzeka.

Islam poprowadził oddział. Przystanęliśmy przed komórką z desek i cynkowej blachy. Islam zniknął, by po chwili pojawić się w towarzystwie innego komendanta i jego żołnierzy, którzy jak zjawy wyrastali spod ziemi. Za drzwiami komórki zaczynały się schody prowadzące chyba kilkanaście metrów w głąb, do betonowego bunkra, gdzie mieliśmy spędzić noc. Wszyscy, z wyjątkiem trzech żołnierzy, którym Islam wyznaczył pierwszą straż nad rzeką.

Było już dobrze po północy, ale nikt w bunkrze nie zbierał się do snu. Czekaliśmy świtu.

Musa długo wpatrywał się przez lornetkę w porośnięty leszczynowymi zagajnikami brzeg po drugiej stronie rzeki. W milczeniu dał ręką znak Mansurowi, który podczołgał się na skraj okopu z bazooką. Musa palcem wskazał cel. Między drzewami pobłyskiwały w słońcu zgniłozielone pancerze czołgów, a może pancernych wozów. Mansur wystrzelił rakietę, wypluwając za sobą ogień, pofrunęła za rzekę. Nie zdążył załadować drugiego pocisku. Nie zdążył nawet sprawdzić, czy pierwszy trafił w cel.

Na nasze pozycje spadł grad moździerzowych granatów. Wybuchały na stepowej równinie, ciskając w nas żelaznymi odłamkami, kamieniami i ziemią.

Trzy, przerwa, znów trzy i znów krótka przerwa. Za krótka, żeby wyskoczyć z okopu i przebiec te kilkaset metrów równej jak stół łąki, która dzieliła nas od zarośli przy drodze. Tamukryliśmy o brzasku

terenowy samochód. Wtedy, o świcie, gdy przekradaliśmy się nad rzekę, dróżka przez łąkę wydawała nam się bezpieczna.

I znów nowa salwa. Pociski wybuchały coraz bliżej i bliżej. Rosyjscy kanonierzy najwyraźniej wstrzeliwali się w cel. Trzy, przerwa, trzy, przerwa. Pozostało nam tylko liczyć i mieć nadzieję, że żaden z granatów nie trafi prosto w okop, jamę wykopaną w nadrzecznym piachu. Metr na półtora, głęboka najwyżej na metr. Na tym wzniesieniu nad Terekiem było ich kilka. W każdej po trzech, czterech partyzantów z karabinami.

I znów granaty. Trzy, przerwa, trzy, przerwa. Na trzy można było nieco się wyprostować w okopie. Nowy wystrzał zza rzeki i wzmagający się świst wbijał nas w wilgotny piach, kuliliśmy się, chowając pod cudze ramiona i plecy, byle jak najdalej od odłamków.

Nie wiedziałem, co dzieje się z Musą i Mansurem w sąsiednim okopie, zaledwie kilka metrów przede mną. Wołaliśmy do siebie, ale nie słyszeliśmy nawet swoich głosów.

Słonce stało już wysoko, dochodziło południe.

Nagle usłyszałem nad sobą warkot samolotu. Był to mały samolocik zwiadowczy. Przelatywał nad okopami, zaglądając bezczelnie do środka i szydząc z czeczeńskich karabinów. Okopy milczały. Każdy strzał ściągnąłby ogień moździerzy.

Straż nad Terekiem polegała na biernym przetrzymywaniu artyleryjskich ostrzałów, z których każdy mógł się okazać dla obrońców ostatni. Gdyby Rosjanie próbowali przeprawiać się przez rzekę, Mansur z towarzyszami mogliby po prostu walczyć. A tak, kulili się tylko w okopach przed niewidzialnym wrogiem.

Moździerzowa kanonada nagle umilkła. Może zwiadowczy samolocik uspokoił rosyjskich kanonierów za rzeką, którzy uznali, że nie warto marnować pocisków na garstkę partyzantów.

Musa z karabinem w dłoniach wypełzł na skraj okopu i skierował lufę w zarośla za rzeką. Po chwili odwrócił się i machnął ręką.

Teraz!

Po dwóch, co kilkanaście sekund, wyskakiwaliśmy z okopu i chyłkiem, co tchu w piersiach, potykając się o kamienie i plącząc się w wysokiej

trawie, biegliśmy przez łąkę ku zbawczym drzewom.

– Ot, tak z nami wojują, teraz już wiesz – wysapał Musa, spluwając kurzem i spoglądając przez leszczyny na linię okopów. – A mnie zaraz znowu każą tam wracać.

W oddali palił się zbiornik ropy naftowej, rosyjskie samoloty bombardowały nadtereckie wzgórza pod Dolińskim, a pasterze z Tołstoj-jurtu wypędzali na łąki swoje stada.

Omar zapytał mnie, czy byłem w Paryżu.

– Jak wygląda Paryż? Jak tam jest?

Łysiejący, cichy, trochę nieśmiały, kochał książki. Przed wojną uczył języka rosyjskiego i rosyjskiej literatury w gimnazjum w Groznym, a po godzinach dorabiał w szkole podstawowej w rodzinnej wsi.

Mówił o tym jakby z niedowierzaniem i wstydliwie. Z niedowierzaniem, bo tamte czasy wydawały mu się tak odległe, że aż nieprawdziwe. Wstydliwie, ponieważ zamiłowanie do poezji, w dodatku rosyjskiej, wydawało się teraz czymś niestosownym.

Choć jego towarzysze wiedzieli, kim był, mnie o swoim poprzednim wcieleniu opowiedział dopiero wtedy, gdy Mansur i Musa poszli się modlić do meczetu. Nawet kiedy poczuli się pewniej i gdy jeździliśmy już w czwórkę jednym samochodem, a nie trzema, wyładowanymi ludźmi i bronią, Mansur, Musa i Omar nie zostawiali mnie samego ani na chwilę. W porze modlitwy dwóch szło do meczetu, a trzeci czekał w samochodzie na ich powrót. Zasada ta obowiązywała nawet na postojach. Spierali się tylko często, próbując ustalić strony świata, żeby niedopuścić się świętokradztwa i zamiast bić pokłony Wszechmogącemu, nie wypinać się na niego. Musa zaklinał się, że przy pierwszej sposobności zdobędzie kompas.

Byłem pierwszym znanym Omarowi człowiekiem, który widział Paryż. Wypytywał o place, ulice, restauracje, metro. Chłonął każde słowo, jakby się bał, że coś uroni. Jakby pożegnał się już z marzeniem o Paryżu i zadowolił opowieścią o wyśnionym mieście. A jednocześnie odniosłem wrażenie, że po raz pierwszy od dawna Omar znów wymawiał głośno obce, egzotycznie brzmiące dla niego nazwy: Champs Elysees, Boulevard St. Germain, Montparnasse, Place de la Republique…

Z kaukaskim akcentem.

Kanonadę było słychać nawet w śródmieściu Groznego.

Już od kilku dni widoczne z miasta srebrzyste samolociki, korzystając ze słonecznej, bezchmurnej pogody, krążyły nad wyłysiałymi nadtereckimi wzgórzami. Z daleka wyglądało to całkiem niegroźnie, a maleńkie maszyny, uwijające się w powietrzu jak pszczoły, wzbudzały nawet coś w rodzaju sympatii. Wzlatywały nad szczyty, po czym gwałtownie pikując, wypluwały czarne smugi rakiet nad wierzchołkami pagórków.

Wzgórza były dla Czeczenów ostatnią linią obrony przed Groznym. Ze szczytów mogli trzymać w szachu z jednej strony rozległe równiny nad Terekiem, a z drugiej – asfaltową drogę do stolicy. Zajmując wzgórza, Rosjanie nie tylko mieliby Groz-ny jak na dłoni, lecz także wzięliby w dwa ognie czeczeńskie pospolite ruszenie, które pełniło straż na brzegach rzeki.

Czeczeni wierzyli, że w otwartym boju nie tylko stawiliby czoła Rosjanom, ale pobiliby ich jak kiedyś i wyparli z północnych brzegów Tereku. Jednak Rosjanie, inaczej niż w czasie poprzedniej wojny, nie szturmowali miast ani nie wydawali bitew czeczeńskim partyzantom. Od świtu do zmierzchu, a nawet nocą, bombardowali czeczeńskie okopy z samolotów, śmigłowców, czołgów, dział i moździerzy. Czeczeni odstrzeliwali się z rzadka, by nie zdradzić własnych pozycji. Posterunki zmieniali nocami, kiedy rosyjskim snajperom i zwiadowcom trudniej było ich wytropić. Tylko pod osłoną ciemności organizowali zasadzki na rosyjskie obozowiska i kolumny pancerne. Za dnia kryli się przed rosyjską nawałnicą.

Rosjanie zaś posuwali się wolno, ruszali dopiero, gdy ich samoloty i artyleria usunęły z drogi wszystkie przeszkody. Jak najszerszym łukiem obchodzili stanice i miasteczka, zadowalając się zajęciem najważniejszych dróg, skrzyżowań i górujących nad okolicą wzniesień. Wchodzili do wiosek dopiero wtedy, gdy ich mieszkańcy uciekli, porzuciwszy domy i pola.

W ten sposób, właściwie bez walki, zajęli z rzadka już zaludnione stepy nad Terekiem i znów wyszli na przedpola czeczeńskiej stolicy.

Czeczeni przegrywali. A choć nie przyznawali się do tego sami przed sobą, byli bezradni wobec samolotów, czołgów i dział, które z bezpiecznej odległości zadawały im śmiertelne ciosy.

W milczeniu wlekliśmy się do wioski Doliński, tam, gdzie widoczne z Groznego niewielkie samoloty, srebrzyste krzyżyki, harcowały nad zasnutymi mgłą wzgórzami.

Moi towarzysze, przewodnicy i opiekunowie nie chcieli tam jechać. Mansur najwyraźniej nie życzył sobie, żebym był świadkiem czeczeńskich porażek. Zachowywał się jak cenzor albo komisarz polityczny, który zaprzecza oczywistym faktom i wyszukuje tysiące argumentów na udowodnienie absurdu. Przerywał moje rozmowy z wieśniakami i żołnierzami, przechodził nagle na czeczeński, skazując mnie wyłącznie na jego własną relację.

Najpierw kazał Musie zatrzymać samochód w wiosce Pierwomajskoje, zaraz za rogatkami stolicy, tłumacząc, że dojechaliśmy do Dolińskiego. Potem przekonywał, że w zasadzie w obu wsiach sytuacja jest taka sama, to znaczy – jest spokojnie, Rosjanie nie ośmielą się ruszyć, jest dobrze.

Wcale nie było dobrze.

Prawdę dawało się wyczytać choćby z twarzy mężczyzn przed meczetem. Innymi nieomylnymi znakami nadciągającej burzy były opustoszałe wiejskie zaułki, zazwyczaj miejsce zabaw krzykliwej dzieciarni, a przede wszystkim – sznur wyładowanych meblami i tobołkami samochodów, sunących w kierunku Groznego. Było jasne, że Czeczeni lada chwila poddadzą swoje pozycje obronne na wzgórzach pod Dolińskim.

Omar przynajmniej nie starał się mnie okłamywać. Przekonywał, że nie powinniśmy jechać do Dolińskiego, gdyż na biegnącej doliną i doskonale widocznej ze wzgórz drodze będziemy zbyt łatwym celem i dla Rosjan, i dla Czeczenów. Skąd mieli wiedzieć, kim jesteśmy?

Musa też się nie palił do jazdy, ale był po mojej stronie.

– Jeśli chce, to jedźmy! O co chodzi?!

Spierali się ze sobą, podenerwowani, zapiekli w gniewie. Odkryłem, że im dłużej przebywaliśmy razem, tym częściej się kłócili. Mansura

irytowały ślamazarność i intelektualizm Omara. Omara drażniło szarogęszenie się Mansura i jego protekcjonalny ton. Zdecydowanie lepiej czuł się w towarzystwie żartownisia, prostaczka Musy.

Musa był kierowcą. On jeden przynajmniej nie krył, że nie zależało mu na tym, by inni uważali go za bohatera. W oddziale Mansura był najlepszym zwiadowcą, ale tylko zwiadowcą.

Tak naprawdę zależało mu tylko na samochodach. I trochę jeszcze na kobietach.

W przeciwieństwie do kolegów ze szkoły, Omara i Mansura, przerwał naukę przy pierwszej nadarzającej się okazji. Nie lubił opowiadać o sobie i swoim życiu. Nie widział w nim nic szczególnego, nic ciekawego. Nigdy nie pracował. Co robił? Właściwie nic. Odsłużył dwa lata w wojsku, a potem ot tak, kręcił się, ale jakoś nigdy nie brakowało mu pieniędzy na benzynę, kawior i szampana. Miał samochody i miał kobiety. Pokazywał stary list od przyjaciółki z Saratowa:,,Oj, Musa, Musa! Ty to dopiero potrafisz kochać! Ty wiesz, czego potrzeba kobiecie!"

Sława najlepszego kierowcy w całej wsi całkowicie mu wystarczała.

Z pozoru tacy sami, byli jak ołowiane żołnierzyki, odlane z tej samej formy. Może właśnie to stało się źródłem ich irytacji. Nie przeszkadzała im identyczność, gdy byli sami ze sobą. Pojawienie się obcego obudziło w nich jednak owo stłumione, a najbardziej człowiecze pragnienie odrębności.

Różnili się tylko marzeniami, z których odarła ich wojna. Gdy szli na front, wydawało im się, że to oni dokonują wyboru i że w każdej chwili, jeśli tylko zechcą, będą mogli wrócić do starych wcieleń.

Wędrówki dusz nie dało się już jednak cofnąć czy choćby zatrzymać. Wykonując kolejne rozkazy, nie zauważyli nawet, kiedy przestali decydować o swoim losie. Na rozkaz walczyli, odpoczywali, świętowali albo – jak teraz – konwojowali cudzoziemców podczas ich kaukaskich podróży. Już nie dokonywali żadnych wyborów. Oderwani od świata i skazani na samych siebie, zapominali powoli o dawnym życiu, marzeniach i ambicjach.

Cudzoziemcy stali się dla nich niemal pasażerami Wehikułu Czasu,

emisariuszami z przeszłości. Wraz z ich pojawieniem się w sercach Omara, Mansura i Musy odżywała nieśmiała nadzieja, że do ich dawnego świata może jednak da się jakoś powrócić.

Dla swoich młodszych kuzynów Mansur, Musa, Omar, Sulejman, Nuruddin byli bohaterami. Walczyli na wojnie, odparli Rosjan. Młodzi z zapartym tchem słuchali ich wieczornych rozmów przy stole, opowieści o frontach, zasadzkach, szturmach. Słuchali z zazdrością.

Kiedy wybuchła wojna, mieli po piętnaście, szesnaście lat. Wielu ich rówieśników też biło się z Rosjanami, wielu zginęło. Młodszych na wojnę nie puścili ojcowie. Wystarczy, że walcząstarsi – orzekła starszyzna, której słowo było tu zawsze święte – jeśli zginą, wtedy przyjdzie może kolej na was, lecz na razie macie w ich zastępstwie troszczyć się o rodziny.

I oto wojna wybuchła na nowo. Rosyjskie pułki stanęły nad Terekiem, a samoloty codziennie nadlatywały nad czeczeńskie wioski, by zrzucać bomby na drogi, mosty, niekiedy też na chałupy, obory i sady.

Chłopcy najwyraźniej nie rozumieli, dlaczego starsi kuzyni zachowują się tak, jak gdyby nic się nie stało. Każdego wieczora czekali przy kolacji, by usłyszeć, co powiedział prezydent Maschadow, a co Szamil Basajew, najsłynniejszy z komendantów. Ponieważ byli młodsi, nie śmieli zabierać głosu. Czekali, aż Mansur i jego towarzysze udadzą się na spoczynek. Mnie, przybysza z dalekiego świata, traktowali inaczej.

– Rozmawiałeś z Szamilem? Jak ci się podobał?

– No, nie powiem, robi wrażenie. Ma w sobie jakąś magię.

– Ale co mówił? Kiedy zaczną walczyć z Rosjanami?

– Mówił, że już walczą.

– Eeee tam. To dlaczego pozwalają Rosjanom na wszystko?

– Szamil mówił, że czeka, aż Rosjanie wejdą do miasta. Wtedy ich otoczy i zniszczy. Tak powiedział.

– Takie tam gadanie. Łatwo jest grozić, jak się siedzi w wygodnym, bezpiecznym domu w Groznym. Ten Szamil jakiś dziwny.

– A co niby ma robić? Jak jego żołnierze mają walczyć z samolotami?

– To co? Pozwolą, żeby tak nas bombardowali? Mówisz jak Mansur. Powinni coś zrobić. Są naszymi przywódcami. Chciałbym wiedzieć, czy

przyszła już pora. Mam się szykować na wojnę czy nie? Bo jak nie, to chcę wracać do moich lekcji arabskiego na uniwersytecie.

Brak zdecydowania starszych irytował chłopców coraz bardziej. Nie potrafili pojąć tej bierności. Chcieli wiedzieć, co będzie, co mają robić. Widać było, jak z każdym dniem blakła w ich oczach bohaterska aureola, która dotąd otaczała ich starszych kuzynów.

Przez wysłużone bohaterskie maski i szaty coraz bardziej prześwitywały stare i nowe wcielenia Mansura, Omara, Musy, Sulejmana.

Mansur był już nie tylko walecznym i troskliwym dowódcą kompanii, ale ważniakiem i trudnym do zniesienia pedantem.

Omar, przenikliwy szef sztabu, okazywał się nudnym belfrem, który mimo trzydziestki na karku nie potrafił zdobyć ani pieniędzy, ani kobiety.

Śmiały zwiadowca Musa stawał się jedynie zabawnym wałkoniem.

Samotnik Sulejman – zazdrosnym nieudacznikiem i zwykłym gajowym.

Bohaterem bez skazy nie był już nawet Mohammed, który pomagał swojemu bliźniakowi Idrysowi prowadzić interesy w Moskwie. Właściwie prowadził je Idrys, a Mohammed jeździł jedynie do Rosji, by wymuszać na niesolidnych wierzycielach terminowe spłaty długów i płatności. Perswazyjne metody stosowane przez Mohammeda okazały się tak skuteczne, że Czeczen stał się sławny na cały Kaukaz i nieraz przychodziło mu podróżować do Dagestanu, Inguszetii czy nawet Azerbejdżanu nie tylko po to, by odbierać długi, ale rozsądzać spory między przemytnikami, kłusownikami i ludźmi interesu. „Kiedy dochodzi do konfliktu, zawsze zwracają się do nas, Czeczenów – opowiadał. – Jesteśmy po prostu bezstronni”.

Wieś Doliński ginęła w czarnym dymie ze zbombardowanego i płonącego szybu naftowego. Wiatr bawił się smolistą chmurą, to przyciskał ją do ziemi, ukrywając wieś i wzgórza, to znowu podnosił raptownie do góry.

Na rozsłonecznionym październikowym niebie samoloty rysowały białe geometryczne figury, które rozmywały się szybko w błękicie. Nad górskimi garbami gwałtownie zniżały lot, spadały w dół z taką wściekłością, jakby same chciały roztrzaskać się w nieprzyjacielskich

okopach. W ostatniej chwili podrywały się, wyrzucając bomby. Zawieszone nieruchomo nad zboczami czarne helikoptery co chwila wypuszczały rakietowe żądła.

Czeczeńskie okopy, odległe o dwa, trzy kilometry, milczały ogłuszone ogniową nawałnicą. Przyglądaliśmy się temu groźnemu widowisku ze wzgórza po przeciwległej stronie doliny.

Wioska pustoszała. W podwórzach domostw ludzie ładowali dobytek na ciężarowe samochody. Objuczone pojazdy, ciężko stękając, ustawiały się na drodze w żałobną karawanę. Wieśniacy nie wierzyli już, że partyzanci utrzymają okopy. A jeśli Rosjanie zajmą wzgórza, to może nie jutro, ale za tydzień, dwa zejdą do wsi tropić partyzantów i przetrząsać piwnice.

Wioskowe obejścia zamierały z każdą godziną. Ciszę przerywał tylko trzask targanych przez wiatr, niedomkniętych okiennic. Strzelanina na wzgórzach stawała się coraz głośniejsza i jakby bliższa.

Wracaliśmy do miasta w milczeniu, każdy zatopiony w swoich myślach. Rozmowa się nie kleiła.

Moja podróż dobiegała końca. Mansur sam ponaglał do wyjazdu.

– Jesteś tu już za długo – powtarzał. – Za dużo osób o tobie wie, za dużo się o tobie mówi.

Wracaliśmy: ja do domu, a Mansur, Omar i Musa do okopu nad Terekiem.

Tak postanowił Mansur, ale nie protestowałem ani nawet się nie zżymałem, że znów mi odebrał prawo wyboru. Znowu tak było łatwiej.

– Wyjeżdżam – powtarzałem sobie – ale wrócę, gdy tylko zechcę.

Czasami odnosiłem wrażenie, że jestem jednym z nich, że z widza staję się uczestnikiem dramatu. Wszystkiego dowiadywałem się z pierwszej ręki, od głównych bohaterów, rozmawiałem z nimi, wszędzie mogłem być, zobaczyć na własne oczy.

Byłem świadkiem przedstawienia, które rozgrywało się tuż-tuż, tak blisko, że z łatwością mogłem w nim uczestniczyć i rezygnować z udziału, zachowując nad wszystkim kontrolę. Jego realizm i bliskość stwarzały dodatkowo ułudę, że przeistaczając się wiele razy z widza w bohatera, mógłbym wpływać na dalsze wydarzenia, zmieniać ich bieg.

Ta bliskość odurzała jak opary haszyszu, zakłócała prawdziwy obraz, rodziła przekonanie, że jest się świadkiem – uczestnikiem czegoś naprawdę najważniejszego na świecie. To zaś umacniało poczucie własnej wyjątkowości. W głowie się nie mieściło, że poza nami i naszym przedstawieniem mogło jeszcze cokolwiek istnieć, cokolwiek się liczyć, przyciągać uwagę. Dlatego tak trudne bywają powroty do rzeczywistości, odkrywanie, że dramaty i wyjątkowe zdarzenia, które widzieliśmy, tak naprawdę nie zasługiwały czasem nawet na krótką wzmiankę, że nikt sobie nimi nie zaprzątał głowy. Ani nami.

Powroty oznaczały też bolesne przypomnienie, że choć może zbliżyłem się do tej ostatniej, niewidocznej, ale doskonale wyczuwalnej granicy, to jednak jej nie przekroczyłem, nie zobaczyłem, nie przekonałem się, jak to jest po drugiej stronie. Nie sprawdziłem, na ile wysłuchane opowieści i sporządzone szkice odpowiadają prawdzie. Ani choćby, czy warto, czy powinno się to sprawdzać.

Mansur, Omar i Musa zawieźli mnie do małej wioski tuż przy granicy z Inguszetią. Tu mieliśmy się rozstać. We wsi czekał Islam z nowym kierowcą i samochodem, który miał mnie przewieźć do Inguszetii. Moi przewodnicy i strażnicy wracali nabeznadziejny posterunek nad rzeką.

Mansur mocno uścisnął moją dłoń.

– Już dziś będziesz spał w swoim łóżku – z niedowierzaniem kręcił głową Musa.

Żegnając się, Omar nie podał mi ręki. Jakby uścisk dłoni miał oznaczać ostateczne pożegnanie ze wszystkim, co było jego dawnym życiem. Nagle coś sobie przypomniał i gorączkowo zaczął przetrząsać kieszenie kurtki.

– To dla twojego syna. Powiedz mu, że to od Czeczena.

W otwartej, ubrudzonej ziemią dłoni leżał metalowy obci-nacz do paznokci z plastikową, różową dźwigienką. Pamiątka z poprzedniego wcielenia i ostatni może łącznik z utraconym światem.

1 *Obława,*słowa Jacka Kaczmarskiego, na podstawie tekstu Włodzimierza Wysockiego. 129

Wiosna



To było niezwykłe uczucie zobaczyć Husajna w telewizji.

Jeszcze wczoraj rozmawialiśmy rozparci na kanapie w gościnnym pokoju Isy, popijaliśmy herbatę, paliliśmy papierosy. A następnego dnia w wieczornych wiadomościach pokazano, jak rosyjscy żołnierze wpychają zakutego w kajdanki Husajna do więziennego furgonu.

W bagażniku samochodu Husajna znaleziono dwieście pięćdziesiąt egzemplarzy powstańczej gazety „Iczkeria”. Oficer w telewizyjnych wiadomościach przechwalał się, że jego wartownicy zadali straszliwy cios buntownikom.

Isa szalał z wściekłości. Trochę się pewnie bał, że w czasie śledztwa jego przyjaciel nie wytrzyma i opowie Rosjanom o mieszkaniu Isy, w którym regularnie zbierają się ministrowie i posłowie powstańczych władz. Husajn, z wyglądu przypominający zapaśnika najcięższej z wag, był bowiem nie tylko posłem czeczeńskiego parlamentu, ale także byłym adiutantem powstańczego prezydenta, Asłana Maschadowa. Isa polecił mi go na przewodnika jako człowieka wyjątkowo ustosunkowanego i zaufanego. Wpadłszy w ręce Rosjan, Husajn nie tylko niweczył moje plany, ale – zdaniem Isy – podważał także jego autorytet i powagę.

Isa Madajew mówił o sobie, że jest królem swojej wioski. Nie miał żadnej oficjalnej posady. O jakiej zresztą posadzie można było mówić w czasie straszliwej wojny?! Próbowałem zrozumieć, czym się zajmuje mój gospodarz i przewodnik, w jaki cudowny sposób zdobywa pieniądze, pozwalające przetrwać kolejne dni nie tylko jego licznej rodzinie, ale także całej armii dalszych krewniaków i przyjaciół.

Od świtu, co rzeczywiście wstawał tu blady i wybiedzony, drzwi naszego mieszkania nie zamykały się ani na chwilę. Isa zabierał gości do bawialni, zamykając szczelnie drzwi do izby, w której mnie ukrywał.

Lejla, żona Isy, parzyła herbatę, częstowała cukierkami. Zza zamkniętych drzwi dochodziły podniesione głosy, czasem śmiech. Goście wychodzili, Lejla otwierała na oścież okna, by wypędzić z mieszkania chmurę tytoniowego dymu. Za chwilę jednak znów ktoś pukał albo wołał Isę prosto z ulicy.

Czasami Isa nakazywał synom przygotować do drogi dożywającą ostatnich dni wołgę i znikał na resztę dnia. Nie pozostawał bezczynny ani przez moment, ale trudno też było nazwać pracą to, czym się zajmował.

Kiedyś zagadnąłem Isę, gdzie przepada na całe dnie.

– Rządzę wsią – rzucił nieco zdziwiony.

Rządził wsią, ot tak!

Nie rządzili rosyjscy żołnierze, którzy rozłożyli się w zniszczonej i rozkradzionej cementowni! Ani namaszczeni przez nich urzędnicy nowej administracji! Nawet nie partyzanci, którzy za dnia ukrywali się w pobliskich lasach, a wieczorami przekradali się do wioski. Rządził Isa,

nie mając ani własnej armii, ani budżetu, ani nawet pieczęci! To do niego, a nie do wojennej komendantury czy urzędu gminy ludzie szli po radę i pomoc, to jego słuchali, jego sądów przestrzegali jak prawa. Bez jego wiedzy i zgody w wiosce nie mogło się zdarzyć dosłownie nic.

Władza Isy wynikała z faktu, że jego ród rządził Cziri-jurtem od bardzo dawna, wydawało się, że od zawsze. Isa nie musiał być wybierany ani namaszczany. Wioskę dostał już w chwili narodzin. Tak samo jak jego najstarszy syn, Asłan, który obejmie ją, gdy ojciec uzna to za stosowne lub gdy przeniesie się na tamten świat.

Sposobiąc się do roli dziedzica, Asłan skończył uniwersytet, zgłosił się na ochotnika do rosyjskiej armii, na życzenie ojca walczył w poprzedniej wojnie, wreszcie ostatnio ożenił się, ustatkował, nabrał powagi. Jeśli nie dopuści się występku lub błędu, który mieszkańcy wsi uznaliby za haniebny, z pewnością zostanie następnym wioskowym królem,*jurt-da*.

Isa uosabiał tradycję, a ta wśród kaukaskich górali liczy się znacznie bardziej niż władza urzędów, prawo czy nawet religijne nakazy. Tradycję dzielącą ludzi na swoich i obcych, zazdrośnie broniącą wolności wspólnoty przed wszystkimi, co jej zagrażają.

Był potomkiem wolnych chłopów i wojowników, którzy przed wiekami obalili swoich kniaziów i rządzili się odtąd zgodnie z odwiecznym kodeksem honorowym, a wszelką władzę traktowali jak obcą, wrogą. To warcholskie niemal przywiązanie do niezależności nie pozwoliło czeczeńskim góralom nigdy zjednoczyć się ani zbudować własnego nowoczesnego państwa z prezydentem, ministrami, sądami, policją. Isa reprezentował więc tradycję, święte prawo rodowej zemsty, która potrafi trwać przez dwanaście pokoleń, a także szczepową solidarność i sprawiedliwość, nakazujące bronić krewnych przed innymi. Karać ich za popełnione zbrodnie najsurowiej, ale we własnym domu.

Przed wojną Isa, jakkolwiek w sprawach wsi miał zawsze najwięcej do powiedzenia, był zastępcą dyrektora miejscowej cementowni, przerobionej teraz na rosyjskie koszary. Kiedy wybuchła poprzednia wojna, Madajew stworzył ze swoich robotników i urzędników partyzancki oddział, który, choć głównie strzegł wioski, bił się w oblężonej stolicy.

Na drugą wojnę Isa się jednak już nie wybierał. Nie ogłosił też zaciągu do nowego pospolitego ruszenia w wiosce. Nawet kiedy Rosjanie znów stanęli pod Groznym, a bomby, zrzucane z ich samolotów, zaczęły wybuchać na przedgórzu. Którejś nocy rosyjscy kanonierzy ostrzelali z dział chałupy na skraju wsi. Chyba przez pomyłkę, bo tym razem wioskowa starszyzna nie pozwoliła partyzantom ukryć się w Cziri-jurcie ani nawet się w nim pojawiać. Ci, którzy wymykali się z oblężonej stolicy i śpieszyli w góry, do zimowych kryjówek, nie zatrzymywali się we wsi nawet na popas. Dlaczego więc Rosjanie strzelali? Może, zwyczajnie, popili się, a może jednak był to znak, że tym razem wioska nie wykręci się tak łatwo od wojny, że także i jej przyjdzie zapłacić należną daninę.

Tej nocy, gdy na wieś spadły pierwsze pociski, z Cziri-jurtu uciekł wójt z rodziną. Nazajutrz miejscowi, a także uciekinierzy, którzy w ostatnich dniach całymi gromadami ściągali do Cziri-jurtu z pobliskiego Groznego i z coraz silniej bombardowanych górskich aułów, przyszli do Isy, by jako*jurt-da*wziął na siebie ciężar negocjacji z Rosjanami warunków tego, co jedni nazywali pokojem, a inni kapitulacją.

Wytargowana z rosyjskimi dowódcami umowa według Isy była pokojem. W Cziri-jurcie szeptano, że Madajew zapłacił Rosjanom pięćdziesiąt tysięcy dolarów, które zebrał po wsi. Kupił za to obietnicę, że rosyjscy żołnierze nie będą zapuszczać się do wioski. Do pieniędzy musiał jeszcze dorzucić przyrzeczenie, że z Cziri-jurtu w kierunku Rosjan nie padnie żaden strzał. Byli tacy, co sarkali, że Madajew przepłacił. Ale pięćdziesiąt tysięcy dolarów to chyba była dobra cena za spokój i bezpieczeństwo sporej wsi i jej kilkunastu tysięcy mieszkańców.

Umowa, choć nieraz to celowo, to przypadkiem łamana, jednak działała i jeszcze bardziej umocniła ograniczoną, lecz za to rzeczywistą władzę Isy. Stawał się on od tej pory kimś nieodzownym.

Wioska, która dotąd błagała tylko o ratunek, teraz, gdy przestała się już bać o życie, zaczęła domagać się od Isy więcej i więcej. Zima, śnieżna i mroźna, dopiero nadchodziła dostojnie, upajając się swoim majestatem i grozą. Ale ludzie już marzli i wyrąbywali sady, by się ogrzać w cieple palonych jabłoni i grusz. Uchodźcom głód zaglądał w oczy, błagali więc Isę, by wyłudził od Rosjan choćby trochę

żołnierskiego chleba. Pomóż! Załatw! Zrób!

Przychodzili do Isy także rosyjscy żołnierze.,,Nie mamy dobrej wody do picia. Od tej, którą nam przywożą, tylko chorujemy. Upieczcie nam w piekarni chleba, bo ten nasz do niczego się nie nadaje".

W piekarni w Cziri-jurcie z rosyjskiej mąki wypiekano czeczeński chleb, a Madajew znalezionymi we wsi cysternami woził Rosjanom wodę. W zamian żołnierze naprawiali wioskowy gazociąg, sztukowali pozrywane przewody elektryczne, sprzedawali benzynę zlewaną pokątnie z wojskowych pojazdów. Kiedyś w nocy złapano w wiosce dwóch rosyjskich żołnierzy, którzy próbowali okraść sklep. Błagali, żeby ich nie wydawać partyzantom z gór w niewolę, mówili, że głodują. Rano Isa sam odwiózł ich do cementowni, a rosyjskiemu dowódcy zapowiedział, że jeśli jego żołnierze czegokolwiek potrzebują, niech przychodzą do wsi za dnia, byle nie po zmroku i z bronią.

Rosyjscy oficerowie pochodzili aż z Syberii. Nie znali Kaukazu. Bali się tutejszych dróg, zasadzek, bali się zbłądzić. Wszystkiego się bali. Isa przydzielił im więc swoich przewodników i kierowców do ochrony, a czasami oddawał im nawet własną wołgę na przejażdżki. Mawiał, że zrobiłby chyba wszystko, byle uratować wieś.

Oblężona wioska żywiła oblegające ją wojsko. Ono zaś pilnowało, by nie doszło nigdy do szturmu, by nie kazano mu maszerować gdzie indziej. Wioska, otoczona ze wszystkich stron przez oblężniczą armię, stawała się gettem, w jego murach toczyło się w miarę normalne i w miarę bezpieczne życie. Nie wolno było jednak pod żadnym pozorem przekraczać niewidzialnych murów. Poza nimi rozpościerał się upiorny teren łowiecki, na którym nie obowiązywały żadne prawa, żadne zasady, a ludzie młodzi, zwłaszcza mężczyźni, natychmiast stawali się zwierzyną łowną.

Jedynie Isa, wioskowy król, znał wszystkie szczeliny w murach getta, wszystkie sekretne przejścia, i tylko on potrafił przeprowadzać z jednej strony na drugą. Był jedynym łącznikiem między obydwoma światami.

Dlatego z potęgą Isy musieli się liczyć wszyscy, i wszyscy też zabiegali o jego względy. Rosjanie, którym pozwolił rozłożyć obóz w wiosce i obiecał, że nikt do nich nie będzie strzelał, jeśli nie będą wtykali nosa

w nie swoje sprawy. I powstańczy przywódcy, za jego zgodą ukrywający się we wsi. Nawet partyzanccy komendanci, którym udzielał noclegu we własnym domu, od czasu do czasu zaś pozwalał brać rekruta spośród wioskowej młodzieży.

Isa przyznawał, że prowadzi grę bardzo ryzykowną, działa na pograniczu, wciąż w cieniu zdrady. Przyznawał też, że ma bardzo wielu wrogów, jego władza od dawna kole ich w oczy. Dlatego zamknął mnie w izbie i zakazał opuszczać dom przed zmierzchem i bez eskorty. Nie pozwolił mi wychodzić na balkon ani nawet zbliżać się do okien. Spędziłem tak blisko miesiąc.

Mój pokój przez cały dzień był pogrążony w półmroku. Okna, zakurzone i przesłonięte dla bezpieczeństwa żółtawym papierem, a także drzwi na zakazany balkon wychodziły na stronę północną. Pod jedną ścianą stał tapczan, pod drugą kanapa. Sąsiadem wiecznie zamkniętych drzwi był oszklony kredens ze starymi, zatęchłymi książkami, ich piwniczny zaduch wypełniał całą izbę.

Na pokrytych tapetami ścianach wisiały wielkie kilimy, tak ciężkie, że zdawało się, iż za chwilę zwalą się z hukiem pod ciężarem spojrzenia. Był jeszcze stary, stojący w nogach tapczanu fotel, obity brunatnym, wytartym aksamitem.

Zwykle posiłki jadałem w kuchni, ale w dni, gdy do Isy schodziło się wielu interesantów i gości, jego żona, Lejla, ustawiała mi w pokoju maleńki stolik i przynosiła śniadanie i obiad.

Moje życie w podziemiu zaczęło się jeszcze w inguskim mieście Nazrań, zaraz za czeczeńską miedzą. Tam, w umówionym miejscu, czekał na mnie przewodnik, okazał się nim właśnie Isa. Przedstawił się jako człowiek, który może jeśli nie wszystko, to wiele. Obiecał nie tylko przerzucić mnie przez granicę, ale doprowadzić do ukrywających się gdzieś w górach Asłana Maschadowa lub Szamila Basajewa.

Nie budził zaufania. Mimo ciepłej wiosny ubrany w czarny kapelusz i długi do ziemi płaszcz, przypominał raczej marnego aktora z niskobudżetowego filmu kostiumowego. Było jednak w nim coś, co podpowiadało, że spośród całej sfory przewodników natarczywie oferujących swoje usługi, to właśnie on będzie tym jedynym właściwym.

Może dlatego, że inni nie dawali spokoju, łazili za mną krok w krok, nalegali, przymilali się, grozili, a Isę sam wywołałem, ściągnąłem z drugiej strony muru, nie wiedząc nawet, kim jest.

Inguski Nazrań i cała Inguszetia, czeczeńska sąsiadka, pełne były uchodźców. Spotykało się ich wszędzie. Na bazarach, gdzie usiłowali dorobić do mizernych, głodowych zasiłków, na rynku, gdzie szukali dorywczej pracy, w martwych, rozkradzionych fabrykach i magazynach, gdzie koczowali, a przede wszystkim na otaczających miasto ugorach, na których wyrosły zbudowane specjalnie dla nich osiedla brezentowych namiotów. Mieszkali nawet w wagonach podstawionego na kolejowej bocznicy pociągu. Szacowano, że z Czeczenii uciekła do Inguszetii jedna czwarta wszystkich Czeczenów i że było ich tu więcej niż samych Inguszów.

Uciekali przed wojną, zanim jeszcze Rosjanie zamknęli pierścień oblężenia wokół czeczeńskiej stolicy, Groznego. Wielu zginęło na drogach w wyładowanych dobytkiem samochodach, roztrzaskanych przez czołgowe pociski i rakiety odpalane z lecących tuż nad ziemią śmigłowców. Jako ostatni uciekali ci, którym jakimś cudem udało się przeżyć zagładę Groznego. Wypełzali spod ruin zburzonego miasta i ściskając w rękach białe szmaty, uciekali byle dalej od koszmaru.

Oblężenie miasta trwało prawie pół roku. Tym razem Rosjanie nie śpieszyli się ze szturmem. Pomni klęski z poprzedniej wojny, gdy rzucone na Grozny pancerne pułki i piechota zostały otoczone i wybite, wcale nie zapuszczali się w gęstwinę ulic, nie atakowali, a nawet nie przyjmowali bitew. Powoli, metodycznie, dom po domu, ulica po ulicy, dzielnica za dzielnicą niszczyli miasto, bombardując je z samolotów, wyrzutni rakietowych, dział dalekiego zasięgu i czołgów. Piechota wkraczała do akcji dopiero wówczas, gdy milkły reduty partyzantów. Grozny skapitulował jako ostatni. Zanim Czeczeni poddali miasto, Rosjanie zajęli już nawet górskie szczyty na granicy z Gruzją. Byli wszędzie.

Rosjanie zamknęli podbite miasto i kraj. Otoczyli gęstą siecią tysięcy posterunków, zakazali wizyt cudzoziemcom, a nawet Czeczenom bez dokumentów potwierdzających, że przed wojną rzeczywiście byli mieszkańcami tego nieszczęsnego kraju.

Dlatego właśnie potrzebowałem dobrego i zaufanego przewodnika, który by przeprowadził mnie na drugą stronę, ale i zapewnił powrót. Nowego, bo tego, kogo mi polecano przed wyprawą, już w Nazraniu nie zastałem. Wyjechał bez uprzedzenia, nie zostawiając żadnego adresu ani wskazówek, gdzie by go można odnaleźć.

Nazrań wprost roił się od ludzi przedstawiających się jako najlepsi na całym Kaukazie przewodnicy, znający wszystko i wszystkich, wszechmogący i nietykalni. Większość podawała się za kuzynów najsłynniejszych, ukrywających się w górachkomendantów partyzanckich. Zapewniali, że doprowadzenie do słynnego krewniaka nie stanowi dla nich najmniejszego kłopotu. Zastrzegali przy tym, że oni, i tylko oni, mogą zaaranżować spotkanie, ale też storpedować każdą inicjatywę, z której by zostali wykluczeni.

Wszystko miało być jedynie kwestią ceny. Co chcesz zobaczyć? Z kim się spotkać? – kusili. Załatwię wszystko, co chcesz. Spacer ruinami Groznego, a może wizyta na polu, tam, gdzie partyzanci wychodzili z miasta i gdzie został ranny Szamil Basajew? Chłopiec, którego rodzice zginęli podczas bombardowania, matka, która straciła trzech synów? Żaden kłopot. A może coś specjalnego? Wizyta w kryjówce partyzantów w dolinie Argunu? Interesują cię partyzanci ukrywający się w mieście? A może ci, co planują zamach bombowy w Groznym? Chcesz zobaczyć rannych rosyjskich żołnierzy? Mam znajomego w szpitalu wojskowym, będziesz mógł nawet zrobić im zdjęcia. Mogę załatwić też coś naprawdę ekstra. Co byś powiedział na wylot z rosyjskimi żołnierzami na akcję w górach? Niemożliwe? Zdaj się na mnie, zaufaj mi. No i oczywiście spotkania ze wszystkimi Ważnymi i Wyjątkowo Walecznymi Komendantami. Płatne z góry.

W mieście, w którym cudzoziemcy pojawiali się wyłącznie po drodze na drugą, zakazaną stronę czeczeńskiej granicy, opędzić się od przewodników ani przed nimi ukryć było nie sposób. Dla spokoju, żeby nie rzucać się w oczy i nie robić sobie wśród nich niepotrzebnych wrogów, siedziałem w hotelu, odgrzebując w notesie i w pamięci imiona i adresy dawnych znajomych, którzy według moich obliczeń i wiedzy powinni wciąż być po drugiej stronie.

Pewnego dnia poznałem Mohammeda, taksówkarza z Groznego. Ponieważ miał tamtejszy meldunek, mógł bez problemu wozić podróżnych przez granicę. Płaciłem mu za kursy i wysyłałem do Czeczenii z listami, licząc, że kogoś jednak zastanie i przywiezie odpowiedź. W końcu odezwał się znajomy z Duba-jurtu. Obiecał coś załatwić. To on zarekomendował mnie Isie, a Mohammed przywiózł go do Nazrania.

Isa, który przy pierwszym spotkaniu nieco mnie rozczarował, kazał czekać, aż przyśle kogoś ze swoich ludzi. Miałem go rozpoznać po pudełku zapałek z jakiegoś indonezyjskiego hotelu, z białym orłem na czerwonym tle i arabskimi napisami.

Dopiero teraz czas zaczął się dłużyć nieznośnie. Nie mogąc sobie znaleźć miejsca ani popędzić znieruchomiałych nagle wskazówek zegara, kazałem Mohammedowi wozić się po uchodźczych osiedlach wokół Nazrania. Obaj byliśmy zadowoleni, on – bo płaciłem mu za cały dzień, a ja – bo pomagał zabijać czas. Mohammed opowiadał, jak wygląda świat z tej drugiej strony, na którą dopiero się wybierałem. Słuchając kierowcy, starałem się wyobrażać sobie to, co opisywał.

– Urodziłem się w Groznym i znałem miasto jak własną kieszeń, dziś raz po raz gubię się w ruinach – mówił jakby z niedowierzaniem. – Z placu Minutka, tego w śródmieściu, możesz sobie popatrzeć na dworzec kolejowy. A kiedyś między jednym i drugim placem stało przecież całe osiedle kilkunastopiętrowych domów. Z półmilionowego miasta zostały same gruzy. Kiedyś wpadłem samochodem na Rosjan, szli ulicą i wysadzali w powietrze te domy, które ocalały z bombardowań. Nie mogli się nadziwić. Jak to – mówili – tyleśmy bomb zrzucili, a ten tu się ostał?

Jeździłem zazwyczaj do uchodźców z pociągu stojącego w szczerym stepie za wsią Karabułak.

Z daleka odnosiło się wrażenie, że pociąg zatrzymał się z powodu awarii albo po prostu na życzenie pasażerów zrobił przerwę w podróży. Ludzie przechadzali się wzdłuż wagonów, nie oddalając się zanadto, jakby z obawy, że pociąg ruszy beznich. Przeciągali się, rozprostowując zdrętwiałe ręce i nogi.

Mężczyźni, zbici w gromadki, palili tytoń, kobiety krzątały się, nawołując rozbieganą dzieciarnię.

Złudzenie chwilowej przerwy w podróży pryskało, gdy podeszło się bliżej.

W wagonie oznaczonym numerem dwadzieścia siedem mieszkał znajomy Mohammeda, Alchazur. Kiedy przyjechał z rodziną do Karabułaku zimą, uważał się za szczęściarza, bo dostał przydział w pociągu. Było tu jakoś przytulniej, bardziej po ludzku, ciepło, cieplej niż w rozstawionych dopiero co w stepie namiotach. Ludzie bili się o wagony, rodziny chciały dostać jak najwięcej przedziałów, i to najlepiej jeden obok drugiego.

Nie myśleli, że przyjdzie im tu siedzieć tak długo. Grunt to przeżyć zimę – pocieszali się – a potem jakoś się ułoży. Ale już zima była upiorna. Kiedy przestawali grzać, pociąg przemieniał się w chłodnię. Najbardziej jednak dokuczał brak przestrzeni. Siedzieli całymi dniami bezczynnie, ściśnięci w zgiełku i zaduchu, bez szans na chwilę samotności. Wciąż potrącani, dotykani, pozbawieni ciszy, otoczeni zewsząd twarzami bliskich i znajomych, które z każdym dniem, z każdą godziną stawały się coraz bardziej znienawidzone.

Mężczyznom było łatwiej. Zajmowali miejsca przy oknach albo wychodzili na korytarz palić papierosy. No i wolno też było im krzyczeć, gdy nerwy odmawiały posłuszeństwa. Kobiety mogły co najwyżej płakać. Jedna zwariowała tej zimy i lekarze wywieźli ją z Karabułaku. Nikt nawet nie pytał dokąd.

Wiosna, wyjątkowo ciepła i słoneczna, zamiast przynieść ulgę, przeraziła ich koszmarem lata. W nagrzanym za dnia słońcem, dyszącym żarem pociągu nie sposób było zasnąć. Upał odbierał sen, ostatnie wytchnienie, jakie zostawiała jeszcze litościwa ciasnota.

Ludzie po całych dniach snuli się bez celu wokół pociągu. Szczery step rozciągający się po horyzont zniechęcał do wysiłku, pozbawiał resztek inicjatywy. Wokół nie było dosłownie nic, żadnego drzewa.

Czasami, zwłaszcza o zmierzchu, od pociągu odrywały się jednak sylwetki ludzi. Samotnie lub we dwoje wędrowali przed siebie, niknąc na horyzoncie. Niektórzy szli pomyśleć albo popłakać, pary wyruszały

w dal, by odnaleźć w sobie to, co pozostało z uczucia, pragnienia.

A kiedyś pociąg ruszył, jeden jedyny raz. Przysłany maszynista chciał sprawdzić, czy lokomotywa była jeszcze sprawna, czy nadawała się do czegokolwiek. Nagły ruch wyrwanych z letargu wagonów doprowadził ludzi niemal do obłędu. Jedni gonili pociąg, jakby widzieli w nim umykającą, ostatnią szansę. Inni – przeciwnie, wyskakiwali w biegu, spychali dzieci ze schodków na ziemię, wyrzucali przez okna dobytek. Starsi, którzy pamiętali lata wywózki Czeczenów na Syberię i do Turkiestanu, krzyczeli, by uciekać, bo pociąg znowu powiedzie wszystkich na zatracenie.

Alchazur przemyśliwał nawet, czy przed latem nie wrócić do Groznego. Nie wyobrażał sobie lata w pociągu na stepie, a udręki następnej zimy w wagonie już by nie zniósł. Chciał uciekać, nie wiedząc nawet dokąd, ale był pewien, że wszędzie będzie mu lepiej.

Unieruchamiał go jednak brak dokumentów, bez nich zaś był nikim, nie istniał. Nie figurował na żadnych listach, nie mógł o nic prosić, niczego żądać, do niczego się zapisywać.

Zostawił, a raczej stracił swoją tożsamość w bombardowanym mieście. Kiedy zaczął się nalot, zbiegł ze wszystkimi do piwnicy. Ocalał, ale dokumenty i wszystko, co składało się na jego dotychczasowe życie, spłonęło podczas pożaru. Nie mógł sobie darować, że śpiesząc do piwnicy, nie wziął ze sobą dokumentów. Tylko kto zabiera paszport do piwnicy? Kto by pomyślał, że bomba spadnie akurat na jego dom i że to akurat jego życie legnie w gruzach?

W Nazraniu spotkałem Laryssę z Argunu.

Miała dwadzieścia osiem lat. Była kobietą o ładnej, choć zaciętej twarzy i szerokich ramionach chłopki. Jej życie odmieniło się na zawsze, gdy wczesną wiosną na ulicę, przy której stał jej dom, zajechały wozy pancerne pełne żołnierzy w polowych mundurach i czarnych, naciągniętych na twarze, wełnianych czapkach z otworami na oczy.

Nie pierwszy raz wojsko zajeżdżało do miasteczka, by sprawdzać dokumenty i przetrząsać chałupy w poszukiwaniu ukrywających się partyzantów.

Zazwyczaj przyjeżdżali jeszcze przed świtem, w ciemnościach, gdy

ludzie byli pogrążeni w najgłębszym śnie. Nagle obudzeni łomotaniem do drzwi kolb i pięści, waleniem butów, krzykami, groźbami i dobiegającym zza okien warkotem silników wozów pancernych, okazywali się zupełnie bezradni.

Bramy i drzwi wypadały z zawiasów pod naporem kopniaków, w obejścia wbiegali żołnierze w kuloodpornych kamizelkach, w hełmach, z zasłoniętymi twarzami. Dowódcy kazali żołnierzom kryć się pod maskami, żeby uniemożliwić rozpoznanie i zemstę ze strony partyzantów.

Ale anonimowość dawała nie tyle bezpieczeństwo, ile poczucie bezkarności. Nie widać twarzy, nie widać też dystynkcji ani niczego, co by wskazywało, z jakiego pochodzili pułku. Także wozy pancerne, którymi Rosjanie nocami przyjeżdżali do czeczeńskich miasteczek i aułów, miały zamazane numery i pozdejmowane tablice rejestracyjne.

Najpierw żołnierze urządzali łapanki za dnia. Nocami bali się zachodzić w obawie przed partyzantami, którzy wracali do domów na odpoczynek. Otaczali czołgami i wozami pancernymi całe wsie i po kolei, chałupa po chałupie, wyciągali wieśniaków, sprawdzając ich dokumenty, tłukąc kolbami karabinów za opieszałość czy hardość, niszcząc meble i naczynia, wszystko, co mogło dla gospodarzy przedstawiać jakąś wartość. To, co dla nich samych stanowiło wartość, ładowali do czołgów i na ciężarowe samochody i wywozili do koszar jako wojenne łupy.

Dopiero gdy z Argunu, ratując się przed łapankami, uciekli prawie wszyscy młodzi mężczyźni, Rosjanie zaczęli organizować akcje nocami.

Na początku rabowali po domach pieniądze, drogocen-ności, ubrania, dywany, telewizory, wszystko, co nadawało się do natychmiastowego spieniężenia na którymś z kaukaskich bazarów. Kiedy miasteczka i wsie zostały już doszczętnie ogołocone, przyjeżdżali po ludzi. Aresztowali ich pod byle pretekstem i wywozili do garnizonów. Wiedzieli, że na Kaukazie każdy ojciec wydostanie spod ziemi pieniądze, by wykupić syna, a syn ojca.

Męża Laryssy, Szamila, Rosjanie zabrali z domu wczesnym popołudniem, w dzień urodzin ich starszej córki. Laryssa do dziś nie może sobie darować, że uległa wtedy słabości i poprosiła Szamila, by

posiedział z dziećmi, a jej pozwolił w tym czasie pobiec do dentysty. Dentysta się spóźnił. Gdy zobaczył przed gabinetem czekającą Laryssę, powiedział, że widział przed chwilą, jak żołnierze wloką do wozu pancernego jej Szamila.

Rosjanie zajechali na ich ulicę, gdy Szamil wychodził do pobliskiego sklepiku po prezent dla starszej córki. Laryssa zdążyła jeszcze dobiec do wozu, gdy odjeżdżali sprzed ich chałupy, ale żołnierze krzyknęli, że wypuścili męża. W domu Szamila jednak nie było, a kiedy Laryssa wybiegła na ulicę, nie było już i żołnierzy.

Tego dnia razem z Szamilem Rosjanie zabrali z Argunu jeszcze dwudziestu siedmiu młodych mężczyzn. Trupy czterech z nich już nazajutrz znaleźli pasterze na łące. Zawodząc i rwąc włosy z głowy, Laryssa pobiegła je obejrzeć, ale nie znalazła wśród nich Szamila. Zauważyła tylko, że zwłoki wyglądały na wypatroszone. Po Czeczenii od dawna krążyły opowieści o tym,że Rosjanie porywają młodych Czeczenów, by ich zabić, a potem zabrać serca, wątroby, nerki i inne organy na przeszczepy dla rannych żołnierzy i pacjentów w rosyjskich szpitalach.

Ponad rok Laryssa szukała męża. Zanim jako szesnastoletnia dziewczyna wyszła za niego za mąż, nie tylko go nie kochała, ale nawet nie znała. Zgodnie bowiem z miejscowym obyczajem porwała Laryssę przyszła teściowa, która upatrzyła ją sobie na żonę dla jedynaka. W końcu Laryssa polubiła Szamila, był dla niej dobry, nieźle zarabiał jako rzeźnik i właściciel taniej jatki na grozneńskim bazarze. Podobało jej się też, że została porwana. Żałowała szkoły, którą musiała rzucić, ale w zamian stawała się kobietą – koleżanki bardzo jej tego zazdrościły.

Szukając uprowadzonego Szamila albo chociaż jakiejś wieści o nim, jeździła po kraju oglądać każdą zbiorową mogiłę, wędrowała do każdego aułu, gdzie znajdowano jakieś ciało. Grzebała wśród szczątków, próbując odnaleźć cokolwiek, co by przypominało męża. Jeździła też na skargi do prokuratorów, oficerów śledczych i komendantów.

Szamil, jako jedynak, nie walczył ani w poprzedniej, ani w nowej wojnie. Żaden z partyzanckich komendantów nie przyjąłby do oddziału jedynego żywiciela rodziny, jedynego syna czeczeńskiej matki.

Walczył za to brat Laryssy, Dżambułat. I w tamtej, i w tej wojnie. Bił się w dodatku w oddziale arabskiego ochotnika, Chattaba, szczególnie znienawidzonego przez Rosjan. Był jednym z jego najważniejszych komendantów i najbliższych zauszników.

Dżambułat też dostał się w ręce Rosjan, ale uszedł z życiem dzięki rosyjskiemu pułkownikowi wywiadu, który go przesłuchiwał w więzieniu. „Nazywał się Iwan Markow i był wyjątkowo honorowym, uczciwym i przyzwoitym człowiekiem – opowiadała Laryssa. – Podczas śledztwa Dżambułat przyznał się, że walczył jako partyzant, i dodał, że jeśli odzyska wolność, dalej będzie się bił z Rosjanami. Temu Markowowi bardzo się to spodobało, powiedział więc nam, że jeśli kupimy dwa karabiny maszynowe i tuzin granatów, które jako poddający się partyzant powinien oddać Rosjanom mój brat, a ponadto jeśli zapłacimy mu tysiąc dolarów i dorzucimy w prezencie kaukaską baranicę i srebrny kindżał, pomoże Dżambułatowi uciec. Zrobiliśmy, jak chciał, on zaś dotrzymał słowa. Honorowy się okazał. Jak ci rosyjscy oficerowie z wierszy Lermontowa".

Korzystając ze znajomości z Markowem, Laryssa wiele razy chodziła do niego na skargę.

Najpierw w sprawie aresztowania Szamila, którego wciąż szukała. Markow wściekał się na żołnierzy, nieraz tłukł ich po pyskach na oczach Laryssy, obiecywał pomoc. Ale nazajutrz po każdej wizycie u Markowa żołnierze zajeżdżali wozami pancernymi pod jej dom. Bili ją na oczach jej pięciorga dzieci. Oskarżali o to, że pomaga partyzantom, straszyli, że jeśli nie przestanie szukać męża po komendanturach, sama skończy w więzieniu.

Pewnego dnia w ogrodzie natknęli się na samosiejki konopi indyjskich rosnących nad Argunem po rowach. Oskarżyli ją o handel narkotykami. Podczas którejś z nocnych wizyt jeden z zamaskowanych żołnierzy złapał za nogi leżącego w kołysce kilkumiesięcznego syna, Fattaha. Stwierdził, że Fattah to arabskie imię i dowód na to, że Laryssa wspiera muzułmańskich wojowników Chattaba. Dzieciak, od trzymania do góry nogami i płaczu cały zsiniał, a żołnierz powiedział, że go roztrzaska o ścianę, jeśli Laryssa natychmiast nie przyniesie pieniędzy. Biegając jak

oszalała w środku nocy po sąsiadach, Laryssa zebrała kilka tysięcy rubli. Żołnierz wziął pieniądze i rzucił chłopca na ziemię.

Aż w końcu pasterze odkopali na łące pod Gudermesem mogiłę, w której znaleźli kilka ciał. W jednym z nich, po szczątkachubrania, Laryssa rozpoznała Szamila.

Dalej chodziła na skargę do Markowa. O śmierć męża, o wielokrotne pobicie przez rosyjskich żołnierzy, którzy dalej zajeżdżali nocami pod jej dom w Argunie. Wciąż bili ją na oczach płaczących dzieci, domagali się pieniędzy, straszyli, grozili.

Którejś nocy zaciągnęli Laryssę do alkowy i zgwałcili. Żadna Czeczenka nie przyzna się przed cudzoziemcem do gwałtu. Lekarze stwierdzili, że Laryssa została wielokrotnie zgwałcona. Wywieźli ją do Inguszetii, żeby tam usunęła ciążę będącą wynikiem gwałtu.

– Nie płaczę, bo Czeczenom nie przystoi płakać – mówiła Laryssa głosem twardym, beznamiętnym. – Chciałabym już nigdy nie wracać do Argunu. Nikomu nie życzę, żeby się tam znalazł. Ale nie mam pieniędzy, by się stamtąd wyrwać i z piątką dzieci pojechać gdzieś w świat, zacząć nowe życie. Nie wierzę, żeby w Argunie można było kiedykolwiek żyć po bożemu, tak jak kiedyś, gdy porwała mnie teściowa i wydała za jedynego syna. Tamto życie, tamte czasy zniszczyli ci, co przyjeżdżali do mojego domu pancernymi wozami, z karabinami i w czarnych maskach. Nienawidzę ich z całej duszy i życzę im powolnej śmierci w męczarniach, które sama chciałabym zadawać.

Upłynęło kilka długich, pełnych wyczekiwania dni, zanim przybył wysłannik Isy.

Zadzwonił z recepcji i powiedział, że czeka na dole. Kiedy zbiegłem po schodach, w hotelowym holu roiło się od rosyjskich żołnierzy. Ich wygląd, zakurzone, spalone słońcem twarze, a także pełne nonszalancji zachowanie pozwalało się domyślać, że niechybnie przybyli z Czeczenii.

Na mój widok z ruchliwego kręgu przekleństw i mundurów oderwał się niski Czeczen w ciemnym, wymiętym garniturze. Z porozumiewawczym uśmiechem wsunął mi w dłoń pudełko indonezyjskich zapałek.

Chamzat był bratem Isy. Jego wielka ciężarówka, otoczona sforą

wojskowych samochodów, zagradzała wejście do hotelu. Potrzebował świty żołnierzy, by bez przeszkód jeździć codziennie do Inguszetii lub Dagestanu, dokąd wywoził na sprzedaż zbierany w Czeczenii złom. Gdyby podróżował sam, musiałby się opłacać na posterunkach, dzielić zyskiem, narażać się na upokorzenia i znoje, płaszczyć się, przymilać, tracić czas. A mogło się przecież zdarzyć najgorsze – żołnierze mogli odebrać mu ciężarówkę albo, pod byle pozorem, wtrącić go do więzienia. Dlatego Chamzat jeździł ze swoim złomem zawsze w orszaku żołnierzy, których przydzielał mu komendant garnizonu w Cziri-jurcie w ramach programu wymiany przysług z Isą.

Żołnierze chętnie towarzyszyli Chamzatowi. Podróże, choćby do Nazrania czy dagestanskiego Chasaw-jurtu, urozmaicały monotnię służby, cudownie skracały czas, który w przerobionej na koszary cementowni zdawał się stać w miejscu. W dodatku w zamian za opiekę na granicy Czeczen na licznych postojach karmił ich szaszłykami i poił osetyjską wódką. Dlatego z Cham-zatem zabierali się zwykle tylko podoficerowie, najstarsi stażem, najbardziej doświadczeni i zepsuci wojną, a tacy okazywali się najużyteczniejsi przy wszelkiej maści kontrolach.

Chamzat ze świtą wracał właśnie z nazranskiego bazaru, gdzie sprzedał złom, i w drodze powrotnej zajechał do hotelu, by mnie zabrać.

Wciśnięty na tylnym siedzeniu wojskowego pojazdu między dwóch żołnierzy, niewiele widziałem, ale sam również nie byłem widoczny. Żołnierze milczeli jak zaklęci i bez przerwy palili papierosy. Wydawali się onieśmieleni sytuacją, a może trochę zawstydzeni, w końcu oszukiwali swoich i to w dodatku przy obcych.

Przez granicę przemknęliśmy niemal bez zwalniania.

Jechaliśmy w głąb Czeczenii.

Szary i smutny Aczchoj-Martan, podziurawiony pociskami, zastawiony budami, roztrzaskany przez rosyjskie samoloty Katyr-jurt, na którym los zemścił się za to, że nie udzielił gościny powstancom uciekającym z obleganej stolicy. Strudzeni, przerażeni, zdziesiątkowani golgotą na minowym polu, wlokąc zabitych i rannych, zatrzymali się w Katyr-jurcie, by choć na chwilę odetchnąć i opatrzyć rany. Ale na próżno pukali

i wołali o pomoc. Bramy domostw pozostały na głucho zamknięte, partyzanci spędzili więc zimową noc pośród bazarowych straganów na rynku. O świcie dojrzeli ich rosyjscy lotnicy, a w południe na Katyr-jurt spadł deszcz bomb i artyleryjskich pocisków.

Na przedmieściach Groznego paliły się instalacje naftowe. Ciepło pożarów oszukało naturę – mimo wczesnej wciąż wiosny wokół ruin, czerwonych płomieni, okopconych i poskręcanych rur rozkwitł bielą zdziczały czereśniowy sad.

Jedna ze stu krążących po Kaukazie przepowiedni mówi, że Grozny jest miejscem, nad którym ciąży klątwa, i że zostanie zrównany z ziemią na skutek niszczycielskich ruchów skorupy ziemskiej.

Zagłada dla miasta nadeszła nie z głębi ziemi, lecz z nieba. Stara przepowiednia była najwidoczniej niedokładna, któż jednak w dziewiętnastym stuleciu odważyłby się twierdzić, że śmierć i zniszczenie będą zadawać latające machiny? A może to wcale jeszcze nie była ta zapowiadana apokalipsa?

Miasto leżało w ruinie. Wszędzie, gdziekolwiek spojrzeć, rozpościerały się bezkształtne piramidy gruzów, wśród których sterczały szkielety wielopiętrowych kamienic.

Półmilionowe miasto, z własnymi uniwersytetami i fabrykami, a przede wszystkim z zakładami petrochemicznymi i instytutami naukowymi, które uczyniły je słynne na cały świat, to miasto, bogate niegdyś, rojne i po wielkomiejsku zarozumiałe, zostało zburzone, zrównane z ziemią w sposób dosłowny.

Nie rozpoznawałem miejsc i kierunków, nic niczego nie przypominało. Nie potrafiłem odnaleźć ani ruin hotelu, w którym kiedyś mieszkałem, ani ratusza, gdzie przed laty pierwszy raz spotkałem Dudajewa. Nie zauważyłem nawet Minutki, najbardziej rozpoznawalnego z punktów orientacyjnych dla cudzoziemskich dziennikarzy, którzy odwiedzali Grozny w czasie wojny. Zorientowałem się, że ją minęliśmy, gdy nasz samochód pogrążał się już w tunelu, by główną ulicą miasta, aleją Awturchanowa, dotrzeć do śródmieścia. Poprosiłem Rosjan, by zawrócili.

Ten niewielki, okrągły plac nazywano Minutką, bo zatrzymywano się

tu na minutkę. Przystanki wyznaczały tu sobie autobusy, tu przywożono podróżnych z kraju i stąd zabierano tych, co chcieli wyjechać. W niezliczonych gospodach, które mieściły się w okolicznych domach, podawano kaukaskie przysmaki, słomkową herbatę, czarną kawę w maleńkich filiżankach. Już podczas pierwszej wojny Minutka została straszliwie okaleczona, zdawała się nie do poznania. Leżała na samej linii frontu, była bramą do położonego na drugim brzegu Sunży i bronionego przez dżygitów Dudajewa śródmieścia wraz z prezydenckim pałacem, ostatnią redutą Czeczenów.

Druga wojna zamieniła Minutkę w bezkształtną, do niczego niepodobną kupę gruzów. Wojna, a raczej egzekucja, trwała tu dwa tygodnie. Wszystko wokół wybuchało i płonęło, w dzień i w nocy. Nie uratował się żaden z tamtejszych domów, nie zostały nawet ruiny czy zgliszcza. Minutka stała się równinną pustynią gruzów, a jedyną oazą życia, jedynym miejscem, gdzie można było natknąć się na żywe istoty, były wojskowe posterunki.

Z daleka wydawało się, że wojna obeszła się ze śródmieściem łaskawiej niż z Minutką. Było po prostu zbyt duże, by zetrzeć je z powierzchni ziemi. Zachowały się kształtyprzeszłości, zarysy dawnych alei, które teraz były przepastnymi wąwozami zburzonych i wypalonych budynków, kominy śródmiejskich kamienic. Przy jednej z ulic, na gruzowisku, zauważyłem w stojącym wciąż fragmencie muru drzwi. Prowadziły donikąd, za nimi rozciągała się tylko zamieszkana przez bezpańskie psy pustynia, ale i tak kusiły, by podejść i je otworzyć.

Wokół pełno było potłuczonego szkła – chrzęściło pod butami w całym mieście. Wszędzie śmieci, gruz, żelastwo, poskręcane i spalone wraki samochodów. Wojnę przetrwały nieliczne mury, teraz upstrzone napisami: „Witajcie w piekle” i,,Tu żyją ludzie". W ruinach panowała grobowa cisza, przerywana tylko warkotem silników rosyjskich wozów pancernych, które od czasu do czasu, wzbijając kurz, przejeżdżały wśród pogorzelisk.

Mohammed, mój czeczeński taksówkarz z Nazrania, twierdził, że w zburzonym Groznym wciąż mieszkało pięćdziesiąt tysięcy ludzi.

Ci, których domy, choć zniszczone i ograbione doszczętnie, ocalały,

wracali na stare śmieci i sami, powoli, z mozołem, odbudowywali ściany i dachy. Ci, co zastali tylko leje po bombach lub sterty gruzów, zbierali deski, cegły, kawałki blachy, dachówki, framugi okien i drzwi, by je sprzedać szczęśliwcom, których domy nadawały się jeszcze do uratowania.

Wydawało się, że najwięcej życia tli się w dzielnicy Czarnorzecznej. Tu było widać najwięcej obłoczków dymu wydobywających się z okien pokiereszowanych domów. A o zmierzchu gdzieniegdzie rozbłyskały nawet światełka, wyczarowywane ze smrodliwych i hałaśliwych generatorów, symboli bogactwa i potęgi w mieście pogrążonym w ciemnościach, pozbawionym prądu, gazu i wody, a nawet tego dobrego powietrza, które, zaczerpnięte głęboko, daje czasem wiarę w poprawę losu.

Wielu ludzi nadal mieszkało w piwnicach, gdzie przetrwali wojnę. Choć z nieba zniknęły samoloty, a karabinową palbę słychać było jedynie nocami, wciąż bali się nocować w ocalałych cudem mieszkaniach. Woleli cuchnące, ciemne, ale bezpieczne piwnice, z których wychodzili o świcie na słonce, by zdobyć żywność i przeżyć kolejny dzień. Wędrowali wśród ruin krętymi ścieżkami na przedmieścia, gdzie przy drogach wylotowych z miasta o poranku pojawiali się chłopi, przywożąc warzywa i owoce, a także kupcy z towarami z Inguszetii i Dagestanu.

Rytm życia miasta wyznaczały bazary, ten największy, w śródmieściu, ale też i te małe, prowizoryczne, rozkwitające przy głównych ulicach. Przekupki co rano rozkładały tu stragany z pestkami słonecznika, papierosami, kolorowymi napojami i owocami. Tylko na bazarach można było zdobyć żywność i wszystko, co potrzebne jest do przetrwania.

Przychodzili na bazar nawet rosyjscy żołnierze. Czujnie rozglądali się dokoła w obawie przed atakiem. Nigdy nie bywali tu w pojedynkę. Zbyt wielu Rosjan ginęło na bazarach od strzałów lub ciosów zadanych kindżałem, a zabójców nigdy nie udawało się schwytać. Umykali pogoni w ludzkim morzu, wśród ruin, znikali w labiryncie podziemnych przejść i piwnic, którym, jak głosiła wieść, można było niepostrzeżenie wędrować z jednego krańca miasta na drugi. Ilekroć na bazarze zabijano Rosjanina, żołnierze w odwecie dokonywali pogromu. Otaczali

bazar, po czym wkraczali do środka, rozbijając, miażdżąc i plądrując stragany.

Rosjanie nie zamykali jednak bazaru. Potrzebowali go sami. Tu sprzedawali swoje łupy – dobytek czeczeńskich chłopów odebrany podczas operacji pacyfikacyjnych po wsiach, a także wszystko, co udawało się im wykraść z koszar: kanistry benzyny, mundury, koce, worki mąki i cukru. Tu wreszcie, bojąc się otrucia, zaopatrywali się u zaufanych przekupek w mięso, warzywa, świeży chleb, których brakowało w ich marnym żołnierskim wikcie.

Nie tylko bazary, ale całe miasto było królestwem kobiet. Ich mężczyźni najchętniej wcale nie wychodzili na ulice, by swoimwidokiem nie prowokować Rosjan, nie narażać się na aresztowanie. Kobiety prowadziły więc stragany na bazarach, zajmowały się kuchnią w przydrożnych gospodach, nawet wyruszały w ruiny miasta na poszukiwanie złomu. Odsprzedawały go za grosze kupcom takim jak Chamzat, co mieli ciężarówki, pieniądze, wpływy i znajomości, pozwalające na wywóz żelastwa do Dagestanu czy Inguszetii i dalej, w głąb Rosji. W Czeczenii, gdzie wszystko było złomem, kosztował on grosze. Im dalej, tym bardziej stawał się towarem poszukiwanym, tym bardziej rosła jego cena.

Po zmierzchu miasto przechodziło w ręce mężczyzn. Kończyło się udawanie, gra pozorów. Z wąwozów ulic jak zjawy wyłaniały się postacie z karabinami. Czeczeńscy partyzanci, którzy przekradali się do miasta z gór albo ukrywali się wśród ruin, podchodzili w ciemnościach rosyjskie posterunki i patrole, by rzucić granatem, pociągnąć karabinową serią, podłożyć bombę lub minę, zabić czy choćby zmusić do czuwania, przestraszyć. Albo z moździerzy i niewielkich rakietowych wyrzutni, rozstawianych na ruinach zburzonych kamienic, strzelali w kierunku podmiejskiej Chankały, gdzie Rosjanie założyli główną bazę.

Zmrok odmieniał także Rosjan. Nocą wstępował w nich zły duch. Ciemności wyzwalały paraliżujący strach, a jednocześnie poczucie bezkarności, która popychała do grabieży i zbrodni.

Przed zmierzchem zaczynała się więc w mieście gorączkowa krzątanina. Większość dziennych mieszkańców ruin zbierała się

w drogę, do krewnych w podstołecznych wioskach, gdzie znaleźli schronienie na czas wojny. Do Dagestanu albo do Inguszetii, gdzie przygarnięto ich w którymś z namiotowych miasteczek dla uchodźców. Ci, co zostawali na noc, gasili szybko świece, by nie przyciągać niczyjej uwagi, i zapadali w niespokojny, nieprzynoszący ulgi sen.

O zmierzchu zatrzymaliśmy się przed rosyjską komendanturą wojskową w Starych Atagach. Był tam Isa. Rozmawiał z szarymi od kurzu żołnierzami, którzy właśnie wrócili z patrolu w dolinie Argunu i odpoczywali, leżąc na pancerzu czołgu.

Wyciągnąłem z kieszeni pudełko zapałek z orłem i arabskimi napisami. To miał być znak, że podróż minęła bez przeszkód i niespodzianek. Isa nieśpiesznie pożegnał się i stękając, usadowił za kierownicą wołgi.

Nazajutrz wysłał w góry umyślnego do jednego z ukrywających się komendantów Maschadowa, by za jego pośrednictwem prezydent wyznaczył termin i miejsce spotkania oraz sposób, w jaki powinienem na nie się stawić.

Mój gospodarz uznał, że dopóki posłaniec nie wróci z gór, nikt nie może wiedzieć o moim istnieniu – nawet w jego własnej wsi. Szpicle, od których roiło się w każdym aule, natychmiast donieśliby o tym rosyjskiej tajnej policji, a przed nią nie uratowałaby Isy nawet wdzięczność syberyjskich oficerów z garnizonu w cementowni.

Wyprawa w góry zajmowała kurierom zwykle cztery, pięć dni. Nasz posłaniec jednak długo nie dawał znaku życia, gdy zaś się w końcu pojawił, oświadczył, że musimy czekać na przybycie następnego.

Większość czasu spędzałem samotnie w izbie, którą wydzielił mi Isa i nazwał moim pokojem.,,Pobądź teraz trochę u siebie", rzucał przepraszająco, gdy spodziewał się gości. „Zjesz kolację z nami, w kuchni, czy u siebie?”, pytała Lejla, żona Isy.

Posiłki spożywane z Czeczenami regulowały porządek dnia. Przy śniadaniu, o ósmej rano, Isa przedstawiał plan działania. Czas do obiadu, który Lejla stawiała na stole między drugą a trzecią po południu, mijał w dwóch fazach. Najpierw, tuż po śniadaniu, była faza nadziei, rozbudzona entuzjazmem i wiarąIsy. Później nadzieja ustępowała niecierpliwości.

Wszelkie wieści, jakie miały nadejść dla mnie z gór, musiały pojawić się przed zmierzchem. Posłańcy nie podróżowali nocami, bezpieczniej było kryć się wśród tysięcy wędrowców, którzy przemierzali kraj za dnia. Trzeba więc było czekać do rana. Przy obiedzie wszystko miało już być wiadome. Obiad rozstrzygał o wszystkim.

Wiadomości dla mnie wciąż nie było. Po obiedzie następował więc czas rozczarowania i nieznośnej bezsilności, który trwał aż do kolacji, wyznaczającej porę spoczynku i wyłączenia myśli. Rankiem cykl się powtarzał: śniadanie – nadzieja, obiad – oczekiwanie i rozczarowanie, kolacja – odliczanie kolejnego dnia i odbudowywanie wiary.

Monotonia i początkowe niepowodzenia nie były nazbyt dokuczliwe, bo zadośćuczynieniem była wszak świadomość życia po drugiej stronie.

A więc byłem w samym środku! Dokładnie tak, jak zawsze chciałem.

Podglądałem życie moich gospodarzy, ich codzienność, zwyczajność. Uczyłem się ich, poznawałem Isę, Lejlę, dwóch synów, starszego Asłana i młodszego Islama, żonę Asłana, obserwowałem, jacy są, jak żyją i czy mają świadomość odmienności swojego losu. Doświadczanie tego życia wydało mi się czymś równie ważnym jak rozmowa z którymś z ukrywających się w górach czeczeńskich przywódców. Tym bardziej że byłem pewien, iż wcześniej czy później spotkam się z nimi, z Maschadowem albo Basajewem, a może nawet z obydwoma. Zdawałem też sobie sprawę, byłem o tym absolutnie przekonany, że w życiu Isy i jego rodziny zagościłem ledwie na chwilkę, że opuszczę ich, gdy tylko się nimi nasycę, kiedy postanowię, że już czas.

Czekając na posłańców z gór, badałem więc życie moich gospodarzy i uczyłem się go, robiłem szkice przyszłych opowieści, przeglądałem zapiski.

Oglądając przyniesione przez Isę mapy, wyliczyłem sobie, że Maschadow powinien przebywać gdzieś w górach, w rejonie rodzinnego Aliroju.

Znów musiał uciekać ze swojej stolicy przed nacierającymi Rosjanami w kaukaskie wąwozy. Stracił najlepszych żołnierzy. Przetrwał jednak zimę i z wiosną na czele partyzantów zszedł z gór. Tropiony przez rosyjskie samoloty, kluczył wśród wąwozów i aułów. Swoim

komendantom nie pozwalał zdradzać nawet nazw wiosek, gdzie zatrzymywał się na popas lub nocleg.

Rosjanie, którzy dotąd widzieli w Maschadowie prawowitego władcę, podpisywali z nim traktaty i umowy, teraz nazywali go zbrodniarzem, terrorystą i banitą. Ścigali listami gończymi, obiecywali pieniężną nagrodę za jego głowę.

Mówiono, że proponowano mu, by złożył władzę, wycofał się z polityki, wyjechał do Turcji albo dożył swoich dni w państwowej daczy pod Moskwą, pod czujnym okiem tajnej policji, ciesząc się spokojną starością i wypłacaną przez Kreml emeryturą. Odmówił, choć podobno żona usilnie namawiała go, by się zgodził.

Rosyjski rząd szydził, że jest królem bez królestwa i wojska, a więc jakiekolwiek rozmowy z nim mijają się z celem. Poza tym, przekonywał Kreml, Maschadow stał się zakładnikiem niebezpiecznych fanatyków i wywrotowców w rodzaju Szamila Basajewa, pochwala terroryzm (dokumenty na poparcie tej tezy tajna policja miała znaleźć w psiej budzie podczas którejś z pacyfikacji Starych Atagów) i wypłaca terrorystom nagrody za każdy udany zamach bombowy. Nie zasługuje więc na szacunek i jedyne, co mu pozostało, to poddać się i prosić o łaskę rosyjskiego prezydenta.

Gazety w Moskwie zapewniały zresztą, że chwila ta jest coraz bliższa, że Maschadow lada dzień przybędzie na Kreml, by złożyć hołd i zapobiec dalszemu rozlewowi krwi na Kaukazie. Jak pokonany imam Szamil miał oddać broń i zgodzić się nazesłanie do jednej z podmoskiewskich daczy rosyjskiego rządu w zamian za gwarancję bezpieczeństwa dla siebie i swojej rodziny, a także za obietnicę, że Kreml przerwie krwawe pacyfikacje i bombardowania czeczeńskich aułów.

Rosjanie co rusz ogłaszali, że został ranny, że zginął, że opuszczony przez wszystkich, błąka się po kaukaskich wąwozach.

Czeczeńscy emigranci utrzymywali zaś, że wszyscy dżygici, no, może z wyjątkiem wciąż zmieniającego zdanie Basajewa, poszli pod komendę Maschadowa. Miał on zbierać się z nimi w górach na regularne narady, planować operacje zbrojne, wysyłać emisariuszy do Europy na

potajemne spotkania z tymi rosyjskimi politykami, co sprzeciwiają się wojnie. Po kryjomu przekradał się nawet do Groznego, a jego przemówienia, nagrywane na magnetofonowe kasety, posłańcy rozwozili po aułach i stanicach.

Któregoś wieczora Islam, młodszy syn Isy, przyniósł mi do pokoju zdartą kasetę.,,To Asłan", powiedział z naciskiem, zerkając niespokojnie na drzwi. Bał się najwyraźniej, że stanie w nich ojciec albo, co gorsza, matka i że przyłapią go na czymś niedozwolonym.

Męski głos na kasecie ginął w trzaskach i szumach. Nie potrafiłem rozpoznać w nim Maschadowa. Tym bardziej że przemawiał, jeśli to faktycznie był on, po czeczeńsku, co dodatkowo zmieniało barwę głosu.

„Zwracam się teraz do tych, którzy po bolesnych doświadczeniach i stracie najbliższych zdecydowali się wkroczyć na drogę poświęcenia samych siebie. Rozumiem was, ale poprzeć nie mogę – szeptał Islam z przylepionym do głośnika uchem. – Rosja za wszelką cenę pragnie dowieść, że nasza wojna o wolność jest tożsama z terroryzmem. Nie wolno nam dopuścić, by to się Rosji udało. Zrozumcie, że naszego wroga nie powstrzyma ani wasza śmierć, ani śmierć setek tysięcy waszych braci i sióstr”.

Ósmego dnia wyciągnąłem z kredensu książkę: wydane w Moskwie wspomnienia Aleksandra Dumasa z podróży po Kaukazie. Musiałem oderwać wzrok od tapet, którymi było wyklejone mieszkanie Isy. Bladoróżowe, wypłowiałe, w zielon-kawozłote proste kreski, ozdobione różyczkami, symetrycznie, po dwa kwiaty z każdej strony.

Ale jeszcze przed obiadem kaukaski dziennik Francuza wydał mi się banalny. Nużyła mnie też znaleziona na półce kryminalna powieść Agathy Christie. Może sprawił to nieznośny zapach książkowych staroci, a może męczące wypatrywanie kuriera. Tak czy inaczej odłożyłem książki i wróciłem do oglądania tapet.

Wieczorem, bez pukania, wszedł do pokoju Isa. W milczeniu pomaszerował na balkon, po czym wrócił do izby i rozparł się na kanapie. Aż kipiał ze złości. To poprzedniego dnia zobaczyliśmy w telewizji, jak Rosjanie aresztują Husajna, ponieważ w jego samochodzie znaleźli powstańcze gazetki „Iczkeria”. Isa spędził cały

dzień na wizytach u znajomych rosyjskich oficerów, ale wrócił z niczym. Żadnych wieści o przyjacielu.

Najbardziej irytowały go lekkomyślność i nieroztropność Husajna, który tak łatwo dał się pojmać żołnierzom. Zatrzymali go na jednym z tysiąca posterunków, jakimi poprzecinali czeczeńskie trakty.

– Jak można było wyruszać w drogę, mając w bagażniku zakazane gazety?! Tylko skończony dureń mógł tak postąpić! Trzeba było posłać z gazetami byle staruchę! Idę o zakład, że żołnierze nie zaglądaliby jej pod spódnicę. Pan Bóg pokarał chyba Husajna i odebrał mu rozum! – bluźnił Isa. – Zorientują się, kogo złapali, odeślą do Rosji, a wtedy już w żaden sposób nie uda się go nam wydostać z więzienia i zgnije za kratkami!

Machinalnie sięgnął po leżącą na stoliku książkę Dumasa. Wpatrywał się w nią przez chwilę, jakby zdziwiony, że takierzeczy plączą się po domu.

– Jutro wybierzemy się do takiego jednego Chalida, może ma jakieś wieści z gór. Może wiedzą coś o Husajnie.

Chalid mieszkał w pobliskich Starych Atagach nieopodal meczetu. Tylko wtajemniczeni wiedzieli, że w jego domu mieści się punkt kontaktowy, przez który przepływa korespondencja między niemal wszystkimi najważniejszymi powstańczymi politykami.

Do niepozornego Czeczena z bielmem na oku przybywały kobiety kurierki z rozkazami i wiadomościami. Zostawiały przesyłki, odbierały inne i znikały. Za chwilę pojawiały się następne i wiozły korespondencję z domu Chalida do kolejnego punktu kontaktowego. W ten sposób została zachowana podstawowa zasada konspiracji – poszczególni kurierzy znali jedynie fragment skomplikowanej siatki, byli tylko ogniwem długiego łańcucha. Nawet aresztowani, nie mogli zdradzić swoich przywódców.

Ale Chalid nie oglądał telewizji i nie miał pojęcia, że Husajn wpadł w ręce Rosjan. A z gór też nikt nie przyjechał. Chalid zaproponował, żebym spisał swoje pytania do Maschadowa na kartce papieru i przesłał mu przez posłańca. Zgodziłem się, skreśliłem kilka zdań na kartce wyrwanej ze szkolnego zeszytu. Wciąż jednak nalegałem na spotkanie,

nie wyobrażałem sobie nawet, bym miał się z nim nie zobaczyć.

Isa jak zwykle zaszedł do mnie po śniadaniu i obwieścił, że na obiad przyprowadzi kogoś wyjątkowego, kogoś, kto mi wiele opowie i wiele wyjaśni. Zauważyłem, że od kilku dni mój gospodarz wykazywał nerwowe zaniepokojenie moją sytuacją. Sam zachodził bez pukania i zabawiał rozmową, czy miałem na to ochotę, czy nie. Odwiedzali mnie też jego synowie, starszy Asłan i młodszy Islam. Podejrzewałem, że to Isa kazał im przerywać moją samotność. Od paru dni spraszał też gości, którzy rozsiadali się na kanapie, uśmiechali się i przerywając kłopotliwe milczenie, pytali, jak się sprawy mają. Nie wiedziałem tylko, czy Isa czyni to z poczucia najświętszego na Kaukazie obowiązku gościnności, czy też z obawy, że stracę rozum.

Nasz gość był małomównym, wysokim, postawnym i eleganckim mężczyzną. Isa odnosił się do niego z nieukrywanym szacunkiem.

Był wicepremierem w rządzie Maschadowa. Ponieważ prezydent w nadmiarze obowiązków nie znajdował czasu na przewodniczenie naradom gabinetu, właśnie jemu powierzył to zadanie. Prawdę mówiąc, był więc ostatnim przedwojennym czeczeńskim premierem.

Wydał mi się człowiekiem zgorzkniałym. Mówił o zmarnowanej szansie, być może jedynej, jaką dał skąpy los, i o wielkiej, śmiertelnej groźbie, jaka zawisła nad narodem czeczeńskich górali. O spalonej ziemi, którą pozostawili po sobie wiarołomni Rosjanie. Po pierwszej wojnie, tej sprzed zaledwie czterech lat, nierozstrzygniętej, ale w zasadzie dla nich przegranej, przyrzekli, że nowej nie zaczną i że wszystkie spory będą odtąd rozwiązywane w drodze politycznych targów.

Jako minister i wicepremier jeździł wiele razy do Moskwy i zawsze wracał z ciężkim sercem, z nieodpartym wrażeniem, iż w Rosji nikt, ale to absolutnie nikt nie zastanawiał się nawet, w jaki sposób rozwiązać polubownie problem Czeczenów. A przecież podpisując rozejm, Rosjanie zobowiązali się, że najpóźniej w pierwszym roku dwudziestego pierwszego stulecia rozstrzygną w drodze ugody kwestię statusu czeczeńskiej republiki.

Nikt na Kremlu nie zawracał sobie jednak tym głowy. Rosjanie

wiedzieli, że nim upłynie wyznaczony termin, głos zabiorą generałowie, którzy nigdy nie darowali czeczeńskim góralom upokarzającej porażki sprzed lat. Czyż nie jest dowodem na tofakt, że na czele nowego najazdu na Czeczenię stoją ci sami ludzie, którym przed pięciu laty przyszło zwijać rosyjskie sztandary nad czeczeńskimi aułami?

Czy w ogóle można mówić o zwycięstwie? Dzielni komendanci w czasie wojny potrafili pobić rosyjską armię, lecz w czasie pokoju okazali się ludźmi nie tylko niekompetentnymi, ale małymi, niemyślącymi o narodzie ani nawet o dawnych towarzyszach broni. Czymże więc różnili się od ministrów z imperialnych gabinetów, do których on sam należał przed laty? Jak mogli rościć sobie prawo do jedynej prawdy?

– Wszystko to było nieważne – mówił. – Wszystko przegraliśmy, nie wykorzystaliśmy okazji.

Isa w swoich rozważaniach patrzył pozytywnie w przyszłość, obca była mu myśl o kapitulacji czy choćby rezygnacji, starał się znaleźć właściwą drogę dla siebie i swoich rodaków. Premier zdawał się czerpać masochistyczną przyjemność z rozpamiętywania klęsk.

Potem jeszcze kilka razy zachodził do nas na obiad, a raz spotkaliśmy się po zmroku nad rzeką Argun. Wytworny jak zawsze, przyniósł ze sobą składane krzesełko, takie, jakich używają rybacy. Kiedy przemawiał z dłońmi splecionymi dystyngowanie na kolanach, do złudzenia przypominał mistrza pouczającego pokornych uczniów, którzy przycupnęli niezgrabnie na kamienistym brzegu rzeki.

– Pora zapomnieć o bohaterstwie, o hołdach dla męczeńskiej śmierci. Pora myśleć o przetrwaniu – mówił. – Dla Rosji sto tysięcy zabitych żołnierzy to jedynie zmasakrowane armie. Dla nas, Czeczenów, sto tysięcy poległych oznacza ludobójstwo, śmierć narodu.

Zapadał zmrok, zgarbiona sylwetka wicepremiera, siedzącego na rybackim krzesełku tuż nad rzeką, ginęła coraz bardziej w ciemnościach i mgle rozścielającej się nad łąką. Ilekroć opowiadał o Maschadowie, odnosiłem wrażenie, że nachodził go jakiś smutek. Niby przypominał anegdoty, niby się naśmiewał z przywar i niedostatków prezydenta, a wyglądało to tak, jakby wspominał zmarłego, kogoś, za kim się tęskni. Może nie za nim samym, ale za niespełnionymi marzeniami,

pragnieniami i nadziejami, jakie natychmiast przywoływała pamięć o Maschadowie.

– Czy Asłan wiedział, co go czeka? Nie wiem, wierzył chyba, że się powiedzie. Myślę, że wtedy nie było nikogo lepszego. Nikt by się lepiej nie sprawił. Ale i on nie urodził się przywódcą z prawdziwego zdarzenia. Widać nie mogło się udać, widać tak było pisane.

Pewnego wieczora wicepremier przyprowadził ze sobą prokuratora. Maschadow powierzył mu zadanie tropienia i zwalczania tych, którzy dali się skusić znanemu na Kaukazie od stuleci, równie nagannemu co dochodowemu procederowi handlu żywym towarem. Prokurator słuchał uważnie słów premiera i potakiwał głową, ilekroć uznawał, że dotyka on sedna sprawy. Widać było, iż przepełnia go szacunek dla premiera, kiwał więc głową nieustannie.

Prokurator lubił zgrabne sentencje jak ta, że w Czeczenii czas powojenny rychło okazuje się przedwojennym czasem, a pokój jest trudniejszym wyzwaniem niż wojna.

– Tak w ogóle, ten Maschadow to był złoty człowiek, ale naiwny aż strach. W traktacie pokojowym z Rosją znalazło się na przykład stwierdzenie, że w stosunkach z Czeczenią będzie ona przestrzegać międzynarodowych norm i obyczajów. Maschadow święcie wierzył, że samo słowo „międzynarodowe” oznacza, że Kreml uznaje niepodległość Czeczenii – opowiadał prokurator, gdy zamilkł premier. – Albo sprawa z Jandarbijewem. Ktoś próbował zabić Maschadowa i ten podejrzewał, że za zamachem stoi właśnie Jandarbijew, który nie mógł mu darować odebrania prezydentury. Zamiast skierować sprawę do sądu,wszystko wyjaśnić, Maschadow kazał Jandarbijewowi przysiąc na Koran, że nie miał z tym nic wspólnego. Jandarbijew przysiągł i na tym się skończyło.

Na wieczorne, sekretne biesiady nad Argunem przychodziło wielu ministrów z czeczeńskiego rządu. Za dnia woleli nie pchać się przed oczy rosyjskim żołnierzom patrolującym ich wioski. Po zmroku, kiedy Rosjanie chowali się w swoich garnizonach, ministrowie zbierali się nad rzeką, by pogryzając suszone ryby, snuć smutne opowieści o nie tak odległej wszak przeszłości.

– Nam, którzyśmy pracowali kiedyś dla Rosjan, najtrudniej było

przyzwyczaić się do nowych zwyczajów podczas posiedzeń rady ministrów. Przywykliśmy do tego, że jest porządek dnia, przewodniczący, który udziela głosu, i tak dalej. A teraz odnosiliśmy wrażenie, że znaleźliśmy się na bazarze – zamyślony prokurator rzucał do rzeki kamyczki. – Kłótnie, przekleństwa, wzajemne przekrzykiwania. Nieraz zdarzało się, że ministrowie skakali sobie do gardła i trzeba ich było rozdzielać. Przychodzili na narady z pistoletami, a po korytarzach snuli się, patrząc wilkiem, ich żołnierze, tak objuczeni najrozmaitszą bronią, że ledwie utrzymywali równowagę. Nie raz, nie dwa rada ministrów przegłosowywała jakąś decyzję, po czym któryś z komendantów wychodził, trzaskając drzwiami i krzycząc na odchodnym, że ma to gdzieś. Maschadow wrogów starał się zjednywać awansami, o przyjaciół zaś nie dbał. Nic dziwnego, że w końcu wszyscy go opuścili, że został sam.

Nasze wyprawy nad rzekę stawały się powoli rytuałem. A także stałym elementem nużącej rutyny mojej konspiracji. Zapadający zmierzch oznaczał bolesny wyrok – z gór znów nikt nie przyjechał. Kiedy robiło się ciemno, Isa zachodził do mojej izby i komunikował:

– Pora się przewietrzyć.

Trzymał w ręku skórzaną kurtkę Asłana i swój zielony,,fez", niewielką stożkowatą czapeczkę, które miały ze mnie zrobić Czeczena. Już pierwszego dnia zabronił mi się golić. Kupił też na bazarze białe sportowe buty i workowate, za duże spodnie, musiałem je ściskać paskiem, by nie spadały. Isa nie tylko postanowił mnie przebrać, ale znalazł dla mnie czeczeński paszport (tak na wszelki wypadek – podkreślał) i przezwał Wahidem.

W ten sposób zwracał się do mnie, ilekroć wychodziliśmy z domu. Nauczył mnie także kilku czeczeńskich słów, abym mógł zbywać natrętów. Tubylcy istotnie zagadywali mnie w swojej mowie, a na moje burknięcia reagowali tak, jak się tego spodziewał Isa. Isa w ogóle był ogromnie zadowolony ze stworzonej przez siebie postaci, przechwalał się własnym dziełem przed zaufanymi znajomymi.

Nad rzekę zaglądaliśmy też często, wracając od Chalida ze Starych Atagów. Dla mnie wieści były wciąż te same. Złe. Kolejni kurierzy

przyjeżdżali bez odpowiedzi albo ciągle z tą samą – czekać, aż przyjedzie następny. Bóg jeden wie kiedy!

Dobre wieści nadeszły za to dla Isy. Z Husajnem sprawy nie miały się aż tak źle.

Rosjanie dowiedzieli się oczywiście, kogo udało im się aresztować, ale nie wywieźli go do Rostowa ani nawet do ose-tyjskiego Mozdoku, tylko zamknęli w areszcie w czeczeńskim Szali. Tuż pod ręką. A więc nie wszystko było jeszcze stracone.

By wyrwać mnie z męczącej melancholii, Isa kupił na bazarze w Starych Atagach suszone ryby, cebulę, pomidory, pomarańcze, orzechy pistacjowe, miodowe piwo i pękatą butelkę osetyjskiej wódki. Chyba wierzył, że niby magiczny napój rozproszy ona troski i zwątpienia, wskrzesi nadzieję i wiarę.

Po drodze zabraliśmy Chamzata, który, uszczęśliwiony, wrócił właśnie z zarobkiem z Chasaw-jurtu, gdzie sprzedał Rosjanom kolejną ciężarówkę złomu.

Isa oddał produkty przydrożnemu szynkarzowi, który szybko rozniecił ogień w palenisku i ustawił nad nim ruszt z baraniną, by przyrządzić wieczerzę. Wskazał nam miejsce na polance w zaroślach, tuż nad srebrzącą się w księżycowej poświacie rzeką.

Rozsiedliśmy się na płaskich przybrzeżnych kamieniach. Isa otworzył na oścież drzwi wołgi, by przy wódce i nabijanych marihuaną papierosach upajać się muzyką swojego ulubionego Adriana Celentana.

Nad naszymi głowami krążyły śmigłowce, strzegące z nieba bezpieczeństwa pancernych kolumn, które przetaczały się drogą po tamtej stronie rzeki. Nocna cisza i potęgujące wszystkie dźwięki lustro wody sprawiały, że słyszeliśmy doskonale silniki czołgów, a czasami nawet głosy żołnierzy. Tylko smugi reflektorów uprzytamniały nam, jak wielka odległość dzieli nas od szlaku wojskowych karawan. Kiedy zaś na krótkie chwile milkł chór cykad i żab, wyraźnie było słychać echo dobiegających z gór głuchych eksplozji.

Spotykaliśmy się nad rzeką nocami, wszyscy wioskowi banici, ukrywający się za dnia przed niepożądanymi spojrzeniami, związani braterstwem konspiracji. Z całej wsi tylko my wychodziliśmy na

powietrze dopiero po zmroku, wyprowadzani na spacer przez swoich gospodarzy na kamieniste brzegi Argunu.

Pewnego razu poznałem nad rzeką Sulejmana, partyzanta z oddziału Szamila Basajewa, czeczeńskiego sfinksa, nieodgad-nionego, uwielbianego i przeklinanego zarazem.

Sulejman z towarzyszami biesiadował tuż obok, na sąsiedniej polance. Ukrywał się we własnej wsi. Wszyscy wiedzieli, że poszedł w góry, nikt, że wrócił na krótki odpoczynek. I tak właśnie miało być. Za głowę Basajewa Rosjanie obiecują miliony dolarów i Order Bohatera Rosji. Worek rubli za głowę Sulejmana mógł się okazać pokusą nie do odparcia dla najbliższych przyjaciół. Po co kusić licho? Wystawiać na niepotrzebną próbę najbliższych?

Wrócił z gór przed tygodniem. Biel policzków zdradzała, że dopiero co zgolił partyzancką brodę. Przyszedł nad rzekę z braćmi, jedynymi ludźmi, których lojalności i pomocy mógł być absolutnie pewny. Isa i ich ojciec znali się z cementowni.

Zżerała mnie niecierpliwość. Chciałem wypytać Sulejmana o sto spraw, nie mogłem znieść, że ucinając sobie zdawkową pogawędkę, Isa kradnie mi tak cenny czas, a nie miałem go wszak wiele. Jako żołnierz Basajewa Sulejman wydawał mi się nieocenionym źródłem prawdziwych wieści o komendancie, którego los obrósł już tyloma legendami, że czynił go postacią prawie nierzeczywistą.

Na polach minowych pod Ałchan-kałą, gdzie zostało zdziesiątkowane wycofujące się z Groznego czeczeńskie wojsko, ranny po raz siedemnasty został też Szamil Basajew. Wybuch miny urwał mu prawą stopę. Doskonale zdając sobie sprawę z tego, jak bardzo śmierć Szamila podłamałaby ducha czeczeńskich powstańców, Rosjanie zaczęli rozpowiadać, że Basajew zginął, a potem – gdy nie dało się dłużej trwać przy kłamstwie – że stracił na minie obydwie nogi i oko.

W Ałchan-kale mieszkał jeszcze wtedy znany na całym Kaukazie chirurg, Hassan Baijew, który specjalizował się w operacjach plastycznych. Czeczeńscy komendanci już dawno upatrzyli go sobie na dyżurnego lekarza. Salmanowi Radujewowi składał z kawałeczków roztrzaskany kulami czerep, zszywał podziurawioną jak sito pierś

Arbiego Barajewa.

Owej zimowej nocy, gdy partyzanci wymykali się z Grozne-go, Baijew odjął sześćdziesiąt siedem stóp i dłoni, złożył siedem głów, zaszył i opatrzył niezliczoną liczbę ran. Upiorna noc najwyraźniej wyczerpała resztkę jego sił i wiary, bo nazajutrz, z żoną i szóstką dzieci, uciekł do Ameryki, jak najdalej.

Tej nocy operował z pomocą najprostszych narzędzi, takich, jakie mógł znaleźć w nędznym wioskowym szpitalu. Szybko pokończyły się opatrunki, środki uśmierzające ból. Kiedy do szpitala przywieziono rannego Basajewa, lekarz mógł zastosować tylko znieczulenie miejscowe. Szamil, blady na twarzy, był przytomny, gdy chirurg odejmował mu resztki pogruchotanej stopy. Z Ałchan-kały do doliny Wiedeno w wysokim Kaukazie partyzanci powieźli Basajewa na saniach. Po drodze w ranę wdała się gangrena, walkę z nią utrudniały nie tylko ciężkie polowe warunki i zima, ale nawet ubogie w tlen górskie powietrze. Kolejny znaleziony gdzieś we wsi lekarz odciął jeszcze kawałek piszczela.

Rozpuszczane, a może tylko podchwycone przez Rosjan plotki mówiły, że Szamil uciekł za granicę albo że marnieje w oczach, ma zatrutą krew i traci rozum. Podczas nowej operacji nogi wdało się jakoby zakażenie, przerażeni lekarze przekarmili więc Basajewa medykamentami, od których zwariował. Ponoć nie tylko przestał dowodzić, ale majaczył i bredził, jakby zapomniał ludzkiej mowy. Jego partyzanci szukali już sobie podobno nowego komendanta.

Nie mogąc doczekać się wiadomości o śmierci Basajewa, Rosjanie przekonywali, że pozbawiony opieki lekarzy tak czy inaczej musi umrzeć. Rosyjscy generałowie nie myśleli nawet czekać. Podali, że Basajew umarł, bo od dłuższego czasu nie podsłuchali żadnej jego rozmowy przez telefon. A skoro nie mówi, znaczy, że nie żyje, chwalił się sam szef sztabu, Kwasz-nin. I nawet rosyjski minister wojny, choć sam nie wierzył w przechwałki generałów, zapewniał, że jego wojsko wcześniej czy później dopadnie Basajewa.

Ale wieści z gór przeczyły wszystkim słowom i nadziejom Rosjan. Oto Basajew nie tylko żył, lecz fotografował się nad swoimi rzekomymi

mogiłami. Odesłał rodzinę do Baku, a sam z własnym oddziałem przemknął się przez góry na zimę do gruzińskiej Swanetii, gdzie zawarł sojusz z miejscowymi góralami. Widziano go z oddziałem w Benoj, w Wiedeno, to znów w Selmentauzenie. Ktoś przysięgał, że spotkał go w Kabardzie, gdzie mu opatrywano ranę na nodze.

Chłopi w czeczeńskich aułach zachodzili w głowę, jakim cudem Szamilowi tak się udaje wodzić Rosjan za nos. Rosyjskie wojsko zawsze się spóźniało. Szamil i jego partyzanci byli już daleko, gdy do wsi, w której spędzili noc, wkraczali rosyjscy żołnierze i mścili się na wieśniakach za udzieloną powstańcom gościnę.

Na kryjówkę Szamila partyzanci wybrali jego rodzinne strony, okolice Wiedeno, miejsce odludne i dzikie, będące przed wojną ostępem niedźwiedzi i wilków. Chowali się wśród gór wysokich i niedostępnych dla czołgów, wśród gęstych lasów, które ukrywały ich przed tropicielami z rosyjskich śmigłowców i samolotów. Każdy, kto chciał z nimi walczyć, musiał przystać na ich warunki – walkę pieszo, z karabinem, twarzą w twarz.

Basajew nie tylko znów dowodził, ale miał pod komendą trzecią część wszystkich ukrywających się w górach partyzantów. Przejął ludzi Chattaba, podstępnie otrutego przez Rosjan. Uczestniczył we wszystkich zwoływanych w górach ważnych naradach partyzanckich komendantów, ale Maschadowowi, po staremu, raz się podporządkowywał, raz nie – jak mu było wygodnie.

Od czasu kontuzji na polu minowym pod Groznym nie spotykał się z dziennikarzami i nie udzielał wywiadów, jednak jego odezwy umieszczane w powstańczej witrynie internetowej świadczyły, że pozostał tym samym Szamilem, słynnym z niewyparzonej gęby i zjadliwego humoru, w połączeniu z błyskotliwą inteligencją, erudycją i charyzmą sprawiały one, że był ulubionym rozmówcą wszystkich dziennikarzy.

Niegdyś uwielbiał szokować opowieściami o kieszonkowychbombach atomowych, które miał rozrzucać po moskiewskich parkach, pieniężnych nagrodach za głowę Jelcyna czy zamiarach wyzwolenia całego Powołża i utworzenia na jego obszarze mu-zułmanskiego mocarstwa w Europie.

Teraz, wyrzekłszy się dawnego świeckiego imienia i przybrawszy nowe, muzułmańskie i rewolucyjne – Abdallah Szamil Abu Idrys – obiecywał dwa i pół miliona dolarów każdemu, kto zgładzi nowego rosyjskiego prezydenta Putina. Przyznawał się też do wszystkich zamachów bombowych i zabójstw politycznych nie tylko w Czeczenii, ale i w Rosji. Mówił, że stworzył specjalny oddział straceńców gotowych poświęcić własne życie, byle jak najstraszliwiej ugodzić Rosję, zadać jej jak największy ból. Ogłosił, że terroryści, którzy wzięli setki zakładników w moskiewskim teatrze na Dubrowce, też działali na jego rozkaz, choć ich prawdziwym celem był gmach rosyjskiej Dumy. Nigdy nie przepraszał, nie wyrażał żalu z powodu niewinnych ofiar. „Naszym celem jest przymusić Rosję do zawarcia pokoju. Obwinia się nas, że zabijamy niewinnych, spokojnych ludzi. To kolejne wierutne kłamstwo. Niewinni ludzie giną setkami, ale w Czeczenii. Ci niewinni, spokojni ludzie w Rosji są winni choćby dlatego, że wybierając sobie te władze, płacąc im podatki, nie protestując, popierają zbrodniczą wojnę, której ofiarą padają Czeczeni – napisał w jednej z odezw. – Ktoś, kto się biernie przygląda, jak popełniana jest zbrodnia, i nie czyni nic, by jej przeszkodzić, jest zbrodni współwinien. Ci spokojni, niewinni Rosjanie są więc współwinni ludobójstwa Czeczenów. Wobec powyższego mogę im obiecać, a ja dotrzymuję słowa, że Rosjanie na własnej skórze doświadczą, co znaczy ta wojna, którą wywołał ich rząd. Następnym razem moi ludzie nie będą już brali zakładników. Ich jedynym celem będzie zniszczenie wroga i zadanie Rosji bólu możliwie największego. Jaka to zresztą różnica, czy ludzi zabija bomba zrzucona na ich dom z nieba, czy podłożona w piwnicy?”

Już nie tylko Rosja, ale także zabiegające o jej przyjaźń Ameryka, Wielka Brytania, a nawet cała Organizacja Narodów Zjednoczonych uznały Basajewa za terrorystę, banitę, jednego z najgroźniejszych i najbardziej poszukiwanych zbrodniarzy świata. Musiało mu to naprawdę schlebiać. Ku rozczarowaniu Rosji Amerykanie nie zarzucili jednak Szamilowi konszachtów z terrorystyczną międzynarodówką, lecz dali do zrozumienia, że wpisali Czeczena na czarną listę tylko po to, by zrobić nic ich niekosztujący podarek rosyjskiemu prezydentowi.,,Pan

Basajew jest terrorystą, to oczywiste. Ale nic nam nie wiadomo, by działał poza granicami Czeczenii i Rosji. Nie uprawia więc terroryzmu międzynarodowego", tłumaczyli po cichu amerykańscy urzędnicy, kongresmani i senatorowie.

Biały Dom nakazał amerykańskim bankom, by sprawdziły, czy Basajew nie posiada w nich kont, a jeśli tak, żeby zamroziły znajdujące się tam pieniądze. Amerykańskim obywatelom zabroniono utrzymywania jakichkolwiek kontaktów i prowadzenia interesów z Basajewem. Wpisanie zaś Szamila na terrorystyczną czarną listę ONZ oznaczało, że żadne z państw świata nie mogło sprzedawać mu broni, a nawet zezwalać na pobyt na swoim terytorium. Międzynarodowa policja, Interpol, na rządy krajów, w których postawiłby nogę, nałożyła obowiązek aresztowania go i wydania Rosjanom.

Basajew z typową dla siebie pyszałkowatością zbagatelizował amerykańskie groźby.,,Ani mnie to ziębi, ani grzeje – oświadczył w specjalnym liście, umieszczonym w wirtulanej witrynie kaukaskich dżygitów. – Nie miałem i nie mam rachunków w żadnym z amerykańskich banków. Moim bankiem, z którego pobieram pieniądze, kiedy tylko zechcę, jest rosyjski skarbiec, a tego – niech będzie chwała Najwyższemu – nawet Amerykanie na razie nie są w stanie zamknąć. Nie obawiam się więc, by w najbliższym czasie groziła mi utrata płynności finansowej. Broń na wojnę z Rosjanami zdobywam na nich samych albo po prostu kupuję od nich za ich własne pieniądze. Po co miałbym kupować za granicą, zawracać sobie głowę przemytem, cłami, podatkami? Przerzucać broń przez Gruzję czy Dagestan? To mi się wręcz nie opłaca. Po co mi to, skoro wszystko mam pod ręką i mogę dostać z dostawą na miejsce, które wskażę? Na co mi też przyjaźń Ameryki? Nie ma ona nic wspólnego z naszą wojną. Ani nie wybuchła za jej przyczyną, ani za jej przyczyną się nie skończy. W ogóle nie oczekujemy niczego od Ameryki ani Zachodu. Nie rozumiemy tylko, dlaczego potrafią tak bardzo przejąć się dolą Albańczyków w Kosowie czy Irakijczyków pod rządami tyrana Saddama Husajna, a wobec ludobójstwa Czeczenów zachowują taką wstrzemięźliwość. Kiedyś prosiliśmy jedynie o to, by Zachód nie pożyczał Rosji pieniędzy na wojnę,

którą przeciw nam prowadzi na Kaukazie. Tylko tyle chcieliśmy. Dziś już nie oczekujemy nawet tego".

– Widziałem Basajewa przed tygodniem – powiedział Sulejman cicho i tak po prostu, jakby opowiadał o dawno niewidzianym znajomym. – Szamil bierze wszystko na siebie, bo i tak nie ma nic do stracenia. Dla Rosjan jest diabłem wcielonym i nic mu już nie pomoże.

Wielu Czeczenów uważało, że Basajew brał na siebie całą winę za zamachy terrorystyczne, by chronić przed najcięższymi oskarżeniami Maschadowa. Ale jeśli nawet czynił to w najlepszej wierze – mówili – to przez swoją pyszałkowatość i przyznawanie się do terroryzmu i tak wyrządzał powstańcom straszliwą szkodę, lepiej więc, by wcale się nie odzywał.

– Nie znam się na tym. Mogę tylko powiedzieć, że Szamil, choć wymizerowany, nie traci ducha. Zapewnia nas bez przerwy, że i z nim, i z nami wszystko będzie dobrze – opowiadał nad rzeką Sulejman. – Ma się nieźle, jeżeli tak można powiedzieć o człowieku, któremu odjęto stopę. Noga kończy mu się w połowie piszczela. Kiedyś chodził o kulach, ale potem gdzieś wyjechał i wrócił już z przyprawioną drewnianą protezą. Zafundował sobie dodatkowo dwie zapasowe, a wśród partyzantów zyskał przydomek Drewniana Noga. Patrząc, jak chodzi, nikt by nie powiedział, że jedną nogę ma sztuczną.

Teraz zaczął się niecierpliwić Isa. Uznał, że zbyt wiele osób wokół jednego ogniska może niepotrzebnie przyciągnąć uwagę, wydać się podejrzane. Chwilę mówił coś po czeczensku do Sulejmana, po czym kaukaskim zwyczajem objął go i pocałował w policzek na pożegnanie.

W drodze powrotnej milczeliśmy zagniewani. Ja na Isę, że przerwał spotkanie z Sulejmanem, Isa na mnie, że usiłowałem coś robić na własną rękę, bez jego pomocy i przyzwolenia.

Dojeżdżaliśmy już do wsi, kiedy powiedział, że postara się, żebym znów mógł się zobaczyć z Sulejmanem i spokojnie z nim porozmawiać. Ale w wiosce, z dala od ludzkich oczu i uszu, nikogo nie wystawiając na niebezpieczeństwo.

– U siebie możesz robić, co chcesz, ale tu jest inaczej. Tu, jeśli chcesz do czegokolwiek dojść, musisz postępować po naszemu. Rozumiesz? –

rzucił ze złością, jak nauczyciel, który przekonuje się, że jego uczeń tak naprawdę niczego się nie nauczył, niczego nie umie.

Staliśmy przed odrapanym czteropiętrowym budynkiem, który w czasie wojny stał się jego wieżą z kamienia. Był wieżą z kamienia także dla mnie, odkąd wdarłem się w życie Isy, pragnąc przekonać się, jak to jest po drugiej stronie.

Dnie, wszystkie jednakie, spędzałem w mieszkaniu Isy. Początkowo poddawałem się po prostu upływowi czasu, bezczynnie i biernie. Potem, gdy przekornie stanął w miejscu, opracowałem sobie szczegółowy rozkład zajęć.

Zorientowałem się, że wszyscy w domu funkcjonują według tej samej zasady. Isa wciąż był zajęty i zabiegany, wychodził kwadrans po dziewiątej, wracał na obiad, a potem, przed wieczorem, razem ze mną szedł na spacer nad rzekę. Lejla i jej synowa od rana do wieczora zajmowały się kuchnią.

Asłan, poważny i systematyczny, uczył się w swoim pokojuangielskiego i fizyki ze starych rosyjskich podręczników. Wieczorami zaś gimnastykował się i dźwigał ciężary. Zaglądał do mnie w odwiedziny niemal wyłącznie o stałych porach. Pół godziny przed obiadem i pół godziny przed kolacją.

Narzucony reżim porządkował czas i nadawał mu sens.

Rano, po śniadaniu, przymuszałem się do czytania przez dwie godziny. Powieści z kredensu w mojej izbie nie nadawały się, by skupić na nich myśli. Lepiej służyła temu gruba księga o historii Czeczenów, którą Isa wyciągnął od jakiegoś znajomego. Liczyła prawie pół tysiąca stron podzielonych na dwadzieścia trzy rozdziały. Codziennie czytałem jeden, a następnie, aż do obiadu, sporządzałem dokładne notatki.

Porządek dnia po obiedzie zależał od elektryczności. Zazwyczaj prądu nie było i mieszkanie szybko tonęło w mroku. Zamykałem się wtedy w swojej izbie i przy świecach porządkowałem stare zapiski. Te, które straciły aktualność, wyrzucałem, inne przepisywałem od nowa, nadawałem im nowe znaczenia. Wieczorami Isa wyprowadzał mnie na spacer nad rzekę.

Sam byłem zaskoczony, jak szybko udało mi się przywyknąć do życia

bez prądu i bieżącej wody. Wodę przynosiły ze studni kobiety – żaden Czeczen nie pozwoli, by ktokolwiek widział go taszczącego ciężkie wiadra. Bez światła też nauczyłem się żyć. Tylko wchodząc do izby, sięgałem wciąż ręką do kontaktu, by magicznym pstryknięciem rozproszyć ciemności. Te cuda już się nie zdarzały w Czeczenii, jej mieszkańcy zdawali się z tym pogodzeni.

Jeśli jednak pojawiał się prąd, a Isa nie spodziewał się żadnych odwiedzin, po obiedzie przenosiłem się do pokoju gościnnego, gdzie z gospodarzami oglądaliśmy telewizję.

Isa zostawał w domu w dni ciężkie. Tłumaczył mi, że Czeczeni od wieków rozróżniają dni ciężkie, gdy wszystko idzie jak po grudzie, los nie sprzyja, nic się nie udaje, i dni lekkie, będące ich przeciwieństwem. Według Isy dniami ciężkimi były niedziela, poniedziałek, a przede wszystkim sobota. W tedni, przekonywał, lepiej nie brać się za nic poważnego. Za to w środę, szczególnie zaś we czwartek, pracował jak szalony. W te dni wszystko miało się powieść. Nawet imam Szamil – mówił Isa – tak układał swoje wojenne pochody, by wyruszać właśnie w czwartki.

W ciężkie dni Isa siadał przy stole naprzeciw telewizora. To było jego miejsce. Jeśli był w domu, nikt nie ośmielał się go zająć. Każdy z domowników miał zresztą swoje miejsce i swoją rolę. Mnie Isa sadzał przy stole obok siebie, bokiem do telewizora. Trzecie krzesło, na którym trzeba by siedzieć tyłem do ekranu, stało zawsze puste. Czekało na niespodziewanego gościa.

Pozostali domownicy zasiadali na kanapie pod ścianą. Kobiety, Lejla i milcząca Etimat, żona Asłana, oglądały telewizję, stojąc w drzwiach pokoju. Porządkowały pokój i kuchnię po obiedzie, zaczynały przygotowania do kolacji, spełniały zdające się nie mieć końca żądania i zachcianki Isy.

Isa, nie pytając nikogo, rozstrzygał, jakie programy lub filmy będziemy oglądać. On też i tylko on miał prawo prowadzić rozmowę przy stole. Inni mogli się przysłuchiwać albo co najwyżej czekać na wezwanie Isy, by wziąć w niej udział. Na dłużej albo ledwie na chwilkę, w zależności od potrzeby i zainteresowania gospodarza.

Przejmowałem ich obyczaje i porządki. Przy stole milczałem, czekając, aż odezwie się Isa, a rozmawiając z nim, starałem się nie zwracać uwagi na Asłana, Islama ani Etimat, którzy, jeśli nie było nic ciekawego w telewizji, rozkładali*nardy*,popularną na Kaukazie grę planszową z pionkami i kośćmi.

Zauważyłem zresztą, że i oni zaczęli traktować mnie jak jednego ze swoich, choć nie do końca. Owszem, przywykli do mojej obecności w swoim życiu, swoim mieszkaniu i w swojej wieży z kamienia, stanowiłem dla nich urozmaicenie. Jednakbardziej im byłem potrzebny jako obcy przybysz, ktoś, dzięki komu można choć na chwilę zapomnieć o uczuciu skrajnego zagrożenia i strachu przed jutrem. Moje sprawy, zmartwienia, prozaiczne kłopoty, jakie stwarzałem swoją osobą, pozwalały Madajewom zapomnieć, a przynajmniej wyrwać się od codziennego przygnębienia.

Tak czy inaczej, kiedy wchodziłem do kuchni, kobiety przerywały rozmowę, by mnie wysłuchać, a w pokoju gościnnym Asłan i Islam zrywali się z krzeseł, tak samo jak wówczas, gdy wchodził ich ojciec. Sam zresztą wstawałem machinalnie, ilekroć pojawiał się Isa. Isa zaczynał mnie traktować jak podopiecznego, najstarszego syna, Asłan i Islam – jak starszego brata, któremu jest się winnym szacunek równie wielki jak ojcu. Islam ukradkiem popalał tytoń, ale nie ośmieliłby się wziąć w rękę papierosa na oczach ojca ani nawet Asłana. Początkowo palił przy mnie bez skrępowania. Potem nie widywałem go już z papierosem.

W stosunku do ojca synowie mieli obowiązek zachowywać się godnie. I zawsze bezwzględnie poddawali się temu nakazowi. Nigdy nie zauważyłem, by któryś zażartował, czy się choćby uśmiechnął, nie dostrzegłem żadnego ciepłego gestu, serdeczności. Nigdy nie widziałem, by Isa któregoś z synów uściskał, pocałował.

– Czeczenowi nie wolno kochać – powiedział mi kiedyś. Niby żartem.

Czeczenom, wrażliwym i uczuciowym, surowy górski obyczaj zabrania otwierać serca. O miłości mówić tu nie przyjęto, chyba że idzie o miłość do ojczyzny, Boga i matki albo o graniczące z miłością braterstwo broni i męczeństwa. Przyznać się do miłości można najwyżej przed samym

sobą. Obyczaj nakazuje jednak, by na zewnątrz mieć dla uczuć pogardę, nie zdradzić się z żadną słabością, zachować kamienną, niewzruszoną twarz niezłomnego wojownika.

Obowiązek dopełnienia wszystkich wymogów tak rozumianej rycerskości odbiera czeczeńskim synom przywilej ojcowskich uścisków i czułości. Isa niemal się chełpił, że nigdy nie bawił się z synem, żadnego z nich nie trzymał nawet na kolanach.

– To między innymi dlatego wyrośli na młodzieńców o charakterach twardych i mocnych, a nie na płaczliwe baby – przekonywał. – Ojciec musi wychować synów na wojowników. Tak mnie wychował mój ojciec, ja tak wychowałem Asłana, on tak samo wychowa swojego syna. A ja, jako dziadek, będę się mógł z wnukiem bawić i tulić go do utraty tchu. Ale z synem? Nigdy. Nie wolno mi tego.

Na Kaukazie synowie należą do ojców. Jeśli rozpada się rodzina, ojciec ma prawo zabrać dzieci. Inna sprawa, że ostatnimi czasy górale prawie nigdy nie korzystają z tego przywileju i porzucanym żonom zostawiają nawet synów.

Isa powtarzał mi nieraz, że najświętszym obowiązkiem ojca jest wychować synów na podobieństwo rycerza, którego powinien w ich oczach uosabiać. Trzeba więc, by ojciec był wzorem, mistrzem. I rzeczywiście stosunki między czeczeńskimi ojcami a synami bardziej przypominały mi relacje między mistrzami a oddanymi im na naukę i wychowanie uczniami.

Odnosiłem też wrażenie, że w tym wiecznym popisywaniu się czeczeńskich ojców władzą, w ich walce o szacunek synów i w wystrzeganiu się wszystkiego, co mogło zostać poczytane za rysę na niepokalanym wizerunku, było wiele strachu przed odrzuceniem i wiele tęsknoty. Podejrzewałem, że Isa zachowywał się tak wobec synów, bo czuł się winny, bo dokuczała mu pustka po wyrzeczeniu się miłości. Musiał też chyba mieć świadomość, że wychowując synów na swoje podobieństwo, skazał ich na te same udręki, które kiedyś przeżywał. A może tak wydawało się tylko mnie – gościowi, przybyszowi.

– Jeśli nie wypełnimy naszego obowiązku, nie zrealizujemy tego, czego się od nas oczekuje – mawiał – nie mamy prawa uważać się za ojców

naszych synów i za synów swoich ojców.

A pewnego razu, nad rzeką, przyznał się, że najstraszniejszym koszmarem, który go prześladuje w nocy, jest ten, gdy rosyjscy żołnierze, na oczach jego synów, biją go, upokarzają i zabijają dopiero wtedy, gdy nie ma już nawet siły błagać o śmierć.

W telewizji najczęściej oglądaliśmy wiadomości. Z rzadka tylko prąd włączano na dłużej, na dwie, trzy godziny, tak by wystarczyło go na obejrzenie jakiegoś filmu.

Nie wiem, co bardziej doprowadzało do wściekłości Isę – relacje z Czeczenii czy też ich brak.

Wpatrywał się w ekran jak w fotografie z rodzinnego albumu, usiłując rozpoznać pojawiające się na migawkach twarze. Wszyscy się tutaj wszak znali. Czasami wykrzykiwał z jakąś dziecinną radością i dumą: Popatrz tylko! Toż to chałupa Husajna w Starych Atagach. A oto on sam, we własnej osobie!

Przeglądanie się w zwierciadle telewizyjnego ekranu sprawiało moim domownikom dużą przykrość. Lejla chwytała się za serce, ilekroć pokazywano ruiny Groznego.

– Mieliśmy takie piękne mieszkanie… Ach, jak nam było tam dobrze! – wzdychała. – Wszystko mieliśmy: piękne meble, kafelki na ścianach, parkiet na podłodze. Żyło się spokojnie. To prawda, niewiele wiedzieliśmy o świecie. Ale jak się nie wie, że się odstaje od innych, to się ani nie zamartwia, ani nie zazdrości. Aż przyszła… ta wolność. Ech, gdyby to człowiek wiedział… Trzeba było siedzieć cicho i cieszyć się tym, co było.

Isa słuchał wiadomości z zaciętą twarzą.,,…w dniu wczorajszym, podczas operacji specjalnej w wiosce takiej to a takiej, nasze wojska zlikwidowały szajkę wyjątkowo groźnych bandytów i terrorystów…"

– Widzisz! – wołał Isa, waląc pięścią w stół. – Już nas nawet nie zabijają! Tylko likwidują! Jak jakieś robactwo albo szczury! Jeśli uważają nas za robactwo, to dlaczego jesteśmy dla nich aż tak niebezpieczni? Słyszana to rzecz, żeby milion Czeczenów był zagrożeniem dla stupięćdziesięciomilionowej Rosji?

Nowe migawki, fotografie wyrwane z kontekstu. Jakaś szkoła, dzieci

w mundurkach, wpatrzone w obiektyw kamery wielkimi czarnymi oczyma. Traktor w polu, żołnierze na drodze sprawdzają dokumenty podróżnych.

– Jak mówili, że nazywa się ta wieś? – pytał nagle Isa. -U nas w ogóle nie ma takiej wsi. Mogę ci wymienić nazwy wszystkich czterystu miast, stanic i aułów. Tej, o której mówili, wcale nie ma. Klnę się na wszystko, co chcesz. Zresztą, możesz zapytać innych. Tej wsi po prostu u nas nie ma.

Oburzały go usłyszane w telewizji kłamstwa, ale prawdziwie przerażał rosyjski brak dbałości o szczegóły. Jeśli bowiem telewizja z Moskwy nie przywiązywała wagi do geografii i bez ceregieli nazywała Czeczenów bandytami i terrorystami, to może cała Rosja i cały świat nie przejmują się, nie potrafią wzruszyć czeczeńską niedolą. To by zaś oznaczało skazanie na cichą rozpacz i śmierć bez skargi.

Od kłamliwych relacji bardziej trwożył go więc w telewizyjnych wiadomościach brak wieści z Czeczenii. Słuchał pilnie serwisu krajowego, nieco pobieżniej zagranicznego. Potem już tylko czekał, że może serwis kulturalny albo sportowy, a może prognoza pogody zostaną przerwane jakąś pilną, niepokojącą wiadomością z Kaukazu. Dzienniki bez wiadomości z Czeczenii przygnębiały go i przerażały. Pogrążał się w milczeniu.

Przytłaczającą ciszę przerywała niezmiennie Lejla, matka nadzieja.

– A co tam u was się o nas mówi? Ludzie o nas wiedzą? – pytała z dobrym uśmiechem na twarzy. – Bo ci tu takie rzeczyo nas opowiadają, że czasami człowieka przechodzi dreszcz ze strachu. Robią z nas dzikie bestie, ludojadów. A czy my tacy jesteśmy?

Islam czekał na wiadomości sportowe, wyniki meczów piłkarskich, gole, parady bramkarzy. W szkole grał w piłkę nożną i marzył, by zostać zawodnikiem w prawdziwym klubie. Z marzeniami już się pożegnał, ale wciąż pielęgnował w sobie miłość do wielkich stadionów, porywających meczów, wielkich piłkarzy.

Zamknięty w wiosce, tracił jednak powoli kontakt również z tym światem. Już dawno nie widział żadnych sportowych zawodów. Ani na własne oczy, ani nawet w telewizji. Te stacje, które transmitowały różne

mistrzowskie rozgrywki, do Czeczenii nie docierały. Podobnie jak gazety. A ciągłe przerwy w dostawie prądu sprawiały, że Islam nie nadążał nawet za najważniejszymi wydarzeniami na świecie. Wielbił piłkarzy, którzy już pokończyli kariery, przejmował się ich dawno zaleczonymi kontuzjami, nie znał nowych mistrzów.

– Mój Boże, kiedyś byłam przekonana, że te wszystkie wojny, katastrofy, nieszczęścia zdarzają się wyłącznie gdzieś tam daleko. W jakiejś Afryce czy Indiach. Oglądaliśmy to w telewizji i oburzaliśmy się, że dzieją się takie niegodziwości. Wierzyliśmy, że świat tak tego nie zostawi, pomoże. I pomagał, przylatywały jakieś samoloty z darami, wojsko – wzdychała Lejla. – Kiedy u nas się to wszystko zaczęło, też siedzieliśmy po piwnicach, wierząc święcie, że wystarczy trochę poczekać i świat się znowu oburzy, pomoże. Że nikt nie pozwoli, by ludzi mordowano jak bydło. Myśleliśmy sobie: ot, postrzelają trochę, jedni drugich nastraszą, w końcu się dogadają i znów będzie spokój, jak było. Ludzie nawet specjalnie nie uciekali. Aleśmy tak siedzieli i czekali, czekali i siedzieli, a to wszystko trwało i trwało. Słuchaliśmy radia, tylko że nikt tam o nas nawet nie mówił i nikt nie pędził, by tę naszą wojnę przerwać, by teraz nam pomóc.

– A wiecie, co wczoraj podali? Sama słyszałam. I Asłan też – Etimat odzywała się tylko wtedy, gdy Isy nie było w domu. Miała siedemnaście albo osiemnaście lat, była dużo młodsza od Asłana. Pomagała teściowej i dopiero gdy posprzątały po kolacji, żegnała się i szła do mieszkania naprzeciwko, które zajmowali z mężem. Nigdy też nie słyszałem, by w domu rodziców Asłan się do niej odezwał. Robiła się odważniejsza, gdy ani teścia, ani męża nie było w domu. Wtedy chichotała i grała w*nardy*z Islamem. – Powiedzieli, że specjalni urzędnicy policzyli wszystkich Czeczenów i wyszło, że choć wojna i tylu naszych poginęło, jest nas więcej niż przed wojną. Jakże to tak?

Regulowane przerwami w dostawach prądu telewizyjne wiadomości były dla Czeczenów jedynym źródłem nowin i wiedzy, jedynym oknem uchylonym na świat. Z Cziri-jurtu już Grozny wydawał się stolicą świata, Moskwa zaś jego mglistym, baśniowym krańcem.

Przez okno w mojej izbie wolno mi było spoglądać tylko z oddalenia,

musiałem być niewidoczny z zewnątrz. Widziałem brunatne pnie drzew, chyba klonów, którymi wysadzona była ulica przed domem, kawałek betonowego muru z bramą wjazdową, gdzie Isa zostawiał na noc swoją czarną wołgę.

Asfalt na ulicy był stary i popękany. Po deszczu, a padał prawie co noc, głośno bębniąc o blaszane parapety, w asfaltowych dziurach zbierały się głębokie kałuże brudnej, ciepłej wody, w której taplały się wróble i gołębie. Okoliczne dzieciaki bawiły się na roztrzaskanym trotuarze, tuż pod moim oknem. Słyszałem ich głosy, ale nie mogłem ich zobaczyć. Tylko z rzadka dostrzegałem ludzkie sylwetki przemykające drugą stroną ulicy.

Widziałem natomiast budkę stojącą naprzeciwko, w której jeden z kuzynów Isy – jakżeby inaczej – urządził jedyny we wsi sklep, gdzie sprzedawano wódkę i piwo. Sam Isa nie stronił od alkoholu, ale sklep z wódką kazał postawić pod domem niez wygody, lecz dla pewności. Chciał mieć wszystko na oku, samemu witać i żegnać rosyjskich żołnierzy, gdyby wybrali się na zakupy. Nocą Isa wychodził czasami na mój balkon i wołał właściciela kramu. Spuszczał z balkonu sznurek, do którego sklepikarz przywiązywał dwulitrowe plastikowe butle. Isa zmuszał mnie, bym razem z nim pił młode, kwaśne piwo, według niego znakomicie robiło ono na sen. Innym razem, na dobry sen, przynosił papierosy, które nabijał miejscową marihuaną.

Nauczyłem się poznawać jego szybkie kroki na schodach. Asłan, szurając, stąpał ciężko i powoli. Islam wbiegał do domu, przeskakując po kilka stopni. Nauczyłem się rozróżniać dźwięk silnika naszej wołgi, odczytywać ze sposobu, w jaki Isa zatrzaskiwał drzwi, czy przywozi dobre wieści, czy też, jak zwykle, nie ma żadnych.

Wioska Cziri-jurt była chyba jedyną miejscowością, w której żyłem, a której nie widziałem. Podglądałem ją tylko z oddalenia przez okno albo nocą, gdy stawała się niewidzialna, a ja mogłem już udać się na wyprawę nad Argun i z zadartą głową patrzeć w gwiazdy.

Pobyt w mieszkaniu Isy stwarzał ułudę bezpieczeństwa i niewidzialności, potęgi, jaką musiały dawać kaukaskie wieże z kamienia, do których górale chronili się przed śmiertelnym

niebezpieczeństwem. Wystarczyło jednak przekroczyć bramę domu albo po prostu o tym pomyśleć, by poczucie pewności znikało jak sen. Zastępowały je strach przed czyhającymi zagrożeniami i świadomość, że nawet z murów tej twierdzy można zostać wykradzionym, że tak naprawdę przed niczym nie chronią, że twierdza była w istocie więzieniem.

Tego dnia Isa nie ruszył się cały dzień z domu. Nikt go też nie odwiedził. Z samego rana wyłączyli prąd i nie mógł nawet oglądać telewizji. Całe przedpołudnie miotał się po mieszkaniu, paląc papierosy i pokrzykując na żonę: „Kobieto! Czy nie widzisz, że nie mam popielniczki? Mam gasić papierosy na dywanie? Czy naprawdę sam mam o wszystkim myśleć?!"

Beształ żonę po rosyjsku, jakby chciał, żebym zrozumiał, co mówi. Odnosiłem wrażenie, że z każdym dniem oczekiwania milczenie Maschadowa coraz bardziej go niepokoi. Może bał się, że zacznę powątpiewać w jego władzę i wpływy.

Otępiająca bezczynność sprawiała, że coraz trudniej było mi wykrzesać z siebie ciekawość i ochotę do rozmowy z kolejnymi gośćmi, których mi przyprowadzał. Poprzedniego dnia, kiedy przyszedł do nas ukrywający się we wsi prokurator wojskowy powstańczych władz, udałem, że śpię. Czymże jego opowieść mogła się różnić od historii, jakie usłyszałem już od prokuratora, który zajmował się walką z handlarzami niewolników, ministra przemysłu czy wiceministra rolnictwa?

Przez cały dzień Isa nie zaszedł do mnie ani razu, choć wiedziałem doskonale, że wiele razy podchodził do drzwi mojej samotni. Zachowywał się jak gość w domu żałobny, ostentacyjnie wyrażający szacunek dla rozpaczy rodziny zmarłego.

Wieczorem nie wytrzymał. Jak zwykle powędrował najpierw na balkon, po czym rozsiadł się na kanapie.

– Nie pokonają nas nigdy – oświadczył. – Jeśli trzeba, będziemy się z nimi bić i sto lat. Nie wszyscy oczywiście, ale nigdy nie zabraknie takich, co wezmą na siebie ciężar wojny i nie dadzą im spokoju. A kiedy zginą, zastąpią ich inni.

Mojemu gospodarzowi stuknął już piąty krzyżyk, jednak daremnie było szukać na jego skroniach siwizny. Chełpił się swoją sprawnością i siłą.

Ale nie poszedł tym razem na wojnę, choć poprzednią, a minęły od niej zaledwie cztery lata, przewojował razem ze starszym synem od pierwszego do ostatniego dnia.,,Ech, to już nie to zdrowie – wzdychał. – Gdyby tak można było odjąć paręlat..."

– Myślą, że skoro nie wszyscy poszliśmy do lasu, to znaczy, żeśmy skapitulowali. Nie wszyscy muszą się bić i ginąć. Muszą też pozostać ci, co wychowają następne pokolenia. Myślą, że jeśli przychodzimy do nich po mąkę i cement, jeśli bierzemy ich pieniądze, które nam rozdają, nazywając tę jałmużnę rentami, emeryturami czy zasiłkami, to ulegliśmy i godzimy się pozostać ich niewolnikami. Niech dają, weźmiemy wszystko! Za to, co nam zrobili, są winni tysiąckroć więcej!

Rozmowa z Isą szybko przeradzała się w monolog. Isa nie mówił, ale przemawiał. Wpadał w patetyczny ton ludowego trybuna. Podejrzewałem, że mimo pięćdziesiątki wciąż marzył. Właśnie o tej roli, roli charyzmatycznego przywódcy, przewodnika.

Podniósł się z kanapy i przeklinając świat i Lejlę, z której nie ma żadnego pożytku, długo szperał wśród książek w kredensie. W końcu wyciągnął spomiędzy zakurzonych tomisk kilka pożółkłych kartek. Statut ruchu narodowowyzwoleńczego Rycerz.

– Oto nasz cel i ratunek. Jest nas wielu, choć nikt nie zna jeszcze naszych nazwisk, ale uwierz mi, że wiele z nich by cię zdziwiło. Jesteśmy wszędzie. W lesie, w wioskach, w Moskwie. Także wśród tych, których dziś nawet nasi ludzie nazywają kolaborantami i zdrajcami, znalazłbyś wielu naszych towarzyszy. Rosjanie ustanawiają nowe władze, łudząc się, że będą im powolne. Mamy tam już swoich ludzi. Powołują zbrojne policje, pospolite ruszenie, które niby ma walczyć z naszymi partyzantami. Posyłamy do nich naszych chłopców, żeby nie musieli się ukrywać, żeby nie wtrącano ich do więzienia. A oni wydają im karabiny! Pokonamy ich nie siłą, ale sprytem! Wychowamy naszych wnuków na rycerzy, mądrych, szlachetnych, odpornych na zarazę prywaty, złodziejstwa i strachu. Do nich należeć będzie przyszłość!

Rzucił mi na tapczan pożółkły statut.

– Przejrzyj to, jak znajdziesz czas – powiedział, podnosząc się ciężko z kanapy. Przez chwilę zastanawiałem się, czy w jego głosie słyszałem ironię, czy też niepewność ucznia oddającego pracę klasową. – To chyba ważniejsze i ciekawsze niż głupstwa, które nawypisywał ten Francuz, Dumas.

Przed snem przeczytałem pierwszą kartkę. W preambule zapisano, że tytuł Rycerza będzie przyznawany członkom tajnego stowarzyszenia dopiero pośmiertnie, w uznaniu dla zasług całego życia. Jak zbawienie.

Magnetofonowa kaseta, którą przywiózł Chalid z bielmem na oku, wprawiła Isę w euforię. Od drzwi wołał głośno Islama: - Gdzie on się znowu podział? Nigdy go nie ma, jak jest potrzebny – pokrzykiwał, maszerując korytarzem do mojej izby. – Etimat! Biegnij no po niego, niech zaraz mi tu przychodzi!

Tym razem wszedł bez pukania, pewny, że uraduje mnie swoim widokiem i nowinami. Już w progu z kieszeni czarnego skórzanego płaszcza wyciągnął triumfalnie kasetę, jakby widział w niej potwierdzenie własnego znaczenia i wpływów.

– Jest! Wczoraj przysłali. Gdyby ten dureń, Chalid, pchnął kogoś do mnie, jeszcze wczoraj byśmy ją mieli. Ale co tam! Najważniejsze, że jest.

Nie ściągając płaszcza, usiadł ciężko w zapadającym się fotelu i wyciągnął papierosa.

– Zaraz Islam przyniesie magnetofon – rzucił, wypuszczając nosem dym.

Przez chwilę kaseta przewijała się z cichym szumem. Dopiero po dłuższej chwili odezwał się głos. Spokojny, chrapliwy, z lekka pokasłujący.

– To on, na sto procent on – szepnął Isa, pochylony nisko nad magnetofonem.

Dostarczono mi pańskie pytania, na które postaram się teraz odpowiedzieć. Przykro mi, ale w obecnych okolicznościach nasze spotkanie nie jest możliwe. Nie mam prawa narażać pana, a także samego siebie. Nie jako człowieka, lecz czeczeńskiego prezydenta. Jeśli jednak chce się pan ze mną spotkać osobiście, proszę uzbroić się

w cierpliwość i czekać na wiadomość. Jak tylko zmieni się sytuacja, przekażę ją panu, tak jak tę kasetę, przez posłańca i zaufanych ludzi, których poznać miał pan już okazję.

Rozczarowanie i rozterki musiały być aż nadto widoczne na mojej twarzy, bo Isa podniósł się znad magnetofonu i sapnął.

– Nie przejmuj się, on tak zawsze. Straszny z niego kunktator. Poślemy mu przez Chalida list, że się upierasz przy spotkaniu i bierzesz wszystko na siebie, co? Zgodzi się. Musi się zgodzić, jeśli jest mężczyzną. A jak nie, to się wywiem, gdzie się ukrywa i sam cię do niego zawiozę. Z fasonem, wołgą.

Gotowi jesteśmy w każdej chwili bez żadnych warunków przerwać wojnę i przystąpić do rozmów pokojowych. Problem w tym, że Rosja tego nie chce. Rosja bawi się z nami w kotka i myszkę. W zależności od potrzeb mówi, że utrzymuje z nami kontakty, że trwa proces pokojowy, to znowu ogłasza, że wszyscy jesteśmy bandytami i terrorystami, i że w ogóle nie ma o czym z nami gadać. Jakże mógłbym powiedzieć moim rodakom, że z Rosjanami nie będę rozmawiał, tylko będę się bił? Czeczeni są już zmęczeni ciągłymi wojnami, gonią ostatkiem sił. Poza tym, gdybym ogłosił dziś, że nie chcę rozmawiać, zostałoby to zrozumiane w ten sposób, że to ja wywołałem wojnę i że czerpię z niej jakieś korzyści. Tak, gotowi jesteśmy do rozmów o pokoju, bo tej wojny nie potrzebowaliśmy i nie potrzebujemy. Ale nie zamierzam o nic Rosji błagać ani prosić o łaskę. Nie potrzebujemy łaski. To Rosja, nakazując nam prosić o amnestię i przebaczenie, chce nas wszystkich zrównać ze zwyczajnymi bandziorami. A ja wierzę, że przyjdzie jeszcze taki czas, gdy o amnestię i przebaczenie będą prosić, i to prosić na kolanach, ci kremlowscy przywódcy i generałowie, którzy tę wojnę zaczęli i którzy są rzeczywistymi zbrodniarzami wojennymi. My nie uczyniliśmy nic złego, by prosić o wybaczenie.

Maschadow miał zmęczony głos, ale starał się być rzeczowy. Odpowiadał na pytania po kolei, tak jak je zapisałem. Najpierw odczytywał je na głos. Mówił: odpowiadam na pytanie pierwsze, teraz pytanie drugie…

Co będzie, jeśli Rosja nie zechce rozmów? No cóż, będzie wojna. Ale

po każdej wojnie, nawet stuletniej, przychodzi czas na pokój. Wszyscy rozsądni ludzie widzą, że ta wojskowa awantura w Czeczenii może zakończyć się dla Rosji wyłącznie źle. Mówię to nie tylko jako polityk, lecz przede wszystkim jako żołnierz. Nikt jeszcze nie wygrał z partyzantami, żadne mocarstwo, żaden reżim, żadna armia. Ani w Wietnamie, ani w Algierii, ani w Afganistanie. Nie będzie też zwycięstwa nad partyzantami w Czeczenii. Tragedia polega na tym, że sam rosyjski prezydent, Putin, nie chce się do tego przyznać. Boi się, woli odsuwać kłopoty, odkładać wszystko na jutro. Jeśli jednak Rosjanie nie zgodzą się na rozmowy o pokoju, to gotowi jesteśmy się z nimi bić aż do końca.

Zasłuchany w słowa Maschadowa, Isa zdawał się już nie pamiętać o odmowie spotkania. Uśmiechał się znad magnetofonu pełen uznania, jakby chciał powiedzieć: no, no, jednak ci się udało, jednak dopiąłeś swego. Nic nie rozumiał? Może starał się podnieść mnie na duchu, a może sam cieszył się na myśl, że odpadnie mu obowiązek goszczenia kłopotliwego przybysza.

Mój dzień pracy... Cóż, ukrywam się przed wrogami, tak samo jak oni ukrywają się przede mną. Myślę też, że oni boją się mnie bardziej. Nigdy nie spędzam w jednym miejscu więcej niż dwa dni. Stale jestem w drodze. Już ósmy rok nie chodzę w innych ubraniach niż polowy mundur. Przenoszę się ciągle do innych okopów, bez przerwy zmieniam schrony. Czasami nocuję w kryjówkach oddalonych dosłownie dwieście, trzysta metrów od rosyjskich posterunków, a nawet sztabów. Czasami muszę się kryć przed bombami i pociskami z dział. Mam też na terytorium Czeczenii kilka kancelarii, koordynuję z nichdziałalność mojego rządu. Pozostaję w kontakcie z moimi przedstawicielami, którzy przebywają za granicą. Codziennie rozmawiamy przez telefon, naradzamy się, uzgadniamy, planujemy.

Isa nie darzył Maschadowa zbyt wielkim szacunkiem ani sympatią.

– Asłan to człowiek bardzo zagubiony – powtarzał, ale bez współczucia, lecz jakby z wymówką. – Nigdy tu nie pasował. To żołnierz, a nie dżygit. Przeżył życie z regulaminem w kieszeni i z ręką nawykłą do oddawania honorów.

Nie jesteśmy terrorystami. Nie musimy uciekać się do terroryzmu, by walczyć z Rosją. To właśnie ona stara się ze wszystkich sił przekonać świat, że nasza walka o prawo do życia i terroryzm to jedno i to samo. Nasza wojna zaczęła się wcześniej, zanim świat usłyszał o Usamie ibn Ladinie. Nie zgadzam się z metodami, jakie stosuje w walce Szamil Basajew. Nie ma tu między nami zgody, ale i on nie jest żadnym towarzyszem Usamy ibn Ladina. Basajew jest wojownikiem, kimś, kto wywiera zemstę i uważa, że zasada oko za oko jest tu najodpowiedniejsza. Nie tędy droga. Gdyby udało się zmusić Basajewa do posłuchu i wykorzystać całą tę jego energię na walkę innymi, moimi metodami, zyskalibyśmy na tym znacznie więcej. Ja się nie zgadzam na zabijanie niewinnych cywilów. Jako wojskowy nie potrafiłbym posłać żołnierza z samobójczą misją. To wbrew mojej naturze. Ale nawet szukający śmierci i pragnący zadawać śmierć straceńcy powinni przestrzegać dyscypliny, słuchać rozkazów, atakować tylko te cele, które zostaną wskazane przez dowódców. Cele wyłącznie wojskowe.

Według Isy główny problem z Maschadowem polegał na tym, że coraz mniejszy był z niego pożytek. Wciąż pozostawał niewolnikiem wszystkiego, co stanowiło o jego życiu, brakowało mu odwagi, siły, a może także wyobraźni, by to brzemię zrzucić. Nie potrafił się uwolnić od własnego cienia, bez tego zaś nie był w stanie zacząć czegokolwiek od początku.

Dowiódł już niezłomności charakteru, męstwa i heroizmu. Tyle że ludziom od tego wcale nie było lżej. Przeciwnie, z każdym tygodniem wojny i okupacji rosła liczba rozczarowanych, zagubionych, którzy pozostając wierni wybranemu przez nich samych prezydentowi, oczekiwali od niego czegoś więcej poza heroizmem. Codzienne udręki, cierpienia, fizycznie odczuwana groźba zagłady i chęć przetrwania za wszelką cenę sprawiały, że bohaterstwo przestało być wartością najwyższą.

Ludzi nie ogarnęło jeszcze niezadowolenie. Inaczej już dawno odwróciliby się od Maschadowa i jego partyzantów. Pojawiło się albo zaczynało kiełkować zwątpienie, czy leśna i miejska partyzantka, podziemie i konspiracja są aby najskuteczniejszym sposobem walki

o przeżycie.

I wciąż go prześladował, jak klątwa, zły duch Basajewa. Cokolwiek by Maschadow uczynił, Szamil i tak pozostawał uosobieniem bohaterskiego, szalonego dżygita, który nie wie, co to znaczy nie walczyć, i dla którego wojna jest żywiołem.

Trwając w heroizmie, Maschadow zniechęcał do siebie i swojej sprawy tych, co w Szamilu, jego miłości własnej i nieodpowiedzialności widzieli przyczyny wszystkich nieszczęść. Wyrzekając się jednak heroizmu, Maschadow przekreśliłby wszystko, co osiągnął, i naraził się na najstraszniejsze z oskarżeń – oskarżenie o zdradę.

Znowu to pytanie! Czy rządzę, czy dowodzę, czy ktokolwiek mnie słucha? Dlaczego wy, dziennikarze, wciąż pytacie, czy panuję nad sytuacją? Ciężko mi odpowiadać na takie pytania. Ciężko mi tego wysłuchiwać. Proszę Allaha, żeby dał mi siłę i cierpliwość, bym dotrwał do końca tej rozmowy. To samo było podczas poprzedniej wojny, to samo teraz… Jak to się więc dzieje, że nie kontrolując niczego, ten sam Maschadow przez dwa lata stawiał opór potężnej armii rosyjskiej w czasie pierwszej wojny, a w drugiej wciąż walczy?

Uradziliśmy z Isą, że nazajutrz o świcie pojedzie do Chalida ze Starych Atagów i przekaże mu informację, iż postanowiłem zostać i czekać.

Poprzedniego wieczora, porządkując zapiski, przepisałem do zeszytu z porwanej gazety, co o Maschadowie mówił wieczny rosyjski dysydent, Siergiej Kowaliow:

„Maschadow jest postacią tragiczną. To człowiek bardzo rozważny, roztropny, dość ostrożny, zamknięty w sobie. Nieufność cechuje większość Czeczenów, życie ich tego nauczyło. A w dodatku w Maschadowie mocno tkwi rosyjski pułkownik, wychowany w środowisku, w którym szczerość i otwartość były zjawiskiem obcym. To pragmatyk – nie wda się w awanturę czy kłótnię, by bronić swoich racji, zanim nie weźmie pod uwagę wszystkich okoliczności. Ale do wojny domowej nie dopuścił. Maschadow to człowiek aż nazbyt odpowiedzialny. Nazbyt, bo przywódcy nie wolno być jedynie biernym niewolnikiem okoliczności i sytuacji. A Maschadow w jakiejś mierze tak

się właśnie zachowywał. Nieszczęście i wina Maschadowa, jeśli w ogóle można mówić o jakiejś winie, polegają właśnie na tym, że nigdy nie zdecydował się podjąć ryzyka. Mówi się, że był słabym prezydentem, że jego władza była fikcją. Fakt, najskuteczniejszy nie był. Ale dziś, kiedy toczy się wojna, jest dla Czeczenów ważniejszy niż podczas pokoju. I chyba tylko nasi głupcy na Kremlu nie rozumieją, że Maschadow jak nikt inny nadaje się do tego, by zasiąść przy stole rokowań. Cóż, nasza władza, jak zawsze, znów wybiera rozwiązania najgorsze z możliwych".

Mnie Maschadow zawsze wydawał się człowiekiem rycerskim i smutnym.

Najpierw brałem to za powagę, w jaką, co zrozumiałe, przyobleka się twarz tego, kto został wyniesiony do wysokiej godności. Olśnienie nadeszło dopiero potem. To nie była powaga, nie zaduma, lecz spokojny smutek, właściwy człowiekowi pogodzonemu z brakiem szczęścia, czerpiącemu pocieszenie z poczucia wzorowo spełnianego obowiązku. Obowiązku, który podjął tak dawno, że pobudki, jakimi się wtedy kierował, wydają się dziś niezrozumiałe i obce. Obowiązku, który stał się tożsamy z jego życiem i pozwala myśleć tylko o konsekwencjach. Z takiej twarzy nie da się wiele wyczytać. Pozostają tylko domysły, skojarzenia. To twarz człowieka samotnego, kogoś, komu poczucie obowiązku nie pozwoli nigdy i przed nikim przyznać się do cierpienia, rozterek i zwątpień. Gdyby je miał. Bo nie wolno mu narzekać, osiągnął w życiu tak wiele. Czy można mieć wszystko? Każdy o tym marzy i wierzy, że właśnie jemu, wybranemu, wyjątkowemu, przytrafi się to, o czym wie, że jest niemożliwe.

Marzył, by zostać żołnierzem. I został nim. Prawda, nie generałem, o czym śnił i co mu się należało jak nikomu innemu. Dochował się syna, który dowiódł męstwa w czasie wojny, a potem dał mu wspaniałego wnuka. Tyle że nie może się nimi nacieszyć, bo bojąc się o ich życie, wysłał rodzinę do zamorskiej Malezji. Śmiertelna groźba zawisła nad jego bliskimi, gdy spadł na niego największy z zaszczytów – naród wybrał go sobie na przywódcę i przewodnika. Miał rządzić w czasie najcięższej próby, w czasie wojny, i uchronić swój naród przed zagładą.

Niewątpliwie los obdarzył go hojnie. Poskąpił mu jednak tego daru

szaleństwa, które zwalnia z wiecznego myślenia o konsekwencjach, jest lekiem na nieszczęście, bo pozwala nie pamiętać o cierpieniu innych. Szaleństwa, które sprawia, że człowiek wstaje radosny o poranku i nie może doczekać się zmierzchu, by znów doświadczyć tej niemal zmysłowej radości budzenia się do życia ponownie, znów i znów.

Tego szaleństwa w nim nie ma. Nie potrafiłby więc żyć inaczej, nawet jeśliby pragnął tego jak niczego innego na świecie. Aby obrać inną drogę, musiałby się zaprzeć samego siebie. Czy mógłby się czuć szczęśliwy, mając jednocześnie poczucie winy, że nie spełnił obowiązku? Czy można więc mówić, że się czegoś wyrzekł? Wie, że istnieje inne szczęście, ale wie też, że jest ononajwyraźniej nie dla niego.

Jest smutny, bo zdaje sobie sprawę, że obrana przez niego droga prowadzi donikąd. Poświęcając własne szczęście, czyni ze swego życia zbędną ofiarę – nie docenią jej ci, dla których to uczynił. Nieprawda, co mówią, że nadzieja umiera ostatnia. Ostatnie, tuż po nadziei, umierają marzenia. Pozostaje tylko myśl, dlaczego życie potoczyło się tak, a nie inaczej, pozostaje dające otuchę poczucie dobrze spełnionego obowiązku, czasem rezygnacja, a czasem smutna tęsknota za czymś nieznanym.

Tak samotny nie był jeszcze chyba nigdy. Znów zapędzony do górskich ziemianek i okopów, zmuszony do ciągłej wędrówki z miejsca na miejsce, by uniknąć zasadzek czy zdrady. Znów otaczali go brodaci komendanci, jego podwładni w poprzedniej wojnie. Znów zgodzili się pójść pod jego komendę, słuchać jego rozkazów. Ale czy mógł im wierzyć, skoro zdradzili go w czasie pokoju, który okazał się czasem największej próby? Zdradę można wybaczyć, zapomnieć już raczej się nie da. A pamięć o niej nie pozwala żyć po dawnemu.

Jego najwierniejsi towarzysze, najlepsi żołnierze albo poginęli, albo dostali się do rosyjskiej niewoli. Nie ma przy nim najbliższych. Został w tych górach sam jak palec.

Ścigają go listami gończymi niczym pospolitego przestępcę. Jego! Najlepszego artylerzystę najlepszej armii świata, Armii Radzieckiej! Dawny dowódca Maschadowa, generał Bokowikow, wzywa go, by złożył broń, zapewnia, że tym razem Rosjanie wkroczyli do Czeczenii, aby

pozostać w niej na zawsze. Jeśli tak, to dla niego nie będzie miejsca we własnym kraju.

A może prowadzą sekretne rozmowy z jednym z jego komendantów? Z nim nie będą się pewnie układać, skoro uznali go za nieprzejednanego wroga. By jednak któryś z nich mógł podpisać pokój w imieniu całej Czeczenii, najpierw trzeba zgładzić jego, Maschadowa. Tak jak niegdyś Dudajewa.

Maschadow jednak wiedział, co ma robić. Zresztą nic innego mu nie pozostało.

Spełnić obowiązek. Czyli zginąć. Albo znowu zwyciężyć. To już nawet nie był jego wybór. Wyboru dokonał kiedyś. Odtąd był mu tylko wierny i czerpał z tego pocieszenie. Czyż nie jest więc wybrańcem losu, który pozwolił mu żyć w zgodzie z najbardziej cenionymi przez siebie wartościami?

W notatkach znalazłem też przepisany przed laty fragment listu Maschadowa do pułkownika Zawadzkiego:

,,Nie wiem, kto jest winien tej strasznej tragedii, ale mojej winy nie ma w niej żadnej. Najgorsze to stać bezradnie i przyglądać się, jak mordowani są ludzie, którzy zawierzyli mi los. Nie poddajemy się jednak i wierzę, że przyjdzie jeszcze czas, gdy mój kraj będzie przypominał nie pogorzelisko, ale kwitnący sad. Przekaż, proszę, ode mnie najlepsze pozdrowienia żonie, dzieciom i wszystkim naszym starym towarzyszom, z którymi utrzymujesz kontakt. Na razie nie mogę ci podać, drogi przyjacielu, adresu, ponieważ nie mam stałego miejsca zamieszkania. Z poważaniem – Maschadow".

Sprawy wróciły do dawnego rytmu posiłków, nocnych wypraw nad rzekę i oczekiwania na wieści od Chalida. Te jednak nie nadchodziły. Któregoś dnia sam przyjechał odwiedzić Isę i naradzić się, co robić w sprawie aresztowanego przez Rosjan Husajna.

Przez łańcuszek pośredników Chalid dostał wiadomość, że za wolność Husajna Rosjanie żądają wypuszczenia z niewoli trzech rosyjskich oficerów. To rozjuszyło Isę, na którego spadło zadanie doprowadzenia wymiany do skutku.

Podczas poprzedniej wojny dowodził własnym batalionem i, jak

zapewniał, miał jeńców na tuziny. Szeregowych, podoficerów, oficerów, nawet oficerów służb specjalnych – za nich można było wykupić prawie każdego. Ale przecież tym razem Isa niebył na wojnie.

– Skąd ja im teraz wytrzasnę trzech oficerów?! – wykrzykiwał, miotając się po zagraconym mieszkaniu.

Doskonale wiedział skąd. Nie podobało mu się jednak, że prosząc o jeńców na okup, zaciągnie dług u partyzanckich komendantów. Dług, prędzej czy później, przyjdzie mu spłacić. A regulowanie wierzytelności zakłóci spokój i porządek w jego wsi.

Chalid mówił też o niewielkim oddziale partyzanckim, który ponoć zszedł z gór i kręcił się po okolicznych lasach. Partyzantów widziano podobno w pobliżu Chatuni.

Nie potrafiłem chyba wystarczająco przejąć się losem Husajna. Dla mnie Chalid znów nie miał żadnych wiadomości. Zaczynałem marzyć o jakichkolwiek, nawet złych. Byle były.

Informacje o partyzantach, którzy pojawili się w okolicy, mocno mnie zaniepokoiły. A kiedy to sobie uświadomiłem, zaniepokoiłem się jeszcze bardziej.

Po śniadaniu Lejla przyniosła mi do pokoju szary karton. W środku spały cztery maleńkie kocięta, które przyszły na świat krótko przed moim przyjazdem.

– Ja mogę się im przyglądać całymi godzinami. Lepsze to niż telewizja, a od czytania po ciemku tylko psują się oczy – powiedziała nieśmiało.

Opuszczone przez matkę kociaki, piszczały smutno i tuliły się do siebie, przerażone otaczającym je światem.

Lejla stanęła niepewnie koło okna i zapytała, czy rozmawiałem z Asłanem.

Asłan, pierworodny syn, dziedzic rodu. Niski, krępy i muskularny jak sztangista. Bardzo dostojny i godny. Wprowadził się do sąsiedniego mieszkania, porzuconego przez znajomych Isy, którzy przestraszyli się wojny i wyjechali do Wołgogradu.

Podczas poprzedniej wojny Asłan walczył w wielu bitwach, wykazując się straceńczą odwagą. Nie mógł postępować inaczej, dowodził wszak chłopakami z rodzinnej wsi, której miał zostać przywódcą

z namaszczenia Isy.

Wtedy, podczas tej pierwszej wojny, Lejla bała się jakby mniej, bo Asłan wojował tuż u boku Isy. Wiedziała, że ojciec uchroni syna nie tylko od śmierci, ale nie pozwoli mu też okryć się hańbą, gdyby Asłanowi nie starczyło męstwa. Wierzyła, że Isa bezpiecznie przeprowadzi go przez tę męską i przywódczą inicjację.

Kiedy wybuchła druga wojna, była szczęśliwa, że i mąż, i syn pozostali w domu. Co do Isy miała pewność. Oczywiście, bała się więzienia i tortur, które w każdej chwili groziły mężowi za jego sekretną i ryzykowną działalność. Wiedziała jednak, że na wojnę nie pójdzie. A więc nie zginie.

Co do Asłana takiej pewności nie miała. W jego mieszkaniu wciąż schodzili się wieczorami dawni koledzy, którzy nie poszli do lasu. Lejla nie wiedziała, o czym tak rozprawiali długimi wieczorami.

Na Isę nie mogła liczyć. Wcale by nie powstrzymywał Asłana, uważając, że obowiązkiem ojca jest wychować syna na bohatera. A Lejla ani myślała zostać matką bohatera, męczennika. Chciała mieć syna i cieszyć się wnukami.

Bała się też o młodszego syna, Islama, który nie walczył dotąd w żadnej wojnie. Podczas poprzedniej ojciec zabronił mu wstąpić do partyzantki. W czeczeńskich rodzinach było prawem, że jeśli na wojnę szedł starszy syn, młodsi pozostawali w domu, by opiekować się rodzicami i zapewnić trwałość rodu. Ci młodzi wyszli z pierwszej wojny z ogromnym kompleksem. Starsi bracia zostali bohaterami, wygrali wojnę z potężną Rosją. Młodzi czekali niecierpliwie na swoją kolej. A jednak kiedy wybuchła druga wojna, Islam pozostał znów w domu. Posłuchał Asłana, w którego był zapatrzony jak w tęczę. Asłan miał wszystko to, o czym marzył Islam. Sławę bohatera, należny szacunek i wykształcenie. No i żonę.

Lejla bała się chyba bardziej o Islama niż o Asłana. Bała się, że młodszemu synowi nie starczy cierpliwości, że przestanie czekać i pójdzie do lasu, by dorównać starszemu chociaż w wojennych zasługach.

Lejla uznała, że właśnie po rozmowie ze mną jej synowie mogą

postanowić coś, co zaważy na życiu całej rodziny. Nie żebym miał ich do czegoś przekonywać. Choć traktowała mnie jak trzeciego syna, byłem jednak kimś z zewnątrz, kimś z wielkiego świata, czyja opinia, słowo czy choćby gest mogły wpłynąć na życiowe decyzje jej synów, cierpiących na kompleks prowincjuszy.

– Nie, nie rozmawiałem z Asłanem – odpowiedziałem Lejli. Przyjęła to z ulgą.

Nie skłamałem. Nie rozmawiałem z Asłanem. Tylko go słuchałem.

– Nie śpisz? Nie przeszkadzam aby? – Asłan kręcił się po pokoju, przekładał książki w kredensie. Widać było, że coś leży mu na wątrobie.

– Asłan, chciałbym, żebyś mi opowiedział o poprzedniej wojnie.

– Z pierwszą wojną sprawa była prosta. Nasz kraj został napadnięty, trzeba było się bić. Wierzyliśmy naszym komendantom, naiwnie i szczerze. Wydawało się nam, że wystarczy wygrać i ogłosić niepodległość, a wszystko będzie piękne. Przecież na czele państwa mieli stanąć ci sami wspaniali, szlachetni, bohaterscy komendanci – w przeciwieństwie do ojca Asłan mówił cicho i spokojnie, widać nie odziedziczył po nim retorycznych talentów. – A po wojnie niejeden z nich okazał się łajdakiem. Dlatego kiedy wybuchła druga wojna i znów ogłosili zaciąg, nie zgłosiłem się ani ja, ani wielu moich towarzyszy. Nie ufaliśmy już naszym komendantom, nie potrafiliśmy się pozbyć podejrzeń, że mogą nas posłać na śmierć nie dla sprawy, ale dla swojej prywatnej korzyści.

Wątpliwości jednak pozostały. Uspokajał się, gdy spotykał na bazarze dawnych kolegów z partyzanckiego oddziału. Uspokajał się, gdy słyszał, że inni wyjechali w świat. Uspokajał się, gdy widział na ulicy Omara, który choć bił się z Rosjanami w Duba-jurcie i został ranny, nie poszedł w góry, tylko ukrył się w wiosce.

Wystarczyło jednak, żeby odwiedził go Sulejman, ten z oddziału Basajewa, a niepokój powracał. Czym różni się dziś od tych, których w czasie poprzedniej wojny nazywał z pogardą tchórzami?

Bał się, że tak jak kiedyś on innym, tak teraz jemu zamkną usta tylko dlatego, że spędził wojnę bez karabinu. Nie był pewien, czy tłumaczenie, że jako mężczyzna wyzwolił się z naiwności młodego

wieku, jest aby na pewno dowodem dorosłości. A może tylko zgorzknienia i tego, że chłodna kalkulacja stała się mu bliższa od porywu emocji, jaka kierowała nim przed laty. Jeśli zaś tak, to może lepiej byłoby umrzeć, zanim się zdąży zestarzeć.

– Tamta wojna – mówił – była słuszna, a ta dzisiejsza podejrzanie trąci zdradą.

Zapomniał, że o tamtej, szlachetnej, mówiono podobnie, że też podejrzewano jej uczestników o najrozmaitsze podłości.

Asłan powtarzał, że to, iż siedzi w domu, tak naprawdę nic nie znaczy. W każdej chwili może odkopać ukryty w sadzie karabin i pójść się bić. I tak zapewne będzie. Jak tylko pojawi się w kraju nowy, nieznany dziś nikomu przywódca. Prawdziwy bohater bez skazy.

A na razie, zazdrościł Sulejmanowi. Może to on, Asłan, miał rację, ale życie Sulejmana wydało mu się bez porównania prostsze. I szczęśliwsze.

Sulejman jednak wcale nie czuł się szczęśliwy.

Przyszedł w odwiedziny, kiedy otępiony oczekiwaniem, zapomniałem, że istnieje. Gdy wkroczył do mojej izby, ledwo w nim rozpoznałem mężczyznę znad rzeki. Wydawał się wyższy, szczuplejszy, bardziej żylasty, starszy.

Miał trzydzieści sześć lat, ale rzeczywiście wyglądał na więcej. Przystał do partyzantów, gdy latem dziewięćdziesiątego trzeciego do miasta Omsk na Syberii, gdzie miał własny niewielki sklep z elektroniką, dotarły wieści, że w kaukaskiej Czeczenii dojrzewa wojna domowa. Sprzedał interes i z gotówką w garści przyjechał do Groznego, po czym zaciągnął się na służbę do gwardii Dudajewa.

Najpierw bił się z wrogami Dżochara, potem z Rosjanami, którzy najechali Czeczenię, jeszcze potem z wrogami Maschadowa, gdy ten zastąpił Dudajewa, i znowu z Rosjanami. Wyliczył sobie, że z karabinem nie rozstaje się już dziesiąty rok.

Przyprowadził go do mnie Asłan, jak zwykle pełen powagi i godności, nabożnie przestrzegający manier. Razem wyglądali dość paradnie. Sulejman – wysoki, chudy jak szczapa, rudy, o pociągłej, gładko ogolonej twarzy. Asłan – niski i krępy, okrągłolicy, z czarną, krótko przystrzyżoną brodą. Jeden wydawał się przeciwieństwem drugiego. Nadzwyczajna

gościnność, troska i dbałość, z jaką Asłan odnosił się do Sulejmana, nasunęły mi podejrzenie, że on sam nie był wolny od podobnych skojarzeń i bardzo pragnął je od siebie odpędzić.

Zakłopotany, zaproponował, byśmy przeszli do jego mieszkania, tam będzie więcej miejsca i będzie wygodniej. Naprawdę zaś nie chciał, by matka dowiedziała się o tym, że przyprowadza do domu ukrywającego się we wsi partyzanta i że w ogóle z nim się spotyka.

W swoim mieszkaniu czuł się jednak jeszcze bardziej zmieszany. Krępowały go wygodne fotele i kanapy, dywany na podłogach i kilimy na ścianach, telewizor w kącie, a i rozstawiona pod oknem gimnastyczna ławeczka ze sztangą i hantlami. Przeszkadzali koledzy, którzy jak ja przyszli posłuchać opowieści Sulejmana. Drażniły go nawet uprzejmość i uśmiechy Etimat, która nalewała herbatę do filiżanek. Wraz z pojawieniem się Sulejmana w jego domu wszystko, z czego czerpał przyjemność, wydawało mu się nie na miejscu i w złym tonie.

O wojnach i życiu w partyzanckich obozach Sulejman opowiadał sucho, pozbawionym emocji głosem. Tak jak się mówi o drobiazgach dnia codziennego, o czymś oczywistym, bez patosu, bez przechwałek, a nawet tajemniczości, typowych dla gawęd żołnierzy i partyzantów na całym świecie. Nawet bez wiary w zwycięstwo.

– My nie walczymy, by wygrać. To nie jest możliwe – powiedział. – Walczymy tylko po to, żeby nie przegrać.

Sulejman stracił niezłomną dotąd wiarę w zwycięstwo, gdy po trwającym miesiąc oblężeniu Groznego partyzanci postanowili wycofać się z miasta i poddać je Rosjanom. Sulejman uważał, że decyzja o kapitulacji stolicy była przedwczesna.

– Rosjanie stali dopiero na przedmieściach Groznego – wspominał. – Można było jeszcze trochę poczekać, spróbować wpuścić ich do miasta, zmusić do ulicznych walk, w których na nic by się już zdały ich samoloty, śmigłowce i działa dalekiego zasięgu. Może udałoby się nam wreszcie zmierzyć z nimi w walce. Było nas w Groznym kilka tysięcy partyzantów. Najlepszych, najbardziej doświadczonych, zaprawionych w bojach. Aż nie chce się wierzyć, że taka armia została rozbita w jedną noc.

Nikt nie doszedł, co się stało w fatalną noc trzydziestego pierwszego

stycznia, gdy czeczeńska armia partyzancka zdecydowała się opuścić obleganą stolicę. Krążące po kaukaskich aułach i stanicach wieści mówiły, że Czeczeni zapłacili rosyjskim generałom tysiące dolarów za przepuszczenie przez pierścieńoblężenia. Ponoć Rosjanie wzięli sto tysięcy dolarów, po czym złamali umowę, zaminowali wskazaną Czeczenom drogę ewakuacji i zaatakowali ze śmigłowców maszerujące przez pola minowe partyzanckie kolumny. Ale na zdradzie nie zarobili ani centa, bo Czeczeni zapłacili im całą sumę fałszywymi dolarami, wydrukowanymi zawczasu w cieszących się wielką sławą nielegalnych drukarniach w Iranie. Nie wiadomo, kto zdradził i kogo.

– Wychodziliśmy z miasta drogą na zachód, na Ałchan-kałę, Jermołowkę, Szami-jurt i Aczchoj-Martan. Noc była gwiaździsta, jasna. Kiedy zaczęły wybuchać miny i nadleciały rosyjskie śmigłowce, ludzie wpadli w panikę. Można byłoby wyjść z miasta z mniejszymi stratami, gdyby komendantom udało się zapanować nad wojskiem. A tak, ludzie tracili głowę, rozbiegali się, strzelali na oślep – kiedy Sulejman rozstrząsał wydarzenia tamtych dni, Asłan słuchał w głębokim milczeniu. – Tej nocy zginęło kilkuset naszych najlepszych partyzantów.

Ci, co przeżyli, poszli w rozsypkę, pierzchali w popłochu, nie mogli odnaleźć swoich dowódców ani oddziałów, nie wiedzieli, dokąd mają iść i co robić.

– Uciekaliśmy przed Rosjanami w góry. Cały czas tropiły nas i ostrzeliwały śmigłowce i samoloty. Wlekliśmy ze sobą rannych, bo tych, których zostawialiśmy po wsiach, Rosjanie zabierali nie do szpitali, tylko do swoich więzień, z których już potem żaden nie wyszedł. Zachodziliśmy do wsi, ale ludzie zamykali przed nami drzwi, bojąc się zemsty Rosjan. Szliśmy lasami, bezdrożami, padając ze zmęczenia, zimna, ran i głodu. Ludzie umierali w marszu. Po prostu, zatrzymywali się, osuwali na ziemię i umierali – mówił Sulejman, wpatrzony w filiżankę, w której wystygła już słomkowa herbata. Nawet nie zwrócił uwagi na Islama, gdy ten na wieść o gościu wśliznął się do pokoju i przysiadł pod ścianą. – Ale w górach było jeszcze gorzej. Mówili, że czekają tam na nas przygotowane zawczasu zimowe bazy. Głównie ziemianki i pieczary. Nic jednak nie było gotowe. Tylko Chattab

i Basajew zorganizowali bazy. Chattab jeszcze przed wojną wywoził w góry zrobione z kontenerów baraki, takie, w jakich mieszkają robotnicy na wielkich budowach. Kazał je zakopać w głębokich jamach, przysypać ziemią, zamaskować. W każdej z izb ogrzewanych piecami na piętrowych pryczach mogło zimować po dwudziestu ludzi. W jaskiniach założyli spichrze i magazyny broni. Opowiadano, że Chattab miał w swoich spichlerzach nawet banany, suszone daktyle i figi, u niego nikt nie głodował, nikt nie marzł. A na nas, zamiast ratunku i wytchnienia, czekali Rosjanie, którzy zdążyli już wysadzić tam desant. Znów samoloty i bomby, do tego jeszcze mróz, głód i zwątpienie. W zaprzyjaźnionych aułach zostawiliśmy po drodze dziesiątki najciężej rannych i tych z odmrożonymi nogami i rękami.

Sprzyjała im tylko pogoda. Zima okazała się wyjątkowo ponura i mroczna, niemal wcale nie było słonecznych dni, ułatwiających śmigłowcom pościg, a samolotom bombardowania. W dni pochmurne i szare, gdy niebo przypominało nieprzeniknioną, groźną pajęczynę, rosyjscy lotnicy bali się wyruszać w góry.

Uciekając ze zdziesiątkowanym oddziałem, Sulejman przyłączył się do wojska Rusłana Gełajewa, który wśród partyzantów cieszył się niezwykłym szacunkiem. Z długą siwą brodą wyglądał jak starzec, choć nie stuknęła mu nawet czterdziestka. Był człowiekiem bardzo pobożnym, ale nigdy nie zaliczał się do muzułmańskich rewolucjonistów. Był też może mniej znany niż Basajew, za to Czeczeni o wiele bardziej go szanowali. Nigdy nie zabiegał ani o sławę, ani o stanowiska. Przeciwnie, po zwycięstwie w poprzedniej wojnie ostentacyjnie odżegnał się od polityki i żenujących, bratobójczych kłótni o władzę i o pieniądze, w jakich zatracili się niedawni wojenni bohaterowie.

W końcu, mając do wyboru śmierć od kuli albo śmierć z głodu, Gełajew postanowił, że zejdzie z wojskiem z gór do swojej rodzinnej wsi, Komsomolskoje, odpocząć parę dni, opatrzyć rannych, a przede wszystkim się najeść.

– Znowu ktoś nas wydał, bo wieś otoczona już była przez Rosjan – Sulejman opowiadał swoją historię, nie przerywając właściwie ani na chwilę. Nie czekał na moje pytania czy ponaglenia. Byłem mu potrzebny

nie jako rozmówca, ale wyłącznie jako ktoś, komu mógł głośno opowiedzieć o swoim życiu. Jakby jego historia, ubrana w słowa, miała stać się prawdziwsza, ważniejsza, spisana, zachowana, zabezpieczona przed niepamięcią.

– Z tych, którzy zdążyli wejść do wsi, przeżyło niewielu. Nam się udało, bo kiedy zaczęła się strzelanina, byliśmy jeszcze w lesie i zdołaliśmy się wycofać.

Po klęsce w Komsomolskoje ocalałych partyzantów Gełajew poprowadził przez góry do Gruzji, tam zapadł w dolinie Pankisi, zamieszkanej przez gruzińskich Czeczenów, Kistów. Basajew, do którego przystał teraz Sulejman, zaszył się ze swoimi w górach, gdzie ratował zagrożoną gangreną nogę. Pomniejsi rangą komendanci, a także ci ważni, lecz nazbyt ufni w swoją szczęśliwą gwiazdę, golili brody i chowali się wśród wieśniaków w aułach i stanicach. Jeden po drugim wpadali w rosyjskie zasadzki lub trafiali do więzień, zdradzeni przez donosicieli, skuszonych nagrodą albo zastraszonych groźbami. Czeczeńska partyzancka armia została rozbita.

– Że zdołaliśmy przeżyć, to prawdziwy cud. A już zupełnie nie wiem, jak nazwać to, że udało nam się odbudować oddziały, znów zebrać parę tysięcy ludzi, zapanować nad sytuacją - ciągnął Sulejman. – Pewnie, nie mamy dość siły, by stawić czoła Rosjanom, ale wystarczająco dużo, by się ich nie bać i mieć nadzieję, że przetrwamy.

Wydawało mi się, że jako partyzant, ktoś, kto postanowił walczyć, powinien spoglądać z wyższością, jeśli nie z pogardą na tych, którzy walczyć nie chcieli, i choć nie godzili się z okupacją, nie starali się jej przeciwstawiać. Sulejman odnosił się jednak do Asłana i jego przyjaciół jak do starych znajomych, ludzi o innych upodobaniach i zajęciach. Oni także, no, może poza Asłanem, nie czuli się w niczym gorsi od partyzanta. Przyszli go posłuchać nie z potrzeby patosu i wzruszeń, lecz ze zwyczajnej ciekawości, pragnąc, być może, odpędzić myśl, że marnotrawią życie na wynajdowaniu sposobów najskuteczniejszego zabijania bezcennego wszak czasu.

Mohammed pochodził z gór, był potomkiem jednego z czterech najszlachetniejszych rodów z Wiedeno. Przed laty tylko przedstawiciele

tych rodów mieli prawo mieszkać w aule. Pozostali – kupcy, służba, rzemieślnicy, podróżni, żebracy – musieli opuszczać wioskę przed zmrokiem. Jeszcze dziadek Mohammeda zwykł siadywać na kamieniu i wypytywać zmierzających do aułu przybyszów, kim są, skąd się wywodzą i jakie mają zamiary. Dziadek zwykł też mawiać, że ostatni prawdziwi Czeczeni wyginęli podczas wojny z rosyjskimi bolszewikami prawie sto lat temu.

Mohammed miał surową, jasną twarz, kruczoczarne oczy i orli nos jak kaukascy dżygici z dziewiętnastowiecznych rycin. Nie pił wódki, nie palił tytoniu, nie przeklinał, nie śmiał się nawet głośno, a jedynie uśmiechał z rzadka. Nie podnosił głosu, wypowiadał się poważnie, wstrzemięźliwie. Wszystko robił jak należy. Baczył, by w każdym słowie, w każdym geście zachowywać się godnie.

Godność, honor oraz wierność rodowym tradycjom były wszystkim, czym się powodował. Miał być jak jego dziadek, wioskowy mędrzec, i ojciec, uczony, historyk. Nie tylko nie wolno było mu przynieść ujmy rodowi, ale powinien się zasłużyć, sprawić, by krewni byli z niego dumni. Jak nakazywał obyczaj, znał imiona swoich przodków do dziewiątego pokolenia. A także najwspanialsze czyny, jakimi się wsławili. Według kodeksu,któremu był wierny, ktoś, kto tego nie wiedział, nie miał prawa nazywać się Czeczenem. Było sporo wyniosłości w tym, jak odnosił się do kolegów, co za nic mieli nie tylko jego, ale przede wszystkim własne pochodzenie. Szczególnie to drugie Mohammed miał im za złe.

– Tylko wiedząc, kim byli twoi przodkowie, dowiesz się, kim sam jesteś – mawiał. – Jeśli zaś nie dowiesz się, kim jesteś, będziesz nikim.

Mohammed starał się być precyzyjny w słowach i oszczędny – zgodnie z tradycją – w okazywaniu wszelkich uczuć. Egzaltacja była czymś wyjątkowo nieprzystojnym, niegodnym mężczyzny, Czeczena. Podobnie nieodpowiedzialność, a za taką – jak i jego ojciec – uważał wywoływanie skazanej na przegraną wojny o niepodległość. Mohammed nie walczył. Uważał wojnę za sprawę obcą, zbrodniczą, nieczystą, nierycerską. Jako człowiek honoru nie chciał i nie mógł mieć z tym nic wspólnego.

A teraz, zupełnie niespodziewanie dla samego siebie, zaczął nienawidzić.

– Nienawidzę wszystkiego, co rosyjskie. Nie jestem jeszcze gotów zabijać ani ginąć, nie wiem, czy kiedykolwiek będę. Ale nienawidzę całym sercem – mówił wieczorami, gdy wpatrzony w dalekie szczyty Kaukazu zapewniał, że nie mógłby żyć nigdzie indziej, że jego miejsce jest w kotlinie Wiedeno i tylko tam. Jako ktoś spoza jego świata mogłem grać rolę powiernika. Nigdy nie ośmieliłby się o swoich uczuciach opowiedzieć ojcu. – Nie mogę już słuchać, jak bez wstydu kłamią w telewizji. Wleźli do mojego domu, wywracają wszystko do góry nogami, wyśmiewają to, w co wierzę, brukają wszystko, co dla nas święte. Zniósłbym myśl, że nas zabijają, chcą zgładzić co do jednego. Nie mogę znieść tej buty, bezczelności, z jaką kłamią w żywe oczy, i przekonania, że wszystko im wolno.

Nie było to pragnienie zemsty, lecz właśnie nienawiść. Zemstę by jeszcze zrozumiał. Tego wymagała od niego tradycja. Musiałby pomścić ojca, krewnych, plamę na honorze. Ale, niechbędzie chwała Wszechmogącemu, nikt z jego rodziny podczas wojny nie zginął. Nie doznał krzywdy. Zresztą prawo rodowej zemsty obejmuje tylko szlachetnie urodzonych górali z Kaukazu. Rosjan, jako obcych, już nie.

Długo i bezskutecznie szukał w sobie przyczyny, która posiała w nim nienawiść. Chciał wiedzieć, dlaczego ckliwe pieśni o świętej wojnie, męczennikach i wolności, to, czym dotąd pogardzał, nagle zaczęły do niego przemawiać. Przyznawał, że boi się tej nienawiści, ponieważ nie potrafił nad nią zapanować ani jej do końca zrozumieć. Nie potrafił ocenić, czy przystoi mężczyźnie z jego rodu. Czy nienawidząc, można pozostać człowiekiem honoru?

Czuł się winny, bo dopuścił, by nienawiść nim zawładnęła. Jak wezbrana deszczami rzeka przedziera się przez szczelinę w zaporze, by ją zburzyć, tak nienawiść zniszczyła, rozmyła Mohammedowi fundament jego życia. Pozwolił, by dokonała jednego wyłomu w opoce wielowiekowych obyczajów, norm i tradycji, a pozostało z nich tak niewiele, że mogły się już do niczego nie nadać. Dumny Mohammed z Wiedeno zaczynał tracić tak jasne dotąd przekonanie, kim jest i co z nim będzie.

Rusłan pił wódkę, żeby przed zaśnięciem odpędzić upiory. Bywały

noce, gdy nie zmrużył oka, bo przychodzili do niego przyjaciele, a nawet obcy, których śmierć zdarzyło mu się oglądać. Mówią, że wystarczy zobaczyć śmierć dostatecznie wiele razy, by przestała być straszna. Rusłan widział ją chyba nazbyt często, bo uparła się zostać jego towarzyszką jeszcze za życia. Cóż, był jej dłużnikiem. Uczyniła go świadkiem swego żniwa. Tylu innych zabrała, a jego ocaliła.

Rusłan był dziennikarzem. Brał udział we wszystkich bitwach, wszystko widział. To on właśnie fotografował Szamila Basajewa rozdającego arbuzy swoim dżygitom w Dagestanie.

Potem filmował uchodźców ściganych przez rosyjskie samoloty, bomby, które spadały na Grozny i przemieniały miasto w pustynię gruzów, masakrę partyzantów wymykających się nocą z miasta przez pola minowe. Sam z nimi szedł. Idącemu tuż przed nim Małemu Asłanbekowi mina wybuchła pod nogami, a odłamek oderwał pół głowy. W górach widział, jak partyzanci umierali z głodu, zimna i wyczerpania. Nie zliczyłby, ile razy patrzył na ludzką śmierć. Za dnia jakoś sobie z tym radził. Tylko nocami wolał otępić się wódką, żeby upiory nie miały do niego dostępu.

Nie użalał się nad sobą, skądże! Uważał tylko, że ze zbyt częstego oglądania śmierci nie może wyniknąć nic dobrego. Jedni znoszą to lepiej, jak on, Rusłan, inni gorzej, albo wcale nie potrafią sobie z tym poradzić. Jak ta dziewczyna w obozie dla uchodźców w Karabułaku, która, schowana w domu pod łóżkiem, widziała śmierć całej rodziny. Minęły prawie dwa lata, a dziewczyna nie odezwała się ani słowem i w ogóle sprawiała wrażenie nieprzytomnej. W Czeczenii zresztą trudno byłoby znaleźć kogoś – dorosłego czy dzieciaka – kto by śmierci nie widział.

Jedni po takim doświadczeniu zapadali się w sobie, inni już nigdy nie potrafili się uwolnić od strachu. A byli i tacy, którzy nie mogli sobie z niczym poradzić, ani z bólem, ani ze strachem, ani z nienawiścią. Ci byli najstraszniejsi. Błąkali się i kąsali jak wściekłe psy.

Właśnie takich wypatrywali po obozach uchodźców, aułach, stanicach i ruinach miast ci, którzy umyślili sobie posyłać desperatów z samobójczą misją do rosyjskich koszar, biur kolaboracyjnych urzędów, nawet aż do samej Rosji.

Znaleźć ich? Nic prostszego. Dość było dzień, dwa pokręcić się, popytać, a potem tylko czekać na sposobność. Kobiety doprowadzić do ostateczności można łatwiej. Wystarczy jeszcze raz zadać ból, upokorzyć, zniechęcić do życia, po czym podpowiedzieć sposób zemsty. I jeszcze zwieść obietnicą zapewnienia opieki rodzinie, którą osieroci.

Z mężczyznami szło trudniej, bo to na nich spoczywał obowiązek opieki, musieli więc żyć do końca. Trzeba było zatem wybierać takich, co nosili w sobie poczucie winy, przekonanie, że zawiedli. Nie potrafili uchronić swoich rodzin, domów, cmentarzy, honoru, niczego. Trzeba im było jeszcze tylko dać na chwilę nadzieję – perspektywę bezpiecznego schronienia w obozie uchodźców, pomocy, pracy, celu w życiu. Po czym należało to ponownie odebrać, by, odarci ze wszystkiego, co mieli i mogli mieć, byli gotowi na śmierć w zamachu bombowym. Nie wolno było tylko przegapić tej ostatniej chwili, kiedy jeszcze tli się w nich życie. Gdy zgaśnie i z żywych istot staną się jedynie bezwolnymi, pozbawionymi uczuć biologicznymi organizmami, do niczego już się nie będą nadawać.

Poza kłopotami ze snem Rusłanowi dokuczała najbardziej niemożność wybiegania myślami naprzód. Nie mógł planować ani marzyć, kreślić perspektyw. Myślenie o tym, co będzie, wydawało mu się czasami absurdem, częściej koszmarem. Nie mogąc zaś marzyć, myśleć do przodu, stawał się w środku pusty. Miał też wrażenie, że jego ciało robi się ciężkie jak ołów, nieruchome, martwe. Odechciewało mu się wszystkiego.

Sulejman opowiadał, że w górach pozostali tylko najsilniejsi i najzdrowsi – nigdy, i to nie przez wzgląd na słuchaczy, nie powiedział: najlepsi – tacy, którzy najlepiej znoszą trudy w obozach i ciągłe wędrówki po przełęczach. W większości, jak on sam, byli weteranami obu wojen i mieli po trzydzieści parę lat. Młodych, nastolatków było niewielu.

Podzieleni na małe kilkudziesięcioosobowe oddziały, ciągle się przemieszczali, unikając, jak mogli, rosyjskich śmigłowcówi samolotów szpiegowskich, które nieustannie tropiły ich po górach. Latały nawet nocą z włączonymi reflektorami, przeszukiwały leśne drogi i polany.

– Tylko w małych oddziałach udaje się w miarę sprawnie zdobywać żywność, znajdować bezpieczne schronienie na noc. Śpimy zazwyczaj pod gołym niebem, ale w śpiworach. Staramy się nie palić ognia, a jeśli już, to wybieramy na opał takie drzewa, które płonąc, dają najmniej dymu. Nauczyliśmy się je rozpoznawać – mówił Sulejman. – Po górach przemieszczamy się pieszo, dźwigając wszystko, co potrzebne do życia i walki. Każdy taszczy po pięćdziesiąt kilogramów ładunku. Koni nie mamy, bo trzeba je karmić. Z tego samego powodu nie mamy zbyt wielu rannych, im też trzeba dać jeść. Jeśli w ogóle bierzemy kogoś do niewoli, to tylko żołnierzy poborowych. Żołnierzy kontraktowych, którzy przyjeżdżają na wojnę do Czeczenii, żeby zarobić, zabijamy natychmiast, nie marnujemy nawet na nich pocisków.

Z uwagi na trudy życia w leśnych bazach i obozowiskach, a także niemożność wyżywienia liczniejszych oddziałów, w górach pozostawał jedynie stały partyzancki kontyngent, konieczny zarówno dla zapewnienia bezpieczeństwa powstańczym przywódcom, jak i ochrony wędrownych szlaków wiodących przez przełęcze. Pozostali partyzanci ukrywali się po wsiach, wymieniając się regularnie, niczym na warcie, z pełniącymi służbę w górach. Ci, którzy schodzili z górskich wart, zostawiali w lasach karabiny i dokładnie golili brody. Jak Sulejman.

Fakt, że działali rozproszeni na niewielkie, kilkudziesięcioosobowe oddziały, utrudniał im prowadzenie poważniejszych operacji zaczepnych. Z ogromnym kłopotem przychodziło im uzgadniać działania, wspólne akcje. Walczyli niezależnie od siebie, komunikując się przez umyślnych, i jedynie od czasu do czasu spotykali się w dolinach podczas wielkich narad komendantów, w których uczestniczyli nierzadko sami Maschadow i Basajew.

Ponieważ jednak nie mieli jednej struktury, jednego systemu, trudniej było ich zniszczyć. Walczyli po swojemu, nieprzewidywalnie, inaczej. Dlatego tak ciężko było ich wytropić i pokonać.

Niemożność utrzymania w górach większej armii zmuszała też powstańców do odprawiania z kwitkiem coraz liczniejszych ochotników uciekających w góry z okupowanych przez Rosjan aułów.

– Ciężko im odmawiać, kazać, żeby wracali do domu – mówił. Włączyli

prąd i nad nami zabłysła zwisająca z sufitu naga żarówka. – Nie stać nas jednak na utrzymywanie w górach wielkiej armii. Odsyłamy ich do domów, tłumaczymy, żeby czekali, dajemy inne zadania. Od czasu do czasu ściągamy do naszych obozów na przeszkolenie. Ale właściwie siedzą po domach, czekając na rozkazy. Aby ich chronić przed Rosjanami, załatwiamy im legalne dokumenty, w dodatku takie, które zapewniają nietykalność.

Dokumenty wydawali partyzantom urzędnicy z prorosyjskiego kolaboracyjnego rządu. Jedni ze strachu (podczas nocnych wizyt w ich domach partyzanci składali im propozycje nie do odrzucenia), inni z dobrej woli.

– Wśród tych, co poszli na służbę do Rosjan, prawdziwych zdrajców jest niewielu – opowiadał Sulejman. – Większość urzędników i policjantów to ludzie, którzy jedynie chcą przetrwać. Niby służą Rosjanom, ale po cichu sprzyjają naszej sprawie i nie odmawiają nam przysług.

Zimą, gdy poza zwyczajnymi uciążliwościami życia w górach dokuczały mrozy, a na śniegu widoczne były ślady wędrującego oddziału, większość, nawet trzy czwarte, partyzantów schodziła na równiny, przede wszystkim do dużych miast, takich jak Grozny, Gudermes czy Urus-Martan. Tam, dysponując przygotowanymi zawczasu dokumentami, z łatwością mogli wtopić się w tłum i przetrwać do wiosny. W górach, wystawieni na największe trudności i wyzwania, pozostawali tylko ci zbyt znani, których już nigdzie nie dałoby się ukryć.

Żyli w skalnych pieczarach i szybach, wykutych w górach jeszcze przez Rosjan, ci bowiem przed laty umyślili sobie, że z tajnych baz na szczytach Kaukazu będą razić pociskami rakietowymi nieprzyjazną Turcję. Mimo chłodu i szybko zapadających ciemności partyzanci starali się jak najrzadziej palić ogień. Topili śnieg, by zaparzyć herbatę lub przygotować posiłek. Musieli się wyjątkowo mieć na baczności, bo zasypane śniegiem przełęcze utrudniały, a nierzadko uniemożliwiały ucieczkę przed pościgiem.

Lepsze czasy zaczynały się wiosną, gdy robiło się cieplej, a na drzewach pojawiały się liście dające zasłonę przed śmigłowcami.

Łatwiej wtedy było wędrować po górskich graniach. Pod osłoną drzew można było przemieszczać się bezpiecznie od wysokogórskiego, dziewiczego parku narodowego z okolic Wiedeno aż po Dżejrach w Inguszetii, a nawet Północną Osetię, gdzie góry są niższe, stamtąd zaś dolinami rzek Assy lub Tereku zapuszczać się nawet do Gruzji. Łatwiej też było, niepostrzeżenie, w małych, kilkunastoosobowych oddziałach schodzić z gór pod same wsie i na drogi, by zdobywać zaopatrzenie i organizować zasadzki na rosyjskie kolumny. Jesienią partyzanci znów rozchodzili się po dużych miastach, a ich przywódcy zaszywali się w górskich kryjówkach.

– Najbardziej boimy się ich samolotów i bomb, które zrzucają nam na głowy. Nie wiemy, co to za bomby, ale są przerażające. Czasami po wybuchach przez wiele dni męczą nas torsje, a po innych bombach łzawią oczy – zamyślił się Sulejman. – Są jeszcze i takie, co powodują, że zielona młoda trawa pali się jasno jak słoma.

– Dla nich stu zabitych to po prostu koszty wojny, które trzeba zataić. Dla nas każdy poległy to niepowetowana strata

– rzucił po chwili Sulejman, prostując się na niewygodnym krześle. Milczący Czeczeni przytaknęli skinieniem głowy. – Nie, w tej wojnie niczego już nie zdobędziemy, nie będzie żadnych szarż ani szturmów. Nie mamy na to siły. Po każdym naszym ataku na komendanturę, po każdej zasadzce, po każdym wyroku na zdrajcy Rosjanie przeprowadzają ekspedycje karne, organizują łapanki na młodzież. Nie chcemy, żeby ludzie cierpieli na darmo. Jeśli więc atakujemy, to tylko wtedy, kiedy jest to absolutnie konieczne. Nie damy rady ich pokonać. Ale walczyć możemy i ze sto lat. Rosjanie mogą przegrać jedynie sami ze sobą. Chodzi więc tylko o to, by przetrwać. To będzie znaczyło, że nie przegraliśmy.

Zapadła cisza. Etimat wniosła świeżą herbatę. Za oknem już się ściemniało.

Sulejman zapytał, czy jeszcze go potrzebuję.

Odparłem, że nie. Bo niby do czego? Nie potrafiłem już wykrzesać w sobie ciekawości, siły na rozmowę, wiary w wyjątkowość i powagę wszystkiego, co mnie otaczało. Wysłuchałem opowieści Sulejmana, tak

jak wysłuchali jej Asłan, Rusłan i Mohammed, czas upłynął szybko i łagodnie. Wystygła herbata w filiżankach, zapadł wieczór, minął kolejny dzień. Myślałem o tym, że za chwilę zgaśnie światło, a ja nie wziąłem ze sobą latarki i będę musiał po omacku dobrnąć do swojej izby przez cuchnący moczem korytarz.

Nie zatrzymałem Sulejmana, gdy się żegnał, choć był dla mnie jedynym świadkiem wydarzeń, dla których się tu znalazłem. To, o czym opowiadał, bitwa w Komsomolskoje, rozegrała się ledwie przed kilku tygodniami. Nie zapytałem o Basajewa, a przecież Sulejman widział go raptem tydzień temu. Był źródłem bezcennej wiedzy, ja zaś tę wiedzę zlekceważyłem.

Nad rzeką, gdzie się poznaliśmy, mówił:,,Nie wyobrażam sobie wojny bez Szamila. Różnie o nim gadają, ale Basajew toprawdziwy przywódca".

Czeczeni w obozach dla uchodźców w Inguszetii, a także wielu tych, których spotkałem nad Argunem i w mieszkaniu Isy, nie mogli wybaczyć Basajewowi, że ściągnął na ich kraj nową wojnę. Ani zawiedzionych nadziei, jakie uosabiał.

– Jeśli dał Rosji powód do wojny, świadomie jest zdrajcą – powiadali, płacząc nad mogiłami bliskich i zgliszczami domostw. – Jeśli zaś nieświadomie, jeśli zaślepiła go ambicja i pycha, jest głupcem i zdrajcą, bowiem komuś, kto chce być przywódcą, nie wolno myśleć tylko o sobie, kierować się wyłącznie emocjami i nie brać pod uwagę konsekwencji.

Jedni mówili, że jest szaleńcem, który mając tylko siebie na względzie, ściągnął nieszczęście na tysiące innych. Inni, jego wielbiciele, a tych zawsze było bez liku, tłumaczyli, że Szamil nie przyniesie nieszczęścia, lecz wolność, że właśnie on jest tym wyczekiwanym śmiałkiem, że nie boi się sięgać po to, o czym inni nie poważyliby się nawet śnić.

Mówiono, że tylko na polu bitwy Basajew może teraz odkupić grzechy, z których po wojnie zostanie przez rodaków rozliczony. Nie brakowało jednak takich, co uważali, że gdyby Szamil zasłużył się na wojnie, a potem w Groznym, na głównym placu, padł na kolana i poprosił o wybaczenie, to ludzie mu przebaczą. W Czeczenii przemoc i terror były czymś tak powszednim, że potępianie ich byłoby równie jałowe jak

przeklinanie złego losu czy marnej pogody.

– Jeśli dziś twarz Maschadowa jest wizerunkiem Czeczenii, to Szamil jest jej duszą – mawiał Mohammed Tołbojew, jeden z przywódców dagestańskich Awarów i pierwszy kaukaski kosmonauta. – Jest uosobieniem wszystkich romantycznych cech kaukaskiego dżygita. Jeśli nie zginie, będzie rządzić Czeczenią.

Przemożne pragnienie życia na krawędzi doprowadziło Basajewa do punktu, z którego nie było już powrotu. Nie chcąc, nie potrafiąc żyć w czasie pokoju, sam siebie skazał na wojnę.

Jedynym losem, jaki mu pozostał, jest los wiecznego wojownika, straceńca.

Niewątpliwie został bohaterem, choć widziano w nim albo bohatera legendy heroicznej, albo mrocznej makabry. Dla tych, co go otaczali czcią i miłością, był wzorem wszelkich cnót. Innym, którzy go przeklinali, jawił się jako czarny anioł, ucieleśnienie najgorszych wad, skaz, skrywanych i chorych żądz. Był jednak bohaterem. Odnosiłem wrażenie, że tylko o to mu w życiu chodziło. Nie dbał, czy go sławią, czy też życzą mu śmierci w męczarniach. Wydawało się, że jedyne, czego się bał, to anonimowość, w jego przekonaniu była ona tożsama z niebytem.

Sam zaś Basajew nie mówił nic, niczego nie prostował, niczego nie wyjaśniał. Jakby czerpał przyjemność z zamieszania, które wywoływał swoją osobą. Milcząc, zdawał się obiecywać: dla każdego będę takim, jakim zechce, abym dla niego był.

Wojna i wojenne historie tylko pozornie wydają się łatwe do opowiedzenia. Jak straszliwy katalizator przyśpieszają reakcje, ułatwiają poznanie, ujawniają i odkrywają dobre i złe strony człowieczeństwa. Są jak laboratorium alchemiczne, sekretne, otoczone niby przezroczystym, ale szczelnym, prawie nieprzeniknionym murem. Laboratorium oglądane z daleka daje tylko szczątkowe i bardzo powierzchowne pojęcie. Aby posiąść prawdziwą wiedzę, trzeba mu się przypatrzyć z bliska, wejść do środka. Najpierw należy odnaleźć bramę i przejścia prowadzące przez mur do świata, w którym dzieje się niepojęty, niemożliwy do wyobrażenia koszmar wojny.

Po przekroczeniu muru okazuje się jednak, że znalazłszy się w świecie

wojny za sprawą ciekawości prawdy albo koszmaru, można już tylko być jego mimowolnym uczestnikiem. Że niesposób pozostać jedynie uważnym obserwatorem, badaczem.

To zaś pozbawia celu i wartości całą wyprawę, a pragnienie dotknięcia prawdy lub koszmaru przeradza się wyłącznie w pragnienie, by wydostać się z niego za wszelką cenę.

Uparłem się jechać do Komsomolskoje. Podróż do spalonej wioski, choć nie bardzo nawet wiedziałem, czego się po niej spodziewać, wydawała mi się koniecznym obowiązkiem, którego spełnieniem mogłem odkupić chwilową słabość, jaką było wypuszczenie z rąk Sulejmana.

Dzień rozpoczął się bez słońca, mroczny, ale ciepły jak wiosna w górach. Niebo nad wioską miało kolor ołowiu.

O poranku Isa wywiózł mnie prosto pod bramę rosyjskich koszar. Paląc w milczeniu papierosy, czekaliśmy na kapitana, który obiecał zabrać mnie do zburzonych przez Rosjan aułów na kaukaskim przedgórzu. Isa, choć zapewniał, że wszystko załatwił, najwyraźniej się denerwował. Tylko tego brakowało, żeby zawiódł jeszcze jeden z jego planów, żeby nie mógł dotrzymać kolejnej obietnicy. Odetchnął z ulgą, gdy z bramy wyjechał terenowy wóz z kapitanem za kierownicą.

– Masz najwyżej pół godziny – rzucił oficer, gdy zatrzymaliśmy się w wiosce. Po trzytygodniowej bitwie z partyzantami nie pozostało w niej nawet jedno całe domostwo. – Pytaj, ale nie odpowiadaj na żadne pytania. Łatwo tu spotkać tajną policję. Ja tam nie chcę kłopotów. Jakby co, to się ciebie wyprę i jeszcze aresztować pomogę.

Wieś wydawała się pusta i martwa. Wokół nie było żywej duszy. Żadnego człowieka, krowy, gęsi czy kury. Żadnego żywego stworzenia. Żadnego dźwięku, ani bliżej, ani dalej. Głuchą ciszę zakłócały tylko pszczoły, uwijając się wśród absurdalnie białych bzów, których słodkawy zapach w majowe południe był silniejszy od wszechobecnego odoru pogorzeliska.

Szedłem nieśpiesznie od domu do domu, przyglądając się ruinom z daleka, z drogi. Omijałem podwórza, pełne, jak mnie ostrzegano, niewypałów i min. Zawracałem już, gdy usłyszałem odgłos siekiery.

Przestraszył się na mój widok, nie spodziewał się kogokolwiek

spotkać. Miał na imię Anzor i kiedyś tu mieszkał. Teraz żył kątem u krewnych w niedalekim Duba-jurcie. Nie chciał być ciężarem dla gospodarzy, jeździł więc do swojej wsi i wyszukiwał po obejściach wszystko, co nadawało się jeszcze do użytku.

Wieś liczyła pięć tysięcy dusz. Ci, co nie poginęli, uciekli. Zostały po nich ruiny i zgliszcza, poskręcane wraki spalonych samochodów i traktorów.

– Partyzanci zeszli do wsi o świcie, dopiero szarzało – przypominał sobie Anzor, drapiąc się pod futrzaną czapą. – Wynędzniali, w łachmanach. Prosili o jedzenie i żebyśmy pozwolili im parę dni odpocząć. Było ich kilkunastu, wszyscy miejscowi. Ale kiedy z gór zaczęli schodzić następni i następni, już wiedzieliśmy, że wybiła nasza godzina.

Był wśród partyzantów sam Rusłan Gełajew. Rosjanie rozpowiadali potem, że poświęcił swoich partyzantów i rodzinną wieś po to, żeby wywieźć z niej rodzinę.

– To nieprawda – zaprzeczał Anzor. – Gełajew wywiózł żonę, dzieci i matkę, zanim jeszcze poszedł bronić Groznego.

Żołnierze pojawili się już nazajutrz. Na polu za drogą rozstawili czołgi i armaty. Ludzie zaczęli uciekać ze wsi. Ale otoczywszy wioskę, Rosjanie zawracali uciekających z niej chłopów, kazali im wracać i czekać po chałupach, aż wojsko samo wejdzie i samo sprawdzi, kto był partyzantem, a kto nie, kto sprzyjał leśnym, a kto był wierny Rosji.

– Ledwie jednak weszli do wsi, zaraz zaczęła się strzelanina i wszyscyśmy, wbrew zakazom, jeszcze raz rzucili się do ucieczki – wracał pamięcią do tamtych dni chętnie i opowiadał bez bólu; to, że przeżył, podczas gdy tylu innych oddało życie, napawało go wiarą we własną wyjątkowość. – Ale żołnierze znowu naszatrzymali i nie pozwolili się ruszyć, dopóki nie sprawdzą, czy nie ma wśród nas partyzantów. Siedzieliśmy w szczerym polu pięć dni i pięć nocy. Na mrozie, bez jedzenia, dachu nad głową, pośrodku bitwy, między strzelającymi ze wsi partyzantami a rosyjskimi czołgami i działami. Przyglądaliśmy się, jak ginie nasza wioska. Wieś stała w ogniu i grzmiała, jęki rannych i ryk palących się zwierząt docierały aż na pole.

Partyzanci bronili się trzy tygodnie. Wymykali się ze wsi do lasów, zostawiając za sobą setki poległych. Rosjanie bombardowali wioskę bez specjalnego pośpiechu i dopiero gdy milkły karabiny Czeczenów, zapuszczali się w uliczki i obejścia. Szli ostrożnie, plecami przy murach ogrodzeń po obu stronach drogi, wysadzając w powietrze dom po domu, zagrodę po zagrodzie.

– Bali się zaglądać do piwnic, w których mogli jeszcze kryć się partyzanci. I rzeczywiście, po domach pełno było rannych – mówił Anzor. – Wrzucali więc do środka chałup wiązki granatów i tak szli od chałupy do chałupy.

Wydobyte z ruin ciała zwozili na pole pod pobliskim Alchazurowem. Codziennie po siedemdziesiąt, osiemdziesiąt zwłok. Ludzie zjeżdżali tu z całego kraju, żeby w rozłożonych na czarnej folii szczątkach rozpoznać swoich bliskich i zabrać ich na rodzinne cmentarze.

Anzor wyciągnął z torby chleb i kozi ser. Zbliżała się pora obiadu. Nie mogłem z nim dłużej rozmawiać. Musiałem wracać. W umówionym miejscu na rogatkach czekał mój kapitan. Przekradłem się na drugą stronę muru, żeby być bliżej, lepiej się przyjrzeć, lepiej poznać. A odkąd tam się znalazłem, wciąż się tylko chowałem. Trudno cokolwiek zobaczyć samemu, pozostając wiecznie w ukryciu.

Już sami, choć za zgodą Rosjan, pojechaliśmy do Duba-jurtu. Byłem tam po raz trzeci. Pierwszy raz jako gość Mansura.

W Duba-jurcie nie doszło nawet do bitwy, a mimo to ta niegdyś bogata wieś także przestała istnieć. Rosjanie, stanąwszy pod wioską, nawet nie chcieli się układać. Komendant wsi, Mohammed Baudinow, który pojechał na rozmowy, przepadł bez śladu. Zaraz potem Rosjanie rozstawili nad rzeką czołgi i działa i zaczęli ostrzeliwać Duba-jurt. Bez przerwy, dzień w dzień, noc w noc.

Chłopi uciekli, a gdy strzelanina ucichła i wrócili, zastali istne pobojowisko. Nie uchował się ani jeden dom. Te, których nie zburzyli pociskami i bombami, żołnierze spalili. Wcześniej rozkradli, co się dało, i wywieźli ciężarówkami.

W Cziri-jurcie mówiono, że sąsiedzi zapłacili za stare grzechy. Podczas poprzedniej wojny górskie auły miały mieszkańcom Duba-jurtu

za złe, że w trosce o siebie nie podjęli walki z rosyjskim wojskiem, lecz przepuścili Rosjan przez wieś, gdy ci ścigali uciekających w góry partyzantów. Zniszczenie i grabież Duba-jurtu górale uznali więc za przejaw bożej kary i sprawiedliwości.

Mieszkańcy Duba-jurtu bez słowa skargi czy protestu mozolnie składali z kawałków zniszczone domostwa. W jakiś cudowny sposób lepili zburzone i przeżarte ogniem mury, rozpościerali nad nimi dachy. Wśród ruin i pogorzelisk rodziło się nowe życie, które zwiastowały dymiące radośnie kominy.

Poprosiłem Isę, by zawiózł mnie do domu Mansura, gdzie kiedyś mieszkałem. Jeśli nie liczyć rozwalonego dachu i całkowicie splądrowanego dobytku, obejście ocalało. Rakieta rozbiła tylko szczyt izby, która jesienią służyła nam za sypialnię.

Mansura nie zastałem. Wyjechał z żoną i synem do Niemiec, zanim wojna wybuchła na dobre. Jego starszy brat, Said Cham-zat, powiedział mi, że czasami udaje mu się porozmawiać z nim przez telefon. Rzadko, bo żeby zadzwonić, musiał jeździć aż do Dagestanu. Dużo to kosztowało, a dodatkowo Saida Chamzata paraliżował strach na sam widok rosyjskich żołnierzy.

Nie miał pojęcia, co się stało z kierowcą Musą, ode mniedowiedział się, że Omar, który śnił o Paryżu, ukrywa się w Cziri-jurcie. Said Chamzat myślał wyłącznie o wyjeździe z kraju i niecierpliwił się, że Mansur potrzebuje tak dużo czasu na przygotowanie bezpiecznego i pewnego przerzutu z Kaukazu nad Ren.

Wyjeżdżając ze wsi, spotkałem jeszcze Nuruddina, jednego z moich dawnych aniołów stróżów. Kończył właśnie zalepiać dach nad jedyną izbą, która nadawała się do remontu. Pozostała część domu spłonęła.

W odbudowanej izbie Nuruddin chciał przetrwać wiosnę i lato. Wierzył, że Rosjanie zapłacą mu kiedyś za zniszczony dom, a wtedy zamierzał odbudować pozostałe pomieszczenia i sprowadzić z Inguszetii rodzinę. Na razie w zadaszonej już izbie ustawił łóżko i sklecony ze starej beczki piec. Wieczorami w spalonym domu parzył sobie na nim herbatę.

Po powrocie Asłan zapytał, czy zwróciłem uwagę na wymarłe pola.

– Ludzie nie wychodzą siać. Pełno tu min. Rosjanie stawiają te miny, żeby odciąć partyzantom drogę do wiosek. Ci, co wiosną decydują się jednak obrobić pole, pędzą przodem owce. Jeśli przejdą, znaczy, że min nie było, ale jeśli któraś wyleci w powietrze, to mięso i tak się potem zje, a kawałek pola można obsiać.

W piątek wieczorem pojechaliśmy z Isą do domu Chalida, by się dowiedzieć, czy nie było dla mnie wieści, i rozesłać do partyzanckich komendantów prośbę o jeńców potrzebnych do wykupu Husajna.

Isa wszedł do środka, zostawiając mnie jak zwykle w samochodzie. Wrócił roztrzęsiony. Oto jeden z powstańczych przywódców przekazał mu polecenie, by co prędzej wydostał z rosyjskiej niewoli tatarskiego dziennikarza, który przeprowadził z nim wywiad. Przywódca bał się, że dziennikarz nie wytrzyma śledztwa i wyda jego kryjówkę. Kazał Isie dowiedzieć się o cenę za uwolnienie Tatara, nie liczyć się z kosztami i traktować to jako sprawę pierwszorzędnej wagi.

Z tego wszystkiego Isa zapomniał zapytać Chalida o moje sprawy. Ale gdyby nadeszła wiadomość z gór, Chalid powiedziałby o tym i bez pytania.

Zajęty wykupem Husajna i tatarskiego dziennikarza, Isa znikał z domu na całe dnie. Wracał markotny i zamykał się w małżeńskiej sypialni, do której nikt poza nim i Lejlą nie miał wstępu.

Asłan spędzał dnie z przyjaciółmi w swoim mieszkaniu, a Islam wałęsał się po wsi. Uciekając z domu, uwalniał się od obowiązujących w nim porządków, sztywnych, krępujących i niezmiennych.

Pozostawała krzątająca się w kuchni Lejla i milcząca przy obcych Etimat.

Chciałem uciec od destrukcyjnej samotności i zatrutych myśli, przesiadywałem więc w kuchni, udając głód albo pragnienie.

Niezwykle mało kobiet i kobiecych losów pojawiało się w moich opowieściach. Kobiety były tylko statystkami, elementami dekoracji świata, który próbowałem zrozumieć i opisać. Nie walczyły o władzę, nie stały na czele rewolucji, spisków i zamachów, nie dowodziły wojskami, nie zabijały i nie ginęły w okopach. Nie ich imionami miałem więc zapisane notatniki i nie o spotkania z nimi zabiegałem w pogoni za

komentarzami do sytuacji, prognozami, wypowiedziami na wyłączność.

Otoczony mężczyznami i pochłonięty ich światem, nie znajdowałem czasu ani siły, by spróbować choćby wyobrazić sobie, jak wygląda bitewny krajobraz widziany oczami kobiet, nie bohaterów wojen, lecz statystek i ofiar. Po prawdzie, nie czułem nawet takiej potrzeby.

Prowadzący wojny mężczyźni zazdrośnie strzegli przedobcymi tajemnic świata swoich kobiet. Nie chcieli, by poświęcano im zbyt wiele uwagi. Może z obawy, że opowieści znających ich na wskroś kobiet zburzą pomniki chwały, które wznosili sobie z takim mozołem, że opowiadając o cierpieniach i zbrodniach, kobiety pozbawią ich wojny heroicznej aureoli, obalą mit niezłomnego wojownika i męczennika za sprawę.

Dopiero pozostawiony sam sobie przez czeczeńskich mężczyzn, mogłem słuchać opowieści ich kobiet. Dopiero wtedy zaciekawiły mnie i wydały się ważne.

Zaraz po śniadaniu, gdy sprzątnęła stół i pomyła naczynia, Lejla zabierała się do czyszczenia butów. Mokrą szmatką usuwała błoto z cholew, potem specjalną szczotką je pastowała, aż błyszczały. Czyściła buty Isy, synów, moje.

Protesty kwitowała pełnym politowania uśmiechem, a gdy spróbowałem kiedyś zabrać buty do swojej izby, Isa pokręcił z dezaprobatą głową.

– To jej zajęcie – rzucił.

Początkowo wziąłem to za kolejny dowód niewolniczego traktowania kobiet. Z czasem zacząłem podejrzewać, że pozostając wierni starym tradycjom i obyczajom na przekór wszystkiemu, Isa, Lejla i ich sąsiedzi starali się zachować choć pozory normalności. Dawno narzucone role, stare obowiązki były dla nich jedynym łącznikiem z dawnym, ginącym dziś światem. W starym życiu, może niedoskonałym, potrafili się odnaleźć, mieli jasne kierunkowskazy. Nowego, które przecież musiało nadejść, nie znali i dlatego się obawiali. Nie spodziewali się po nim niczego dobrego.

Lejla czyściła więc buty, prasowała koszule, zamiatała pokoje i marzyła o nowych zasłonach. Stare Isa wyniósł z domu, komuś oddał.

Nie pytała komu ani po co. Isa nigdy by nie pozwolił, żeby wtrącała się w jego sprawy.

Nowe zasłony stały się dla Lejli niemal obsesją. Wciąż o nich mówiła. Ilekroć zachodziła do mojej izby, załamaływała ręce i przepraszała.

– Jak to wygląda? Okna zaklejone do połowy starymi gazetami! W dawnym mieszkaniu, tam to mieliśmy prawdziwe zasłony! Ciężkie, z atłasu, i długie do samej ziemi. Zaraz po wojnie sprawię sobie nowe, takie same.

Często mówiła, że bez zasłon w oknach czuje się naga, wystawiona na cudze spojrzenia, zagrożona. Okna przesłonięte purpurowymi zasłonami z atłasu były dla niej symbolem bezpieczenstwa i spokoju.

Pozbawiona zasłon, czuła, że nie wywiązuje się należycie z roli opiekunki domowego ogniska. Dlatego tak wyrywała mi buty i wydziwiała, kiedy robiłem w łazience pranie. Dlatego też, choć utrudzona i znudzona, czekała na Isę, aż uda się na spoczynek. Nie mogła położyć się przed mężem. Nie było to przyjęte.

Tylko tego od niej oczekiwano. Nigdy nie pracowała, podobnie jak większość kobiet w Czeczenii. Kobieta pracująca zarobkowo była żywą obrazą dla męża i niezbitym dowodem, że do niczego się nie nadawał, nie mógł uważać się za mężczyznę.

Utrzymanie domu i rodziny było zadaniem i obowiązkiem mężczyzn, jedynym obowiązkiem. Ich żony i dzieci, które im rodziły, musiały mieć wszystko. Mężczyzna mógł żony nie kochać, mógł z nią nie rozmawiać, nawet całymi tygodniami mógł nie pokazywać się w domu. Jeśli potrafił utrzymać rodzinę, zapewnić jej dostatek i bezpieczeństwo, wciąż mógł się uważać za dobrego męża. Bieda była niemal równoznaczna z hańbą.

Miłość nie musiała więc poprzedzać małżeństwa, choć dobrze, jeśli się pojawiała.

Lejla nie chciała, nie potrafiła mówić o miłości. Kobiety na Kaukazie, podobnie jak ich mężczyźni, skrywają przed obcymi uczucia. Lejla opowiadała tylko, że wychodziła za Isę bez przymusu. Z radością. Ślub oznaczał dla niej dorosłość, o której śniła, i uwolnienie spod władzy rodziców. Isa, choć rzadko – a już nigdy publicznie, na oczach innych – okazywał uczucia i czułość, był mężem dobrym, troskliwym. Niczego im

nie brakowało. W ich własnym rozumieniu byli szczęśliwi.

Nie to co Taja, żona najmłodszego brata Isy.

Niska, drobna, o ładnej, smutnej twarzy, przychodziła w odwiedziny, kiedy wiedziała, że Isy nie ma w domu. Przychodziła do Lejli na skargę i z prośbami. Jej Ahmad był powodem wiecznych zmartwień i kłopotów.

Gdyby nie wojna, życie Tai i Ahmada może byłoby lepsze. A tak było do niczego.

To wojna wywróciła wszystko do góry nogami, postawiła na głowie, unieważniła przypisane i wyuczone role.

Z opiekunów i strażników rodzin mężczyźni stali się dla nich śmiertelnym zagrożeniem. Nie tylko nie potrafili już obronić przed niczym żon i dzieci, ale ściągali na najbliższych nieszczęścia. Teraz to mężczyzn trzeba było strzec.

Już na początku wojny Rosjanie ogłosili, że każdy Czeczen, który skończył szesnasty rok życia, a nie przekroczył lat sześćdziesięciu pięciu, będzie przez nich uważany za podejrzanego partyzanta i terrorystę. Bojąc się aresztowań, bólu, upokorzeń, konieczności zdobywania okupu za wolność, wreszcie śmierci, mężczyźni pozamykali się w domach. Choć zaryglowane bramy i zatrzaśnięte drzwi nie zapewniały już bezpieczeństwa, zwiększały jednak szanse przeżycia. Mężczyźni nie mogli więc spełnić żadnego z przypisanych im obowiązków. Nie mogli nawet porządnie wywrzeć zemsty, gdyby zaszła taka potrzeba. Jak w kraju ogarniętym wojną, najeżonym wojskowymi posterunkami i rozjechanym gąsienicami czołgów szukać ze strzelbą tego, kogo miała dosięgnąć rodowa zemsta?

Stali się nieużyteczni.

Isa należał do wyjątków. Wciąż utrzymywał rodzinę, zapewniał jej dostatek i spokój. Ale Lejla truchlała na samą myśl, że los może przestać być aż tak łaskawy i Isę spotka to co młodszego brata.

Ahmad był przystojnym mężczyzną. Wysoki, z gęstą czupryną, o pięknej twarzy. Był może zanadto zapalczywy i w gniewie potrafił nawet uderzyć żonę, ale i tak wszyscy uważali, że z wiekiem zmądrzeje, a Taja dobrze trafiła.

Wojna bardzo Ahmada odmieniła. Gdyby mieszkał w Cziri-jurcie, Isa

może potrafiłby zadbać także o jego bezpieczeństwo. W Szali był jednak bezradny. Zbudowany jak mocarz, porywczy, Ahmad rzucał się w oczy, przyciągał uwagę. Parę razy trafiał więc do rosyjskiego aresztu. W końcu zamknął się w mieszkaniu i wcale z niego nie wychodził. On, który dawniej nie mógł w jednym miejscu ustać dłużej niż chwilę, teraz całymi dniami leżał na łóżku ze wzrokiem tępo wbitym w sufit. Wieczorami zaś zaczął tęgo pić, a po pijanemu coraz częściej bił Taję, w dodatku na oczach trójki dzieci.

Isa nieraz jeździł do Szali rozmawiać z Ahmadem. Po każdych odwiedzinach Ahmadowi zostawała na pamiątkę posiniaczona, opuchnięta twarz. Przez jakiś czas był spokój, ale w końcu gorzałka znowu odbierała mu rozum.

Ahmad zastanawiał się nad rozwodem. Isa, jako najstarszy z rodziny, ani myślał się na to godzić.

Taja też nie chciała rozwodu, tłumaczyła nawet, że rozumie mężowską złość. Nie winiła go, ba, nawet mu współczuła. Wiadomo, nie mógł ścierpieć nagłej bezużyteczności. Odbierało mu to resztki godności i wszelką chęć do życia. Każdy wolałby porzucić rodzinę niż z bliska patrzeć, jakim jest dla niej ciężarem. Ahmad wstydził się Tai i własnych dzieci.

Ta bezsilność i utrata sensu życia była dla czeczeńskich mężczyzn klęską trudniejszą do zniesienia niż zbrojne porażki na wojnie.

Nie mogąc czekać, aż mężczyźni wrócą do dawnych ról, bez wiary, że nauczą się nowych, kobiety w Czeczenii musiały powoli we wszystkim ich zastępować. One, którym kiedyś niewolno było samym wychodzić z domu, teraz na ulicy nie odstępowały mężów. Ich obecność mogła, choć nie musiała, uchronić mężczyzn przed aresztowaniem.

Teraz to one handlowały na bazarach, pracowały w polu, wędrowały po kraju w poszukiwaniu bliskich wśród wziętych do niewoli jeńców albo w coraz to nowych zbiorowych mogiłach. Wiele kobiet nie chciało nawet rodzić dzieci, których mnogość była niegdyś powodem do dumy i największym spełnieniem. Teraz dzieci oznaczały przede wszystkim to, że trzeba się będzie bać o ich życie.

W odwiedziny do Lejli przyjeżdżała też jej stara znajoma z Groznego,

doktor Emma z kliniki położniczej.

– I po co się to prosi na świat?! – wykrzykiwała. Mimo wojny wciąż odbierała porody w szpitalu, na który jakimś cudownym zbiegiem okoliczności nie spadła żadna bomba. Mury podziurawione były karabinowymi seriami, a wiele sal splądrowali szukający łupów rosyjscy żołnierze i miejscowi szabrownicy, ściany jednak stały mocno i pewnie dźwigały sufit.

– Do czego to podobne?! Dookoła wojna, znikąd żadnej nadziei, a te rodzą sobie w najlepsze! Nie pomyśli jedna z drugą, jak potem ten drobiazg wyżywi, jak uchowa przed tragedią. A co, jeśli sama stanie śmierci na drodze? Co potem taka sierota pocznie samiutka na świecie? Stuknęłaby się taka dobrze w głowę! Nie wiedzą, co znaczy stracić dziecko, chować na zatracenie!

Doktor Emma miała dwóch synów i codziennie umierała ze strachu, że spotka ich najgorsze. Tak jak syna jej przyjaciółki, dla którego przekleństwem okazała się rana odniesiona podczas bombardowania na poprzedniej wojnie. Zatrzymującym i rewidującym go żołnierzom ucięta w łokciu ręka wystarczała za dowód, że jako partyzant uległ kontuzji w walce z Rosjanami. Chłopaka co i raz aresztowano, wtrącano do więzienia, a gdy rodzina go wykupywała, wracał skatowany i nieprzytomny ze strachu.

Ze łzami w oczach doktor Emma zaklinała się, że nie przeżyłaby, gdy coś podobnego miało spotkać któregoś z jej synów. Bała się, kiedy synowie wychodzili na bazar i do przyjaciół, bała się zostawiać ich samych w domu, gdy wychodziła do szpitala. W końcu wyprawiła ich aż do Rosji, do Stawropola. Nie widziała ich, ale czuła przynajmniej, że są tam bezpieczniejsi. Co wcale nie znaczyło, że naprawdę bezpieczni.

– Samotnym dziś lepiej, bo się boją tylko o siebie. A po sobie nawet płakać nie będą musieli – mówiła, wycierając z oczu łzy. – Dobrze nie mieć dziś dzieci. Może nikt po tobie nie zapłacze, ale to zawsze lepiej niż płakać nad ciałem własnego dziecka.

Tej nocy ktoś we wsi wystrzelił z karabinu do rosyjskiego wartownika. Żołnierzowi nic się nie stało, ale po wsi rozeszła się wieść, że Rosjanie sposobią się do obławy. Będzie przetrząsanie mieszkań, sprawdzanie dokumentów, aresztowania mężczyzn, którzy wydadzą im się podejrzani.

Isa obudził mnie i powiedział, że muszę przenieść się na noc do jego brata, Chamzata. Był przekonany, że Rosjanie zastukają także do naszych drzwi.

Chamzat mieszkał z żoną i dwójką dzieci na skraju wsi, za rzeką, na odludziu. Jego samotny dom ginął pośród krzaków, wysokich traw i łopianów. Wyglądało to tak, jakby wioska się go wyparła, wygnała, nie chcąc mieć z nim nic do czynienia. Stał zbyt daleko od pozostałych zagród, żeby przeszukującym wioskę żołnierzom chciało się fatygować aż za rzekę. Rozbudzony w środku nocy Chamzat długo nie mógł dobrnąć do drzwi, bo potykał się w ciemnościach o wchodzące mu w drogę krzesła.

Postanowił ukryć mnie w drewnianej altance za domem, gdzie przed wojną zapraszał przyjaciół na biesiady. Było tamwszystko, co jest potrzebne do przyrządzenia szaszłyków – zbity z nieociosanych desek wielki stół i dwie ogromne ławy, a także kamienny krąg, w którym palono ognisko.

Zapytałem Chamzata, dlaczego Isa, będąc w takiej komitywie z Rosjanami, nagle zaczął się ich obawiać.

– Sam widzisz. Tu nic nie jest pewne. Nie ma się czego trzymać – wzruszył ramionami. – Żadne prawa nie obowiązują, żadne umowy nie są przestrzegane. Nie ma ani kary, ani sprawiedliwości.

Nigdy by się do tego nie przyznał przed Isą, ale mnie, obcemu, mógł powiedzieć. Kiedy Rosjanie zdobyli Grozny, a ich wojska stanęły w prawie każdej czeczeńskiej wsi, poczuł ulgę. Tak, ulgę, bo wierzył, że skończy się wreszcie wojna, strach i bałagan, że w końcu znajdzie jakiś grunt pod nogami, jakiś punkt oparcia, od którego będzie można coś zacząć, coś budować. Wielu myślało wtedy jak on, Chamzat był tego pewien. Niepotrzebne były słowa. Widział to w spojrzeniach, czuł.

Ale wojsko, choć przepędziło w góry partyzantów, nie myślało zaprowadzać jakichkolwiek porządków. Po nocach pijani żołnierze zachodzili do chałup, bili gospodarzy, rabowali wszystko, co wpadło im w ręce. Zabierali z domów dziewczyny. Mówili, że na przesłuchanie, sprawdzić, czy aby nie są łączniczkami partyzantów. Niektóre nie wracały już nigdy. Te zaś, co wracały, zamykały się w domach, płakały i nie odzywały słowem. Płakali też ich ojcowie, bo woleli widzieć córkę martwą niż pohańbioną, gdyż pohańbiona dziewczyna doświadczała nie współczucia, lecz tylko jeszcze większego bólu odrzucenia.

Żołnierze strzelali nie wiadomo do kogo i po co, przeprowadzali aresztowania. Mężczyźni znikali ze wsi. Jedni uciekali w góry, do partyzantów, innych wywozili Rosjanie. Trzeba się było szybko wywiedzieć, dokąd zabierano jeńców, żeby móc ich wykupić z niewoli. Następnego dnia w meczecie mułła ogłaszał podczas modlitwy, kto został wywieziony przez żołnierzy i ile pieniędzy potrzeba na okup. Kaukaskie wioski liczą po kilkaset domów. Każdy z sąsiadów śpieszył z pomocą, wiedząc, że choć dziś nieszczęście go ominęło, jutro jednak

może spaść właśnie na niego.

Rosjanie oskarżali zatrzymanych Czeczenów o przynależność do partyzantki i domagali się, by aresztowany złożył bron.

– On nie jest żadnym partyzantem, nigdy nie walczył, nawet nie był w wojsku – rozpoczynali rozmowy jego krewni.

– Wierzymy wam, ale mamy powody do podejrzeń – odpowiadali Rosjanie. – Najlepiej byłoby, gdyby wasz kuzyn oddał karabin, a wtedy natychmiast byśmy go wypuścili.

– A skąd mielibyśmy wziąć karabin, skoro on sam nigdy go nie miał? – pytali Czeczeni.

– Jeśli nie macie, to kupcie i oddajcie – padała sakramentalna odpowiedź.

Na Kaukazie, a zwłaszcza w Czeczenii, kupno karabinu nigdy nie nastręczało trudności. Problem w tym, że człowieka z kupioną pokątnie bronią mogli w każdej chwili zatrzymać Rosjanie i aresztować jako partyzanta. Najbezpieczniejszym sposobem zdobycia karabinu na wykup krewniaka było więc kupienie go bezpośrednio u Rosjan, którzy korzystając z uprzywilejowanej pozycji, sami dyktowali ceny. Ani aresztowany Czeczen, ani jego krewni nigdy tego karabinu nie dotknęli ani nawet nie widzieli. Ważne, że w papierach było napisane, że złożył broń.

– Jacyśmy byli głupi! Myśleliśmy, że będzie lepiej. Nic się nie zmieniło. Ba, było coraz gorzej. Żadnej władzy, żadnego ratunku. Przychodzili jedni, brali, co chcieli, zabijali. Przychodzili drudzy, to samo. Nie wiadomo, kim byli, ani skąd przyszli – głos Chamzata był cichy i zmęczony. Może dlatego budził większe zaufanie niż naszpikowane wykrzyknikami monologi Isy. – Kiedyś żołnierze wjechali wozami pancernymi na pole za wsią i zabili osiemnaście krów. Całe stado wybili do nogi. Dla zabawychyba, bo zabrali ze sobą tylko trzy jałówki. Ludzie poszli na skargę do komendantury, ale gdzie tam! Nic nie wskórali. A wieczorem, w telewizji, powiedzieli, że za naszą wsią żołnierze otoczyli i wybili oddział ukrywających się partyzantów. I że tylko dwóm udało się uciec. Chyba mieli na myśli pastuchów.

Chamzat czasami odnosił wrażenie, że Czeczenia nikomu w Rosji tak

naprawdę nie jest do niczego potrzebna, że nikogo nic nie obchodzi. Nikt w Rosji niczego się po niej nie spodziewa, nic nie chce o niej wiedzieć ani słyszeć. Gdyby partyzanci nie podkładali w rosyjskich miastach i pociągach bomb, nikt by nie pamiętał nawet, że Czeczenia istnieje i że toczy się w niej wojna.

Na wybuchy bomb musi reagować rosyjski prezydent, który już dawno ogłosił koniec wojny i zwycięstwo. Rozzłoszczony, zbiera więc generałów, beszta ich przed kamerami, rozkazuje zrobić porządek. Generałowie uspokajają, że wszystko jest pod kontrolą, wszystko przebiega zgodnie z planem i wytycznymi, że to chwilowe trudności, wynikające z przejściowych kłopotów. Po czym biegną do gabinetów, łapią za słuchawki telefonów, dzwonią na Kaukaz, klną i wygrażają podwładnym pułkownikom i majorom, żądają energicznych działań, meldunków. Pułkownicy i majorzy wzywają do siebie kapitanów i poruczników. Ci zaś, by się wykazać, rozkazują swoim wojskom przeprowadzić obławę w najbliższej wsi, aresztować kilkunastu chłopów jako ukrywających się partyzantów, ostrzelać jakiś las. Teraz raporty wędrują z powrotem do Moskwy. Donoszą o sukcesach, aresztowaniach, pościgach, stratach zadawanych rebeliantom, nazywanym w telewizji bandytami i hersztami przestępczych szajek.

Według Chamzata Isa mógł się obawiać takiej raportowej wojny. Obłaskawieni przez niego oficerowie musieli się najwyraźniej wykazać przed przełożonymi zdecydowaniem i aktywnością. A wobec powyższego wszystkie zawarte wcześniej z Isą umowy traciły ważność i znaczenie.

– Ludzie mieli jeszcze wątpliwości, wierzyli, że z Rosjanami można się dogadać, że można żyć z nimi w zgodzie. Teraz nikt już się nie łudzi i niczego dobrego się nie spodziewa. Tych w Moskwie nic nie obchodzimy, a ci tutaj, którzy z nami walczą, nienawidzą nas jak zarazy, bo ta wojna ich samych przemienia w dzikie bestie. Mogą tu robić wszystko, co chcą, popełniać najniegodziwsze zbrodnie, mając pewność, że włos im z głowy nie spadnie. Ta wolność wyzwala w nich całe zło, którego sami się boją, ale nie mogą mu zaradzić – Chamzat zdmuchnął świeczkę, za oknami zaczynało szarzeć. – Nas też zabija nienawiść.

Mnie Rosja kojarzyła się jeszcze ze szkołą, nauczycielami, książkami, choć po prawdzie to nawet jej najlepsi poeci i pisarze, Lermontow i Tołstoj, przyjeżdżali do nas, by z nami walczyć. Dla mojego młodszego, szesnastoletniego syna Rosja to już tylko bomby, pijane wojsko i strach. Jemu nawet prawosławne krzyże kojarzą się z zagrożeniem. Starszy też nie pamięta innego życia niż wojna. Walczył w pierwszej, zabijał ludzi i nie miało to dla niego żadnego znaczenia.

Zapadło milczenie. Dzień budził się powoli i niechętnie.

Nie patrząc na Chamzata, zapytałem, czy nie uważa, że powinienem wracać. Odparł, że nigdy nie mógł zrozumieć, po co w ogóle tu przyjechałem.

Isa zjawił się po mnie nazajutrz, pod wieczór. Powiedział, że rozmawiał z rosyjskim pułkownikiem i wszystko uładził. Okazało się, że strzelał jakiś pijany młokos.

– Sami sobie jesteście winni – tłumaczył Isa Rosjaninowi. – Przez trzy lata nie widziano u nas wódki. Tak jak każe Koran, nasze władze zabroniły sprzedaży wódki, wina, a nawet piwa. Wystarczyło, że wrócili Rosjanie i wódka popłynęła strumieniami.

Powiedział też, że całą noc myślał o tym, jak wydostać Husajna z rosyjskiego więzienia. Nad ranem odnalazł spokój.

Ustalenie ceny za tatarskiego dziennikarza było sprawą delikatną, ale nie pociągało za sobą specjalnych kosztów. Okup, tak czy inaczej, zapłaci komendant z gór. Przy okazji zaś, kalkulował Isa, może udałoby się zdobyć trzech oficerów potrzebnych do uwolnienia Husajna.

A mając mnie na względzie, zaprosił swojego przyjaciela, ważnego oficera powstańczych służb specjalnych. Czekał już na mnie na kanapie ze swoją opowieścią.

Isa przyszedł na obiad bardzo wzburzony. Nocą ktoś rozkręcił i ukradł dwanaście kilometrów torów kolejowych prowadzących z wioski do cementowni. Do wsi przybyli też z gór nowi uchodźcy, którzy rozpowiadali, że rosyjskie wojska przystąpiły do niszczenia starych czeczeńskich cmentarzy i kamiennych wież.

Rosjanie burzyli płyty grobowców, strzelali do wież z czołgowych dział, podkładali kostki trotylu. Tu nie szło o żadną zemstę ani uwolnioną

przez nienawiść żądzę destrukcji. Niszczyli baszty z mozołem, trudząc się niezwykle jak podczas ciężkiej pracy. Kilogramy materiałów wybuchowych, pociski, a nawet bomby lotnicze nie były w stanie unicestwić budowli wzniesionych setki lat temu.

Bo i zburzyć kamienną wieżę nie było łatwo. Budowano je właśnie tak, by mogły się oprzeć wrogim nawałnicom, oblężeniom, pożarom, szturmom. Najtrudniejsze do zdobycia były wieże obronne, do których w czasie wojny chowali się górale z codziennych wież mieszkalnych. Baszty obronne, wysokie na dwadzieścia, trzydzieści metrów, wznoszono z ociosanych kamieni w miejscach najtrudniej dostępnych, w wąskich wąwozach, nad brzegami górskich rzek, gdzie nie dawało się przetoczyć machin oblężniczych. Aby do nich wejść, trzeba było wspinać się po drabinie, którą potem wciągano do środka, ryglowano wykutą wysoko nad ziemią bramę i przypominające otwory strzelnicze okienka. Wieże dzieliły się na piętra, połączone ze sobą długimi, przestawnymi drabinami. Z wieżyczek na najwyższych kondygnacjach, osłonięci przed atakami nieprzyjaciół, obrońcy mogli razić oblegających z łuków i strzelb i całymi miesiącami bronić się skutecznie przed znacznie liczniejszym wrogiem. Legenda mówi, że Czeczeni ukryci w takiej wieży na górze Tebulos-Mta w dolinie Argunu przez dwanaście lat z powodzeniem odpierali ataki wojowników Tamerlana. Czeczeni twierdzili, że im wyższa była wieża, tym łatwiej było w niej przetrwać.

– Myślą, że jak zniszczą nasze wieże, to nas pokonają – wykrzykiwał przy stole Isa i waląc pięścią w stół, rozlewał herbatę ze szklanek. – A rzecz nie w wieżach! My jesteśmy jak te kamienie! Jeśli będzie trzeba, sami się w kamienie przemienimy!

Widząc, jak zatapiam się w odrętwiającej rezygnacji, Isa postanowił przyśpieszyć bieg spraw. Przyznał, że w wiosce ukrywa się wiceminister spraw zagranicznych w powstańczym rządzie, który wracając z sekretnej podróży do Moskwy, zatruł się czymś po drodze i odpoczywa przed dalszą wyprawą w góry.

Był piątek, muzułmański dzień święty. Isa uznał, że jeśli wyjdę w porze wieczornej modlitwy odpowiednio przebrany, nie zwrócę niczyjej uwagi. Miałem po raz pierwszy przespacerować się po wiosce, w której od tak

dawna mieszkałem, a którą oglądałem dotąd jedynie spoza przyciemnionych szyb samochodu.

Isa prosił mnie tylko, żebym zostawił w domu wszystko, co można by uznać za drogocenne. Portfel, zegarek, ślubną obrączkę.

– U nas ludzie wierzą, że jeśli ma się przy sobie tak cenne przedmioty i wejdzie się do izby, w której leży chory, to mu się pogorszy – tłumaczył.

Wioska zasypiała, gdy muezin, ckliwie zawodząc ze strzelistego minaretu w meczecie, zaczął nawoływać wiernych, byjeszcze raz tego dnia oddali hołd Allahowi. Bazar na rynku był już wymarły. Zniknęły przekupki, zostawiając za sobą samotne szkielety drewnianych straganów.

Droga tonęła w kałużach i błotnej mazi, której nie jest w stanie wysuszyć żadne słonce. W oddali majaczyły bryły czteropiętrowych bloków.

Do izby, gdzie się ukrywał wiceminister, wchodziło się z przedpokoju przez szafę. Taką zwykłą szafę na ubrania, tylko pustą w środku, z drzwiami zamiast tylnej ściany. W pomieszczeniu panował zaduch i żar, a jedyny mebel stanowiło żelazne łóżko, na którym dochodził do siebie wiceminister. Była jeszcze zmontowana domowym sposobem sztanga do ćwiczeń gimnastycznych.

Po kurtuazyjnej prezentacji siedzieliśmy chwilę bez słowa, aż z szafy wyszła gospodyni z czarkami herbaty.

Minister żywił urazę do świata. Mówił, że Czeczeni zawiedli się na wszystkich. Zawiedli się na Rosji, która walcząc o wolność dla siebie, odmówiła jej innym, na mieniącym się redutą postępu i sprawiedliwości Zachodzie, który nie przyszedł im z pomocą, gdy jej potrzebowali, a także na muzułmańskim Wschodzie, który nie odważył się nawet na słowa protestu, gdy czeczeńscy muzułmanie ginęli pod bombami.

– Poradzimy sobie sami. My jesteśmy niezniszczalni – powiedział beznamiętnie, przydeptując niedopałek.

Co do podróży w góry wiceminister zalecał cierpliwość.

– Musicie jeszcze poczekać parę dni. Wszyscy na coś czekamy.

Wieczorem przez otwarte okno usłyszałem głośny śpiew.

– Tańczą*zikr*– odparł Islam, młodszy syn Isy.

Zgodził się zabrać mnie na chwilę do szkoły przy meczecie. Noc była pochmurna, czasami wpadaliśmy na siebie w ciemnościach. Mrok panował też w głównej sali medresy, gdzie złączeni w magicznym kręgu Czeczeni tańczyli *zikr*. Rosjanie widzieli w tym obrzędzie taniec wojenny, czarną mszę, mroczne pogańskie misterium. Ci, którzy w nim uczestniczyli, byli dla nich buntownikami, tancerzom groziło więzienie.

W migotliwym blasku świec przesuwały się twarze tancerzy, nieobecne, zastygłe. Przywołując imię Najwyższego, śpiewając i tańcząc w ekstatycznym rytmie, który wybijał celebrujący rytuał duchowny, wydawali się przebywać w innym świecie, jakże odległym od tego, co otaczało ich na co dzień. Świecie czystym i szlachetnym, dobrym i sprawiedliwym. Aby się w nim znaleźć, trzeba włożyć w taniec tyle żaru i rozpaczy, że wielu uczestników opuszczały siły i padali bez przytomności na deski, by po chwili, ocuceni, rzucić się ponownie w wir tańca. Mój znajomy, który podróżując po Kaukazie, był świadkiem *zikru* w Groznym, opowiadał, że znudzony poszedł coś zjeść, a gdy wrócił, tancerze wciąż kręcili się w kółko. Gdyby pobiegli przed siebie – zauważył – przebyliby szmat drogi.

Islam powiedział, że czasami też tańczy *zikr* i że to go wyzwala, leczy bóle duszy, oczyszcza, że staje się lepszy. Jego matka słusznie więc boi się o niego.

Zikr to skarga do Boga. Skarga tak żarliwa, że odbiera rozum. Prosząc Miłosiernego o sprawiedliwość, człowiek uzmysławia sobie niezasłużone, straszne krzywdy, jakie go spotkały na ziemskim padole. Wydaje się, że ci, którzy by się wyrwali z kręgu, gotowi byliby na wszystko. Na śmierć.

Na obiad Lejla przygotowała czeczeński specjał – kukurydziane kluski i rosół z czosnkiem.

Z gór znowu nikt nie przyjechał.

– Trzeba jeszcze trochę poczekać – pocieszał mnie Isa, siorbiąc głośno i grzebiąc łyżką w talerzu. – Tylko parę dni. Przecież wytrzymamy.

Następną noc, tak jak poprzednią, spędziłem w Chamzatowej altance za wsią. Tym razem uciekł z domu także Isa. We wsi znów rozeszły się plotki o rosyjskiej obławie. Coraz głośniej było też o partyzantach,

widziano ich pod Chatuni.

W jednej z wiosek zastrzelono wójta, który wysługiwał się Rosjanom. Na minie przed Szali wyleciała w powietrze rosyjska ciężarówka z żołnierzami. Nikt nie został zabity, było jednak bardzo wielu rannych. Czterech Rosjan zginęło za to w strzelaninie w wąwozie Argunu, zaraz za Wilczymi Wrotami. We wsi mówiono, że tym razem partyzanci zeszli z gór nie na odpoczynek, ale że szykują się do naprawdę poważnej akcji. Wymieniano nazwę podstołecznego miasteczka, Argunu, leżącego przy najważniejszym w całym kraju skrzyżowaniu dróg. Ponoć właśnie na Argun i cieszące się najgorszą sławą tamtejsze więzienie zamierzali napaść partyzanci.

Atmosfera we wsi gęstniała. Isa podejrzewał, że wśród uchodźców, którzy wciąż ściągali do jego wsi – wieść o udzielnym księstwie Madajewa rozeszła się lotem błyskawicy po całym kraju – byli nasłani przez Rosjan szpicle. Mieli za zadanie wywęszyć, czy aby nie jest w zmowie z partyzantami.

Dzięki staraniom Isy Cziri-jurt był chyba jedyną w okolicy wsią, która jeszcze nie padła ofiarą wojennych grabieży. Isa spodziewał się prowokacji.

Nocą rozszalała się burza. Przetaczały się grzmoty, błyskawice rozdzierały niebo, a przez dziurawy dach lały się nam na głowy strugi deszczu. Może było to tylko złudzenie, ale wydawało mi się, że wichura prawie odrywa naszą altankę od ziemi i że lada chwila uniesie ją ku niebu. Przekrzykując ulewę, Isa wołał, żebym się nie martwił, bo górale, żyjąc najbliżej Boga, prawie na wyciągnięcie ręki, są mu też najmilsi. Wszechmogący na pewno więc nie pozwoli, by działa im się krzywda.

Zjechaliśmy do domu na obiad.

– Ja już wracam – powiedziałem znad talerza.

– Dokąd? – spytał Isa, podsuwając mi miseczkę z ząbkami czosnku. – Dosyp trochę do rosołu. Zobaczysz, jaki to przysmak. Zjesz jeden talerz dziennie i nie musisz się martwić o żołądek ani o wątrobę. Dokąd wracasz?

– No, po prostu, wracam.

Dopiero teraz spojrzał na mnie, wybałuszając oczy. Nie chciało mu się

wierzyć, ale chyba zaczynał rozumieć, że mówię o wyjeździe.

– Jak to? Teraz chcesz wyjechać? Przecież zaraz ktoś przyjedzie z gór, wyznaczą ci spotkanie z Maschadowem. Dzień, najwyżej dwa. O to ci przecież chodziło. Co im powiem, jak cię nie będzie?

Przy stole nikt już nie jadł. Lejla, odwrócona plecami, zmywała naczynia. Asłan i Islam wpatrywali się w białą wazę, w której stygł rosół.

– Isa, wywieź mnie na drugą stronę.

Książki oraz bezpłatny katalog Wydawnictwa W.A.B. można zamówić pod adresem: ul. Łowicka 31, 02-502 Warszawa tel./fax (22) 646 05 10, 646 05 11, 646 01 74, 646 01 75 wab@wab.com.plwww.wab.com.pl

Redakcja: Joanna Pomorska Konsultacja historyczna: Andrzej Furier Korekta: Maria Przysiecka, Elżbieta Jaroszuk Redakcja techniczna: Urszula Ziętek

Projekt graficzny serii: mamastudio Fotografie: © Krzysztof Miller/Agencja Gazeta

Wydawnictwo W.A.B. 02-502 Warszawa, Łowicka 31 tel./fax (22) 646 01 74, 646 01 75, 646 05 10, 646 05 11 wab@wab.com.plwww.wab.com.pl

Skład i łamanie: Komputerowe Usługi Poligraficzne Piaseczno, Żółkiewskiego 7 Druk i oprawa: Drukarnia Wydawnicza im. W.L. Anczyca, Kraków

SS

ISBN 83-7414-024-0